

GARFIELD
REEVES - STEVENS



METAMORFOZA
KRWI

Granger Helman - były płatny morderca na usługach mafii - powraca do swego zawodu. Tym razem jego celem ma być piękna i z pozoru całkowicie bezbronna Adrienne St. Clair. Okazuje się jednak, że to najbardziej niebezpieczna zwierzyna, na jaką kiedykolwiek polował.

Nie jest wcale istotą ludzką.
Nie jest nawet istotą żywą.
Jest po prostu wampirem.

Na dodatek morderca zakochuje się
w swej ofierze...

„Metamorfoza krwi” to powieść prawdziwego mistrza horroru, niezwykle połączenie grozy, sensacji i fantastyki.

Nie zapomnij też o innych książkach tego autora:

Mroczna materia
Są wśród nas



Garfield Reeves-Stevens

METAMORFOZA KRWI

Przekład Dorota Żywno



Dom Wydawniczy REBIS

Poznań 1994

Tytuł oryginału Bloodshift

Copyright © 1981 by Garfield Reeves-Stevens

Copyright © for Polish translation by REBIS Publishing House, 1994

Redaktor

Maria Bosacka

Ilustracja na okładce

Tom Hallman

Opracowanie graficzne

Maciej Rutkowski

Wydanie I

ISBN 83-7120-144-3

Dom Wydawniczy REBIS

ul. Marcelińska 18,

60-801 Poznań

tel. 65-66-07, tel./fax 65-65-91

Skład i łamanie

dtp Marek Barłóg

Os. Kosmonautów 4/41,

61-624 Poznań

tel. 23-16-10

PROLOG

Po raz pierwszy od wieków obudził się ze snu.

Sen przemówił do niego.

Na długo zanim przyszli po niego, wpatrywał się w mrok swego miejsca spoczynku i rozmyślał o tym, co ujrzał. Tyle czasu minęło od chwili, gdy śnił po raz ostatni, że stracił już nadzieję na zrozumienie znaczeń ukrytych w tych obrazach.

Na początku krążył po swoim domu, pośród swych chowańców, a jednak nie zauważali go. Obserwował ich przy pracy. Wiedział, że rzeczywiście tego dnia robili to, co widział, tak jakby opuścił miejsce swego spoczynku, gdy tymczasem jego ciało było porażone we śnie.

A potem znalazł się... gdzie indziej.

Obrazy przypominały smugę mglistych obłoków. Nic nie znajdowało się na właściwym miejscu ani we właściwej kolejności. Z wyjątkiem jednego uczucia: ulgi. Po wszystkich tych latach, kiedy był już przekonany, że nigdy nie dostąpi zbawienia, zaświeciło ono na odległym horyzoncie jak pierwszy blask świtu.

Coś się zacznie dziać. Zbawienie.

– Dobry Boże – rzekł, wpatrując się w ciemności – niech się już zacznie.

I tak też się stało.

CZEŚĆ PIERWSZA

ZLECENIE

ROZDZIAŁ I

Zabójcy pojawili się na lotnisku dwadzieścia minut po zachodzie słońca.

Trzech z nich niosło broń z drewna i plastiku. Przeszli przez punkty kontrolne szybko i spokojnie, tak jak wcześniej przewidziano.

Czwarty, ubrany na czarno, nie potrzebował broni, sunął w mroku panującym na płycie lotniska, niewidzialny wśród szybko przesuwających się snopów światła pojazdów obsługi lotniska.

Był starszy od pozostałych, a jego znajomość Drogi mogła znacznie bardziej dogłębna: udając się na swe stanowisko w ciemności, nie zostawiał śladów stóp w lekkim śniegu, który pokrywał ziemię...

Anglia, Port Lotniczy Heathrow, 13 stycznia

Kierownik lotniska Heathrow znajdował się w wieży kontrolnej i zamierzał je zamknąć.

Spadł śnieg, a prognoza pogody i raporty z Ministerstwa potwierdziły, że śnieżycy powiększy się. Najdalej za godzinę Heathrow nie będzie mogło funkcjonować. Już w tej chwili zbliżające się samoloty kierowano na inne lotniska, aby sprzęt do usuwania śniegu można było skierować na pasy dla samolotów mających startować. Koczujące na korytarzach bandy turystów, którzy nie zdążyli odlecieć, działały kierownikowi na nerwy. Chętnie pozbyłby się ich wszystkich.

Na następne czterdzieści pięć minut przeniesiono start dwudziestu siedmiu samolotów, przeważnie transatlantyckich lub do Europy. Dał im pierwszeństwo. Ruchem krajowym mogą się zająć pociągi i autobusy.

Mimo to, kiedy przyglądał się smugom światła sygnałowych lotniska w zamieci, coraz

gwałtowniejszej i obfitszej, pomyślał, że jednak niektórzy pasażerowie nie znajdą się tam, gdzie planowali się znaleźć dzisiejszego wieczoru.

Zabójcy na jego lotnisku mieli się właśnie o to postarać. Według nich, jednemu pasażerowi nie wolno było opuścić Heathrow. Jednego pasażera trzeba koniecznie zatrzymać. Trzeba zneutralizować zagrożenie.

W toaletach i pomieszczeniach magazynowych montowano broń; specjalną broń zdolną zadać Ostateczną Śmierć. Zagrożenie zostanie zneutralizowane. Zakon przetrwa. Inne wyjście było nie do pomyslenia.

Zabójcy rozpoczęli przeczesywanie Heathrow.

W okienku informacji dla podróżnych siedziała nowa urzędniczka. Stała pracownica zadzwoniła, że jest chora, ale przysłała koleżankę z biura w Londynie, aby ją zastąpiła. Zabiegany przełożony z ulgą zgodził się na taki układ. Nie przypominał sobie, aby widział tę nową urzędniczkę w londyńskim biurze, lecz wiedział, że tamtejsi pracownicy często się zmieniają.

Zastępczyni wiedziała, czego ma szukać. Rozpoznała pierwszego zabójcę po niezgrabnej sylwetce w dużym, rozpiętym trenczu i ustach zaciśniętych w sposób, który nauczono ją rozpoznawać.

Przeprosiła parę, którą właśnie obsługiwała, parę starszych ludzi z Bonn, których dzieci nie wyszły na umówione spotkanie i podniosła słuchawkę.

Rozmowa z innym telefonem na Heathrow. Akcja odwracania uwagi rozpoczęła się.

Dwóch mężczyzn ubranych w niebieskie marynarki stewardów British Airways odprowadzało kobietę w czerni szerokim korytarzem prowadzącym do bramy odlotów. Jeden ze stewardów pchał wózek szpitalny, na którym spoczywała trumna przykryta jednym z tych płowych, pikowanych koców, jakich używa się do transportu.

Kobieta miała lecieć w podróż powrotną do Nowego Jorku w pierwszej klasie samolotu 747 wraz ze zwłokami męża, choć raczej nie było to zgodne z przepisami,

Mężczyzna był bogaty. Wierna wdowa po nim wykupiła na ten lot wszystkie miejsca w pierwszej klasie. Był to jedyny sposób, aby pracownicy linii lotniczych zezwolili na przewóz trumny w części pasażerskiej. Dzięki pieniądзом przymknięto oko na niezgodność z przepisami, do tego stopnia nawet, że wypożyczono dwie marynarki służbowe dla towarzyszy wdowy.

Drugi z morderców był pod wrażeniem oczywistości planu. Szukali twarzy, nerwowej postaci wymykającej się z Anglii, a zamiast tego ujrzeli obiekt swych poszukiwań wyjeżdżający na oczach wszystkich.

Drugi zabójca potrafił docenić pomysł z trumną, która była tu tak bardzo na miejscu. Dał właściwe znaki. Dwaj pozostali dołączyli do niego. Zbliżali się do stewardów, wdowy i celu kryjącego się w trumnie.

Wózek przetoczył się obok budki informacji dla podróżnych.

Pierwszy zabójca dostrzegł wymianę nieznaczących skinień głowy między urzędniczką a wdową i zrozumiał, że został rozpoznany. Jeśli zabójcy pójdą dalej, będą mieli dwóch stewardów przed sobą, a urzędniczkę z tyłu. Znajdą się w kleszczach.

Pierwszy morderca zwolnił kroku. Urzędniczka otworzyła szufladę i sięgnęła do środka. Ich spojrzenia spotkały się.

Mężczyzna gwałtownie odwrócił się w jej stronę, wyciągając kuszę spod płaszcza. Urzędniczka uniosła pistolet.

Zabójca poczuł ulgę na widok broni palnej. Oznaczało to, że ich prawdziwy charakter nie został odkryty. Zacisnął palec na spuście.

Urzędniczka zanurkowała pod biurko.

Bełt z kuszy rozdarł powietrze nad biurkiem. Mężczyzna z Bonn został przyszpilony do ściany obok. Drgającymi stopami ledwo dotykał ziemi.

Ciszę akcji odwracającej uwagę oraz ataku przerwał wreszcie krzyk starej kobiety. A potem syk strzałów z broni z tłumikiem.

Wdowa strzeliła z pistoletu przez kieszeń płaszcza. Zarówno pierwszy, jak i trzeci zabójca zostali trafieni i zachwiali się, straciwszy równowagę. Kusza trzeciego zabójcy wystrzeliła na oślep w sufit.

Drugi zabójca wypuścił bełt. Pocisk przeszył gardło wdowy. Kobieta zacharczała cicho i padła, chwytając okrycie trumny i pociągając je za sobą na posadzkę.

Dwaj zamachowcy, których postrzeliła wdowa, stali pośpiesznie naciągając kusze. Zbliżał się do nich jeden ze stewardów.

Drugi spośród zabójców zauważył, że urzędniczka z budki informacji dla podróżnych wstaje zza biurka. Krew starego mężczyzny, która ją ochlapała, przykleiła jej włosy do policzka. Kobieta wycelowała broń w stronę drugiego mordercy.

Zabójca zaatakował.

Przeszły go dwie kule, zanim dopadł ją i rozszarpał odsłonięte gardło rękoma.

Stara kobieta wrzasnęła jeszcze głośniejsze, ujrzawszy ciało urzędniczki rzucone na podłogę z rozerwanymi arteriami, z których tryskała krew.

Na jedną krótką chwilę zabójca uświadomił sobie, że więcej ludzi powinno krzyczeć, lecz długi korytarz wiodący do bramy odlotów świecił pustkami. Nie miał czasu na zastanawianie się nad wnioskami. Zobaczył, co trzyma w rękach atakujący steward, i wiedział już, że ich prawdziwy charakter został ujawniony. Całkowicie.

W czasie, gdy jeden ze stewardów odwoził trumnę na wózku, drugi zbliżył się do naciągających kusze zabójców z drewnianą pałką, której koniec zastrugano w morderczy szpic.

Trzeci zamachowiec, nie ukończywszy napinania kuszy, rzucił nią w atakującego stewarda i skoczył.

Steward uchylił się przed lecącą na niego kuszą i dźgnął. Pałka utkwiała w piersi nastpnika, a impet padającego ciała wyrwał ją z rąk stewarda.

Pozbawiony broni steward odwrócił się ku pierwszemu zabójcy.

Kolba kuszy mignęła szybciej, niż steward mógł to dostrzec. Cios zbił go z nóg, miazdząc mu skroń.

Ciało stewarda zważyło się na ziemię. Przebity kołkiem zamachowiec czołgał się w stronę drzwi do umywalni. Zostawiał za sobą na posadzce rozmazaną smugę gęstej, białej cieczy.

Pozostali dwaj mordercy celowali do drugiego stewarda, który uciekał z trumną.

Wtedy wyjaśniło się, dlaczego korytarze były puste.

Na końcu korytarza pojawiło się sześciu brytyjskich żołnierzy. Czterech było uzbrojonych w pistolety maszynowe sterling. Dwóch miało kusze.

Steward zatrzymał się. Nie wiedział o obecności żołnierzy. Obejrzał się niespokojnie na dwóch zabójców, a potem znów spojrzął na żołnierzy.

Przez chwilę na korytarzu panowała cisza.

Chwila ta skończyła się, gdy metalowe drzwi prowadzące na zewnątrz wyleciały z zawiasów i czwarty zabójca, odziany na czarno, jednym susem rzucił się na stewarda.

Rękoma w czarnych rękawiczkach obrócił głowę stewarda o sto osiemdziesiąt stopni. W korytarzu rozległ się głuchy trzask.

Czwarty zamachowiec odwrócił się ku trumnie.

Żołnierze z kuszami wypuścili bełty.

Jeden poleciał w bok. Drugi trafił w cel, zagłębiając się aż po pierzysko.

Czwarty zabójca wyrwał bełt z ciała i trzymał go jak sztylet nad głową. Zerwał wieko trumny i dźgnął jednym, niesamowicie szybkim ruchem.

Bełt strzaskał się.

Trumna była pusta.

Zabójca w czerni wrzasnął ogłuszająco z wściekłości i pchnął trumnę wraz z wózkiem, roztrzaskując go o odległą o pięć metrów ścianę.

Rozległa się mordercza salwa sterlingów.

Zabójca w czerni wyskoczył płynnie przez drzwi, które wyważył. W jego ślady poszli pozostali dwaj mordercy, biegnąc na oślep w gradzie niezliczonych kul, które wrywały z nich strzępy ciała i tkaniny.

Nie mogąc uwierzyć, że widzieli dwóch ludzi wytrzymujących taki ostrzał, żołnierze pobiegli do drzwi i oświetlili latarkami metalowe schody wiodące w dół na płytę lotniska.

Nie było na nich leżących ciał.

Przez mgłę oddechów żołnierzy w zimowym, nocnym powietrzu na schodach połykiwały w świetle plamy białej cieczy, lecz śnieg przed nimi był gładki, nietknięty i rozciągał się niewzruszenie ku ciemności.

ROZDZIAŁ II

Brytyjski oficer przy telefonie z uwagą słuchał raportu żołnierza z Heathrow.

Utkwił spojrzenie w niewielkiej smużce bieli na szyi mężczyzny, który siedział naprzeciwko jego biurka. W półmroku panującym w biurze wydawało się, że biały pasek jarzy się.

Oficer zacisnął dłoń na słuchawce, słysząc szczegóły okropieństw, w jakie wciągnął go mężczyzna z białym paskiem. Z rozkazu tego człowieka zginęli ludzie, a człowiek ten powiedział, że jest księdzem.

Londyn, Ministerstwo Obrony, 13 stycznia

Oficerem tym był pułkownik Noel Tremworthy. Miał sześćdziesiąt trzy lata i służył wiernie Koronie przez czterdzieści pięć z tych lat. Przysłuchując się raportowi sierżanta na drugim końcu zabezpieczonej linii, zdał sobie sprawę, że jego służba zbliża się ku końcowi. Jedyne słowo, jakie przychodziło mu na myśl, żeby opisać, co wydarzyło się na Heathrow, to zgroza. Zgroza.

Było zbyt wielu świadków, zbyt wiele ofiar. Nic nie ułożyło się w sposób, jaki którykolwiek z nich przewidział. Obawiał się powiedzieć o tym księdzu, lecz nic innego nie można było uczynić. Tremworthy czuł, że traci grunt pod nogami. Zastanawiał się, czy jeśli kiedykolwiek ujrzy swoją żonę, potrafi jej to wytłumaczyć? Czy ktokolwiek kiedykolwiek dowie się, dlaczego zrobił to, co zrobił? Po czterdziestu pięciu latach służby wojskowej Tremworthy wiedział, jak musi brzmieć jedyna odpowiedź.

Wreszcie pułkownik odezwał się:

– W porządku, sierżancie. Proszę zostać na linii. – Nacisnął guzik na urządzeniu kodującym telefonu.

Ojciec Klemens czekał niecierpliwie.

– Była akcja dywersyjna – powiedział Tremworthy.

– Czyja?

– Nie wiem. Sierżant powiedział, że wyglądało to jakby ściagała ją jeszcze jedna grupa. Czterech mężczyzn. Z kuszami. Oddział sierżanta wpadł na tamtych. Ona wymknęła się nam w zamieszaniu. Czy wysłał pan dodatkowy oddział bez powiadomienia mnie?

Ksiądz syknął.

– Miałem pańskie zapewnienie, pułkowniku. Nie było potrzeby wysyłania jeszcze jednego zespołu. Zamknijcie lotnisko. Natychmiast!

Pułkownik potrząsnął głową.

– Za późno. Nie spodziewaliśmy się śnieżycy. Zmieniły się pory lotów. Odwołano samoloty miejscowe, a wysłano transatlantyckie. Wszystkie już odleciały. Wygląda na to, że mimo wszystko udało jej się.

Ojciec Klemens zerwał się na nogi. Miał poczerwieniałą twarz i rozbiegane oczy.

Tremworthy poczuł, że kuli się, jakby ksiądz miał zamiar go uderzyć.

Klemens chodził wściekle w tę i z powrotem.

Pułkownik znów odezwał się:

– Zginęło pięć osób. Może sześć.

– Co ma pan na myśli mówiąc „może sześć”? – Ksiądz wciąż krążył.

– Jeden z ludzi pomagających jej w ucieczce dźgnął w pierś kogoś z czterech zamachowców. To był nóż albo jakaś włócznia. Napastnik odczołgał się do umywalni. Zanim nasi ludzie dotarli do niego, udało mu się zbiec. Prawdopodobnie w przebraniu. Znalaziono ubranie, które miał na sobie, ale... – Pułkownik zwolnił, jakby po raz pierwszy uświadomił sobie, co mówi i co usłyszał. – Sierżant powiedział, że kiedy ten mężczyzna odczołgiwał się, był przebity na wylot. Szukają teraz ciała. Nie mógł...

Ksiądz spojrział na Tremworthy'ego z pogardą.

– Po tym wszystkim, czego pan się dowiedział, wierzy pan w tę historię? To ciało nigdy nie zostanie odnalezione, pułkowniku Tremworthy. Dźgnięcie w pierś oznacza przebicie serca kołkiem. To ciało to proch na posadzce umywalni. Znikło. Rozsypało się. Kiedy uwierzy pan w to, co panu powiedzieliśmy?

W głosie pułkownika zabrzmiała panika.

– Pięć osób zostało zabitych.

Ksiądz drwił z niego, prowokując go.

– Jest pan pewien, że policzono wszystkie pięć ciał? A może jeszcze jakiś nieboszyk z włócznią wbił w pierś ponieważ się w oczekiwaniu na odnalezienie?

– Pięć – powiedział pułkownik próbując się opanować, ale bez skutku. – Cztery osoby, które jej pomagały i cywil. Staruszek z Niemiec.

Tremworthy spojrział błagalnie na księdza.

– Na miłość boską, ojcie Klemensie.

Ksiądz wybuchł.

– Niech pan się nie waży, pułkowniku. Niech pan się nie waży wyobrazać sobie, że może nas osądzać. Osądzać mnie. – Nachylił się nad biurkiem, prawie zawieszony nad pułkownikiem. Zniżył głos do szeptu. – To są ostatnie dni konfliktu, którego pan jeszcze nawet nie zaczął pojmywać, pułkowniku Tremworthy. Nigdy pan tego nie pojmie. Ja jestem zaledwie jedną niewielką jego częścią. Ona jest zaledwie jedną niewielką jego częścią. Pan, pańscy ludzie i ludzie na Heathrow, oni wszyscy nic nie znaczą wobec tego,

z czym mamy do czynienia. To są nadzwyczajne czasy, pułkownika. Wymagają nadzwyczajnych posunięć. Niech pan nigdy nie śmie ich kwestionować.

Klemens wyprostował się. Pułkownik zadrżał, a w oczach miał łzy. Przełącznik na telefonie rozbłyskiwał bezgłośnie.

Wreszcie ksiądz przemówił.

– Pięć osób zabitych. Czy użyto broni palnej?

Tremworthy skinął głową.

– Strzelano tylko do tych pięciu zabitych, czy również do tych, którzy, powiedzmy, z punktu widzenia świadka „w cudowny sposób” zbiegli, nie tknięci przez kule?

– Którzy... zbiegli. – Tremworthy walczył ze łzami.

– Jeśli niektórzy ze zbiegów byli celem ognia karabinów maszynowych, to podejrzewam, że pańscy ludzie będą mieli kilka pytań do pana.

– Tak... sierżant już pytał... te kusze... to obłąd...

– To nie obłąd, pułkownika. Błąd raczej. Będzie pan musiał sobie z tym poradzić.

Wieść o tym błędzie nie może się rozejść.

Tremworthy spoglądał pustym wzrokiem.

– Jak? To już się stało.

– Poradzi pan sobie z tym w taki sposób, w jaki pewne czynniki w rządzie Jej Królewskiej Mości zawsze sobie radziły. Obaj wiedzieliśmy, że za klęskę przyjdzie zapłacić, pułkownika. A może potrzebny panu jeszcze jeden incydent? Jeszcze jeden przykład, żeby przekonać pana o moim autorytecie?

Pułkownik pomyślał o swojej żonie i o jej wypadku. Lekarze powiedzieli, że nic jej nie będzie. Że miała szczęście. Ksiądz powiedział coś innego. Coś ohydneho. To nie był wypadek.

– Nie. Wiem. Przeniesienie dla nich.

Ksiądz pokiwał głową.

– Właśnie, pułkownika. Przeniesienie. Da Belfastu. Ciężarówka transportowa. Bomba podłożona przez terrorystów albo napaść. Drobną tragedią. Nie będzie za to więcej pytań. Błąd się nie rozniesie.

Pułkownik spoglądał na migoczący guzik. Na Heathrow było trzydziestu czterech jego żołnierzy. Trzydziestu czterech.

Ksiądz podeszedł do wieszaka przy drzwiach, nałożył płaszcz i schylił się.

Tremworthy patrzył nierozumiejącym wzrokiem na zmagającego się z kaloszami księdza, który zabił pięciu ludzi i skazał na śmierć trzydziestu czterech następnych.

Nie, powiedział jego wewnętrzny głos, to ty skazujesz tych trzydziestu czterech na zagładę. Ten człowiek wydał taki rozkaz. Ty go wykonujesz. Po czterdziestu pięciu latach. Zdrajca i morderca. Dla mojej żony, pomyślał. Lila, dla Lili. Morderca, morderca. Nadchodził kres wszystkiego.

– Być może – powiedział pułkownik – być może Waszyngtonowi powiedzie się w jej sprawie lepiej, teraz, gdy będziecie działać w Ameryce.

Twarz Klemensa stężała. Zaciśnął dłoń na gałce klamki. Na jego twarzy znów odmalował się wyraz pogardy.

– Biedny głupcze. Pan nic z tego nie rozumie. Pan myśli, że ja... Waszyngton? Waszyngton to ohyda. Oni współpracują, pułkowniku. Waszyngton i ona, razem. Jak pan myślał, dlaczego musimy zatrzymać ją za wszelką cenę?

Tremworthy poczuł się niedobrze. Zbyt wiele rzeczy. Zbyt wiele, żeby o nich myśleć.

– A wasza organizacja? Sposób, w jaki pracujecie. Skąd pochodzi siła? Co wam daje władzę nad innymi?

Ksiądz zatrzymał się, czekając aż na twarzy Tremworthy'ego odmaluje się wyraz totalnego zdezorientowania i zagubienia. Starannie rozważył swą odpowiedź.

– Pułkowniku Tremworthy, czyżby pan rzeczywiście sądził, pomimo tego, co ujawniliśmy panu, że nie jestem tym, za kogo się podaję? – Wskazał na swą koloratkę. – Czy pan uważa nas za obłąkaną organizację terrorystyczną? A może rządowych szpiegów, albo agentów, czy kogo tam jeszcze? Ta koloratka nie jest przebraniem, pułkowniku. Wiele lat temu służyłem nawet w parafii, strasznej parafii, gdzie były kopalnie, nędza, ciemnota i choroby. Dobrze poznałem swoich parafian. Poznałem, w jaki sposób reagują na ciśnienie świata, nazbyt dla nich skomplikowanego. Potrafiłem spojrzeć na człowieka, pułkowniku Tremworthy, i z tonu jego głosu oraz znajomości tego, co niedawno przeszedł, wywnioskować, co człowiek ten właśnie zamierza uczynić. Jak ma zamiar poradzić sobie z sytuacją. Jeśli znajdzie dość sił. – Ksiądz znów przerwał, wbijając wzrok w pułkownika, a potem w jego biurko. W prawą stronę biurka. Tam, gdzie była szuflada.

Gdzie przechowywał broń. – Nigdy nie pomyślałem, żeby pana zapytać o to, pułkowniku. Czy jest pan nadal katolikiem?

Pułkownik skinął głową raz, niemal niedostrzegalnie.

– Nie martwiłbym się o to. – Ksiądz popatrzył w stronę prawej części biurka. – Nadzwyczajne czasy. Mogę po wszystkim poczynić odpowiednie kroki. Nie będzie trudności.

Pułkownik Tremworthy siedział nieruchomo, powoli uświadamiając sobie coś. Uświadamiał sobie działanie, co do którego już podjął decyzję.

– Odpowiadając na pańskie pytanie, pułkowniku. *Ad maiorem Dei gloriam*. Słucham rozkazów Rzymu.

Ksiądz wychodząc zamknął drzwi za sobą.

Rzym. Na większą chwałę Bożą. Potęga i groza zawarte w tych słowach rozbrzmiewały echem w ciszy. To credo jezuitów. Wszystko, co się wydarzyło, wydarzyło się dla nich. Dla Rzymu. Czyżby starcy przejęci szatami i obrzędami, których większość ludzi nie traktowała już poważnie, doszli do tego? Czy to, co stało się z nimi, gdy świat się odwrócił, to szaleństwo? Jezuita, którzy zabijają? Na rozkaz Rzymu?

Po długiej chwili pułkownik Tremworthy zwolnił wciśnięty guzik i porozmawiał z sierżantem. Kiedy skończył, zatelefonował do adiutanta, by rozgłosił przygotowaną wcześniej historię o nieudanym ataku IRA na Heathrow, a następnie rozpoczął robotę papierkową, którą dokończy jego sztab. Wysyłał swych ludzi do Belfastu, by ich uciszyć. Morderca, morderca.

Zrobił to wszystko dla swojej żony.

Dla niego samego, o czym wiedział równie dobrze jak ksiądz, został pistolet na zwykłym miejscu, w szufladzie. Ksiądz powiedział, że zajmie się wszystkim. Brzmiało to jak zaproszenie do ucieczki od obłądu, który go otaczał.

Powiedział to ksiądz – nie, nie byle ksiądz, jezuita. Świat stał się zbyt skomplikowany, aby pułkownik mógł go zrozumieć. Rzym, jego głęboko zakorzeniona podstawa, wyłonił się niczym jakiś potworny robak, wijący się i gnący w niemożliwych, niewyobrażalnych kierunkach. A potwory mroku stały się w jakiś sposób rzeczywistością. Pułkownik Tremworthy był zbyt znużony, by zmagać się dłużej z nimi. Był zbyt znużony.

Zostawił to wszystko jezuitcie i tej osobie, bez względu na to kim była, tak ważnej, tak niewy tłumaczalnie groźnej, mknącej teraz przez Atlantyk do Ameryki.

Zostawił im to wszystko.

Nieco później otworzył szufladę.

Ad maiorem Dei gloriam.

Rzym.

ROZDZIAŁ III

Ciemność spowijająca ją była jej pociechą, w tej ciemności bowiem była jej siła. Tak jak jej nadzieja spoczywała w buczeniu i cichych wibracjach silników niosących ją przez noc.

Brutalność Heathrow była już za nią. Dla niej ryzyko było warte podjęcia.

Przeżyła.

Jednakże już po zamianie usłyszała strzelaninę w chwili, gdy fałszywą trumnę przewożono przez poczekalnię. Jej chowańcy nie mieli szans wobec takiej broni. Wiedziała, że śmierć ostatnich spośród nich była ceną za jej ucieczkę.

Atlantyk, 13 stycznia

Teraz była bezpieczna w pojemniku oznaczonym napisem „Izotopy medyczne”. Na lepki ostrzegające przed promieniowaniem zapewniały jej znacznie większe bezpieczeństwo przed wścibstwem celników niż jakikolwiek zamek.

Zdrętwiała i zamknięta w pojemniku w przedziale bagażowym samolotu 747, rozmyślała o wolności. Wolność od pojemnika nadejdzie pierwsza. Potem od ciemności i głodu. Przede wszystkim od głodu. Wraz z tym nadejdzie jej ostateczna wolność: od konklawe.

Pogrążyła się w rozmyślaniach o przyszłości, a obrazy wschodów słońca płonęły w jej pociemniałych oczach. Uśmiechnęła się, podróżowała bowiem z szybkością 600 mil na godzinę, oddalając się od tych, którzy pragnęli jej zguby. Sądziła, że jest bezpieczna.

Jednakże osiem mil pod nią i ponad dwadzieścia tysięcy mil nad nią już się zaczęło. Głosy, głębokie i przenikliwe, szeptały w sieci transatlantyckich kabli i mknęły przez delikatną sieć połączeń satelitarnych.

Po raz pierwszy konflikt miał sięgnąć za morze. Jednakże głosy często brały pod uwagę rzeczy niemożliwe i zawsze istniały plany przygotowane na sytuacje wyjątkowe.

Zostanie wciągnięty ktoś nowy, ktoś, kogo użyteczność dawno temu obliczono, zanotowano i odłożono do akt. Teraz zostanie on odnaleziony i uaktywniony. To zadziałało w przeszłości w innych przypadkach. Zadziała jeszcze raz.

Poczyniono pewne kroki. Ożywiono śpiące sieci. Ustalono miejsce pobytu.

Kilka godzin później, gdy samolot podchodził do lądowania, wszystko było już przygotowane. Głosy umilkły.

W ciągu jednego dnia wiadomo będzie, gdzie wylądowała i konflikt osiągnie swój ostateczny, nieunikniony finał.

Wtedy Rzym i Waszyngton będą niczym pyłki w blasku słońca, wirujące ku zagładzie, a Konklawe obejmie władzę.

Na zawsze.

ROZDZIAŁ IV

Mężczyzna w niebieskiej kurtce puchowej zatrzymał się, by przyjrzeć się tropom, za którymi brnął. Jeszcze nie wypełniły się śniegiem. Pochodziły sprzed kilku minut.

Zaczerpnął głęboki haust zimowego powietrza, z przyjemnością wdychając gryzący chłód, który mroził mu gardło i płuca. Jego policzki zaczerwieniły się od mrozu, który dodał mu rumieńców i odebrał lat. Mężczyzna zbliżał się do czterdziestki, lecz nie było widać tego po jego twarzy. Miał jędrną skórę i ostry nos. Była to twarz sportowca od dawna przyzwyczajonego do dbania o swe ciało. Wiek przejawiał się jedynie w jego oczach; były duże, błękitne i zaszczute. Widziały zbyt wiele rzeczy, których wolałyby nie oglądać.

New Hampshire, West Heparton, 14 stycznia

Mężczyzna wstał powoli, spoglądając na zarośla 90 metrów przed nim. Wielkie, miękkie płatki śniegu utworzyły białą pelerynkę na jego ramionach i przyprószyły czarną czapkę, nadając jej odcień szarości.

Strząsnął śnieg z brwi i znieruchomiał. Wiedział, że jeleni jest w gąszczu i ryje w lekkim śniegu pod drzewami, szukając zimowego pokarmu, lecz nie mógł zdobyć się na to, by wejść tam po niego.

Miał ze sobą tylko olympusa z automatycznym przewijaniem i teleobiektywem, ale nie mógł się ruszyć. Dreszcz podniecenia łowami, jeśli można to tak nazwać, opuścił go. Nawet w tej niegroźnej sytuacji.

Mężczyzna huknął na jelenia, którego nie widział, klaszcząc przy tym w dłoń w rękawiczkach. Przez chwilę wydawało mu się, że dźwięk nie rozniósł się w wygłuszonej śniegiem ciszy. A potem z pozornie jednolitej części gąszczu wyskoczyła łania, podciągając nogi w doskonałym, przeczącym istnieniu siły przyciągania susie, i znikła.

Moment jej zniknięcia obudził wspomnienia. Ośnieżony krajobraz rozpułynał się przed oczami mężczyzny, a jego miejsce zajęła delikatna mgiełka krwi tryskająca maleńkimi kropelkami, zbierająca się w paciorki na brudnych deskach podłogowych i powoli wsiąkająca w zagłębienia i szpary. Wspomnienie wstrząsnęło nim. Jego brutalność zapała mu dech w piersi. Zobaczył zaskoczoną twarz, otwarte oczy, wciąż jeszcze wilgotne, patrzące martwo na oddalony o kilka centymetrów delikatny koniuszek języka, który leżał beużytecznie w kurzu.

Potrząsnął głową, by pozbyć się obrazu. Za jego plecami znajdował się zwalony pień starego drzewa. Podeszedł do niego, czując, że musi usieść.

Kiedy mężczyzna już się opanował i zaczął oddychać spokojnie, a ręce przestały mu się trząść, przygotował się do szczegółowego zbadania wspomnienia. Dawno temu nauczył się, że jego podświadomość stanowi ważny element sukcesu, i że jeśli coś było w stanie wyrzucić na niego tak silny wpływ, musi przyjrzeć się temu dokładnie. Nie po raz pierwszy zauważał błąd dopiero po fakcie. Jednakże tym razem było już tak daleko po fakcie, że może nie potrafi nic uczynić w tej sprawie. Może tylko czekać, aż przyjadą go dopaść.

Stwierdziwszy to, Granger Helman spojrział na ośnieżone wzgórza New Hampshire i powrócił do sprzątnięcia Delvecchio, dwudziestego trzeciego i ostatniego razu, gdy zabił dla pieniędzy.

Rok temu Joe Delvecchio znikł w drodze na spotkanie przy drugim śniadaniu ze współnikami od interesów. Delvecchio był przewodniczącym Stowarzyszenia Międzystanowych Transportowców i był zamieszany w kilka półlegalnych działań związanych z przywłaszczeniem funduszu emerytalnego, fałszowaniem wyborów, oraz, jak wieść głosiła, zamordowaniem urzędników związkowych i nie należących do związków opozycjonistów, którzy mu się sprzeciwiali. W chwili gdy Delvecchio zniknął, Stowarzyszenie Transportowców osiągało poziom władzy dorównujący lub przewyższający zasięgiem inne ważniejsze związki przewoźników. Wydawało się, że nikogo to zniknięcie nie zaskoczyło; powszechnie wiadomo było, z kim Delvecchio się zadaje. Pewne organizacje, które zainwestowały znaczne sumy w przewóz towarów przez granice stanów bez interwencji rządu czy płacenia podatków, nie tolerowały wtrącania się.

Większość ludzi była przekonana, że Delvecchio wtrącał się. Powszechnie uważano, że nie żyje, chociaż ciała nie znaleziono i nie postawiono nikogo w stan oskarżenia..

Helman miał dostęp do innych źródeł niż większość ludzi. On wiedział, że Delvecchio nie żyje, i to z powodów, jakie większość ludzi podejrzewała, nawet jeśli powody te były niewłaściwe. Helman wiedział również, dlaczego nie znaleziono ciała, ani też nigdy nie zostanie ono znalezione.

Organizacje, przeciwko którym Delvecchio podobno występował, rutynowo inwestowały w legalne przedsiębiorstwa, aby w ten sposób ukrywać gotówkowe dochody z innych źródeł. Nie było ani jednej tego typu organizacji działającej w Stanach Zjednoczonych, która nie miałaby na własność albo nie kontrolowała choćby jednego przedsiębiorstwa pogrzebowego w ramach swoich legalnych interesów.

W takich miejscach praca szła jak zwykle, z wyjątkiem okazji, gdy czasami, późno w nocy przywożono nierozpoznane zwłoki, po które nikt się nie zgłosił.

Po następnej planowej kremacji ciało przestawało istnieć. Prawdziwi zawodowcy nie zostawiają śladów.

Joego Delvecchio zaproszono do samochodu jednego z współpracowników, który miał ważną wiadomość. Delvecchio został zadrapany w kostki palców igłą umieszczoną w oprawce długopisu. Trzy sekundy później jego mięśnie prężkowane odmówiły posłuszeństwa. Narkotyk był pochodną kurary, opracowaną dla specjalnych operacji mózgu, podczas których sondowanie tkanek mózgowych mogłoby wywołać nagłe ruchy ciała. Delvecchio mógł widzieć, słyszeć i oddychać, lecz nie mógł się ruszać.

Zabrano go do podziemnego garażu i przeniesiono do prywatnego ambulansu.

Ambulans dostarczył go do niezależnego przedsiębiorstwa pogrzebowego. Kremacja była już zaplanowana na ten wieczór.

Porywacze powiedzieli Delvecchio dokładnie, co robią. Powiedzieli mu również, że narkotyk zapobiega wystąpieniu objawów szoku. Pomimo paniki i przerażenia, Delvecchio nie mógł omdleć ani utracić świadomości. Mógł liczyć na to, że będzie przytomny do końca życia.

Umieszczono go na zwłokach w trumnie i zsunięto do pieca krematoryjnego. Ostatnie wrażenia, jakich doznał, to łoskot ogniodpornych drzwi zamykanych za nim, świst i huk zapalających się strug gazu i żar powietrza palący mu płuca, gdy pierwsze płomienie z trzaskiem przeżarły wieko trumny.

Powiedziano Delvecchio, żeby się tego wszystkiego spodziewał, lecz nie powiedziano, dlaczego. Gdyby to uczyniono, nie zrozumiałby. Zabito niewłaściwą osobę.

Sześć miesięcy później, gdy manewrowanie i kłótnie polityczne w Stowarzyszeniu Transportowców ucichły i nastąpiło przejście władzy, ludzie, którzy zaaranżowali usunięcie Delvecchio, zdali sobie sprawę, że powiązania, które próbowali przerwać, wciąż funkcjonują. Były ukryte i zawile, lecz usunięcie Delvecchio nie naruszyło ich.

Delvecchio był marionetką. Miejsca zajęły już nowe marionetki.

Prawdziwa władza znajdowała się dawniej i nadal spoczywała w rękach żony Delvecchio, Roselynne. Żony, matki, morderczyni niewinnych.

W tym czasie rozpoczęto negocjacje z wyspecjalizowanym maklerem działającym z bazy w Miami. Ściągnięto Grangera Helmana, żeby naprawić sytuację. Według niego, żeby dokończyć zlecenie.

Opłata była nadzwyczaj wygórowana jak na zlecenie dotyczące nie związanej z polityką sprawy wewnętrznej: sto tysięcy dolarów amerykańskich gotówką.

Pośrednik Helmana wziął trzecią część z góry. Udział Helmana dostarczono gotówką, z której część pojawi się na jego koncie bankowym po powrocie z wakacji w Las Vegas, odnotowana skrupulatnie jako wygrana w kasynie. Resztę zostawiono w jednym z trzech opłacanych kasyn w Las Vegas. Za kolejne kilka procent z góry, kierownictwo zainwestuje gotówkę Helmana w kilka znaczących korporacji, gdzie zostanie ona przerobiona na opłaty konsultacyjne, wypłacane na konta bankowe należące do osobników, którzy zgodnie z przepisami donoszą o przychodach urzędowi skarbowemu i zapłacą pełne podatki. Wszystkimi tymi ludźmi był Helman. To były jego „zasłony”.

Gdy istniały wątpliwości, rząd prosił osoby podejrzane o nielegalną działalność na przesłuchanie. Helman ostrożnie posługiwał się pośrednikiem, dzięki czemu miał możliwość odmówienia przyjęcia zlecenia – co groziłoby mu śmiercią, gdyby próbował czegoś podobnego działając niezależnie. To, oraz staranny i zawiły sposób, w jaki makler ukrywał źródło jego dochodów, przyczynił się do tego, że Helman jeszcze żył. Znał zbyt wielu świetnych zawodowców, którzy stracili wszystko z powodu prostego przesłuchania podatkowego, podczas którego nie umieli wytłumaczyć posiadania dwudziestu tysięcy dolarów w drobnych banknotach.

Wygórowana opłata była usprawiedliwiona. Inni ludzie zaczęli się interesować działalnością Roselynn Delvecchio. Helman musiał ukończyć zlecenie w czasie, gdy obiekt – jego cel – znajdował się pod nadzorem FBI.

Ustalono również inne warunki. W tym przypadku ciało musi zostać odnalezione. Ludzie, którzy prowadzili interesy z Roselynn Delvecchio po obu stronach, muszą dostać nauzkę. Nie mogą istnieć wątpliwości co do tego, że była to celowa egzekucja.

Ostatni warunek był najtrudniejszy. Departament Sprawiedliwości miał zwołać ławę przysięgłych i rozpocząć śledztwo w sprawie działalności Stowarzyszenia

Międzystanowych Transportowców w przeciągu trzech tygodni. Po tym czasie Roselynnę Delvecchio zniknie za nieprzeniknioną osłoną aresztu ochronnego.

Helman przemyślał warunki jeszcze raz i przeanalizował metody, które dobrał do ich spełnienia.

Po pierwsze. Wiedział, że zlecenie nie może zostać ukończone, dopóki FBI bierze w tym udział, ponieważ sam nie może zagwarantować, że wycofa się bezpiecznie. Z tego samego powodu nie mógł porwać kobiety i usunąć spod nadzoru FBI. Musi postarać się, by Roselynnę sama Wymknęła się obserwatorom.

Trzeba jej zagrozić. Musi to być zagrożenie wyraźne dla niej, lecz niedostrzegalne dla obserwatorów. Roselynnę była matką. Groźba będzie skierowana przeciwko jej dzieciom.

Helman przerwał rozmyślenia. Poczuł się nieswojo, przypomniał sobie, jak łatwo przyszło mu podjąć decyzję o wciągnięciu niewinnych osób. To, co było zmianą zachodzącą głęboko w jego wnętrzu, znalazło się nieco bliżej powierzchni. Skupił się znów i kontynuował rozmyślenia, wciąż odczuwając pewien niepokój.

Po drugie. Miejsce ukończenia zlecenia można zabezpieczyć najlepiej, jak się da. Ciało zawsze może zostać znalezione na skutek krótkiego telefonu do osób zainteresowanych. Aby lekcja nie poszła na marne, telefon nie może być skierowany do policji ani gazet. Powinien natomiast trafić do członków grup współpracujących z Roselynnę; wysokich rangą osób, które uważały się za czyste i nietykalne. Wybuchnie panika i lekcja zostanie zrozumiana.

Po trzecie. Ponieważ nie mogło być wątpliwości, że to egzekucja, wiele metod natychmiast okazało się nieprzydatnych. Ulubione przez Helmana niewykrywalne narkotyki, które maskowały swe działanie jako atak serca czy szok insulinowy, były zbyt subtelne. Metody mechaniczne, jak kule i ostre narzędzia podsuwały medycynie sądowej zbyt wiele tropów. Kropla krwi, pojedynczy opiłek metalu i łańcuch wydarzeń może doprowadzić do Helmana. Użyj swych rąk. Gdyby przejrano akta w celu ułożenia listy osób posiadających wyszkolenie, aby zadać podobne obrażenia, nazwisko Helmana prawdopodobnie znalazłoby się na niej. Ale jeśli nie można ułożyć listy zawierającej wszystkich, którzy mają dość siły woli, by użyć tych umiejętności, będzie niewidzialny na liście tysięcy nazwisk.

Helman nie widział błędów w swym rozumowaniu. Ułożenie planu zajęło mu jeden dzień, dwa tygodnie zajęło przygotowanie. Gotów był ukończyć zlecenie na tydzień przed zgromadzeniem ławy przysięgłych. Natychmiast przystąpił do akcji.

Włamanie się do domu Delvecchio było najryzykowniejszą częścią planu. Helman jednak wiedział, w jaki sposób pracuje FBI i jak myśli, więc dopasował do tego swe działanie.

W nocy przedostał się przez ochronę FBI. Trzy godziny zajęło mu ostrożne przejście przez nie oświetlony ogród i ukrycie się w studzience piwnicznego okna. Gdyby wszedł wtedy do domu, włączyłby pierwszy obwód domowego systemu alarmowego i zostałby złapany. Więc czekał.

Rankiem, aby troje dzieci Roselynnie mogło wyjść do szkoły, a ona do siedziby związku, wyłączono system alarmowy. Wtedy Helman wszedł do środka.

Nie używano naddźwiękowych wykrywaczy ruchu, ponieważ kotom dzieci wolno było chodzić swobodnie po domu. Drugi obwód systemu alarmowego składał się z czułych na nacisk mat ukrytych pod dywanami przy oknach i na schodach. Helman unikał okien i wszedł na piętro po poręczy.

Kiedy dom był pusty, przeniósł się do kuchni. Posterunek podsłuchu FBI skupił teraz uwagę na telefonach siedziby związku. Helman mógł podłączyć dwa urządzenia do kuchennego telefonu, nie alarmując ich.

W łódówce znalazł nie otwarty karton mleka, który przy nim Roselynnie kupiła wczoraj wieczorem po pracy. Igła strzykawki z łatwością przebiła górny spaw kartonu, nie zostawiając widocznego śladu.

Helman wrócił do piwnicy. Przez dwa poprzednie dni pościł, by zapobiec potrzebie wydalania, dzięki czemu mógł ukrywać się w jednym miejscu przez wiele godzin.

Kiedy ponownie wyłączono system alarmowy, ponieważ dzieci wróciły do domu, Helman wrócił do studzienki pod oknem. Później tej nocy wycofał się przez ogród obok niczego nie podejrzewających agentów FBI.

Helman wielokrotnie rozważał, jak dostał się do domu. Był przekonany, że dokonał tego bezbłędnie. Nie wiedział, że tej nocy w ogrodzie byli jeszcze inni obserwatorzy, również niewidzialni dla FBI.

O trzeciej nad ranem Helman wykonał pierwszy telefon do domu Delvecchio. Odebrała Roselynnę. Miała zaspany, zły głos. Agenci FBI przysłuchiwali się z uwagą.

Pijackim tonem Helman domagał się rozmowy z panem Tillem. Roselynnę była zakłopotana, nie знаła nikogo o takim nazwisku. Helman odczytał numer telefonu. Był to numer Delvecchio z przestawionymi dwoma ostatnimi cyframi. Roselynnę rzuciła gniewnie słuchawkę.

FBI osądziło możliwości. Telefon mógł być zaszyfrowaną wiadomością, próbą ustalenia, czy Roselynnę jest w domu, albo połączeniem, które uruchamia urządzenie podsłuchowe ukryte w telefonie w domu. Zgodnie z tym, co Helman przewidział, FBI natychmiast sprawdziło numer, jaki podał Roselynnę. Należał on do niejakiego Paula Tilla. FBI zadzwoniło do niego i rzeczywiście, w chwilę po telefonie do Roselynnę dzwonił do niego jakiś pijak, który koniecznie chciał rozmawiać z Peterem Tillem. W tym momencie FBI zakończyło śledztwo. Według nich, była to prawdziwa pomyłka telefoniczna. Tymczasem urządzenie podsłuchowe Helmana umieszczone w kuchennym telefonie zostało uruchomione i działało doskonale.

Następnego poranka Helman słuchał, jak rodzina Delvecchio budzi się i przygotowuje do kolejnego dnia w pracy i w szkole. Gdy Helman usłyszał, że dzieci jedzą w kuchni płatki śniadaniowe, wykonał następny telefon.

To, co Roselynnę Delvecchio usłyszała, przeraziło ją. To, co usłyszało FBI, było niezrozumiałe. Drugie urządzenie, które Helman podłączył do telefonu, było aparatem kodującym, współdziałającym z tym, przez który on mówił. Zaszyfrowana transmisja była odczytywana po dotarciu do urządzenia w kuchennym telefonie. Jednakże tam, gdzie FBI umieściło swój podsłuch na zewnętrznym kablu, słychać było jedynie zakłócenia. Kiedyś wreszcie agenci domyśla się i coś zrobią, lecz Helman wiedział, że nie nastąpi to wystarczająco szybko.

Roselynnę rzuciła słuchawkę telefonu na kuchenny blat. Podbiegła do stołu i gwałtownym wymachem ręki strąciła talerze z płatkami śniadaniowymi i szklanki, tak że roztrzaskały się o podłogę. Zgodnie z poleceniem, jakie otrzymała, zaniosiła niemal już opróżniony karton z mlekiem do salonu i nalała kilka kropli do akwarium.

Słyszała dochodzący zza jej pleców zdumiony płacz najmłodszego dziecka, podczas gdy pozostałe starały się posprzątać bałagan. Dźwięki te zagłuszyło uderzenie krwi do głowy na widok rybek w akwarium, które zaczęły gwałtownie drgać, miotać się i wypływać na powierzchnię w sposób, który ścisnął za serce.

Mężczyzna przy telefonie powiedział prawdę. W mleku dzieci była neurotoksyna. Z powodu swoich małych rozmiarów rybki zareagowały natychmiast. Jej dzieci miały, w najlepszym przypadku, godzinę.

Wróciła do telefonu roztrzęsiona i zgodziła się na wszystko, co polecił jej uczynić Helman.

Dzieci miały zostać w domu. Jeśli Roselynnne zrobi wszystko, co jej kazano, do jej domu przyjdzie mężczyzna z napojem owocowym. Dzieci mają go wypić. W nim będzie odtrutka.

Lecz, żeby ten mężczyzna w ogóle przyszedł, Roselynnne musi być w pewnym miejscu najdalej za pięć minut. Połączenie zostało przerwane.

Kilka sekund później Roselynnne wyjechała z piskiem opon z garażu swym najnowszym modelem cadillaca. Wyjeżdżała godzinę wcześniej niż zwykle. Zaskoczone FBI nie dysponowało pojazdem pościgowym. Do czasu, gdy miejscowa policja otrzymała polecenia, Roselynnne dotarła do umówionego parkingu i zmieniła samochód. Kierowcą był Helman. Zostały mu jeszcze dwa punkty do wypełnienia

Szesnaście kilometrów dalej znajdował się plac składowy. Pewna firma budowlana trzymała tam swoje baraki – biura zbudowane na kształt przyczep mieszkalnych, które w razie potrzeby można było przewozić. Nie było w nich niczego wartościowego, a jedyny strażnik w bramie był stary i powolny. Zanim miał szansę pomyśleć, że Helman może być groźny, był już nieprzytomny.

Helman podjechał do baraku, który przygotował wcześniej. Od tego domku do słupa telefonicznego tuż przy baraku strażnika przeciągnięto drut. Roselynnne weszła pierwsza, kierowana pistoletem, który trzymał Helman.

Kobieta sprawiała wrażenie nieświadomej niebezpieczeństwa. Zażądała, by Helman polecił postać jej dzieciom odtrutkę. Helman powiedział, że obserwowano ich na parkingu i jej dzieci już ją dostały. Nie musi się niczym martwić.

W rzeczywistości jej dzieciom nigdy nie groziło niebezpieczeństwo. Substancja, którą wstrzyknął do kartonu z mlekiem, była występującą w naturze trucizną uzyskiwaną z pewnego gatunku soli, ryby żyjącej w Morzu Czerwonym. Marynarka wojenna stosowała ją w celu umożliwienia pracy nurkom w wodach nawiedzanych przez rekiny. Trucizna ta była śmiertelna dla ryb, jednakże nie miała żadnego wpływu na ludzi. W żadnym z zadań Helmana nie istniała potrzeba wtajemniczenia drugiej osoby. Był przekonany, że dzięki temu jest całkowicie bezpieczny.

Zadzwoił do swych klientów, informując ich, że za chwilę dokona sprzątnięcia. Oni wykonują następne telefony, których zadaniem będzie zaniepokojenie ludzi kryjących się za posunięciami Roselynne. Rozmowa telefoniczna była krótka. Klient odwiesił słuchawkę, gdy Helman wypowiedział zakodowaną wiadomość. Mimo to Helman trzymał słuchawkę przy uchu i udawał zakłopotanie. Prowadził jeszcze przez kilka sekund jednostronną rozmowę z przerwany połączeniem, a potem odłożył słuchawkę.

Roselynne spojrzała na niego pytająco.

Wyjaśnił jej, że została popełniona pomyłka. Pewne osoby podejrzewały ją o kierowanie przywłaszczeniem funduszy emerytalnych. Z tego powodu miała być zabita. Jednakże nowe dowody wyszły na jaw. Wykryto prawdziwych złodziei. Roselynne miała zostać uwolniona

Mroczne przerażenie na twarzy Roselynne ustąpiło miejsca uniesieniu. Kobieta, wciąż ubrana w koszulę nocną i podomkę, odwróciła się raptownie, żeby wyjrzeć przez jedyne, brudne okienko baraku. W ciągu minionej godziny zrezygnowała już ze wszystkiego, a teraz została cudem ocalona. Wolność była jej ostatnią myślą, jej ostatnim doznaniem w chwili, gdy Helman wbił kostki dłoni w podstawę jej czaszki, przecinając rdzeń kręgowy i miażdżąc rdzeń przedłużony.

Roselynne Delvecchio nie żyła, zanim jeszcze upadła na podłogę.

W ostatniej sekundzie życia musiała oblizywać wyschnięte ze zdenerwowania wargi. Gwałtowne szarpnięcie głową sprawiło, że jej zęby zetknęły się, odciawszy koniuszek języka i odrzuciwszy go w delikatnej mgiełce krwi.

To właśnie krew zaskoczyła Helmana. Miało to być czyste, proste sprzątnięcie. Podał jej na koniec poczucie wolności, w geście współczucia, jako zadośćuczynienie

za to, że aby ta umowa została skutecznie zrealizowana, ona na nieszczęście musiała zginąć.

Helman poruszył się, siedząc na pniu drzewa w Nowej Anglii. Wiedział, czemu krew zaskoczyła go. Wiedział, dlaczego wspomnienie wciąż wraca do niego.

Był to jedyny element, którego nie przewidział.

Wszystko było skrupulatnie zaplanowane. Tak często ćwiczył każdy etap przed wykonaniem samego sprzątnięcia, że robił to mechanicznie. To tylko zlecenie, nic więcej.

Lecz z powodu Roselynnie oblizującej wargi, mgiełki krwi rozprysniętej w drobne kropelki, które zebrały się w paciorki na brudnych deskach podłogi i powoli wsiąkały w szpary, został dodany nowy element. Coś, co nie pasowało do jego precyzyjnego planu.

Zaskoczona twarz Roselynnie z otwartymi oczyma, wciąż jeszcze wilgotnymi, które martwo spoglądały na delikatny koniuszek języka leżący bezużytecznie w kurzu, otoczony ciemną aureolą krwi, sprawiła, że jej zlikwidowanie stało się czymś więcej, niż tylko wykonaniem zlecenia.

To było morderstwo.

W tamtym momencie w baraku Helman wiedział już, że to było jego ostatnie zlecenie. Nie mógł oderwać oczu od cienkiej strużki życia wypływającej spomiędzy tych warg, które mówiły, jadły i całowały, i w ich wilgotnym połysku dojrzał iskrzący się śnieg, który czekał na niego w Nowej Anglii. Jego zacisze, jego pociecha. Te czterdzieści tysięcy, które pobierze, były ostatnią sumą, jakiej potrzebował, by kupić na własność farmę kilka kilometrów od gospodarstwa jego siostry, Miriam. Uwolni się wreszcie od swej profesji. Jego wolność będzie prawdziwa, nie ulotna jak obietnica, którą złożył Roselynnie.

Krew pozwoliła skupić się jemu i jego myślom. Spojrzał na nią i ujrzał dwadzieścia dwie inne osoby, które zamordował. Czynił to zawsze spokojnie, czasami z dumą, mówiąc sobie, że karze tych, których prawo nigdy by nie mogło osiągnąć i że spełnia swój obowiązek wobec sprawiedliwości, tak jak uczynił to po raz pierwszy dla swej siostry. Ale w głębi ducha Helman wiedział, że było to kłamstwo i że skończył już z tym.

Lecz dopiero teraz, w samotności pośród wzgórz, otulony łagodnym śniegiem, nie dalej jak półtora kilometra od ciepłego domu Miriam, po raz pierwszy poczuł, że to, co

czynił, było już skończone. Zmiana wyrwała się na wolność i jego zmagania zakończyły się.

Pobielony padającymi płatkami śniegu, słysząc ciężącą mu w uszach ciszę śniegu, Granger Helman rozplakał się nad życiem, które już teraz było za nim.

Jakiś czas potem, uwolniony od napięcia i gorączkowych rozmyślań, Helman wstał z pnia i spojrział na błękitno-białe wzgórza, które powoli ciemniały w blasku słońca późnego popołudnia. Stare życie odeszło. Miną być może lata, nim ostatecznie rany zagoją się, bezpiecznie zapomniane w głębiach nie chcianych wspomnień, lecz teraz musiał myśleć o czymś nowym.

Poprzedniego dnia wpłacił zastaw pośrednikowi handlu nieruchomościami w Goffstown. Na wiosnę farma, której pragnął od tak dawna, będzie należała do niego. Wszystko, co odkładał przez tyle lat, mówiąc sobie, że kiedyś tym się zajmie, wypełni teraz jego życie.

Przyjemnie będzie móc gościć Miriam, Stevena i Campbella, jej dwóch synków, by odwdziżyć im się za całą tę miłość, jaką okazywali mu w ciągu tych lat, gdy ciągle podróżował i był nieuchwytny. Od dziś życie Helmana zmieni się. Był szczęśliwy. I bez żadnego innego szczególnego powodu krzyknął.

Nastuchiwał uważnie, czy nie usłyszy choćby słabego echa. Zamiast tego posłyszał warczenie furgonetki odjeżdżającej sprzed domu jego siostry.

Spojrział na samochód, który mignął mu między nagimi drzewami na poboczu. Przyjechał za późno jak na furgonetkę Searsa, wożącą dostawy z Concord, a był zbyt jasny na furgonetkę pocztową. Podobnie jak agenci FBI, którzy natychmiast zabrali się do sprawdzenia pozornie niewinnego połączenia telefonicznego ze złym numerem, Helman wiedział, że zawsze należy zachowywać ostrożność wobec rzeczy niecodziennych. Poczul lekki niepokój w żołądku. Furgonetka odjechała. Zastanawiał się, czy powinien wrócić.

Wtedy drzwi na tyłach domu otworzyły się i wyszła z nich jakaś postać, która rozejrzała się i zobaczywszy Helmana na wzniesieniu, zaczęła machać do niego. Helman podniósł swego olympusa i spojrział przez teleobiektyw. Był to jego siostrzeniec Steven

i machał do niego, aby go przywołać.

Mrowienie zmieniło się w napięcie, które rozprzestrzeniło się w podbrzuszu.

W jednej okropnej chwili Helman domyślił się, że furgonetka miała z nim związek. Lekkość, jaką odczuwał jeszcze kilka chwil temu, znikła, a jej miejsce zajęło aż zbyt dobrze znane mu uczucie wyostrzonego adrenaliną skupienia, które pochłonęło go tak samo, jak przed każdym sprzątnięciem. Ogarnęło go to straszne, celowe skupienie, którego zdecydował się nie czuć już nigdy więcej.

Wszystko znów było jak dawniej. Z czystym umysłem i nieczułym ciałem brnął przez śnieg w stronę ocienionego domu i wiadomości zostawionej przez furgonetkę.

Paczka, nieco większa od pudełka na buty, starannie owinięta w gruby papier pakowy i oklejona papierową taśmą samoprzylepną, spoczywała na pionowo ustawionym klocu drewna opałowego pod drzewem w ogrodzie na tyłach domu.

Helman stanął na tylnym ganku, tak by nie zobaczył go żaden sąsiad, który mógł zainteresować się tym, że wędruje tak daleko od domu, by umieścić pakunek. Starannie owinięty grubym kocem lufę swego starego remingtona 722.

Był jak z lodu.

Za nim stała Miriam. Odesłała chłopców do środka, ostrzegając ich, by nie zbliżali się do okien, które mogą się roztrzaskać, jeśli Helman dobrze się domyślał. Jednakże Miriam nie zamierzała zostawiać swego brata.

Była starsza od Helmana, chociaż żartem nazywał ją swoją młodszą siostrą. A jednak i ona odziedziczyła po rodzicach twarz pozbawioną zmarszczek i ostre, wyraziste rysy.

Teraz jednak jej twarz przyćmiewał niepokój, a brwi były zmarszczone i rzucały na oczy cień. Zawsze ciążyło jej poczucie winy, była bowiem przekonana, że to ona pchnęła brata na drogę przestępstwa. Uczucie to przybrało rozmiary nieznośnego napięcia, ponieważ to ona przyjęła pakunek, który teraz czekał na pierwszą kulę.

Adres na nalepce napisano na maszynie. Nie było opłat pocztowych ani adresu zwrotnego. Poślaniec, który dostarczył paczkę, nie podsunął kwitu do podpisania.

Zaadresowana była do Helmana, chociaż nikt nie wiedział, że jest na farmie u siostry. Za bardzo kontrolował swoje życie. Nikt go nie znał.

A Miriam w zamieszaniu zdradziła go i przyjęła pakunek, potwierdzając w ten sposób jego obecność.

Helman starannie wycelował, wieloletnim doświadczeniem obchodzenia się z bronią kompensując przeszkodę, jaką stanowił koc. Wstrzymał oddech, przygotował się na mający nastąpić wybuch i nacisnął spust po raz pierwszy.

Paczka podskoczyła i z kłody lekko spadła w śnieg.

Helman wystrzelił jeszcze cztery razy. Rozszarpał pół pakunku na strzępy porwanego papieru. Nic.

Odetchnął. Przynajmniej nie była to bomba.

Podszedł do pakunku i obejrzał śnieg dookoła niego. Nie było śladów ulatniającego się gazu. Uderzenia kul nie uruchomiły żadnego urządzenia rozpylającego.

Ukląkł przy paczce i w głębokich cieniach zachodu słońca ostrożnie odwinął to, co z niej zostało.

Zawartość była całkowicie zwyczajna, całkowicie naturalna, całkowicie przerażająca.

Pierwszą rzeczą był wycinek z gazety. Połowę z nagłówkiem rozdarło uderzenie kuli, lecz zostało dość, by mógł zorientować się, czego dotyczy: zamordowania Roselynn Delvecchio.

Drugą była niewielka płytka obwodów elektronicznych. To właśnie urządzenie szyfrujące umieścił w telefonie kuchennym.

Trzecią był kawałek tektury wycięty z kartonu od mleka. Gatunek i pojemność na nim były takie same, jak na kartonie, do którego wstrzyknął truczkę.

Wszelkie myśli rozpieczęły się. Wnętrzaności zafalowały jak woda. Jego marzeniom groziła katastrofa.

Granger Helman, zawodowiec, osłaniający siebie i swoje akcje z genialną dokładnością, której jeszcze nikt nie przejrzał, został całkowicie i totalnie odkryty.

Jego świat znalazł się na skraju unicestwienia. Helman gotów był uczynić wszystko, by nie dać się unicestwić.

Spoglądał na zawartość paczki dopóki słońce nie zaszło i nie zabrakło światła, przy którym mógłby ją zobaczyć.

Usłyszał, że woła go Miriam, ciemna sylwetka na tle ciepłego blasku otwartych tylnych drzwi.

Ktoś dzwonił. Do niego. Do osoby, o której obecności nikt nie wiedział.

Czując w swym wnętrzu zamęt kotłujących się myśli i uczuć, Helman wszedł do domu, wziął słuchawkę i usłyszał głos.

Głos był głęboki, syczący i miał dla niego propozycję.

ROZDZIAŁ V

Doktor Robert Massoud źle ocenił odległość w mroku swej sypialni. Słuchawka telefonu spadła na stolik przy łóżku i ześlizgnęła się z łoskotem, ściągając za sobą aparat na gołą posadzkę.

Jego żona, leżąca obok niego w łóżku, wreszcie się obudziła. Kręciła się z boku na bok, próbując ignorować rozmowę swego męża o tak wczesnej porze, lecz trzask słuchawki wreszcie dobudził ją. Wyciągnęła do niego rękę i spytała, co się stało.

– Te pieprzone szczury zdechły.

Była czwarta rano. O ile wiedziała, szczury jej męża zawsze na coś zdychały. Czuli się zbita z tropu.

– Jakie szczury, kochanie?

– Moje pieprzone szczury w Berkeley. Ten pieprzony komputer ugotował je.

Sztokholm, 15 stycznia

Erica Massoud podniosła się, usiadła, aby wesprzeć się o wezgielnie łóżka i wyciągnęła rękę, by rozmasować bark męża.

– Czy mógłbyś powtórzyć? Nie wiem, o czym mówisz.

Robert westchnął i sięgnął po telefon. Nagrany głos mówił mu po szwedzku, by odwiesił słuchawkę i spróbował jeszcze raz zadzwonić.

– Dzwonił Frank – wyjaśnił – z Berkeley. Wszedł dziś rano do laboratorium i zastał wszystkie szczury, te zaszczepione, te zainfekowane i dwie grupy kontrolne, nieżywe. Co do jednego cholernego szczura. Dwa lata poszły na śmietnik.

Erica wciąż była zdezorientowana. Nie rozumiała pracy swego męża. Czasami był szczęśliwy, kiedy jego szczury zdychały.

– Zawsze sądziłam, że kiedy zdychają, to znaczy że wyodrębniłeś coś; udowodniłeś, że to niebezpieczne.

Robert położył się na łóżku.

– Zazwyczaj tak. Ale tym razem szczury nie zdechły na raka. Komputer popełnił błąd w regulowaniu temperatury klutek izolacyjnych. Podniósł ją do czterdziestu dziewięciu stopni. Te pieprzone szczury po prostu ugotowały się.

– Jak komputer mógł popełnić taki błąd?

– Nie wiem. Frank też nie wie. Nawet nie wiedziałem, że regulacja temperatury polega komputerowi laboratoryjnemu. Sądziłem, że to zwykły termostat.

Erica pomyślała, że jej mąż zaraz się rozplacze. Musi jakoś go zagadać. Inni lekarze w Instytucie mogą uznać zaczerwienione oczy za znak, że za dużo wypił poprzedniego wieczoru. A to mogłoby przeszkodzić w karierze jej nadzwyczaj szybko pnącemu się wżwyż mężowi.

– Czy major Weston nie zajmie się tym? Nie wyjaśni wszystkiego? Obiecał ci przecież, że przypilnuje ukończenia eksperymentu, żebyś mógł przyjąć tę posadę w Haaberling.

Robert podniósł gwałtownie ręce do góry.

– Och, Chryste, nie wiem. Mówił wiele rzeczy, które potem nie doszły do skutku.

Erica pogłaskała męża po piersi, próbując odwrócić jego uwagę.

– Ale posada w Haaberling sprawdziła się, prawda?

Robert wrócił myślą do pierwszego spotkania z majorem Westonem; niewiarygodnie zaszczytna propozycja objęcia stanowiska w słynnym Instytucie Haaberling przed ukończeniem trzydziestki była czymś niesłychanym. Mimo to niechętnie zostawiał swe doświadczenia w Berkeley. Czuł, że po dwóch latach wreszcie zbliżył się do przełomowego eksperymentu, który był niezbędny do wyodrębnienia mechanizmów powodujących, że pewne rodzaje raka zdawały się atakować organizm w wielu miejscach jednocześnie, zamiast rozwijać się w jednym, a następnie przenosić. Weston jednak nalegał. Dla dobra kraju w Haaberling powinien znaleźć się Amerykanin, a kiedy Robert zakończy

pracę w Sztokholmie, może spodziewać się natychmiastowej propozycji pracy od Ośrodka Kontroli Chorób w Atlancie, gdzie będzie mógł pracować nad czym chce. Poza tym, Weston obiecał, że osobiście zajmie się pozostawionym eksperymentem.

Z lekkimi obawami, lecz ogromnym podnieceniem, Robert przyjął propozycję. A teraz jego szczury usmażył komputer, który nie powinien nawet mieć wpływu na temperaturę.

– Pewno tak – westchnął wreszcie. – Ale wydawało mi się, że Weston spędza dużo czasu w Waszyngtonie. Jest dosyć zajęтым facetem, jak na kogoś, kto ma doglądać moich szczurów.

Erica zachichotała.

– Ja wiem, jak doglądać twoich szczurów – powiedziała i zaczęła szeptać mężowi do ucha.

Roześmiał się i przygniótł ją sobą całując. Lecz potem, kiedy znów usnęła, wpatrywał się w sufit i usiłował coś z tego zrozumieć.

– Do diabła – powiedział w mrok. – Byłem tak blisko. Wiem, że to prawda.

Kiedy dwie godziny później zadzwonił budzik przy łóżku, wciąż o tym myślał. Jednakże ani razu nie przyszło mu do głowy, że mógł to nie być wypadek.

ROZDZIAŁ VI

Migotliwa ciemność, w którą wpatrywał się Helman Granger, znikła w fali światła, gdy autobus linii Greyhound wjechał do tunelu.

Ta nieciągłość wywołała u niego niejasne poczucie, że zapomniał, o czym przed chwilą myślał. Opał na oparcie fotela, próbując odtworzyć pozycję ciała sprzed kilku chwil, by sprawdzić, czy przez skojarzenie uda mu się odtworzyć również myśli. Nie powiodło się. Mógł teraz tylko myśleć o tym, że po raz pierwszy od czasów, gdy był dzieckiem, bał się. Nie tak, jak w czasie wykonywania zlecenia, gdy czuł lęk czy obawę przed możliwościami, które przewidział i których musiał unikać, ale bał się naprawdę.

Nowy Jork, 15 stycznia

Przypomniał sobie, jak będąc dzieckiem, zostawiony sam w domu, bawił się piłką, która poturlała się przez drzwi do piwnicy i spadła po drewnianych schodach na dół. Musiał zejść po piłkę, ale był zbyt mały, by dosięgnąć przełącznika zapalającego światło w piwnicy. Przebył połowę schodów, nim jego dziecięcy umysł przeniknął ciemność i zobaczył, co tam na niego czekało. Wykrzywiali się swymi uśmiechami idiotów, a słabe światło z kuchni za nim połyskiwało na ich opryskanych śliną zębach, tłustym futrze i oczach, które zawsze przyglądały mu się przez podłogę. Czekali, żeby przyszedł do piwnicy, choćby raz, kiedy było ciemno i był sam. Czuł, jak kuchenne drzwi powoli zamykają się za nim, a tymczasem światło przygasało, ciemność rozrastała się, a długie, chwytne coś sięgało bezgłośnie przez drewniane schody do jego nóg. Dwoma skokami wbiegł z powrotem po tych schodach i zatrzasnął za sobą drzwi. Pewny był, że usłyszał, jak w piwnicy oni wdychają, po czym znów zaczynają wyczekiwać.

Kilka dni później jego ojciec znalazł piłkę zaklinowaną za piecem. Granger wiedział, że nie mogła wtoczyć się tam sama i nigdy więcej nie bawił się już nią.

Tak właśnie jest, kiedy czuje się przerażenie, i właśnie tak czuł się Helman, gdy skończyła się fala światła i autobus wyjechał z tunelu Lincolna na ulice pogrążonego w mroku nocy Manhattanu.

Dworzec autobusowy Port Authority jarzył się fluorescencyjnymi światłami. Był załoczony i wciąż w trakcie budowy, przebudowy, a może po prostu rozsypywał się. Połowę ścian pokrywały grube, plastikowe płachty albo dykta upstrzona graffiti. Drugą połowę zaścianiali siedzący i opierający się o nie ludzie; podróżni lub tylko udający podróżnych, przeczekujący zimno i śnieg na zewnątrz. Helman przyglądał się każdej twarzy, zaglądał za każdą plastikową płachtę. Wiedział, że skądś obserwuje go ten, kto zadzwonił. W ciągu ostatnich dwudziestu godzin próbował wymknąć się, stosując każdą sztuczkę i manewr, jakie mu przychodziły do głowy, lecz był pewien, że nie poskutkowały. Helman tracił kontrolę.

Głos w telefonie u Miriam zaproponował mu spotkanie na Manhattanie.

– Kiedy? – spytał Helman.

– Za dwadzieścia osiem godzin, panie Helman. O jedenastej. Jutro wieczorem. – Helman nigdy przedtem nie słyszał takiego głosu. Przypuszczał, że naturalny głos mówiącego zniekształcało urządzenie maskujące. Nie był nawet pewny czy to głos mężczyzny, czy kobiety.

– Gdzie? – Helman wiedział, że nie ma wyboru. Musi zgodzić się na każdy warunek, jaki postawi rozmówca. Groźba, jaką stanowiły dowody w paczce, była gwarancją jego posłuszeństwa.

– Manhattan – rzekł głos.

– Gdzie na Manhattanie? – zniecierpliwił się Helman. – Bar, hotel, adres?

– Wiemy, gdzie pan był, wiemy, gdzie pan jest. Spotkamy się na Manhattanie, niezależnie od tego, jaką trasę pan wybierze, o jedenastej, jutro wieczorem. Więc? – słowo zostało przeciągnięte, niczym syk.

– Zgoda – powiedział Helman i połączenie zostało zerwane.

Następnego poranka Helman pojechał rabinem swojej siostry na parking firmy wynajmu samochodów Budget w Concord. Tam wynajął citation, które miało zostać podstawione na La Guardia tego wieczoru.

Jechał na południe autostradą 93, zmieniając szybkość i sprawdzając, czy któryś z jadących za nim samochodów nie stara się dopasować do jego szybkości. Żaden tego nie robił.

Zjechał z autostrady w Manchester i zaparkował na lotnisku. Przy okienku American Airlines kupił bilet na lot do La Guardia za dwie godziny i poszedł poczekać do baru Skyline.

Trzydzieści minut później wszedł do męskiej toalety. Kiedy wyszedł z niej, jego brązowe włosy były czarne, miał wąsy, a policzki wypchał watą, co nadało mu wygląd człowieka pięć kilo cięższego. Wysokie buty L.L. Bean zmienił na czarne broughamy z grubymi na pięć centymetrów metalowymi wkładkami, które uwierały go nieprzyjemnie w pięty i podbicie stóp, zmieniając sposób chodzenia. Zamiast džinsów miał teraz czarne, prążkowane spodnie od garnituru, a niebieską kurtkę, zwiniętą i przymocowaną na brzuchu, by dawała złudzenie dodatkowych pięciu kilo, zastąpił czarny, skórzany płaszcz. Zamiast płóciennego worka na ubranie, z którym rozpoczął podróż, niósł teraz cienką

aktówkę. W lewej ręce trzymał torbę z brązowego papieru, bez wątpienia zawierającą butelkę alkoholu, którą ścisnął za szyjkę.

Torba z butelką wódki była niezbędnym elementem mylącym, by przebranie odniosło skutek. Ludzie odpowiedzialni za bezpieczeństwo zawsze sprawdzali pakunki. W pakunkach właśnie przemycano broń, kamery i skradzione przedmioty. Nie można było ich zignorować, chyba że zawartość dało się rozpoznać po kilkusekundowej inspekcji, jak to stanie się z butelką Helmana. Każdy, kto przyglądał mu się, mógł zauważyć koniec butelki wystający z torby, której brzeg Helman starannie odwinął. Jednakże te kilka sekund inspekcji odwróci uwagę od twarzy i budowy ciała obiektu obserwacji. Dzięki tym kilku sekundom obiekt wtopi się w tło sceny. Następujące później oględziny bywają zwykle mniej dokładne, szczególnie, jeśli większa liczba osób wymagających uwagi wchodzi i wychodzi z obszaru podlegającego obserwacji. Helman wcześniej stosował tę metodę z powodzeniem. Nie wiedział, czy tym razem poskutkuje i czy w ogóle był obserwowany, lecz musiał próbować.

Udając przygarbionego i idącego zmęczonym krokiem businessmana w podróży, marzącego tylko o tym, by jak najszybciej znaleźć najbliższy zajazd Holiday Inn i dobrać się do swej butelki, Helman podszedł do okienka lotów na wschód i kupił bilet do Newark. Samolot odlatywał za dwadzieścia minut.

Na pokładzie było tylko dwunastu ludzi. Widział ich na korytarzach lotniska albo w barze. Albo żaden nie śledził go, albo ktoś zna się na przebieganiu lepiej niż Helman.

W Newark wyjął wagę z policzków i siadł w barze. Autobus do Port Authority odjeżdżał z lotniska co dwadzieścia minut. Zaczekał do chwili, która wydawała mu się ostatnim możliwym momentem i wsiadł do autobusu odchodzącego o dziesiątej wieczorem.

Za dwadzieścia jedenasta wychodził po schodach na Ósmą Aleję. Gotów był stawić się na spotkanie zgodnie z planem. W jego kręgach niewiele czyniło groźby, których nie byłoby w stanie zrealizować.

Tylko po to, by nie stać w miejscu, ruszył w stronę Times Square. Kończyły się przedstawienia i na bocznych uliczkach pełno było taksówek i limuzyn. Bez przerwy rozlegały się niecierpliwie odgłosy klaksonów. Grupki ludzi spacerowały żwawo po chodnikach i znikwały w zatłoczonych uliczkach, chcąc jak najszybciej oddalić się, zanim

tłumy widzów rozproszą się, zostawiając okolicę ludziom ulicy, na których widok przybysze czuli się dość nieswojo.

Kiedy indziej Helman mógłby dać się porwać światłom, wrzawie, podnieceniu bujnym życiem, które go otaczało, lecz tej nocy zajęty był czymś innym.

Była za dziesięć jedenasta.

Jeśli do spotkania nie dojdzie przed dwunastą, zdecyduje się zejść do podziemia. Niestety, jego siostra i jej dwaj chłopcy będą również musieli pójść z nim. Ktoś go ścigał. Nie może pozwolić sobie na zostawienie tych, przy pomocy których mogą go później zwabić w pułapkę. Za bardzo ich kochał. Byli jedyną jego rodziną. Jedynym schronieniem. Miriam czekała na jego telefon. Helman przeszukiwał wzrokiem tłum na Times Square.

Była za pięć jedenasta.

Postanowił przejść na drugą stronę ulicy do baru „U Nathana” na kawę. Może siedzieć przy oknie i nadal obserwować.

Dwie dłonie chwyciły go za barki. Po jego obu stronach stali dwaj mężczyźni.

– Niech pan patrzy przed siebie, panie Helman. Proszę nie zatrzymywać się. Pański pojazd już czeka.

Czyjaś ręka zabrała jego aktówkę. Zmuszono go do szybszego poruszania się wzdłuż Czterdziestej Drugiej do Szóstej.

Na rogu czekał srebrny fleetwood, limuzyna niemal tak często spotykana na Manhattanie jak taksówka. Kłęby spalin tworzyły złowieszczą mgiełkę wokół jej kół.

Dwaj mężczyźni poprowadzili Helmana do samochodu. Szyby były ciemno zabarwione. Nie widział, kto na niego czeka. Przynajmniej, nie zabiją mnie w tym samochodzie; jest zbyt kosztowny. A jednak znaleziono sposób, aby zgarnąć go w mroku w kilka minut po przybyciu do milionowego miasta. Być może koszty nie liczyły się dla nich.

Kiedy dzieliło go kilka kroków od limuzyny, drzwi otworzyły się powoli. Wydawało się, że nie uczyniła tego żadna dłoń. Helmana popchnięto do środka. Dwaj mężczyźni nie wsiedli.

W odległym kącie samochodu siedział jakiś osobnik.

– Dziękuję za punktualność, panie Helman. Nazywam się King. Będę panu towarzyszył w drodze na spotkanie.

Helman poczuł ucisk w piersi. To był głos, który słyszał w słuchawce. Dokładnie ten sam. Nie było żadnego urządzenia maskującego. King rzeczywiście tak mówił.

– Pańscy obserwatorzy są doskonali, panie King. – Helman opanował się, walcząc z pokusą wybuchnięcia. Był w rękach mężczyzny, który siedział naprzeciwko. Helman musi poczekać, starannie dobrać odpowiedni moment do działania.

Pan King nachylił się i Helman ujrzał jego twarz, pogrążoną w cieniu z powodu górnego oświetlenia. Była całkowicie przeciętna. Z wyjątkiem oczu. Przez chwilę zdawały się świecić własnym blaskiem. A jednak były tak ciemne w mroku.

Helman nie miał czasu dłużej zastanawiać się nad tym.

Wyciągnąwszy rękę, pan King zerwał wąsy Helmana i zdjął mu perukę.

– Nasi obserwatorzy muszą być dobrzy, panie Helman. Jak i wszystkie nasze metody. – Włożył perukę i wąsy do plastikowej torebki i umieścił ją na półeczce pod tylnym oknem. Znów odezwał się: – Pańska sława wyprzedza pana, panie Helman. Proszę położyć się twarzą do podłogi.

Helman nie ruszył się.

– Istnieje pewna szansa, że nie przyjmie pan propozycji przedstawionej na spotkaniu. W tej sytuacji będzie zdecydowanie korzystniej dla pana, jeśli nie będzie posiadał pan więcej informacji niż jest to absolutnie niezbędne. Czy to jest jasne?

Helman wyciągnął się na podłodze, twarzą koło stóp mężczyzny. Nie chciał, żeby wiedział, dokąd go zabierają. To dobry znak, powód do nadziei. Coś jak darowanie Roselyne Delvecchio kilku sekund wolności przed śmiercią.

Helman poczuł na szyi dotyk dłoni mężczyzny. Poczuł, jak silny kciuk i palec wskazujący lekko układają się na odpowiednich miejscach, a potem nie czuł już niczego więcej.

Dopiero wtedy pan King wcisnął guzik na konsolce, dając znak kierowcy, że można bezpiecznie ruszyć.

Helman budził się stopniowo.

Najpierw uświadomił sobie, że myśli i spróbował ustalić, gdzie jest. Przypomniał sobie, że leżał na podłodze samochodu. Był zdziwiony, ponieważ teraz znajdował się w pozycji siedzącej. Siedzenie było miękkie i wygodne dla tych części ciała, które nie były

zdrętwiało. Nie czuł wibracji samochodu.

Potem przypomniał sobie o oczach i otworzył je.

Jedenaście par oczu wbijało się w niego uparcie.

Szarpnął się z krzesła, odwracając się, by sprawdzić, czy nie jest przywiązany. Jego kark i głowa zapłonęły z bólu, więc ponownie opadł na krzesło, zlany zimnym potem. Ledwo powstrzymał się, by nie jęknąć.

– Na stoliku obok pana jest aspiryna, woda i koniak, jeśli pan sobie życzy. – Głos odezwał się po prawej stronie Helmana. Był to głos z telefonu, głos z samochodu.

Powoli odwrócił głowę i zobaczył pana Kinga siedzącego w pobliżu na takim samym krześle. Przez chwilę Helman sądził, że znajduje się w jakimś klubie.

Ściany były ciemne, obite tkaniną, a wysoki sufit ozdobiony belkami z ciemnego, błyszczącego drewna, które odbijało niezliczone światełka jasnego, kryształowego żyrandola.

Wtedy znów dostrzegł oczy. Wszystkie inne myśli przysły.

Jedenastu ludzi siedziało za masywnym stołem rzeźbionym w zawiłe wzory. Spoglądali na niego, a w ich twarzach widać było tylko oczy. On również przyglądał im się, starając się skupić wzrok, który miał mu pomóc właściwie rozpoznać sytuację.

W każdej twarzy widoczne były tylko oczy. Resztę zasłaniał czarny materiał zwisający ze sznura zawiązanego z tyłu głowy i przechodzącego tuż nad grzbietem nosa. Ich ciała spowijały bezkształtne, czarne kurtki – może szaty? Nawet dłonie owijała czarna tkanina, jak dziwaczne rękawiczki.

– Kim jesteście? – spytał całkiem cicho. Ruch szczęki wbił w tył jego głowy rozpalone noże.

Odezwał się jakiś głos. Dopiero po kilku chwilach Helman stwierdził po ruchu czarnej tkaniny, że rozmówcą była osoba, która siedziała jako trzecia od lewej.

– Nazywa się pan Robert Granger Helman. Jak również David Michael Franklin, William Terrence Rosner, Stephen Philip Osgood. – Postać umilkła. Zdawała się uśmiechać przez zasłonę, a następnie dodała: – *Et al.*

Były to nazwiska „zasłon” Helmana. Fałszywe tożsamości, które jemu i jego pośrednikowi służyły do przelewania opłat, oraz z których Helman korzystał w trakcie

wykonywania zleceń. Posiadał więcej niż te trzy, które wymieniła postać, a wszystkie wsparte paszportami, kartami kredytowymi, składkami na ubezpieczenie i adresami pocztowymi. Lecz wymienione tożsamości były aktywne. Pozostałe trzymał w uspieniu, dopóki nie będzie ich potrzebował. Helman nie przejął się ich ujawnieniem. Spodziewał się tego. Postać ciągnęła dalej.

– Wszystkie „urodzone” około roku 1975, jak się wydaje. Mniej więcej w czasie, gdy wszedł pan w kontakt z pewnym „maklerem” – Helman z zainteresowaniem zauważył, że nie padło nazwisko jego pośrednika – i zaczął zajmować się wykonywaniem pewnych „zleceń”.

Odezwała się trzecia osoba przy stole:

– Panie Helman, jest pan kimś pospolicie nazywanym mordercą do wynajęcia, zawodowym zabójcą. Wiemy o dwunastu sprawach, które nazywa pan zleceniami. Mamy bezpośrednie dowody łączące pana z siedmioma z nich. Podejrzewamy, że pełna liczba pańskich zabójstw kształtuje się pomiędzy dwudziestoma a dwudziestoma pięcioma. Jednakże uważamy, że siedem jest liczbą bardziej niż wystarczającą, by zainteresować FBI. A każde oskarżenie przeciwko panu z pewnością niezmiernie zainteresuje pańskich byłych „klientów”. Jesteśmy pewni, że jeszcze bardziej prawdopodobny jest wybuch paniki, biorąc pod uwagę nazwiska, jakie może pan ujawnić pod wpływem perswazji, by ocalić własną skórę.

Jeśli pan dożyje daty rozprawy, może być pan pewien, że pana siostra i jej dzieci nie doczekają jej. Dopilnujemy tego osobiście.

W ciszy, która nastąpiła, Helman czuł, jak potrzask zaciska się nieubłaganie. Rozejrzał się wokół po pokoju, w którym się znajdował, spoglądając na malowidła, rzeźby przy podwójnych drzwiach i bogaty, wschodni dywan pod stopami. Wszystko to mówiło o dostatku, nienowym i niemałym. Ludzie, którzy siedzieli naprzeciw niego, a których głosy osobliwie przypominały głos mężczyzny obok – podejrzewał jakiś regionalny akcent pochodzący z języka innego niż angielski – mówili o morderstwie.

Morderstwo, bogactwo i grupa, którą łączyło wspólne obce pochodzenie, znaczyło dla niego tylko jedno. Miała rozpocząć się wojna. Jedna z nowojorskich rodzin połączyła jego osobę z kilkoma zleceniami, które mogły zostać zamówione przez inną rodzinę. W jakiś

sposób wrobili go w sprawę Delvecchio, a teraz chcą, żeby powiedział im, kto go wynajął i dlaczego. Dowody w końcu mogą zostać przedstawione w sądzie wojennym jako usprawiedliwienie objęcia władzy w Nowym Jorku. Helman zawsze próbował trzymać się z dala od zorganizowanej przestępczości. Teraz odnosił wrażenie, że nie starał się wystarczająco mocno. Nadszedł czas, by zareagować.

– Prawdopodobnie macie więcej informacji na temat zleceń, o których mówicie, niż ja sam – zaczął. – Wszystko jest ustalane przez pośrednika, o którym wspomnieliście. Z wyjątkiem sytuacji, gdy nazwisko czy twarz pojawiały się w prasie, często nie wiem, kim jest obiekt, a nigdy nie wiem, kim jest klient. – Na początku próbuje przekonać ich, że jest tylko pionkiem.

Grupa przy stole zareagowała dziwnie, jakby z wszystkich rzeczy, które Helman mógł powiedzieć, jego ostatnie oświadczenie nie było jednym ze spodziewanych. Zamaskowane postaci spoglądały na siebie w milczeniu przez kilka chwil. Postać pośrodku, która do tej pory nie odzywała się, zwróciła się do Kinga i spytała:

– Czy on życzy sobie, by go chwalić za nieświadomość? Chyba jest to jedyny sposób, w jaki może pracować?

Mężczyzna w krześle zwrócił się do grupy.

– Nie, mój pa... – przerwał gwałtownie i zaczął jeszcze raz. Lecz Helman zauważył to. Czyżby rzeczywiście miał zamiar zwrócić się do mężczyzny przy stole „mój panie?” – Nie, sir. On uważa, że należy pan do jednej z organizacji, przeciw którym wymierzone były jego zabójstwa. Bez wątpienia założy, iż ostatnie zabójstwo, którego dowody przedstawiliśmy mu, zostało zleczone przez pana, by umożliwić wywieranie na niego presji. Sądzi, że teraz zażąda pan od niego dostarczenia informacji o poprzednich zlecieniodawcach, by wykorzystać te informacje przeciwko nim. Próbuje więc przekonać pana, że nie ponosi winy za planowanie zabójstw, aby nie zabił go pan.

Wydawało się, że postać przy stole była usatysfakcjonowana wyjaśnieniem słów Helmana.

– Czy to prawda, panie Helman?

Helman był zbity z tropu. Nic tu nie miało sensu. Czuł się, jak na pokazie, a nie jak na przesłuchaniu w przeddzień wojny gangów. I dlaczego do jednego z mężczyzn przy stole zwracano się „mój panie”?

– Kim jesteście? – Helman przestawał pojmować cokolwiek. Nie miał pojęcia, co on tu robi.

Trzecia postać od lewej znów przemówiła.

– Pragniemy zaproponować panu kontrakt. Życzymy sobie, by zabił pan dla nas.

Zimna, obojętna część duszy Helmana uznała to za normalne życzenie. Oto powód, dla którego zgłosili się do niego: potrzebowali jego usług. Przyjrzał im się uważnie. Jednocześnie nierozpoznawalnych postaci. Wszystkie w czarnych tkaninach, zasłaniających ich twarze i dłonie. Wszystkie o tym samym szepcząco-świszczącym sposobie mówienia. Ich życzenie wydawało się normalne, nawet jeśli oni nie wydawali się tacy. Lecz zlecenie nie miało sensu. Co ukrywają?

Byli zbyt przebiegli, aby całkowicie ujawnić jedno z jego zיעeń. Zdolni byli zlokalizować go w ciągu kilku minut od przyjazdu do Nowego Jorku. Otaczali ich przepych i bogactwo. Helman nie wątpił, że mieli dość pomysłowości i możliwości, by wynająć dowolną osobę na świecie w celu zabicia dowolnej osoby. Dlaczego więc zwrócili się do niego?

– Ja się wycofałem – tylko tyle powiedział.

Pan King natychmiast znalazł się za nim, wbijając stalowe palce w miękkie mięśnie tuż poniżej jego czaszki.

Pokój zrobił się czerwony. Krew zahuczała Helmanowi w uszach. Powoli i boleśnie wykręcano mu głowę tak, by musiał spojrzeć w niesamowite oczy mężczyzny, który unieruchomił go. Te oczy rzeczywiście świeciły się. A może to skutek gwałtownego odpływu krwi z głowy? Helman usłyszał dochodzące jakby z wielkiej oddali jedno słowo pana Kinga. „Szacunek.”

A potem pokój przestał się kołysać i powrócił ciepły blask żyrandola. Pana Kinga już nie było za Helmanem. Siedział w swoim krześle. Helman nie dostrzegł żadnego ruchu. Ponownie z mgły przed jego oczami wyłonił się obraz grupy za stołem. Znowu odezwała się trzecia od lewej postać:

– Jest pan zabójcą. Nie będzie pan nam przeczył. Zapłatą dla pana będzie zniszczenie dowodów, jakie mamy przeciwko panu.

Rozległ się inny głos. Helman nie potrafił powiedzieć, która z postaci przemówiła.

– Niech pan pamięta o siostrze i jej dzieciach. Nie ma pan wyboru.

Helman delikatnie potarł zaczerwieniony kark. Wiedział, jaka jest kara za mówienie tym ludziom czegoś, czego nie chcą usłyszeć, lecz musiał zaryzykować.

– Z całym szacunkiem, ale dlaczego wybraliście do tego mnie? Działam niezależnie. Moje zdolności nie mogą się równać z tymi, jakimi wasza organizacja wykazała się, sprowadzając mnie tutaj. Z pewnością są inni, którzy nadawaliby się lepiej.

Odezwał się King:

– Panie Helman. Oni wybrali pana. To oznacza, że pan się nadaje. Stanowczo odradzam powątpiewanie w ich osąd. – Człowiek mniejszej klasy mógłby podkreślić tę groźbę złowieszczym zaciśnięciem pięści, lub innym przypomnieniem o zadany ból, lecz pan King po prostu siedział nieruchomo. Każdy z tych ludzi był nieprzenikniony i brutalny. Nie musieli grozić, po prostu stawiali na swoim. Kontrolowali wszystko.

Helman przestawał czuć się oszołomiony. Narastało w nim zdecydowanie, a w głębi mroków również strach. I znów zamaskowana postać przemówiła:

– Dokładnie z tych powodów, które wzbudziły pańskie zatroskanie, wybraliśmy pana. Na świecie działają sfery wpływów, które pod względem celów i potęgi są dalekie od obszarów, w których pan przebywa. Pan obraca się w pospolitych kręgach kryminalnych przedsięwzięć, korporacyjnej przedsiębiorczości i politycznych machinacji. To nas zupełnie nie obchodzi. Tak jak i my, w chwili obecnej, nie obchodzimy ich. Idziemy innymi drogami i tylko czas pokaże, kto jest zwycięzcą.

Helman słuchał z zafascynowaniem. Czy oni są szaleni? Cóż zostaje oprócz przestępstwa, interesów i polityki? Postać ciągnęła dalej:

– Sfery te są dostępne tylko nielicznym. Dysponują oni znaczną potęgą, lecz wadą tego układu jest fakt, iż wszyscy, którzy do nich należą, znają się nawzajem.

Helman zaczynał rozumieć, do czego dążą.

– Pan nigdy nie działał w takich sprawach, dlatego też jest pan dla nas użyteczny jako nowy element. Krótko mówiąc, chcemy ukarać kogoś, kto oddalił się od nas i naszych obyczajów. Ta osoba ma być pańskim celem. Nasi zwykli wykonawcy i zwykłe metody nie stanowią tajemnicy dla celu, który zna pewne sposoby obrony. Pragniemy,

aby to pan wykonał zlecenie, ponieważ będzie pan mógł poruszać się swobodnie, nie będąc rozpoznany i nie wywołując podejrzeń, dopóki nie będzie za późno.

Helman zadał pytanie, którego domagało się jego wykształcenie:

– Czy były już inne zamachy na cel?

Postać pokiwała głową.

– Były inne zamachy.

I to wszystko. Nic więcej nie trzeba było mówić. Jak w przypadku sprawy Delvecchio, Helmana sprowadzano w celu naprawienia błędu. Tylko tym razem nie miał pojęcia, czy to był błąd. Wyglądało na to, że jego zamiar wycofania się nie powiódł się. Musi zabić jeszcze raz lub narazi życie jedynych osób, na których naprawdę mu zależy. Jego marzenia i jego życie były brane pod uwagę dopiero w dalszej kolejności. Ci ludzie nie musieli wspominać ponownie o dowodach, jakie mieli przeciwko niemu. Powiedzieli to raz. Wątpił, by kiedykolwiek zadawali sobie trud powtarzania czegoś.

– Jaką mam gwarancję, że kiedy wykonam zlecenie, dowody zostaną zniszczone, a moja rodzina będzie bezpieczna?

Przemówił pan King. Wydawało się, że przejął na siebie rolę tłumacza, jakby Helman reprezentował dla grupy przy stole zupełnie inny świat; świat, który stale wymagał objaśnień.

– Nie ma takich gwarancji, panie Helman. Prawdę powiedziawszy, pańska sytuacja nie upoważnia do stawiania takich żądań. Nie ma pan również żadnych gwarancji, że po prostu sami nie zabijemy pana po wykonaniu zadania.

Helman wiedział o tym wcześniej.

– Wszystko, co mam do zaoferowania – ciągnął pan King – to odwołanie się do pańskiego instynktu zawodowca. Każda śmierć to następna możliwość zaistnienia czegoś nieprzewidywalnego. Starannie przygotowany plan może zostać zniweczony przez niespodziewane pytania osób, które zajmują się martwymi ciałami i śmiertelnymi wypadkami. Pan nie stanowi dla nas zagrożenia. Nie wie pan, kim jesteśmy, gdzie jesteśmy, jakie są motywy, ani kto jest ofiarą. Po co narażać się na śledztwo w sprawie morderstwa, jeśli nie istnieje potrzeba?

Helman nie miał wątpliwości, że jego ciało mogłoby zniknąć równie łatwo, jak ciało Joego Delvecchio.

– Poza tym, panie Helman, w najgorszym przypadku współpraca z nami da panu trochę czasu. – Po raz pierwszy śmiertelnie poważny wyraz twarzy mężczyzny zmienił się. Uśmiechnął się do Helmana.

Jakby mimochodem Helman zauważył, że mężczyzna ten ma doskonale zęby. Białe, równe i regularne, kontrastujące w sposób uderzający z ciemnymi, posępnymi oczami.

Osaczony więc przez człowieka o morderczych palcach i zębach gwiazdora filmowego oraz grupę ludzi noszących osobliwe maski, w dziwnym pokoju bez okien, co po raz pierwszy zauważył, Helman uświadomił sobie, że musi dokonać wyboru. I uświadomił sobie, że w rzeczywistości nie ma wyboru. Mógł uczynić tylko jedno.

– Kogo chcecie, bym zabił? – spytał, a wtedy zaczęto zaznajamiać go ze szczegółami. Wyjęto kopertę, w której były zdjęcia celu, listy zalecanych strategii oraz niezbędnych warunków do wypełnienia.

Pierwszą rzeczą, jakiej się dowiedział, był fakt, iż jego celem jest Adrienne St.Clair, kobieta, która właśnie przybyła do Ameryki Północnej z Anglii. Drugą rzeczą to, że jest śmiertelnie niebezpieczna. A gdy dowiedział się wszystkiego, co zechcieli mu powiedzieć, pan King, znów poruszając się w sposób niewyczuwalny dla Helmana, znalazł się za nim i wcisnął stalowe palce w jego kark.

Pozbawiony świadomości Helman osunął się na ziemię bez drgnięcia.

Teraz, gdy istota ludzka zostanie zabrana sprzed ich oblicza, maski mogą zostać zdjęte.

ROZDZIAŁ VII

Dostojny Eduardo Diego y Rey powstał z miejsca, które zajmował pośrodku stołu zebrania. Delikatnie manipulował palcami wśród luźnych zwojów czarnej tkaniny, którymi były owinięte jego dłonie, aż uwolnił się od nich.

Miał chude i białe ręce. Każda kość i ścięgno zaznaczały się wyraźnie, jak wyrzeźbione. Przez biel skóry nie prześwitywał nawet błękit arterii, jakby płynęło w nich coś innego niż krew.

Jego paznokcie były jaskrawobiałymi, długimi na dwa i pół centymetra szponami. Zdawały się jarzyć w ciepłym blasku kandelabru sali zebrania. Mężczyzna przeniósł dłonie za głowę, by odpiąć klamerkę sznura maski i ta również opadła.

King poczuł zazdrość, spoglądając na twarz Diega. To była twarz dostojnika, nieskazona koniecznością maskowania się, niezbędnego w kontaktach z istotami ludzkimi. Diego miał taką rangę, że nigdy nie musiał bezpośrednio mieć z nimi do czynienia. Lub raczej ludzie, z którymi miał do czynienia, mieli taką rangę, że nie musiał ukrywać swej prawdziwej natury.

Diego miał skórę bielszą niż jakikolwiek albinos. Biel ta nie była po prostu brakiem koloru, lecz raczej samym kolorem. A jego kły, delikatnie naciskające dolną wargę, sprawiały wrażenie, że są z marmuru: prawdziwy dostojnik Konklawe, pan wszystkich *yberów*. Takie miano sami sobie nadali. Istoty ludzkie używały imienia stokroć wstrętniejszego.

– Panie King – rzekł Diego odsłaniając zza bladych warg przepiękne kły, ostre jak igły. Jego rasa nazwałaby to uśmiechem, jakby Diega bawiło nazywanie Kinga imieniem, którym posługiwał się wśród ludzi. – Sytuacja wygląda na opanowaną. Kiedy wszystko przycichnie, zechciej zastanowić się nad powrotem ze mną do Hiszpanii. Tam jest dla ciebie praca, która nie będzie wymagała żadnych masek.

– Oczywiście, czcigodny Diego – odrzekł spokojnie King. Lecz w myślach szalał z radości. Dostojny Diego właśnie zaproponował, że będzie jego mentorem, co oznaczało ucieczkę od okrutnego okaleczania swych własnych kłów, by móc uchodzić za człowieka. A takie propozycje wiodły do kolejnych; za wiek lub dwa może wolno mu będzie zasięść w samym Konklawe.

– Gdy ta sprawa zostanie zakończona – rzekł Diego.

– Gdy heretyczce St.Claire zostanie zadana Ostateczna Śmierć – zgodził się King.

– A co do tego człowieka, panie King. Najlepiej byłoby, gdyby jego ciało można było bez trudu odnaleźć i powiązać z wszelkimi czynami, jakie popełni. Kiedy ludzkie władze dostaną martwego podejznanego, nie będą dalek się zagłębiać.

King pokiwał głową. Wszelkie jego plany zakładały, iż Granger Helman nie może przeżyć. Jeśli ten głupi człowiek uwierzył w to, co King powiedział mu o odejściu wolno po rozprawieniu się z heretyczką, tym lepiej. Jeśli Helman nie spodziewa się żadnej zdrady, zdrada będzie tym prostsza.

– Co stanie się z jego siostrą, mój panie? I dziećmi?

– To zależy od tego, co właściwie zamierza uczynić. Miałeś rację mówiąc, że zareaguje pozytywnie, jeśli im zagrozimy. Prawdę mówiąc, zareagował gwałtowniej na groźbę wymierzoną w nich, niż w niego samego. Czy sądzisz, że spróbuje skontaktować się z nimi?

– Kiedy tylko będzie mógł, mój panie.

– W takim razie będziemy musieli poczynić pewne kroki. Nie wolno dopuścić do tego, by pomyślał, iż nie mamy nad nimi prawdziwej władzy. Co proponujesz?

– Metody, jakie on zrozumie, mój panie. Na początek dający się usłyszeć podsłuch w telefonie, aby wiedział, że wszelkie jego rozmowy z nimi są kontrolowane. Sugerowałbym również, aby kilku chowańców zajęło stanowiska obserwatorów. Helman musi często porozumiewać się niezabezpieczonymi liniami. Zawsze wtedy używa subtelnych szyfrów. Całkiem możliwe, że mógłby mieć jakiś sposób powiadomienia jej.

– A później?

– Jeśli nie będzie próbowała wymknąć się nam i nie będziemy musieli kontaktować się z nią bezpośrednio, nic nas nie obchodzi.

– Mimo wszystko, z tego, co powiedziałaś nam o nim, wynika, że jest nietypową istotą ludzką. Czy dzieci są tej samej krwi, co on?

– Tak, czcigodny panie.

– A w jakim są wieku?

– Steven ma dwanaście lat. Campbell dziesięć – powiedział King. Przeprowadził bardzo dokładne śledztwo.

– Doskonale. Kiedy już zarówno Adrienne, jak i tego zabójcę spotka śmierć, zabijcie jego siostrę i sprowadźcie mi dzieci. Dekada lub dwie jako chowańcy i jeśli odziedziczyli jakieś cechy swego wuja, będą cennym nabytkiem. Zgadzasz się?

– Jak sobie życzysz, dostojny Diego.

– Cudownie. – Diego machnął dłonią w stronę nieprzytomnego Helmana, a jego szpony mignęły w powietrzu niczym kosy.

– Zabierzcie go. Wyślijcie go już w podróż.

King podniósł Helmana, jakby nieprzytomny ważył tyle, co pusty komplet ubrania i wyniósł go przez drzwi znajdujące się na końcu sali zebrań. Drzwi za nim zamknęło dwóch młodych mężczyzn o ciemnych i posępnych oczach oraz szyjach owiniętych czarną tkaniną: chowańcy Diega.

– A teraz rozprawimy się z tym jezuitą, który ośmielił się zbliżyć za bardzo do naszego miejsca zgromadzeń i szpiegować – ogłosił Diego.

Dziesięciu ludzi przy stole zgodziło się. Zdjęli maski i tkaniny spowijające ich dłonie w czasie, gdy Diego i King decydowali o losie Helmana. Wszyscy, podobnie jak Diego, mieli delikatne, ostre jak igły kły i białe, wypolerowane szpony. Było to pełne zgromadzenie Rady Wschodniej. Ostatnie odbyło się czternaście lat temu w celu zaplanowania wypadu w dziedzinę ludzkiej polityki, który zakończył się katastrofalnie po pięciu latach nie mającym precedensu skandalem na najwyższym szczeblu. Przyczyną tego zgromadzenia były jeszcze pilniejsze sprawy.

Pierwszym powodem była Adrienne St.Clair, lecz Diego był zadowolony z rozwiązania przedstawionego przez Kinga i uważał sprawę za zakończoną. Zagrożenie zostało usunięte, a Konklawe było bezpieczne od wewnątrz. Lecz na zewnątrz niebezpieczeństwo narastało z każdą upływającą nocą. Coś wydarzyło się wśród jezuitów Siódmego Wtajemniczenia. Odwiecznej równowadze groziło niebezpieczeństwo, a ironią losu było, że dopiero heretyczka zwróciła na to uwagę Konklawe.

Fiasko na lotnisku Heathrow było bez wątpienia dziełem jezuitów. Samo w sobie nie miało żadnego znaczenia. Podobne ataki zdarzały się od czasu do czasu z obu stron. Lecz porażającym wnioskiem z niego był fakt, iż po raz pierwszy od czterech stuleci, jezuici wmieszali do konfliktu osoby postronne, a tym osobom postronnym powiedziano, czego się należy spodziewać. Brytyjscy żołnierze byli uzbrojeni w kusze: broń zadającą Ostateczną Śmierć.

Przez ostatnie dwieście lat zmagania przebiegały pod kontrolą. Zarówno jezuici, jak i Konklawe nieprzerwanie toczyli walki, lecz obie strony utrzymywały swe boje w tajemnicy,

każda bowiem posiadała straszliwą broń przeciwko tej drugiej. Jezuita Siódmego Wtajemniczenia znali prawdziwy charakter Konklawe, a przez światowe misje ich braci pierwszych sześciu stopni prawda może zostać przekazana światu istot ludzkich. Niektórzy spośród tych ludzi uwierzą i Konklawe zostanie zmiotzone, nie przez siłę czy intelekt ludzi, lecz samą ich liczbą.

Lecz nim Konklawe pozwoli na to, najpierw światu zostaną ujawnione katakumby Rzymu: niemiłe prawdy o działaniach hipokrytów, którzy od dwóch tysięcy lat istnieli w świętym Kościele jezuitów, były posegregowane i przygotowane. *Yberowie* również od pokoleń interesowali się tym samym Kościołem. Istniały dokumenty dotyczące pewnych świętych, pewnych zjawisk, a co bardziej pogrążające w obecnych czasach, również pewnych politycznych konieczności. Jedną z owych konieczności znana była światu pod specjalną nazwą. A gdyby jezuita Siódmego Wtajemniczenia zagrozili Konklawe ujawnieniem czegoś, dokumenty te znalazłyby się w rękach osób, które nie ukrywałyby ich.

Szaleńcy, odsunięci od siedziby władz Kościoła, lecz i tak działający w jego imieniu, spisali te dokumenty, by przeżyć burzę, jaka groziła Europie. Dokumenty te stały się przyczyną obłędu, jaki nastąpił później. Obłędu, który świat nazywał Holocaustem.

Konklawe może nie przeżyć, lecz ukochany Kościół jezuitów zapadnie się w otchłań niebytu wraz z nim.

Tak więc, obie strony toczyły bój, powstrzymując się od użycia przeciw sobie ostatecznych tajemnic. Aż do czasu Heathrow. Aż do czasu Adrienne St.Clair. Dostojny Diego dowie się, czemu wróg wmieszał ludzi w ich konflikt, lub pojmany i związany jezuita, którego właśnie wprowadzili jego chowańcy, będzie się modlił o wieczne potępienie za uwolnienie od tego, co Diego z nim uczyni.

Jezuita miał ręce związane z tyłu, a z obu stron trzymali go mocno chowańcy. Był stary. Włosy, które mu jeszcze zostały, miał rzadkie i siwe. Choć sprawiał wrażenie wątłego, stał dumnie przed masywnym stołem. Jednakże zamknął oczy i bezgłośnie poruszał wargami wypowiadając słowa modlitwy.

Diego obszedł stół dookoła i stanął naprzeciwko jezuity. Przyłożył lekko szpony do twarzy modlącego się mężczyzny. Powoli wciskał je w ciało, naduszając coraz głębiej, aż pod koniuszkiem każdego z nich pojawiła się maleńka kropelka krwi.

– Otwórz oczy, ojciec Benedykcie – zasyczał. – Spójrz w oczy piekłu. – Ostatnie słowo wykrzyczał.

Zaskoczony jezuita szarpnął się, otworzywszy oczy i ujrawszy przed sobą straszego potwora z kłami. Ostre jak noże pazury rozorały mu twarz.

Ojciec Benedykt załkał z bólu, a krew połała się strugami z dziesięciu głębokich rozcięć na twarzy. Diego uniósł jeden ze splamionych krwią szponów i powoli zbliżył go do lewego oka jezuitę.

– Nie podoba ci się moja twarz, księżę? Czy twe oko jest ci powodem do grzechu?

Jezuita starał się cofać wszystkimi siłami, powstrzymywany przez silny uchwyt chowańców. Nie spuszczał z oczu końca wyciągniętego szpona Diega.

– Cóż mówi twoja Biblia o oku, które powoduje twoje zgorznienie? Jak to brzmi, księżę?

Ojciec Benedykt gorączkowo mamrotał pacierze, nie odwracając oczu od złowrogiego ostrza tuż przy twarzy.

Diego zamachnął się znienacka drugą ręką i uderzył jezuitę w twarz z trzaskiem podobnym do huków błyskawicy. Z ran na twarzy księdza trysnęła krew.

– Jak to brzmi? Jak to brzmi? Co mówi twoja Biblia?

Ojciec Benedykt spojrział w oczy piekła, spojrział w twarz Diega.

– Wyłup je – szepnął.

Diego dźgnął szponem, zanim jezuita zdążył mrugnąć okiem. Szpon brutalnie rozerwał oko. Gałka oczna wyskoczyła z oczodołu, który zapadł się, a płyn z oka spłynął po twarzy jezuitę, mieszając się z wciąż ciekącą krwią.

Diego szarpnął i nagle obrócił szpon. Górna powieka zwiśla groteskowo nad ziejącym pustką oczodołem, jak obłaząca farba Przeraziłiwe początkowo wrzaski jezuitę przeszły szybko w głęboki szloch, zagłuszany przez stałe mamrotanie modlitw, których nie przerywał.

– Być może, gdybyś pomyślał i miał nam do powiedzenia coś innego niż te przeklęte prośby o pomoc do swego przyglupiego Boga, mógłbym coś poradzić na ból. A o wschodzie słońca miałybyś wciąż jeszcze jedno całe oko.

Ojciec Benedykt nic nie powiedział. Spoglądał przez zmrużone prawe oko. Nie mógł utworzyć go szerzej z powodu rozległych obrażeń drugiego oka.

– Kimże jesteś dla swego Boga, księżu, że pozwala, by stało ci się coś takiego? Cóż może być tego warte?

Jezuita wreszcie przemówił:

– Zbawienie. – Ledwo wybełkotał to słowo. W jego ustach zbierała się krew i inne płyny.

– Mogę ci je dać – rzekł Diego odstępując o krok i zmniejszając zagrożenie.

– Nie ma zbawienia z rąk diabła.

– Nie, ojczu Benedykcie. Mówię poważnie. Jeśli pragniesz tego „zbawienia”, jak je nazywasz, pozwól, że uczynię ci propozycję.

– Nigdy.

– Gdzież jest osławiona logika twego zakonu? Posłuchaj wpierw, a później odpowiedz. Zacznijmy od tego, iż musisz zrozumieć, że dziś w nocy umrzesz. Twoje niecywilizowane zachowanie w obecności naszego Zgromadzenia czyni z twej śmierci konieczność. Rozumiesz to?

Jezuita nie zareagował.

– Więc zostaje nam tylko do rozpatrzenia sposób, w jaki umrzesz. Twa śmierć może być lekka, czysta i na tyle odwleczona, byś zdążył odprawić pokutę, w sposób, jaki uznasz za stosowny. Bez wątpienia twój Bóg powita cię wtedy przy bramie niebios. Albo mogę cię oddać im. – Diego wskazał na pozostałych, którzy siedzieli za stołem. – I jestem pewien, że sposób, w jaki umrzesz, uznalbyś za odrażający. A potem, ojczu Benedykcie, już po twej śmierci, zakułbym cię w łańcuchy w małej celce pod nami. I każdej nocy stawałbym pod drzwiami i słuchał twych ryków i wściekłych wrzasków z pragnienia. Och, księżu, uwierz mi, jest to straszliwe pragnienie. A gdy już nie będziesz mógł znieść go dłużej, przyślę ci dzieci. Rozumiesz, ojczu Benedykcie? Błogosławione niewiniątka wejdą, by oddać się w twe ręce, a ty rozszarpiesz je i pożrzesz, aż poczujesz sytość i hańbę. Wtedy przykuję cię znów łańcuchami pośród resztek ich ciał i wszyscy zaczekamy, aż pragnienie powróci i uczynimy to jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze raz. Przez całą wieczność, ojczu Benedykcie. Rozumiesz?

Twarz jezuita pobladła.

– Nie – szepnął. – Proszę, nie. – Przestał mamrotać modlitwy.

– Bardzo łatwo tego uniknąć. Powiedz nam, dlaczego urządziliście napad na angielskim lotnisku. Powiedz nam, dlaczego wmieszaliście w to brytyjskich żołnierzy. Kilka pytań. Kilka prostych odpowiedzi. I ból ustanie. Damy ci mały zastrzyk. Wytrzymasz dość długo, byśmy zdążyli zawieźć cię do kogoś, kto udzieli ci ostatniego namaszczenia, jeśli to cię martwi. Możesz zwierzyć się z wszystkiego. Twój Bóg zrozumie. Ciało jest mdłe. On wie. On wybacza. – Diego mówił głosem spokojnym, niemal pocieszającym, a potem zniżył ton do suchego, syczącego szeptu. – Lecz nigdy nie wybaczy ci dzieci, księżu. Nigdy.

Jezuita milczał i trwał w bezruchu. Stał tylko dlatego, że chowańcy trzymali go tak mocno. Diego wzniósł szpon.

– Madeline. Moja cierpliwość dobiega końca. Jest twój.

Zza stołu powstała kobieta i zbliżyła się do ojca Benedykta.

Miała szerokie usta. Jej wargi były wilgotne, a usta rozwarłe. Wewnątrz połyskiwały kły.

– Wiesz już, dlaczego ścigamy St.Clair – rzekł jezuita, spoglądając rozpaczliwie na Diega.

– Oczywiście, że już wiemy – gładko i przekonywająco skłamał Diego. Gestem powstrzymał Madeline. – Nie powiesz nam niczego nowego. Nikogo nie zdradzisz. Potwierdzisz nam to, a my damy ci spokój.

– Nadchodzi ostateczna wojna. – Głos jezuita brzmiał słabo.

– Armageddon? – Diego sprawiał wrażenie rozbawionego. – Znowu?

– Są znaki. Mówi o tym przepowiednia.

– Wybacz mi, księżu, ale mówisz bzdury. Czyżby ktoś doznał wniebowstąpienia? Czyżby Antychryst ogłosił swą obecność światu? Czy znów pojawiły się gwiazdy nad Betlejem?

– Wy wszyscy jesteście Antychrystem. Siły ciemności gromadzą się. Zagrożenie narasta. Nadeszły dni końca.

Przez chwilę Diego poczuł chłód. Czyżby jezuita usłyszeli o Planie Ostatecznym *yberów*? Czyżby to właśnie było powodem ich działania? Jezuita są zabobonnymi głupcami. Biblia mówiła o takiej wojnie i w każdym pokoleniu mędracy dochodzili do wniosku, że stanie się to właśnie za ich czasów. Lecz wciąż go to niepokoiło. Być może

St.Clair wiedziała. Być może już się skontaktowała z jezuitami.

– Jakich to sił ciemności gromadzenie widzisz, księżo? Powiedz nam, kim są nasi sprzymierzeńcy.

– Ten kraj powstaje z Otchłani, by wstąpić w wasze szeregi. Bestia podnosi się na zachodzie.

– Co masz na myśli, mówiąc ten „kraj”?

– Stany Zjednoczone. Wiemy, że kontaktujecie się z Waszyngtonem przez Adrienne St.Clair. To może znaczyć tylko jedno. Zamierzacie połączyć się i podle wykorzystać potęgę tego narodu do siania zniszczenia. Do potępienia.

Diego zakrztusił się słowem.

– Waszyngton? „Łączymy się” z Amerykanami? Co za bzdury opowiadasz? – Chwycił ojca Benedykta za kark. Szpony wbiły się głęboko. – Kto ci to powiedział? Jak? – Diego pośpiesznie obejrzał się przez ramię, by ocenić miny pozostałych. Wszyscy sprawiali wrażenie równie zbitych z tropu jak on.

– Zaobserwowano kontakt. Nie zdołacie mnie przekonać, że to nieprawda. Oto dni końca.

Diego ścisnął mocniej.

– Oto dni końca, księżo. Dla ciebie. Teraz powiesz mi, jak się tego dowiedziałeś, albo będziesz ssał niewinną krew dzieci, nim jeszcze księżyc zmieni swą fazę.

Jezuita dyszał ciężko, a twarz mu zsiniała od nieubłaganego nacisku.

– Wieść nadeszła z Rzymu. St.Clair musi zostać powstrzymana. Za wszelką cenę. Musi...

Diego rozluźnił uścisk.

– Z Rzymu? Rzym chce powstrzymać St.Clair za wszelką cenę? Ponieważ ona reprezentuje Konklawe w Waszyngtonie?

– Tak.

– *Es increíble*. – Diego odwrócił się od niego. – Madeline, uwolnij tego biednego głupca od męczarni.

Madeline stanęła przed jezuitą. Smukłymi, szponiastymi palcami pogładziła delikatnie jego zbroczoną krwią twarz. Zbliżywszy umazane krwią palce do ust, obessała je powoli i dokładnie. Nie spuszczała go z oczu. Ojciec Benedykt krzyknął:

– Zastryk. Powiedziałeś, że oszczędzisz mi tego. Ostatnie namaszczenie. Obiecałeś mi.

Diego ponownie zajął swe miejsce pośrodku za stołem. Obnażył kły w uśmiechu.

– Spójrz w oczy piekłu, ojcie Benedykcie. Spójrz głęboko, a ujrzysz w nich siebie.

Madeline szarpnęła prostą, białą suknię, którą miała na sobie. Szata zsunęła się do jej stóp. Kobieta stanęła przed jezuitą naga. Jej ciało miało doskonałe kształty ledwo budzącej się kobiecości i miało je od ponad osiemdziesięciu lat.

– *Nous connaissons ce que vous rêvez* – szepnęła do niego i sięgnęła zwilżoną dłonią do jego krocza. A jezuita o starym i poszarpanym ciele, stojąc w obliczu demonów, z którymi walczył z daleka przez te pięćdziesiąt lat, jakie służył Ojcu Świętemu, niech Bóg okaże łaskę, zareagował na jej dotyk. Moc *yberów* dosięgła go i zhańbiła. Kobieta ścisnęła jego twardość, przycisnęła swe ciało mocno do niego i siłą przyciągnęła jego okrwawione usta do swych własnych. Jej kły rozcięły głęboko jego wargi i wtedy poczuł, jak go wysysa, czuł skurcze jej żarłocznego przełykania i ucisk jej dłoni, którą go ciągnęła. Jej wargi przesuwające się po jego ciele zostawiały ślady krwi z jego ust.

– Wiemy, o czym marzysz – szepnęła mu do ucha z gorącym oddechem, podniecając go jeszcze bardziej. Wbiła kły w miękki płatek jego ucha. Przesunęła się jeszcze niżej.

Jezuita wyszeptał słabym głosem:

– O Boże, o tak. – A potem wgryzła się w jego szyję, a on wytrysnął w jej głębi, podczas gdy ona ssała, przełykała i napełniała się nim. A kiedy nasyciła się, inni zajęli jej miejsce.

Ciało ojca Benedykta leżało bezwładne i puste na posadzce sali zebrania. Został wysysany, nim mógł przystąpić do ich specjalnej komunii. Nie powstanie już z martwych. Ellen, ostatnia z istot, która rzuciła się na niego, odstąpiła od zwłok z rumieńcem pałającym na białych policzkach.

– Ellen, co sądzisz o jego bełkocie? – Diego nie brał udziału w obrzędzie. Pogrzeżył się w głębokich rozmyślaniach w czasie, gdy pozostali zajmowali się księdzem.

– To obłąd – powiedziała Ellen. – Oni wszyscy są obłąkami. – Wytarła strużkę krwi jezuitę ściekającą jej z kącika ust.

– Oczywiście – przyznał Diego. – Lecz niezależnie od powodów, których szczerze mówiąc, nie potrafię pojąć, wydają się równie zdecydowani jak my zabić St.Clair. Szkoda byłoby, gdyby taki święty zapal poszedł na marne.

– O czym myślisz? – spytała Madeline. Wciąż naga, wyciągnięta w fotelu swe rozluźnione i ospałe ciało. Była nasycona do granic możliwości.

– Sądzę, że należy wysłać wiadomość do Rzymu. Skorzystamy z imienia tego księdza i powiemy im, gdzie St.Clair wylądowała. Powinno upłynąć przynajmniej kilka nocy, nim zauważą jego nieobecność. A na wypadek, gdyby człowiek pana Kinga nie okazał się tak zdolny, na jakiego wygląda, powiemy im nawet, że człowiek ten jest jednym z jej chowańców. – Diego uśmiechnął się. Wszystko układało się doskonale. – Wtedy zaoszczędzimy sobie fatygi eliminowania go własnoręcznie, a ponieważ jezuita są tak niedoświadczeni w tych sprawach, z całą pewnością będzie to paskudna afera. Zabawnie będzie popatrzeć, jak starają się uniknąć pokazania się w ludzkiej prasie.

Pozostali podzielali rozbawienie Diega. Jezuita to tacy głupcy.

– A potem – rzekł Diego – zostanie nam tylko dowiedzieć się, dlaczego sądzili, że istnieje związek między Adrienne St.Clair a Waszyngtonem. – I dowiedzieć się, czy ona wie o Planie Ostatecznym, pomyślał.

– Czy nie mogła porozumieć się z nimi? – spytała Ellen. – Czy oni nie posiadają urzędzeń, jakie są jej potrzebne?

– Nie, nie zaufałyby im. Bałyby się ich wojska i tego, że mogą ją wykorzystać. Nie, tego jestem pewien. Nie skontaktowałyby się z nimi. – Chyba, żeby wiedziała, co planuje Konklawe, pomyślał.

– Czy oni mogli w jakiś sposób skontaktować się z nią? – Było to niewyobrażalne, lecz Diego był zadowolony, że Madeline zadała to pytanie.

– Dla dobra Konklawe, to nie może być prawdą. Lecz musimy się tego dowiedzieć. – A może Amerykanie, wsparci całym swym przemysłem i nauką, sami na to wpadli? To by wyjaśniało kwestię. Wiedzieli, jaka straszliwa przyszłość ich czeka. Zobaczyli w

St.Clair sprzymierzeńca. I byłaby nim. Jako jedyna spośród *yberów* i istot ludzkich na świecie, była w stanie obrócić wniwecz Plan Ostateczny i ocalić przyszłość ludzi.

Diego machnął dłonią w kierunku większego ze swych dwóch chowańców. Zbliżając się do swego mentora, młodzieniec zaczął odwijać czarną tkaninę z szyi.

Najpierw Diego nasyci się. A potem zajmie się przesłaniem wiadomości Rzymowi. Musi to być wiadomość absolutnie jasna i zrozumiała. Musi rozwścieczyć ich. Konklawe musi zatrzymać St.Clair za wszelką cenę. Nawet jeśli w pewnym stopniu oznaczałoby to współpracę ze znieawidzonym wrogiem, jezuitami.

Ona może wszystko zniszczyć, pomyślał Diego, zagłębiając kły w chętnie ciało swego chowańca.

Ciekawe czy wie o tym?

Krew była ciepła i sycąca. Diego pomyślał o wiadomości, jaką pośle jezuitom.

I był pewien, że rozwścieczy ich.

ROZDZIAŁ VIII

Anthony Weston, major Armii Stanów Zjednoczonych, przejrzał dokumenty i fotografie leżące na jego biurku, nie widząc ich naprawdę. Wiedział, że są inne, pilniejsze sprawy wymagające jego uwagi, lecz paralizująca niechęć do ruszenia się nakazywała mu siedzieć za biurkiem i nie pozwalała zacząć niczego nowego, dopóki nie odezwie się telefon i nie powie mu, że ustalono miejsce pobytu obiektu.

Olbrzymim wysiłkiem woli zmusił się przynajmniej do uporządkowania biurka. Zaczął wsuwać papiery do szarego, metalowego pojemnika na akta. Po raz ostatni spojrzął na wykonane na błyszczącym papierze zdjęcia rozmiarów 20 na 25 cm, przedstawiające trzysta czterdzieści szczurów uduszonych gwałtownym wzrostem temperatury w laboratorium w Berkeley. Nic dla niego nie znaczyły. Miał na sumieniu dużo gorsze rzeczy niż śmierć szczurów.

Waszyngton D.C., 16 stycznia

Wśród dokumentów znajdowała się kserokopia jego listu, odmawiającego przyznania funduszy na wznowienie eksperymentu. Wiedział, że będzie musiał odpowiedzieć temu młodemu doktorowi, którego umieścił w Instytucie Haaberling (nie pamiętał jego nazwiska), lecz to nastąpi później. Eksperyment został przerwany. Tylko to teraz było ważne.

Weston wyglądał na dużo starszego niż był w rzeczywistości. Od czasu, gdy wyznaczono go na stanowisko dyrektora, wysiłek postarzył go niewiarygodnie. To właśnie przydarza się prezydentom, pomyślał. Wkraczają do Owalnego Gabinetu z błyskiem w oku i świeżymi twarzami, a potem zaczynają się narady. Zaczynają dzwonić cisi, ponurzy panowie. Szeptem przekazują swe sekrety nowemu dowódcy, a po kilku miesiącach ciężar daje o sobie znać. Warunki i sytuacje, z którymi cisi panowie radzili sobie od lat, wkraczają w życie prezydenta w ciągu kilku chwil. W ciągu czterech lat starzeją się o dziesięć. Dla żadnego z nich nic już nie będzie takie same. Weston jednak nigdy nie był w Owalnym Gabinetecie. Pewnych tajemnic w Waszyngtonie nie można było powierzyć komuś, kogo władza polega na zdolności apelowania do ludzi. Taka podstawa władzy jest zbyt niestabilna. Prawdziwa władza w rządzie nie podlega tak zmiennym warunkom. Weston i jego ludzie zachowywali swe sekrety dla siebie.

Zamknął dokumenty w pojemniku. Zostaną zaklasyfikowane jako nie istniejące. Nigdy nie znajdą się w archiwum, gdzie ktoś nie mający związku z Westonem i Projektem Nevada mógłby mieć do nich dostęp.

Weston spojrział na ścianę gabinetu, rozmyślając o rozdrobnieniu, które rozprzestrzeniło się po Waszyngtonie niczym pęknięcia na cienkim lodzie. Tyle osobnych kawałków luźno unoszących się. Ile było w mieście takich akt jak te jego? Jakie inne niewyobrażalne tajemnice skrywały się pod jednym tylko kluczem, ponieważ nikt nie mógł zaufać centralnemu archiwum? Czasem późno w nocy, gdy sen wymykał mu się, zaczynał myśleć, że może gdzieś tam istnieje podobny projekt do jego projektu; równie spowity tajemnicą, tak że nikt inny nie wiedział, że ich działania są powielane, lecz odmienny od jego własnego. Ten projekt znajdzie odpowiedź.

Weston wiedział, że to niebezpieczna myśl i wiedział, co się za nią kryje.

Zapędzano go w zbyt wiele ślepych uliczek. Musiał nakazywać wykonanie zbyt wielu odrażających rozwiązań. Pośpiesznych, spanikowanych, morderczych. Niektóre rozwiązania zostały przyjęte bez trudu. Jak w przypadku tego młodego doktora od szczurów, który trafił do Sztokholmu. Nawet nie domyślił się, że kupiono go i przerwano eksperyment. Lecz inni, szczególnie starsi, którym nie tak łatwo było zawrócić w głowie i zamydlić oczy, byli dużo bardziej uparci. Tragiczne wypadki samochodowe organizowano w sposób nieomal regularny. Strata dla naukowego potencjału kraju była ogromna, szczególnie obecnie, gdy tak rozpaczliwie potrzebowano go. O moralnych kosztach Weston przestał myśleć dawno temu.

Wraz z objęciem stanowiska dyrektora przyszło zrozumienie faktu, iż pewne działania należy uważać za niezbędne w sytuacjach skrajnych. Pogodził się z tym wiele lat temu. Wszystko wypływało z tej decyzji. Ostatnio decyzja ta coraz częściej przychodziła mu na myśl, lecz odpychał ją od siebie. Teraz czas nie był odpowiedni na zmianę zdania.

Kaszlnął. Przeszył go ból, od którego cały zeszytniał. Jego głęboko poślóbia zmarszczkami twarz wykrzywiła się. Był sam w gabinecie, więc mógł sobie na to pozwolić. Nigdy przy swych ludziach. Klucie zelzało do tępego bólu w piersi. Powstrzymał się od chęci ponownego kaszlnięcia. Tak, już go doganiało. On gonił je, lecz ono wcześniej wzięło go na celownik. Czas nie tylko tego kraju dobiega końca. Przynajmniej nie doczeka czasów, by to zobaczyć. To cierpienie zostanie mu oszczędzone. Spośród wszystkiego, z czym miał do czynienia w ciągu ostatnich czterech lat, tylko ta myśl naprawdę go przerażała. To się skończy.

Ale nie dzisiaj. Dziś jego płuca pracowały, a kraj był bezpieczny w swej nieświadomości. W przeciągu tygodni to poczucie bezpieczeństwa nieubłaganie skruszy się i rozsypie, a wtedy będzie zmuszony pójść do kogoś. Z pewnością nie do prezydenta. Z pewnością do żadnej z osób, które mu przychodziły na myśl. Wszystko było zawieszona czujnie i nieruchomo w wyczekiwaniu na dźwięk telefonu.

Wreszcie telefon zadzwonił.

Agent Westona po drugiej stronie linii przekazał lokalizację.

– Kontaktem jest Leung. Ona jest w Toronto.

Umysł Westona wyrwał się ze stagnacji wyczekiwania. Gdyby skontaktowała się z namierzonymi lekarzami w Waszyngtonie czy Chicago, czy w którymkolwiek z dużych amerykańskich miast, to byłby już koniec. Przestrzeń była stanowczo zbyt otwarta, a ona zginęłaby, zanim można byłoby wynegocjować odpowiednie warunki. Kanada oznaczała szansę, że Projekt Nevada będzie pierwszy. W jego umyśle wrzało od możliwości.

– Czy wkrótce jesteśmy w stanie uruchomić tam zespół? – powiedział szybko. – Czy możemy dostać specjalne zezwolenie od konsula, by ściągnąć Królewską Konną?

Jego agent odpowiedział:

– Davis jest na miejscu i prowadzi ostatnie negocjacje z Leungiem. Davis jest przekonany, że zgodzi się na pełną współpracę.

Każdy będzie na właściwym miejscu w czasie pierwszych posunięć dziś wieczorem. Davis mówi, żeby nie sprowadzać Królewskiej Konnej. – Agent przerwał, zastanawiając się, ile może powiedzieć nawet na zabezpieczonej linii. – Ktoś już ich sprowadził.

Weston nieomal spodziewał się tego, lecz mimo to poczuł zaskoczenie. Rzym również zlokalizował cel. Pozostali nie fatygowałiby się ściągać Królewskiej Konnej. Ale jak tego dokonali?

Jego ludzie będą teraz działać w przyjaznym kraju bez ograniczeń. Mimo to, dyplomatyczny incydent doprowadziłby wszystko do kulminacji zaledwie kilka tygodni wcześniej. W końcu nie było niczego do stracenia.

– Załatw obserwację i ochronę. Będę tam w ciągu dwudziestu czterech godzin, żeby nawiązać pierwszy kontakt. – Po drugiej stronie panowała cisza.

– Jack – powiedział wreszcie Weston, zwracając się do agenta po imieniu. – Wiesz, że to koniec. Nie ma nic więcej.

– Poradzimy sobie – tylko tyle powiedział agent. Telefon umilkł.

Weston przełączył się na drugą linię i zaczął przygotowania do podróży.

Wszystko zależało od tego ostatniego wysiłku.

Jeśli poniosą klęskę, już nic nigdy nie będzie miało znaczenia.

ROZDZIAŁ IX

Samolot był prawie pusty i Helman siedział sam w rzędzie przy oknie, spoglądając niewidzącym wzrokiem na ciemną w mroku nocy wodę. Lot z La Guardia dobiegał końca. Okropieństwo, które spowoduje, wkrótce się rozpocznie.

Powiedziano mu, jak nazywa się jego ofiara, a poza tym niewiele więcej. Nie miał pojęcia, co zrobiła im Adrienne St.Clair, co mogła uczynić im jedna osoba, że zareagowali w taki sposób. Mógł się tylko domyślać, że skutki jej działań były straszliwe, warunki bowiem, jakimi obwarowano to zlecenie, były najokrutniejszymi, jakie kiedykolwiek przyjął.

– Musimy dać przykład, panie Helman – powiedział wtedy jeden z osobników w czarnych maskach. – Kobieta ta zeszała z naszej drogi na inną ścieżkę, a każdy, kogo kusiliby pójść w jej ślady, musi wiedzieć, jaka nagroda go czeka. Warunki muszą zostać wypełnione co do joty! – Ostatnie zdanie zabrzmiało jak syk, jak parsknięcie rozwścieczonego zwierzęcia. Helman poczuł pierwsze dotknięcie czułków koszmarnej dezorientacji; dojmującego uczucia, że coś jest nie tak, które wyłaniało się z otchłani jego umysłu niczym jakieś mgliste przecucie. Takich ludzi nie ma naprawdę.

W kabinie rozległ się brzęczyk towarzyszący świetlnemu napisowi: „Proszę Nie Pa-lić/Zapiąć Pasy” i Helman powrócił do rzeczywistości, spoglądając na zbliżające się światła miasta. Samolot przechylił się i zaczął podchodzić do lądowania. Helman zastanawiał się, czy nie byłoby lepiej, gdyby tym razem rozbił się.

Toronto, 16 stycznia

Cztery lata wcześniej Helman spędził miesiąc w Toronto w „rezerwie”. Walka o władzę, na którą miały wpływ organizacje przestępcze w przeważającej mierze z francuskojęzycznego Montrealu, zagrażała stabilności kontroli wywieranej przez torontońską rodzinę na ogólnokanadyjski przemysł budowlany. Helman przypuszczał, że jego i co najmniej pięciu jeszcze podobnych fachowców sprowadzono do Toronto dla zademonstrowania

siły i jako ubezpieczenie na wypadek, gdyby konflikt rozniósł się poza granice Montrealu i trzeba było usunąć przeszkody.

Wydarzenia potoczyły się tak, iż w Montrealu wydarzył się starannie wyreżyserowany wypadek z udziałem dobrze znanej osobistości świata politycznego. Szczegóły związane z owym wypadkiem wystarczyłyby, aby zniszczyć karierę tego polityka. Natychmiast ocenił on sytuację i skapitulował tego samego wieczoru. Pewne elementy podłożonych dowodów usunięto ze sceny wypadku, a kiedy historia wydostała się na scenę publiczną, nawet gazety w swoich doniesieniach były współczująco nastawione do polityka.

Przyszłość polityka została zabezpieczona, poczyniono ważne ustępstwa, a pięć dni później bomba zapalająca w nocnym klubie w Montrealu wyeliminowała ostatnie przeszkody stojące na drodze do porozumienia. Zagrożenie zostało powstrzymane, a Helman i pozostali mogli swobodnie opuścić Toronto, dobrze opłaceni za miesiąc oczekiwania.

Helman słyszał, że dwa lata później dociekliwi reporterzy odkryli niepokojące dowody na to, że przez miesiąc w Toronto przebywało zgromadzenie płatnych morderców. Reporterzy wyjaśnili to, twierdząc, że był to element próby umocnienia władzy gangów motocyklowych nad handlem narkotykami w okolicy.

Helman nigdy nie był pewny, czy wypadek ten wskazywał na to, że policję i prasę kanadyjską tak łatwo przekupić, czy że po prostu są tak głupi. W każdym razie nie podobało mu się, że miał zatrzymać się w tym mieście i nie podobał mu się fakt, iż miał to być teren sprzątnięcia Adrienne St.Clair.

Przejsie przez odprawę celną i odebranie bagaży potrwało kilka minut. Helman wyszedł z odgradzonej części wprost na ścianę pełną automatów telefonicznych. Po raz pierwszy był sam od chwili, gdy go przejęto na Times Square. Po zakończeniu spotkania pan King znów dotknął karku Helmana i Helman przestał być świadom czegokolwiek aż do chwili, gdy zbudził się w samochodzie na parkingu lotniska La Guardia. King, który był obok niego, towarzyszył mu po odbiór biletu, a potem odprowadził do poczekalni. Wreszcie Helman mógł swobodnie zadzwonić do siostry.

Zamówił rozmowę na koszt odbiorcy. Słuchawkę podniesiono w połowie pierwszego dzwonka i Helman usłyszał, że Miriam zgadza się na zapłacenie kosztów rozmowy.

Przywitał się, a Miriam zaczęła płakać.

– Powiedział, że nic ci się nie stało, lecz nie mogłam być pewna.

– Kto powiedział, że nic mi się nie stało? – Helman musiał przycisnąć dłoń do drugiego ucha, żeby usłyszeć, co mówi siostra. – Z kim rozmawiałaś?

– Z człowiekiem, który zadzwonił w nocy, zanim wyjechałaś. – Głos Miriam brzmiał płasko i dochodził z bardzo daleka. Helman zdał sobie sprawę, że na linii jest podsłuch. Albo było to stare, prymitywne, bezpośrednie podłączenie, które pobierało z linii znacznie więcej mocy, niż powinno, albo celowo miało powodować zakłócenia, żeby Helman wiedział, że każdy jego ruch został przewidziany. Znów dosięgła go grupa z Nowego Jorku. Gdyby powiedział siostrze, żeby zabrała dzieci i uciekła, wątpił, czy zdołałyby dotrzeć do drzwi. Stanowiła gwarancję dla grupy i pod tym względem mieli rację. Zrobi wszystko, żeby nie uczynili im krzywdy.

– Cóż, miał rację – Helman wrzasnął do telefonu. – Wszystko jest w najlepszym porządku. Powinienem wrócić za kilka dni. Jak się mają chłopcy? – Rozpaczliwie myślał o tym, co mógłby jej powiedzieć. Jakoś ją ostrzec, powiedzieć jej, żeby uciekała. Nigdy jednak nie mieszał siostry do spraw związanych ze swoją pracą, poza tym pierwszym razem. Nie miał umówionych szyfrów, aby jej przekazać, żadnych przygotowanych wcześniej planów.

Wszyscy związani byli z losem Adrienne St.Clair. Tylko jej śmierć okupi ich wolność.

Reszta rozmowy była krótka i pozbawiona znaczenia. Głos Miriam brzmiał spokojniej, kiedy żegnała się z nim z ulgą, że żyje i wkrótce wraca do domu. Nie miała pojęcia, jaką rolę odgrywa. Helman był wdzięczny za to. Gdyby coś stało się jej lub jej rodzinie, był zdecydowany za wszelką cenę zniszczyć grupę z Nowego Jorku.

W recepcji hotelowej do Helmana podszedł mężczyzna w długim, czarnym, skórzanym płaszczu i Helman od razu wiedział, że człowiek ten jest jego łącznikiem z Nowego Jorku.

Mężczyzna był wysoki, smukły i miał tak samo doskonałe zęby, jakimi mógł się pochwalić King. Musiał czekać na zewnątrz na przybycie Helmana, jego ręce bowiem

były zaskakująco zimne, kiedy wyciągnął doń na powitanie, jakby byli współnikami w interesach, udającymi się właśnie na spotkanie.

Stojąc tak blisko mężczyzny w jaskrawym świetle padającym z wysokiego sufitu holu hotelowego, Helman dostrzegł dziwną plamę na kołnierzyku koszuli mężczyzny. Był to ślad pudru, który miał on na szyi.

– Dobry wieczór, panie Osgood – powiedział mężczyzna, używając „zasłonowego” nazwiska Helmana i potrząsając jego dłonią. – Nazywam się Rice. Jestem pewien, iż powiedziano panu w biurze, że należy się mnie spodziewać.

Helman skinął głową. Pan Rice miał na twarzy makijaż. Nie zniewieściały, nie przejaw nowej męskiej mody, lecz raczej przypominający charakteryzującą teatralną, podkreślającą już istniejącą tonację i cienie. Helman był pewien, że nie miało to służyć przebraaniu, lecz nie przychodziło mu do głowy nic, czemu mogłoby.

W nieco bardziej przyćmionym oświetleniu windy charakterystyce nie sposób było zauważyć. Rice wyglądał jakby był bratem Kinga, lub był w jakiś inny sposób z nim spokrewniony. Helman jednak nie wypytywał go. Im mniej według nich wiedział, tym większe było prawdopodobieństwo, że zostawią go przy życiu po zakończeniu zadania. Jeśli już nie postanowili go zabić.

Helman dał napiwek chłopcu hotelowemu i dwaj mężczyźni zostali sami w pokoju. Był to typowo północnoamerykański styl pudełkowy: łazienka po prawej stronie przechodziła w mały korytarzyk wejściowy do prostokątnej przestrzeni z dwoma podwójnymi łózkami, dwoma krzesłami i kilkoma szafkami i stolikami. Latem pokój kosztowałby drożej, miał bowiem rozsuwane szklane drzwi, które prowadziły na balkon z widokiem na basen na podwórku trzy piętra niżej. Basen jednak był teraz przykryty płachtą, a balkon przyprószoney śniegiem.

Rice odezwał się pierwszy. Rzucił swoją aktówkę na łóżko.

– Oto ostatnie szczegóły, zabójco. Przystudiujemy je.

Kolejne zaskoczenie. Głos Rice'a brzmiał inaczej, teraz gdy zostali sami. Przeszedł z nie wyróżniającego się niczym, monotonnego akcentu w przeciągły, syczący szept Kinga i pozostałych z nowojorskiej grupy. Czyżby poddawali Helmana szczególnie wyrafinowanej formie warunkowania podświadomego? Podsuwali mu niezliczone ilości fałszywych wskazówek, pozornie związanych ze sobą sugestii, które prowadzą donikąd,

na wypadek, gdyby go schwytano? A może rzeczywiście są aż tak dziwni?

Helman zrzucił płaszcz i przysunął sobie krzesło do rogu łóżka. Aktówka była z taniego plastiku wytłaczanego we wzór imitujący chropowatość skóry, całkiem nowa, jakby Rice nigdy nie potrzebował aktówki aż do dzisiejszego wieczoru, gdy polecono mu dostarczyć materiały. Mimo to Helman nie otworzył jej.

– Czy istnieje jakiś specjalny sposób otwierania jej? – spytał.

Rice zniecierpliwił się.

– My nie musimy bawić się w takie gry, zabójco. Jeśli nie chcemy, żeby oglądano jakieś dokumenty, nie zostawiamy ich w miejscach, gdzie można mieć do nich wgląd. Nasze teczki nie eksplodują. – Otworzył aktówkę. W środku znajdowała się jedna duża, brązowa koperta. Poza metką producenta owiniętą wokół zapięcia wewnętrznej kieszeni, wewnątrz nie było niczego innego.

Rice otworzył kopertę i wysypał jej zawartość. Na wierzchu leżało czarno-białe zdjęcie kobiety wielkości 20x25 cm. Była to kopia fotografii, którą Helman uznał za stare zdjęcie paszportowe. Kobieta miała ciemne włosy zaczesane do góry w sztywną fryzurę popularną wiele lat temu. Prawdopodobnie we wczesnych latach pięćdziesiątych, pomyślał Helman.

– Oto ta kobieta, Adrienne St.Clair. Proszę dokładnie przyjrzeć się fotografii. Nie będziesz mógł jej zatrzymać. Ani też tego – powiedział Rice, wskazując na resztę materiałów na łóżku – z wyjątkiem mapy.

Helman przysunął sobie zdjęcie bliżej. Kobieta wyglądała atrakcyjnie, pomimo nietwarzowej fryzury. Miała mały podbródek i usta, oczy nieco zbyt szeroko rozstawione, a twarz jakby napiętą albo przez płaskie kości policzkowe, albo zapuchnięte oczy. Nie był w stanie stwierdzić, co było tego powodem. Coś w jej wyglądzie podsuszało mu myśl, że jest Brytyjką. Był pewien, że potrafiłby ją rozpoznać, gdyby ją zobaczył, lecz fryzurę miała staromodną.

– To wyraźne zdjęcie dla celów rozpoznawczych, lecz wygląda na pochodzące sprzed trzydziestu lat. Jak ta kobieta wygląda dzisiaj?

Rice westchnął.

– Fotografia jest znacznie nowsza niż się zdaje. Fryzura i makijaż były częścią przygotowań do specjalnego zadania, jakie miała wykonać. Obecnie wygląda niemal tak samo. Jej włosy są krótko ostrzyżone i rude, jeśli nie są zmienione. – Rice podniósł

kartkę papieru leżącą pod zdjęciem i przeczytał. – Ma około trzydziestu lat, wzrost 165 cm, waży około czterdziestu pięciu kilo. Jest oburęczna i, jak powiedzieli moi koledzy w Nowym Jorku, obeznana z wieloma technikami tak zwanych „sztuk walki”. Jeśli znajdziesz się w zasięgu jej rąk podczas gdy będzie przytomna, nie spodziewam się, że żyjesz dłużej niż kilka sekund.

Helman skinął głową, powiedziano mu o tym już wcześniej. Jeśli przeszła to samo szkolenie, co King, który potrafił paraliżować w ciągu sekund, Helman nie miał powodów, by w to wątpić.

Wiele pytań cisnęło mu się na usta.

– Wspominał pan, że jej włosy są czasami zmienione. Czy tak jest również w tej chwili?

Rice potrząsnął głową.

– Nie, ona sądzi, że jest dobrze zabezpieczona i nie poczyniła żadnych kroków, by zmienić swój wygląd.

– Co to znaczy dobrze zabezpieczona?

Rice pogrzebał w stercie papierów na łóżku. Podał Helmanowi dwa następne zdjęcia. Na pierwszym widniał mężczyzna wschodniej rasy. Miał okulary w ciemnej oprawce, a tuż przy krawędzi fotografii Helman dostrzegł szalik na jego szyi. Kłęb oddechu unosił się z jego ust. Tło zdjęcia, otwarte podwórko czy coś w tym rodzaju, z kilkoma nagimi drzewkami, było ściśnięte, wskazując, że zdjęcie zrobiono przez teleobiektyw.

– Zrobiono je miesiąc temu. To doktor Christopher Leung. Jest pracownikiem Wydziału Medycyny Uniwersytetu Toronto. Kobieta mieszka z nim w jego domu w mieście.

Drugie zdjęcie, które sądząc po odbiciu w rogu i pewnym rozmazaniu, wykonano z jadącego pojazdu, przedstawiało pięć domów w szeregu. Miały wysokość czterech pięter, były bardzo wąskie i nowoczesne w wyglądzie. Na brzegu zdjęcia widoczna była połówka znacznie starszego, większego domu, co wskazywało na to, że domy te wybudowano w starej okolicy.

– Dom doktora Leunga to ten pośrodku. – Rice przerwał na chwilę. – Powiedz mi o swych planach, zabójco, a ja podam ci każdą dodatkową informację, jaką powinienes znać.

Helman spoglądał na zdjęcia lekarza i kobiety. Nie wyglądali na parę, której należałoby poświęcać tyle uwagi.

– Co łączy tę kobietę z lekarzem? Są kochankami?

Rice był oburzony.

– To całkowicie wykluczone.

– Skąd pan wie? – Pojawiła się kolejna osobliwość.

– Możesz mi wierzyć na słowo, zabójco. Ja mam tylko powiedzieć ci, co musisz wiedzieć, by wykonać swoje zadanie.

Helman starał się nie podnosić głosu w pokoju hotelowym o cienkich ścianach. Wskazał na fotografię domu.

– Spójrz, te górne pokoje to najprawdopodobniej sypialnie. Jeśli są kochankami, będę musiał dostać się z materiałem wybuchowym lub gazem tylko do jednego pokoju. Jeśli nie, będę musiał zaatakować kilka pokoi jednocześnie.

– Rozumiem twój punkt widzenia, lecz możesz być pewien, że będą spali osobno.

Kobieta najprawdopodobniej będzie w pokoju w piwnicy.

– I znów nie powie mi pan, dlaczego. Mam po prostu pogodzić się z tym.

Rice uśmiechnął się.

– Właśnie tak, zabójco. Pogódź się z tym.

Helman opadł na oparcie krzesła i potarł twarz. Spróbował jeszcze raz.

– Co więc ich łączy?

Rice znów westchnął. Helman zastanawiał się, czy zawsze robił to przed udzieleniem najbardziej podejrzanych odpowiedzi.

– Sądźmy, że kobieta zaraziła się rzadką chorobą. Najprawdopodobniej tropikalną. Nie jest to choroba śmiertelna. W najlepszym przypadku utrudniająca życie. W najgorszym powodująca paraliż. Sądźmy, że kobieta umówiła się z doktorem, by rozpocząć leczenie. Każdego wieczoru towarzyszy lekarzowi do laboratorium badawczego na uniwersytecie. Po wyleczeniu będzie mogła znów działać przeciwko nam.

Helman był przekonany, że Rice kłamie.

– A więc, dopóki jest tu z lekarzem, nie działa czynnie przeciwko wam?

Rice nachylił się, kipiąc ze złości.

– Jej istnienie działa przeciwko nam! – Poręcz fotela, którą ścisnął w dłoni, trzasnęła niespodziewanie. Helman pomacał poręcz swego fotela. Była solidna.

Rice odsunął się.

– Pomyśl, zabójco. Co zrobisz, żeby usunąć ją z naszej drogi?

– Będzie mi potrzebny jeden dzień. Muszę obejrzeć ten dom. Być może również laboratorium, do którego chodzą. Muszę nawiązać kontakt. Sprawdzić sąsiedztwo. Sam.

– Jeśli potrzeba ci dnia, proszę bardzo. – Rice wstał i poszedł po płaszcz. – Adres domu jest na odwrocie zdjęcia. Budynku uniwersytetu również. Możesz zatrzymać mapę miasta. Wszystko inne zabiorę.

Helman wyjął zwykłą składaną mapę ze sterty i sprawdził adres na zdjęciu. Rice zgarznął resztę materiałów i umieścił je w taniej, plastikowej teczce.

– Zobaczmy się jutro wieczorem. Ufam, że do tej pory będziesz miał już gotowy plan, abyśmy nie byli zmuszeni udać się do kogoś innego.

Helman nic nie odpowiedział. Rice wziął aktówkę i wyszedł.

Helman spędził pół godziny pod prysznicem, puszczając na zmianę wodę parująco gorącą i lodowato zimną. Zbyt wiele przydarzyło mu się w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Paczka i telefon w New Hampshire. Niepotrzebna zabawa w kotka i myszkę, zakończona w Nowym Jorku. A teraz dwie odprawy, podczas których informacji udzielili mu najdziwniejsi ludzie, z jakimi miał do czynienia – i najniebezpieczniejsi. Ludzie, którzy bez wyraźnych powodów nosili nie rzucający się w oczy makijaż. Ludzie zamaskowani na czarno; do niektórych z nich zwracano się „mój panie”. W głowie mu się od tego kręciło.

Wreszcie położył się na jednym z łóżek i pomyślał o wykonaniu zlecenia. Wsadzenie w powietrze domu w każdej innej sytuacji byłoby idealnym rozwiązaniem, lecz nie było odpowiednie dla Adrienne St.Clair. Warunki muszą zostać wypełnione co do joty! – tak mu powiedziano. Tak czy inaczej, Helman będzie musiał dotrzeć do Adrienne St.Clair na tyle blisko, by ściąć jej głowę.

Sen, kiedy już nadszedł, nie był spokojny. A zakończył się krzykiem.

ROZDZIAŁ X

Po cichu wślizgnęło się na górę po otwartych schodach i oślizgłe owinęło się wokół jego kostek. W tym momencie niesamowitego przerażenia ciemność pod nim znikła i ujrzał wyraźnie, co czeka na niego w piwnicy.

Maski opadły im z twarzy, pofrunęły jak czarne strzępy. Charakteryzacja zmarszczyła się i zaczęła ściekać jak topniejący wosk. Byli wszyscy razem i czekali na niego tam na dole. Uśmiechali się i wtedy zobaczył...

Obudził go własny krzyk.

Helman szarpał się z przepeconym i skopanym prześcieradłem, które owinęło mu się wokół stóp i usiadł, roztrzęsiony. Znajdował się w delikatnym stanie przejściowym między snem a jawą. Jego umysł krył sekret Kinga i Rice'a i podszeptował mu go. Zadygotał, uświadomiwszy go sobie.

Jednak przez nieco odsunięte zasłony wpadały strumienie słońca, a z bliska dochodziły odgłosy ulicy. Świadomość znikła, zdmuchnięta niczym kurz, zostawiając po sobie tylko ostrzeżenie i uczucie lęku.

Helman znów wziął prysznic i ubrał się. Musiał zadzwonić jeszcze raz. Do swojego maklera, Maxa Telforda. Osoby, którą wymieniali zamaskowani ludzie, lecz nigdy z nazwiska. Anomalię należy sprawdzić.

Dwa miesiące temu, po sprawie Delvecchio, Helman powiedział Telfordowi o swojej decyzji wycofania się. Telford dobrze to przyjął. Helman miał wrażenie, że staruszek traktuje go nieco po ojcowsku. Z jednej strony skarżył się, w jak ciężkiej sytuacji zostawia go Helman; jak trudno przyciągnąć zawodowców zamiast dzieciaków, które naoglądały się filmów i chcą być płatnymi zabójcami, „torpedami”, jak nazywał ich pogardliwie Telford. Uważał, że lepiej byłoby dla nich, gdyby zostali najemnikami w Afryce czy Ameryce Środkowej, gdzie mogliby strzelać do upojenia i nigdy nie martwić się o świadków czy zabijanie cywili. A jednak, z drugiej strony, Helman czuł, że Telford cieszy się z tego, że opuszcza on zawód żywy. Telford pośredniczył w dwudziestu z dwudziestu trzech zleceń Helmana. Helman nie znał dokładnych danych statystycznych

pozostałych członków zespołu Telforda, lecz wyczuwał, że ilość jego sukcesów jest rekordem. Mimo to, Helman dawno nauczył się nie ufać uczuciom. Jakies trzy miesiące temu Telford był dla niego niczym ojciec. Helman jednak wiedział, jak szybko może się zmienić sytuacja w tym zawodzie. Telford mógł zostać przyciśnięty przez tę czy inną organizację, a w rezultacie przekazać swe „ubezpieczenie” dotyczące Helmana przedstawicielom grupy z Nowego Jorku.

Wszyscy w tym zawodzie mieli „ubezpieczenie”. Tajną skrytkę z informacjami, nazwiskami i datami, które kompromitowałyby i narażały na niebezpieczeństwo jak największą ilość współpracowników w przypadku przedwczesnej, bezzasadnej śmierci. Telford trzymał taką teczkę na każdego członka swojego zespołu. Helman miał taką na Telforda. Był to uznany i przyjęty fakt w tym zawodzie. I niezbędny. Zabójca bez ubezpieczenia przedstawiał sobą ostatni, łatwy do usunięcia luźny koniec. Zabójca bez ubezpieczenia był martwym człowiekiem.

Helman siadł na brzegu łóżka w pokoju hotelowym i zamówił międzynarodową rozmowę z restauracją w Miami. Telford był tam właścicielem kilku restauracji podających dania z ryb, a prowadził swe interesy „maklerskie” z biura na tyłach największej z nich. Turyści przychodzili i wychodzili, a tymczasem w kuchni Telford planował morderstwa. Jeśli Telford ujawnił zawartość swej ubezpieczeniowej teczki o Helmanie, co zazwyczaj czynili prawnicy po przedwczesnej śmierci klienta, Helman dopilnuje, aby ujawnienie to nie pozostało bez odzewu. Uczuciom nie wolno zawierzać. Będzie musiał sprzątnąć po St.Clair jeszcze jedną osobę: Maxa Telforda.

Telefon zadzwonił pięć razy. Helman posłyszał dźwięk podnoszonej słuchawki. Na każdej innej linii telefonicznej w restauracji odezwałby się głos podający nazwę lokalu i pytający, czego sobie rozmówca życzy. Pod numerem, z którym Helman uzyskał połączenie, głos powiedział tylko:

- Proszę mówić.
- Mówi Bryant. Chciałbym zarezerwować stół na dziewięć osób na następną środę, na 8.45. Prawdę mówiąc, będzie nas co najmniej sześcioro. Może dołączyć jeszcze pięć następnych osób. Jednakże rezerwacja na dziewięć osób powinna wystarczyć. – Helman zaczekał z drugą fazą sygnału, aż głos odpowie.

– Z przyjemnością, panie Bryant. Czy maître d'hôtel może jeszcze coś dla pana przygotować?

– Chciałbym, żeby należność pobrano z mojego konta, numer karty kredytowej 416...

Zgodnie z oczekiwaniem, głos przerwał:

– Wszystko w najlepszym porządku, panie Bryant. Jestem pewien, że mamy je w rejestrze. Czy to będzie przyjęcie?

– Tak, przyjęcie z niespodzianką. Przyniesiemy specjalny tort.

– Wspaniale. A więc, oczekujemy pana w środę. Do widzenia, panie Bryant.

Helman odwiesił słuchawkę, lecz nie wypuścił jej z dłoni. Była to najpilniejsza wiadomość, jaką kiedykolwiek posłał tą drogą. Jeśli sytuacja w Miami jest normalna, Telford w ciągu kilku minut dostanie wiadomość o tym, kto dzwonił, w jak pilnej sprawie, oraz numer telefonu i pokoju hotelowego, jaki Helman przekazał. Odpowiedź powinna nastąpić natychmiast.

Dwie minuty później Helman podniósł słuchawkę w połowie pierwszego dzwonka. Sytuacja w Miami była normalna. Albo upozorowana na normalną.

W słuchawce rozległ się chrapliwy głos Telforda.

– Cóż to za wielka „niespodzianka”, Granger? Wracasz z emerytury? – Głos był przyjacielski, może nawet uradowany. Telford jednak był również zawodowcem. Jego uczucia i ich pozory również należały do zawodowca.

Poza tym Telford zwrócił się do Helmana po imieniu. To znaczyło, że rozmowę przysyłano przez co najmniej dwie inne linie telefoniczne we florydzkiej sieci. Na jednej z nich zamontowano układ szyfrujący. Helman nie mógł być pewien, czy jego hotelowa linia telefoniczna jest bezpieczna, lecz nikt nie byłby w stanie prześledzić rozmowy ani podsłuchać jej od strony Telforda. Telford zakładał, że skoro Helman podał mu ten numer, linia jest bezpieczna.

– Zostałem zmuszony do tego, Max. – Helman przerwał. Zaczekał, aż powaga stwierdzenia dotrze do rozmówcy, pod warunkiem, że Telford nie jest właśnie tą osobą, która się za wszystkim kryje.

– Mów dalej. – Głos Telforda zmienił się. Zabrzmił w nim trzeźwy ton profesjonalisty. Telford zrozumiał wszelkie uwarunkowania. Właśnie takiej reakcji spodziewał się Helman i taką miał nadzieję.

– Wygląda na to, że ktoś dobrał się do mojego ubezpieczenia. Mam nadzieję, że to nie jakaś nowa taktyka, o której nie wiedziałem.

– Odczep się, Granger. Wycofałeś się. Ja twoją teczkę odłożyłem na półkę. Ktoś naciska na ciebie? Sądzisz, że to ja cię sprzedałem? – Telford był wyraźnie poruszony. Częściowo dlatego, że Helman zdawał się posądzać go o zdradę. Przede wszystkim jednak dlatego, że z powodu swoich podejrzeń Helman nie będzie miał innego wyjścia, jak ujawnić swoje własne ubezpieczenie na temat Telforda. Sytuacja może zrobić się nieprzyjemna. Telford był zmuszony już kiedyś zrobić coś podobnego, lecz nie cierpiał nadawać zlecenia sprzątnięcia kogoś z własnego zespołu.

– Mam nadzieję, że nie, Max. Zamierzam podać ci pewne szczegóły i chcę, żebyś powiedział mi, gdzie popełniłem błąd. Bo jeśli nie ja jestem winny, to musi być ktoś inny. – To musisz być ty, Max, pomyślał.

Telford milczał po drugiej stronie linii. Cała jego taktyka będzie zależała od tego, co Helman powie w ciągu następnych kilku minut. Jeśli ktoś inny z jego zespołu obróci się przeciwko niemu, tak jak odgrażał się że robi Helman, mogą być kłopoty. Helmana jednak znał, i mógł, a także potrafił, zniszczyć go.

W zaszyfrowanych słowach Helman szybko opowiedział mu całą historię: o ubezpieczeniu w paczce, ofercie w Nowym Jorku i zleceniu w Toronto. Kiedy skończył, Telford natychmiast włączył się.

– Zastanów się nad tym, Granger. Nigdy nie powiedziałaś mi, w jaki sposób wywabiłaś tę Delvecchio z domu. Ja nawet nie wiedziałem, że wydostałaś ją jakoś stamtąd. Przypuszczałem, że pewno załatwiłaś ją w samochodzie, kiedy jechała diabli wiedzą gdzie. Skąd mogłem wiedzieć o rybkach czy o mleku?

Telford mógł załatwić obserwację Helmana podczas wykonywania zlecenia na Delvecchio. Jeśli została przeprowadzona przez ludzi z Nowego Jorku, którzy spotkali go na Times Square, Helman był pewien, że nigdy by tego nie zauważył. Jednakże desperacja w głosie Telforda przekonywała go, że jego były makler nie miał z tym nic wspólnego. Przynajmniej świadomie. Helman wiedział, że w pewnym momencie będzie musiał zaryzykować, żeby się z tego wydostać. Postanowił zaufać swemu instynktowi.

– Masz rację, Max. Wiedziałem o tym. Musiałem jednak usłyszeć to od ciebie.

W głosie starego mężczyzny zabrzmiała niezaprzeczalna ulga.

- Co więc mogę dla ciebie zrobić, Granger? Jak mogę pomóc?
- Potrzebne mi są informacje o pewnej grupie z Nowego Jorku.
- Mafia?

– Też tak z początku myślałem. Sprawiają wrażenie zbyt dziwacznych. Być może to europejska organizacja. Pamiętaj, że życzą sobie rytualnego zabójstwa. Zobacz, czy nie uda ci się czegoś znaleźć na ten temat. Aha, Max, ktoś musi sprawdzić, co u mojej siostry i dzieciaków. Jestem pewny, że są obserwowani. Sądzę, że są gwarancją wykonania zlecenia.

– Jezu, Granger. Do czego to dochodzi? Żeby wciągać rodzinę? – Pod wieloma względami Max Telford był bardzo starym człowiekiem, którego miejsce było w prostszych czasach, gdy istniały jeszcze zasady. – Natychmiast pošlę tam kogoś, żeby to sprawdził. I zdobęde te informacje. Możesz na to liczyć.

- Liczę na to, Max. Kiedy zadzwonisz do mnie?

– Jeszcze dziś rano, nieco później, Granger. Natychmiast puszcze tę sprawę w ruch. Potem będę musiał zająć się trochę własnymi interesami. – Telford roześmiał się. – Hej, Granger. Jestem tu poważanym członkiem społeczności handlowej. Mam trzy restauracje. Miejscy politycy chcą się ze mną widywać. Możesz w to uwierzyć? Faceci, z którymi mam się dziś rano spotkać, to jacyś dwaj księża, albo coś podobnego. Chcą, żebym wspomógł przedszkole. Mam pomagać dzieciakom.

Granger uśmiechnął się, słysząc to. Każda oznaka normalności wzmacniała jego przekonanie o niewinności Telforda.

– Oby tak dalej, Max. W takim razie życzę powodzenia. Będę czekał na twój telefon.

– Nie zawiodę cię, Granger. Spójrz prawdzie w oczy. Jesteś jednym z wybrańców, jasne?

- Dzięki, Max.

Helman poczuł ulgę. Resztki nocnego koszmaru opuściły go teraz, gdy wiedział, że nie jest już z tym sam.

Zamówił śniadanie do pokoju i przeczytał poranne gazety, rozczarowany, iż tylko w jednej znajdowała się warta uwagi krzyżówka. Potem wyciągnął się na łóżku i czekał na telefon.

Pokojówki obudziły go tuż po pierwszej. Pukały do drzwi, pytając, czy mają posprzątać w pokoju.

Helman odesłał je. Zadzwoił do recepcji, lecz nie było dla niego wiadomości.

Telford powiedział, że zadzwoni rano. Było już popołudnie. Napięcie wróciło natychmiast.

Helman znów zadzwonił pod specjalny numer rezerwacji do Miami. Telefon zadzwonił pięć razy. Zadzwoił dziesięć razy. Wtedy posłyszał metaliczne stuknięcie i telefon znów zaczął dzwonić, choć sygnał zdawał się dochodzić z bardzo daleka, jakby rozmowę przełączono.

Tym razem telefon zadzwonił trzy razy. Potem beznamiętny głos komputera powiedział:

– Nie ma takiego numeru. Proszę sprawdzić w książce telefonicznej i zadzwonić jeszcze raz.

Helman był pewien, że się nie pomylił, lecz spróbował jeszcze raz. I znów to samo.

Wykręcił normalny numer restauracji. Telefon zadzwonił piętnaście razy, nim ktoś do niego podszedł. Helman poznał, że był to mężczyzna, który odebrał tego poranka rozmowę na specjalnej linii. Miał jednak zmieniony głos. Słysząc w nim było panikę.

– Chciałbym mówić z Maxem Telfordem – powiedział Helman.

Nastąpiła przerwa. Brzmiało to tak, jakby ktoś zakrył słuchawkę i rozmawiał z kimś jeszcze. Coś się działo w Miami. Helman wyczuł to tak samo, jak wtedy, gdy ujrzał furgonetkę odjeżdżającą spod gospodarstwa jego siostry w New Hampshire.

– Bardzo mi przykro, ale pana Telforda dziś od rana nie ma w biurze. Czy mogę coś...

– Ja już rozmawiałem z Telfordem dziś rano. Ja...

Mężczyzna po drugiej stronie linii telefonicznej odwrócił głowę od słuchawki i krzyknął do kogoś innego:

– To może być jeden z nich. Przełączaj. Stuknęło na linii. Odezwał się następny głos:

– Kto mówi?

– Chciałbym rozmawiać z Maxem Telfordem. Rozmawiałem już z nim dzisiaj i...

– To niemożliwe. – Głos był stanowczy. Nie dający możliwości sprzeciwu. – Telford nie żyje.

Helman zamarł. Zaledwie kilka godzin temu Telford proponował mu pomoc. Dzięki Telfordowi nie czuł się samotny.

– Kto mówi?– powtórzył głos.

– Nazywam się Bryant – powiedział Helman, posługując się swym kodem. – Bryant. Ten pierwszy mężczyzna, który odebrał telefon, przyjął ode mnie dziś rezerwację. Dziś rano. Max oddzwonił do mnie. Czuł się świetnie. Co tam się dzieje?

Znów przykryto słuchawkę. Kolejne stłumione głosy. Helman czuł się bezradny, jak marionetka zawieszona na wątlej nici połączenia telefonicznego. Na linię wszedł nowy głos.

– Mów prędko, Helman, albo sprzątniemy cię tak szybko, że nie doczekasz jutra. Numer już został namierzony i otrzymaliśmy właśnie sygnał alarmowy.

Szaleństwo.

– Kim jesteście? O czym wy mówicie?

– Jestem ostatnią osobą, jaką możesz spotkać w swym życiu, Helman. Telford wcisnął mi jakiś kit o sprawdzaniu organizacji dającej zlecenie na rytualne sprzątnięcie. Powiedział, że dowiedział się tego od ciebie. Mówił o obcięciu głowy.

– Co tam się dzieje?

– Więc po rozmowie z tobą idzie do swojego biura i znajdujemy go pół godziny później. Jezu Chryste, Helman, te skurwysyny obcięły mu głowę drutem. Pieprzonym drutem!

– Kto? Księża? – To było śmieszne, lecz jedyne, co mu przychodziło na myśl.

– Właśnie, Helman. Kto ci powiedział o księżach? Dlaczego zdradziłeś go, Helman? Co on ci takiego zrobił, żeby na to zasłużyć?

– Uwierzcie mi. Ja nic nie wiem. Prosiłem o informacje. Ci sami ludzie ścigają mnie...

– Nie tylko oni będą cię ścigać, Helman. Telford został zamordowany. Kiedy jego ubezpieczenie zostanie ujawnione, będziesz musiał...

Helman usłyszał w oddali krzyk kogoś innego. Usłyszał dźwięk słuchawki padającej na podłogę. Kolejne szurnięcia i krzyki. Polecenia. Potem był pewien, że usłyszał morderczy szmer broni w tłumikiem, a następnie ciężkie łomoty. Przysłuchiwał się obłędowi

Usłyszał, że ktoś podnosi słuchawkę w Miami. Nowy głos.

– Pan Helman? Nie ma się o co martwić z tej strony.

W słuchawce zapanowała martwa cisza.

Helman zadygotał.

Zadzwoił do starego przyjaciela, a teraz ten człowiek nie żył. Odcięto mu głowę garotą, której użyli ludzie przebrani za księży. Kolejna rozmowa i usłyszał, jak zastrzelono przynajmniej trzy następne osoby.

Obłąd schwytał go w swe sidła i szarpał nim. Helman sięgnął po pomoc, a znalazł się jeszcze głębiej w wirze, nadal nie mając pojęcia, co się dzieje, nie mając innego wyjścia, jak kontynuować wykonanie zlecenia usunięcia St.Clair.

Najbardziej brutalny wstrząs dosięgnął go wtedy właśnie, gdy z przerażeniem zdał sobie sprawę, że to wszystko się wydarzyło zanim on rozpoczął wykonywać zlecenie.

Beznamiętnie nałożył ciepły płaszcz i wysokie buty i wyszedł z hotelu, by sprawdzić warunki w okolicy domu doktora Leunga. Zlekceważył wszystko, co mówiło mu wyszkolenie i nie przewidział skutków swych zaplanowanych posunięć. Nie istniało nic rozsądnego, na czym mógłby oprzeć swe przypuszczenia. Nie mogło być gorzej.

Był jednakże całkowicie przekonany, że będzie.

ROZDZIAŁ XI

Majorowi Westonowi było zimno i ciasno na tyłach furgonetki obserwacyjnej. Czuł się jednak szczęśliwszy tu niż w ciepłym biurze w Waszyngtonie. Miał to samo uczucie, co w czasie lotu samolotem i jazdy samochodem. Istniało dużo większe prawdopodobieństwo, że zaistnieje wypadek samochodowy niż samolotowy, a jednak prowadzenie samochodu wydawało się bezpieczniejsze. Na pokładzie samolotu był zaledwie pasażerem, ofiarą przypadku. W samochodzie łudził się poczuciem panowania nad sytuacją, jakkolwiek niepewne byłoby to panowanie. Tak samo czuł się teraz. Furgonetka stała zaparkowana po przeciwnej stronie ulicy w odległości trzech domów od domu doktora Christophera Leunga. Po przeciwnej stronie ulicy i w odległości trzech domów od Adrienne St.Clair. Łudził się poczuciem panowania.

Sześć metrów od furgonetki Westona parkowała druga furgonetka. Była to jedna z przynęt. Oba samochody były pomarańczowo-białe, w kolorach miejscowej telewizji kablowej. Właściciel wykazał niezmierną chęć współpracy, kiedy mu wyjaśniono sytuację.

Z najważniejszego pulpitu kontrolnego spółki telewizyjnej odłączono główny obwód. W kwadracie o boku sześciu domów, wśród których znajdował się dom Leunga, odbiór telewizji kablowej stał się niemożliwy. Był piątkowy wieczór. Przerwano „Dallas”. Po kilku minutach w biurze zaczęły się urywać telefony. Natychmiast wysłano osiem furgonetek instalacyjno-naprawczych. Kierowcom polecono sprawdzić każde połączenie w dotkniętym awarią obszarze. Praca na trzy dni, jeśli okaże się to niezbędne. Nikogo na tym obszarze nie zdziwił fakt, że furgonetki spółki kablowej przebywają w sąsiedztwie podczas zakłóceń odbioru. Będą tam niewidzialne.

Po tym przygotowano dziewiątą furgonetkę jako stację nadzoru. I znów właściciel pośzedł im na rękę. Spółki kablowe są monopolistami. Zależy im na dobrej opinii. Dziewiąty samochód został opróżniony z szafek na sprzęt oraz narzędzia instalacyjne i przerobiony całkowicie przez główny zespół Westona. Kamery mikrotelewizyjne zerkały w małe lusterka zamontowane pod kątem w ukrytych otworach karoserii furgonetki, jak również w rogach okien kabiny kierowcy. Kamery były wyposażone we wzmacniające lampy elektronopromieniowe marki Startron i dawały wyraźny obraz w niemal absolutnej ciemności.

Jeden z członków zespołu Westona, przyjechawszy prawdziwą furgonetką naprawczą, wspinał się na słup telefoniczny w pobliżu frontu domu Leunga pod pozorami sprawdzenia kabla i zamontował na linii telefonicznej indukcyjny podsłuch z nadajnikiem na falach ultrakrótkich. Każda rozmowa z tego domu lub do tego domu była przekazywana wąską wiązką do odbiornika w samochodzie Westona.

Od czasu przyjazdu Westona na ulicy stał zaparkowany zielony samochód firmy telefonicznej, również kryta półciągarówka. Na prośbę majstra instalatorzy kabli pytali odwiedzanych klientów, czy nie było również jakichś problemów z telefonami. Nie było u nikogo. Furgonetka telefoniczna była siedzibą drugiej jednostki nadzoru. Weston natknął się na Wydział Nadzoru, Sekcję I Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej, kanadyjski

odpowiednik FBI. Weston wiedział, że ich obecność może tylko oznaczać fakt, iż jezuici odkryli miejsce pobytu St.Clair.

Zespół Westona opowiedział właścicielowi spółki kablowej wyssaną z palca historyjkę o tym, jak niezbędna jest współpraca jego firmy w rozpracowywaniu międzynarodowej szajki przemytników narkotyków. Weston był ciekaw, jaką historyjkę jezuici opowiedzieli Królewskiej Konnej. Bez względu na wszystko był pewien, że nie mogli ujawnić prawdy w większym stopniu niż on sam.

Do chwili obecnej rozpoznano dziś czterech kolejnych obserwatorów z KK. Z pewnością byli jeszcze inni, których nie udało się zauważyć Westonowi. Wydział Nadzoru słynął ze swej sprawności. Składał się z ludzi, którzy z tego czy innego powodu nie mogli kwalifikować się na normalnych policjantów Królewskiej Konnej. Czasami z powodu niespełniania wymogów fizycznych, czasami z powodu kryminalnej przeszłości. Bez względu na to, na pewnym etapie procesu odrzucania wszystkich ich oznaczano jako kandydatów do Wydziału Nadzoru. Różnorodność typów fizycznych wśród nich sprawiała, że niełatwo było w nich rozpoznać przedstawicieli prawa. Świadomość, że tylko w taki sposób mogli służyć Królewskiej Konnej, sprawiała, iż ich poświęcenie graniczyło z fanatyzmem.

Sieć wywiadowcza w Stanach Zjednoczonych od dawna korzystała ze „zboczonych” agentów nadzorujących, jak ich nazywano, lecz nigdy nie uporządkowała tej praktyki w taki sposób, jak Królewska Konna. Po części dlatego, że zmiany napotkały opór amerykańskich organizacji wywiadowczych, który stał się szczególnie silny w obliczu sugestii przemian, jakie wpływały z obcych krajów. W większości dlatego, że powszechnie wiadomo było amerykańskim urzędnikom wywiadu, iż dwóch spośród najwyższych rangą oficerów Królewskiej Konnej było wtyczkami KGB. Amerykanie nigdy nie przyjęliby zmiany kierunku działania, którego pomysł, według ich mniemania, pochodził od Sowie-tów. Skutkiem tego, Stany Zjednoczone nigdy nie uważały Kanadyjskiej Policji Konnej za prawowiernego sprzymierzeńca. Dla nich był to tylko kanał przekazywania dezinformacji Kremłowi. Wystarczyło, by Amerykanie raz na jakiś czas pozwolili Królewskiej Konnej wziąć udział w paru pogranicznych akcjach przejęcia narkotyków, a mieli ich pod kontrolą.

I to jest właśnie prawdziwy kłopot z amerykańskimi organizacjami wywiadowczymi, pomyślał Weston. Czuli się, niebezpodstawnie, tak potężne i tak pewne swych celów, że wszyscy inni, kanadyjska Królewska Konna, brytyjska MI-6, a nawet amerykańscy obywatele w porównaniu z nimi byli godni pogardy. Znów przyszedł mu na myśl obraz Waszyngtonu kruszącego się niczym cienki lód. Tym razem lód rozrósł się i ujrzał pękający lodowiec: miazdzące wszystko góry lodowe, majestatycznie dryfujące swoim kursem, ślepo i nieubłagane posuwające się naprzód, aż pożre je wszechobecne morze, nie pozostawiając śladu.

Weston nie chciał, by jego fragment, ten najważniejszy, został pochłonięty. Projekt Nevada musi przetrwać, żeby przetrwało wszystko inne. Jedyne możliwe rozwiązanie spoczywało troje drzwi dalej, w piwnicy jednego z domów.

– Jest jeszcze jeden. – Davis, który siedział na ławeczce obok Westona, wskazał na postać idącą na jednym z czterech monitorów na konsolce nadzoru kamer. – Niech no zrobię zbliżenie.

Obraz powiększył się. Twarz mężczyzny wypełniła ekran. Jego wzrok bezustannie przenosił się z furgonetek na dom, lecz mężczyzna szedł swobodnym krokiem, a jego postawa wyrażała brak zainteresowania.

– Spójrz, jak strzela oczami. Wszystko widzi. Niezły cwaniak.

Weston przyjrzał się twarzy mężczyzny. Nie wydawała mu się znajoma.

– Skąd wiesz, że jest z Pierwszej Sekcji?

– Przejeżdżał tędy jakieś pół godziny temu taksówką. – Davis przejrzał dziennik na półeczce konsoli.

– Tu jest – powiedział czytając ze swoich notatek. –14.27: czerwono-pomarańczowa taksówka, Volare, Metro Taxi, numer rejestracyjny Delta Young Baker trzy trzy zero, kierunek południowy, szybkość w przybliżeniu 8 km na godzinę. Kierowcą była kobieta, rasa biała, krótkie, ciemne włosy. Obie dłonie na kierownicy. Jeden pasażer. Mężczyzna, rasa biała. Jasne włosy, niebieska kurtka puchowa. Wydawał się sprawdzać numery domów. Numer odnośnika dwa dwa pięć dziewięć siedem.

Davis przewinął taśmę wideo do odnośnego numeru. Obraz na drugim ekranie rozmył się, a następnie wyostrzył, gdy ukazało się ujęcie sfilmowane wcześniej tego samego dnia,

kiedy na ulicy pojawiła się taksówka. Davis trzymał wideo na szybkim podglądzie, aż ukazało się zbliżenie twarzy pasażera. Zatrzymał klatkę.

– Widzisz? Ten sam facet. – Twarze na obu ekranach były identyczne.

Weston rzekł:

– Okay, to już piąty. Cook, chcesz popatrzeć sobie na tego?

Trzeci mężczyzna w furgonetce odwrócił się od rzędów swoich monitorów na przedzie pomieszczenia. Nachylił się i spojrział na twarze na ekranach.

– O, Jezu. Królewska Konna sprowadziła mechanika.

– Masz na myśli płatnego zabójcę? – Weston zaniepokoił się. Jezuici Siódmego Wtajemniczenia bezlitośnie wykorzystywali innych do gromadzenia informacji, lecz zazwyczaj zabijanie zostawiali sobie. Wmieszanie żołnierzy na Heathrow było jedynym do tej pory krwawym wyjątkiem.

Trzeci mężczyzna zacisnął powieki. Skupiał się na przeszłości.

– Jestem tego pewien. To było w Langley. Był w systemie „Operacje Wewnętrzne”.

Davis zareagował za nich wszystkich.

– To szaleństwo. Musiałeś pomylić kod teczki. Albo jego twarz.

Langley oznaczało kwaterę główną CIA w Langley w Zachodniej Wirginii. CIA miała zakaz działania na polu spraw wewnętrznych, lecz nikt z obecnych nie wątpił, że go łamała. W stwierdzeniu Cooka szaleństwem było to, iż CIA miałyby utrzymywać teczkę – dowody – którą mógłby zobaczyć pracownik innej agencji.

– Nie, nie pomyliłem. – Cook poczuł się urażony. – To wolny strzelec z bazą w Miami. Każdy może go wynająć. A wygląda na to, że wynajęli go albo jezuici, albo Królewska Konna.

Kamera wróciła do ujęcia ze średniej odległości. Mężczyzna mijając furgonetkę. W przeciągu niecałej minuty opuści ulicę.

– Albo wciąż pracuje dla CIA – powiedział Weston. Zwrócił się do Cooka. – Kiedy byłeś w Langley? I po co? – Cook pracował w Projekcie Nevada przez siedem z piętnastu lat jego trwania. Weston musiał się dowiedzieć, dlaczego jeden z jego pracowników utrzymywał kontakt z inną agencją. Stwierdzenie Jacka mogło być przejęzyczeniem zdradzającym wierność komuś innemu.

– Dwa lata temu, majorze. – Agent wydawał się być zaskoczony. – Kiedy mieliśmy kłopoty z pracownikami Malton Chemical. Miał pan tam sam pojechać. Teczkę, w której były akta tego faceta – powiedział wskazując na malejącą postać na ekranie – zaproponowano nam jako jedno z wyjść. Już przedtem wykonywał tego typu robotę.

Weston przypomniał sobie. Wstrząsnęło nim to, że z powodu napięcia tak bardzo zawiadła go pamięć. Malton Chemical było jednym z podstawowych źródeł finansowania Projektu Nevada. Jego początkiem była korporacja Delaware – parawan dla CIA – za czasów szczytu wojny wietnamskiej. Wynajmowani od Malton Chemical pracownicy byli agentami, którzy przeniknęli do większości znaczących producentów uzbrojenia na świecie. Podstęp, który stworzył tę spółkę, okazał się tak udany, że zaczął przynosić dochody. Spółkę przydzielono do Projektu Nevada w 1969. Większość specjalnych agencji w ten sposób otrzymywała fundusze. Oznaczało to, że miliony dolarów przeznaczonych na utajnione lub ściśle tajne operacje nie musiały być zatwierdzane przez Komisję Nadzorczą. Teoretycznie, Projekt Nevada nie odpowiadał przed nikim za swój budżet operacyjny.

Dwa lata temu dochodom zagroziły kłopoty z pracownikami. Od samego początku, gdy CIA założyła Malton Cook, jeździł do nich po porady. Zabicie jednego z działaczy związkowych było jednym z proponowanych wyjść. Weston nie mógł przypomnieć sobie, jak wreszcie rozwiązano ten problem.

– Chcę, żebyście go zdjęli. Musimy się dowiedzieć, kto go kupił. Jeśli jezuici czy Królewska Konna, to w porządku. Ale jeśli CIA w jakiś sposób jest w to wmieszana, przegraliśmy. Traktujcie go jako osobę uzbrojoną i niebezpieczną.

Davis wcisnął klawisz na swej konsoli i rzucił kilka słów do małego mikrofonu.

W głębi ulicy Granger Helman skręcił za róg i zniknął z pola widzenia kamery. Minutę później ruszył za nim Cook, zbliżając się szybko.

Obserwatorzy w furgonetce telefonicznej nie zdołali ustalić tożsamości ani przynależności mężczyzny, którego również zauważyli dwukrotnie. Kiedy dostrzegli śledzącego go amerykańskiego agenta, wiedzieli, że dzieje się coś ważnego, lecz nie mieli pojęcia, co.

Czas oczekiwania na powrót Cooka upłynął załogom obu grup obserwacyjnych w napięciu. W końcu obie grupy uświadomiły sobie, że to bezcelowe. Cook został znaleziony tuż przed zachodem słońca. Oderwano mu wskazujący palec, prawdopodobnie w trakcie rozbijania, i złamano kark.

Granger Helman znikł.

ROZDZIAŁ XII

Głos rzekł: Nie ma się o co martwić po tej stronie.

Przynajmniej czterech ludzi zostało zabitych po tamtej stronie, w Miami. Kto to uczynił? Helman nie miał żadnej wskazówki, żadnego pojęcia. W jakiś sposób miało to związek z nim, zabójcą, który już więcej nie chciał zabijać. Cztery trupy w Miami. Jeden w Toronto. Lecz po tamtej stronie nie miał zmartwień. Tylko tu. Tylko teraz. Szczególnie martwił go mężczyzna siedzący na krześle naprzeciwko niego w pokoju hotelowym. Rice wrócił.

– Co mam zrobić z tą listą, zabójco? – Rice podniósł wzrok znad kartki hotelowego papieru listowego, którą podał mu Helman. Jego głos brzmiał bardziej gardłowo, ochryple, jakby nie miał już cierpliwości panować nad swoim naturalnym sposobem mówienia, nie zważając na to, czy Helman rozumie go, czy nie.

– Nie miałem czasu na przygotowania. To są rzeczy, jakie będą mi potrzebne do wykonania kontraktu dla was. Sam pan powiedział, że nie powinienem posłużyć się gołymi rękoma. – Helman miał uczucie, jakby Rice hamował chęć wyszczerzenia kłów, dosłownie wyszczerzenia kłów na niego.

– Nie potrafię zrozumieć, w jaki sposób pistolety, nawóz sztuczny i dziecinne zabawki mogą wypełnić twój kontrakt.

Helman z wysiłkiem powstrzymał się od gniewu. Nie miał cierpliwości dla człowieka, z którym musiał mieć do czynienia. Czuł do siebie wstręt za przespanie tego poranka, gdy czekał na telefon od Telforda. Nigdy czegoś podobnego nie zrobił w przeszłości i żaden zawodowiec nie mógłby sobie tego wybaczyć. Do tego jeszcze ten człowiek, który śledził go dziś po południu. Miał nerwy w strzępach z powodu tego wszystkiego. Wiedział

jednak, jaka jest kara za brak szacunku.

– Panie Rice, pańscy ludzie zgłosili się do mnie ze względu na moje umiejętności i doświadczenia w tej dziedzinie. Jednym z powodów, dla których zdobyłem to doświadczenie, jest fakt, iż odnosiłem sukcesy. A odnosiłem je, ponieważ działałem po swojemu, samodzielnie, bez współników i świadków. Nie obchodzi mnie, że pan „nie potrafi zrozumieć”, jak ja wykonam zlecenie. Nie obchodzi mnie, czy potrafi pan przeczytać choćby jedno słowo z tej przeklętej listy. Chciałbym tylko zająć się swoją robotą i chciałbym, żeby pan też się zajął swoją. A jeśli nie potrafi pan, to lepiej, żeby Nowy Jork przysłał kogoś, kto potrafi! – Helman podniósł głos z gniewu i przejęcia. Prawie krzyczał.

Wtedy znalazł się po drugiej stronie pokoju, na podłodze obok łóżka. W głowie mu dzwoniło, a przed oczami wybuchały czerwone i czarne błyski. Nawet nie zauważył ciosu. Rice był znów na swoim krześle.

– Następnym razem, zabójco, zanim zdążysz pożałować swego nierozsądnego zachowania, nie będziesz już żył.

Helman spróbował podźwignąć się. Lewa strona jego ciała była bezwładna. Rice dotknął punktu uciskającego nerw, paraliżując mu ramię i przeszywając rozpalonymi maczkami bólu jego klatkę piersiową, kark i nogę. Nigdy przedtem czegoś podobnego nie doświadczył. Wsparł się ciężko o łóżko.

Rice znów odezwał się. W jego gardłowym głosie nie było śladu napawania się zwycięstwem.

– Nie jestem zaznajomiony z różnorodnymi cechami szczegółowymi, jakich możesz wymagać od niektórych z tych przedmiotów. Proponuję dostarczyć ci gotówkę, abyś mógł sam się w nie zaopatrzyć.

Helman powoli pokręcił głową. Bolała go szczeka i trudno mu przychodziło wypowiedzenie słów.

- Musi mi pan dostarczyć broń – zdołał wyszeptać.
- Zapominasz o warunkach, zabójco. Broń palna nie będzie ci potrzebna.
- Nie na nią. Jej ochroniarzy. Jeden próbował mnie dziś zabić.

Przez chwilę Rice sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Dziś, zabójco? Za dnia?

Helman twierdząco pokiwał głową.

– Co zrobisz?

– Miał pistolet. Zbliżył się za bardzo. Zabrałem mu go. Skręciłem mu kark. Zostałem przy domu. Muszę mieć broń palną na ochroniarzy. Nie mam kontaktów w tym mieście, żeby ją kupić.

– Jak był ubrany, zabójco?

Helman był bliski furii. Był unieruchomiony, na łasce nadzwyczaj łatwo wpadającego w złość maniaka o nieprawdopodobnej znajomości jakiejś odmiany karate, a ten wypytuje go o ubranie mężczyzny, który usiłował go zabić.

– Zwyczajnie. Rozpięty płaszcz. Marynarka od garnituru. Brązowa, szara, nie wiem.

– Czy miał coś na szyi, zabójco?

Helman uszom nie wierzył.

– Miał krawat. Nie pamiętam, żeby widział metkę. Dlaczego to takie ważne?

– To nie jest ważne, zabójco. Tylko interesujące. Dostaniesz broń i pieniądze przed świtem.

Rice położył listę na szerokim chodniku obok Helmana i wyszedł. Dopiero dwie godziny później Helman zdołał się podnieść.

Po upływie następnej godziny na telefonie zaczęło migotać światelko sygnalizacyjne. W recepcji czekała na niego paczka. Helman kazał przynieść ją do pokoju i otworzył na swoim łóżku.

Pięć tysięcy dolarów kanadyjskich, pięć razy tyle, ile przypuszczał, że będzie mu potrzebne. Oraz broń.

Wymienił dwa typy rewolwerów: Smith & Wesson magnum kaliber 0,44 i na zapas zgrabny, pięciokomorowy bulldog kaliber 0,44, dający się łatwo ukryć na plecach za paskiem. Do tego załączono pięćdziesiąt sztuk pocisków keith semiwadcutters – kul, które gładko przechodziły przez samochody, a jednak spłaszczwały się morderczo po trafieniu w ciało, oraz ukryte kabury typu alessi i tłumiki do obu broni. Mimo woli Helman odczuł podziw dla sprawności akwizycyjnej Rice'a.

Przez jakiś czas pracował nad bronią. Ładował ją, rozładowywał i poprawiał kabury

tak długo, aż poczuł się najpewniej, jak było to możliwe bez prób strzelania. Potem położył się na łóżku i wbił wzrok w sufit. Nawet nie próbował usnąć. Wiedział, że byłoby to bezcelowe.

Rozmyślał tylko o tym, co zdarzy się pojutrze. O dniu, kiedy już będzie po wszystkim. I kiedy dostarczy głowę Adrienne St.Clair Rice'owi. Albo sam zginie.

Tak czy inaczej, będzie już po wszystkim.

W końcu usnął. A we śnie stwory w piwnicy mówiły mu, że się myli.

ROZDZIAŁ XIII

Helman czuł ciepło detonatora w dłoni. Zostały mu cztery minuty do naciśnięcia guzika nadajnika. Dodatkowe czterdzieści pięć sekund zajmie wbiegnięcie po schodach do laboratorium i gdzieś od trzydziestu sekund do dwóch minut odcięcie trupowi głowy, w zależności od tego, gdzie kobieta będzie znajdowała się w chwili wybuchu.

Minutę przed detonacją podłączył zapasową antenę, która biegła po ścianie budynku uniwersytetu, gdzie mieściło się laboratorium badawcze doktora Leunga. Antena kończyła się na trzecim piętrze przy oknie do laboratorium, w którym Leung i St.Clair pracowali nocami. Oznaczało to, że znajduje się nie dalej niż jakiś metr osiemdziesiąt od ładunku wybuchowego. Nawet urządzenie do zdalnego sterowania dziecinnego samochodziku, które Helman trzymał w ręku, wystarczy przy takiej odległości, a w odróżnieniu od potężnych i wymyślnych urządzeń sterowanych falami radiowymi, dostępnych tylko w nielicznych punktach sprzedaży, nikt nie będzie w stanie połączyć zakupu jednej z tysięcy podobnych, dostępnych wszędzie zabawek z osobą Helmana.

Leung i dziewczyna przybyli osiem minut wcześniej w TR7 doktora i zostawili samochód przy parkometrze przed budynkiem. Helman dawał im dziesięć minut na rozgoszczenie się w laboratorium.

Samochód, który wedle przypuszczeń Helmana należał do jej ochroniarza, stał zaparkowany po przeciwnej stronie ulicy. Od kamiennych schodków przed budynkiem dzieliły ich cztery pasma ruchu ulicznego i dwa tory tramwajowe. Mając przewagę

dystansu, Helman zdoła zablokować wystarczająco dużo wyjść pożarowych, by powstrzymać strażę na niezbędny czas. Zamieszanie wywołane przez studentów bezustannie wchodzących i wychodzących z budynku również pomoże.

Jedna minuta. Helman, ukrywszy się w cieniu z boku budynku, podłączył zapasową antenę.

Budynek uniwersytetu miał co najmniej sto lat i wyglądał na tyle. Helman przyjrzał mu się dokładnie poprzedniego popołudnia, po zetknięciu z mężczyzną, który usiłował go zabić. Budowla doskonale nadawała się do jego potrzeb.

Stare budynki bez przerwy remontowano i odnawiano. Zbudowana z granitowych bloków bryła uniwersytetu, pokryta w zimie nagim, brązowym bluszczem i przyczerniona przez lata wchłaniania spalin, nie była wyjątkiem.

W odległości trojga drzwi od laboratorium doktora Leunga, które stało za dnia puste, wymieniano rury. Robotnicy zostawili palnik acetylenowy i butle w zamkniętym pokoju. Kiedy minęła piąta, otworzenie zamka zajęło Helmanowi piętnaście sekund. Dwie butle z acetylenem i tlenem były teraz przymocowane łańcuchem do kolanka kaloryfera obok dziury, którą Helman zrobił w ścianie laboratorium doktora Leunga. Ładunek wybuchowy, składający się z niemożliwych do wytropienia substancji chemicznych, jakie uzyskał z nawozu dostępnego w otwartej sprzedaży w setkach sklepów, oraz sterowany falami radiowymi detonator przerobiony z nadajnika samochodzika-zabawki, przymocowane były mocno do spodniego wspornika wózka spawalniczego i ukryte za butlami. Ładunek rozsądzi dno obu zbiorników, powodując raptowne przemieszanie obu gazów i drugi, znacznie potężniejszy wybuch.

Sądząc po stercie osobistych papierów w laboratorium Leunga, Helman wnioskował, iż pracował on na uniwersytecie od lat. Leung nie powinien być zaskoczony zastawszy niespodziewany remont w swoim gabinecie.

Dziesięć sekund. Helman poprawił szelki swej kabury pod nowym, zimowym płaszczem w nie rzucającym się w oczy, buro-oliwkowym kolorze – takim, jakie noszą mechanicy i robotnicy pracujący na zewnątrz – i po raz ostatni sprawdził, czy maczeta jest bezpiecznie schowana. Nie spuszczał z oczu elektronicznego zegarka, na którym odliczał sekundy. Przez ostatnie kilka sekund mgła jego oddechu nie zasłaniała już tarczy.

Wszystko wydawało się milczeć.

Nacisnął przycisk i rozległ się głuchy łomot towarzyszący brzękowi tłuczonego szkła, gdy nad jego głową wyleciało okno laboratorium.

Zanim jeszcze szkło spadło na ziemię, Helman wybiegał zza rogu budynku i pędził po głównych schodach, spychając z drogi zdumionych studentów.

Mknął pod górę klatką schodową, na każdym piętrze blokując wyjścia pożarowe starym sposobem przez wetknięcie szpilki w zamek. Na trzecim piętrze pociągnął w dół czerwoną płytę alarmu przeciwpożarowego. Szklany pręt ułamał się i na korytarzach rozległo się przenikliwe dzwonienie. Studenci i pracownicy naukowcy na głównym piętrze kręcili się zbici z tropu, nie wiedząc, czy alarm przeciwpożarowy był próbny, czy prawdziwy. Lecz na trzecim piętrze, tam gdzie na oczach Helmana eksplozja wyrwała z zawiasów przeciwpożarowe drzwi laboratorium, wybuchła panika. Był niewidzialny idąc pod prąd tłumu uciekających studentów.

Dym wypełniał zdewastowane laboratorium. Migotanie nielicznych płomieni oświetlało je upiornym blaskiem. Helman zasłonił nos i usta końcem szalika, wysunął maczetę z pochwy przypiętej do piersi i wkroczył wykonać swój kontrakt.

Pomiędzy strzaskanym oknem i otwartymi drzwiami powstał przeciąg. Kłęby dymu wypłynęły na zewnątrz jak mgła opuszczająca mroczną, ukrytą dolinę. Helman dostrzegł zbroszoną krwią postać leżącą bezwładnie u podstawy jakiegoś urządzenia. Urządzenie było zmiażdżone. Odłamki eksplodujących cylindrów z gazem poczyniły straszliwe zniszczenia.

Z maczetą gotową do uderzenia Helman odwrócił ciało. Poszarpany fragment metalowego cylindra tkwił w spłaszczonym wgłębieniu w czole nieboszczyka. Twarz była zalana krwią, a z czaszki trysnęły małe, twarde cząsteczki. Był to doktor. Obok niego leżały nietknięte okulary.

Helman opuścił maczetę, wstał i rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu ciała kobiety. Część jego umysłu nie przestawała odliczać sekund. Strażnicy z samochodu po drugiej stronie ulicy powinni już wywazać pierwsze drzwi przeciwpożarowe na klatkę schodową. Miał najwyżej minutę.

Podmuch zimnego wiatru zbił dym w kłęby przed oknem i wywiewał je za drzwi. Na moment przejaśniło się w kącie laboratorium, dobrze oświetlonym przez coraz silniejszy ogień. Masywna lodówka wyglądała na nie uszkodzoną wybuchem. I wtedy dostrzegł kobietę.

To niemożliwe, a jednak żyła. Ubranie wisiało na niej w strzępach, odstaniając blade ciało bez żadnych śladów obrażeń. Miała nadpalone włosy. Część włosów była spalona do gołej skóry. Lecz kobieta żyła, nietknięta przez niesiony wybuchem morderczy deszcz qdlamków metalu. Ona żyła!

Helman stał osłupiały. Nieprawdopodobieństwo tego, co ujrzał rozrywała mu czaszkę. Dym, ogień i otaczające go zniszczenia, odgłos odległych syren, wszystko to zapadło się w siebie, skurczyło do nicości pod ciężarem przerażającej rzeczywistości, jaką ujrzał. Ona żyła. I dostrzegła go. I zbliżała się do niego.

Jej ręce przypominały szpony, zakrzywione i groźne. Zwierzęca furia wykrzywiła twarz. Gdzieś z jej wnętrza dobiegał wysoki skowyt. Kobieta żyła i zbliżała się do ataku.

Nachylona, sprawiając wrażenie, że gotowa jest przeskoczyć te pięć metrów, jakie dzieliły ją od miejsca, gdzie stał Helman, brnęła ku niemu przez gruzy.

Przez umysł Helmana przemknęły wszelkie ostrzeżenia, jakie otrzymał od Rice'a i jego ludzi. Powoli cofnął się o krok, oceniając odległości pomiędzy sobą, kobietą i drzwiami. Trzymał przed sobą maczetę i ostrożnie sięgnął pod połę płaszcza po magnum.

Z korytarza dobiegł go łoskot wyważanych drzwi przeciwpożarowych. Potem krzyki. Potem odgłos strzelaniny. Tam na zewnątrz ludzie strzelają do siebie. Kobieta zatrzymała się, wydając wciąż urywany skowyt i obejrzała się w stronę drzwi. Helman wyciągnął magnum, lecz nie strzelił. Jeśli zabije ją teraz, tak blisko nieprzyjaciół, może nie mieć okazji zabrania jej głowy.

Coś nagle śmignęło przez otwarte drzwi. W ścianie obok Helmana utkwiał bełt z kuszy. Kto jest za tymi drzwiami?

Kobieta szarpnęła głową, jakby dostrzegła strzałę w locie i śledziła jej przelot. Przestała skowyczeć. Odwróciła się raptownie, podbiegła do okna i wyskoczyła w mrok nocy.

Helman miał uczucie, że śni. Nic nie miało sensu. Na korytarzu znów zahuczały wystrzały. Podbiegł do okna, mając nadzieję, że ucieknie śladami kobiety.

Za oknem nie było nic, czego można by się przytrzymać. Żadnych gzymsów, żadnych wystających cegieł. Nie było również martwego ciała na ziemi. Adrienne St.Clair znikła.

W drzwiach na korytarz stanął mężczyzna odziany na czarno. Trzymał kuszę. Kusza wymierzona była w Helmana.

Helman odwrócił się na dźwięk wystrzałów, które rozszarpały ciało mężczyzny. Z kuszy wyleciał pocisk i utkwił w ścianie, a mężczyzna okręcił się wokół i padł na ziemię.

Nie znając przyczyn tego, co się działo, Helman uświadomił sobie, iż dwie grupy w jakiś sposób mające związek z Adrienne St.Clair toczyły ze sobą bój za drzwiami zniszczonego laboratorium. Jeśli jedna ze stron używała tylko kusz przeciw broni palnej, uzyskanie panowania na korytarzu i w laboratorium przez tę drugą stronę było tylko kwestią czasu.

Helman podbiegł do otworu, jaki zrobił w ścianie obok zbiorników spawalniczych. Otwór był teraz większy. Ściany tworzył mur położony na płytach izolacyjnych z miękkich włókien. Płyty popękały, pochłaniając większość siły wybuchu. Trzymały się tylko na wypaczonej ścianie z drugiej strony. Helman wiedział, że pomieszczenie po tamtej stronie laboratorium było zamknięte po piątej tego wieczora, gdy robił rekonesans. Musi zaryzykować i założyć, że nie zostało jeszcze zajęte.

Trzema kopniakami powiększył otwór. Po drugiej stronie nie było nic prócz ciemności. Przecisnął się przez dziurę. Drzwi były wciąż bezpiecznie zamknięte. Znalazłszy się wewnątrz następnego pomieszczenia, przysunął szafkę na akta do otworu w ścianie, żeby go zasłonić z drugiej strony. Musi zrobić wszystko, by zyskać na czasie.

Teraz dźwięk syren dobiegał bezpośrednio z zewnątrz. Przybyły samochody straży pożarnej. Wydawało się, że walka na korytarzu skończyła się. Helman przycisnął się w kącie za biurkiem i trzymał rewolwer wycelowany w drzwi. Nie zaryzykuje wyjścia na korytarz. Miał zamiar zostać tam, gdzie jest i spróbować wyjść rano po otwarciu budynku. Słyszał strażaków biegających po korytarzach na zewnątrz i głuchy świst chemicznych gaśnic dochodzący z laboratorium. Wydawało mu się dziwne, że nie słyszy krzyków, że znaleziono ciało.

Zza drzwi do pomieszczenia, w którym chował się Helman, dobiegł głośny huk. Odpadła klamka. Helman wycelowwał w miejsce, gdzie powinna się znaleźć pierś tego człowieka. Drzwi otworzyły się z rozmachem.

Na progu stał trzymając w ręku toporek strażak w gumowym kombinezonie z aparatem oddechowym. Helman powstrzymał się przed strzeleniem. Strażak pomacał dłońią w gumowej rękawicy ścianę przy framudze, aż znalazł włącznik. Błękitne światła fluorescencyjne zamigotały i zapaliły się. Przewody elektryczne nie zostały przerwane. Helman skulił się jeszcze bardziej. Strażak zbliżył się do ściany, która oddzielała pomieszczenie od laboratorium i zaczęła ją badać. Począł odsuwać szafkę.

Helman wstał szybko i cicho, po czym zatrzasnął drzwi. Następnie zgasił światła. Strażak spojrzął na lampy, a potem zwałił się na podłogę. Helman uderzył mężczyznę sztywnymi palcami tuż za zuchwą.

Ubrany w sprzęt strażacki i ochronne ubranie, Helman wyszedł na korytarz, nałożywszy maskę aparatu oddechowego.

Drugi strażak krzyknął z głębi korytarza:

– Hej, Gerry, czy to pomieszczenie jest bezpieczne?

Helman skinął głową i podniósł oba kciuki w górę. Ruszył w przeciwny koniec korytarza. Jeszcze kilku następnych strażaków wchodziło do zniszczonego wybuchem laboratorium, lecz na korytarzu nie było zwłok. Ci, którzy strzelali jeszcze kilka minut temu, byli nie tylko groźni, ale i sprawni.

Helman opuścił budynek wyjściem na parking z tyłu. Wyglądało na to, że nie ma obserwatorów. W głębokim cieniu zdjął kombinezon strażaka i przeszedł na skróty przez trzy sąsiednie parkingi, nim wyszedł na ulicę. Wszystko wyglądało normalnie.

Pieszko poszedł do budynku odległego o kilka domów, gdzie ukrył klucz do skrytki na dworcu autobusowym. Klucz nadal był zakopany w zamrożonej ziemi wewnątrz betonowej donicy na kwiaty przed domem. Pojechał taksówką na dworzec autobusowy i odebrał swój portfel i dokumenty. Nie będzie ryzykował powrotu do hotelu i Rice'a, dopóki nie będzie miał mu do powiedzenia czegoś konkretniejszego. Nie miał ochoty wychodzić do nieobliczalnego Rice'a z pomysłem, że kobieta ta nie sprawiała wrażenia

istoty ludzkiej. Prawdopodobnie ochroniła ją lodówka znajdująca się w laboratorium. Mimo to, Helman wiedział, że daleko nie mogła zajść bez ubrania w mroźną noc. Mogła udać się tylko do jednego miejsca i miał zamiar tam wyjść jej na spotkanie.

Machnięciem ręki zatrzymał następną taksówkę. Noc jeszcze się nie skończyła.

ROZDZIAŁ XIV

Nie istnieje coś takiego, jak zbieg okoliczności. Helman wsunął w dłoń smukłego, ła-two dającego się ukryć bulldoga kaliber 0,44, kiedy tylko dostrzegł, że cztery lampy uliczne najbliżej domu Leunga nie paliły się. Gdzieś na tej ulicy był ktoś, kto pragnął osłony mroku.

Taksówka, którą Helman przyjechał, wyminęła go, kiedy stał na rogu ulicy Leunga. Pojechała dalej uliczką osiedlową, by zawrócić na główną drogę. Na zakręcie światła jej reflektorów omiotły front domu. Drzwi były otwarte. Światła zgaszone. Albo kobieta wróciła, albo do domu wkroczyły grupy z laboratorium.

Helman nachylił się i podbiegł do frontu jednego z domów o piętnaścioro drzwi dalej. Ukląkł w ciemnych, cedrowych zaroślach i obserwował. Furgonetki telewizji kablowej i spółki telefonicznej stały tam, gdzie przedtem. Poprzedniego dnia zakładał, że to ochrona. Teraz już nie był tego pewien. Wiedział jednak, że coś ich łączy z St.Clair.

Cicho przebiegł przez dwa trawniki przed budynkami i przyłgnął mocno do kamiennego ganku. Na ulicy panował spokój. Jedyne dźwięki dobiegały ze zbyt głośno nastawionego radia grającego przy otwartym oknie. Jego oko przyciągnął błysk światła z ciężarówki telefonicznej. Spojrzał na nią kątem oka, tak by czulsze na światło obszary oczu mogły się skupić na niewyraźnych szczegółach. Błysk okazał się odbiciem światła lampy ulicznej na rogu. Połyskiwał on na wyszczerbionym kawałku szkła zwisającym z przedniej szyby ciężarówki. Szyba była niemal całkowicie wybita. Rozbito całe szkło w kabinie kierowcy. Helman spojrział na stojącą po drugiej stronie ulicy furgonetkę telewizji

kablowej. Jej okna były całe. Jedna z grup wygrała.

Helman sunął w mroku do tego z domów najbliższej posiadłości Leunga, przed którym paliła się latarnia. Od strony domu doktora nie dochodził żaden dźwięk, ani nie widać było żadnego ruchu. Radio grające przez otwarte okno ucichło nagle. Helman odwrócił się w stronę, z której przestał dobiegać hałas. Światło w pokoju zgasło. Dostrzegł postać podchodzącą do okna. Z odległego zakrętu ulicy dobiegł delikatny brzęk szkła. Zgaszono kolejną latarnię. Helman nie słyszał wystrzału. Broń w mroku była wyposażona w tłumiki.

Nagle zalało go światło z latarni na ganku. Otworzyły się drzwi. Dwudziestokilkuletni mężczyzna o wyglądzie studenta wyrzwał na nie oświetloną ulicę. Helman przypadł niżej do ziemi, pozbawiony osłony cienia. Mężczyzna zauważył poruszenie.

– Hej, co się tam do diabła dzieje? – Wychylił się przez poręcz ganku, spoglądając wprost na Helmana. Reakcja Helmana była błyskawiczna. Musiał się ratować. Opanować sytuację. Wyciągnął szybko rękę przed siebie, otwierając portfel wyjęty z kieszeni płaszcza. Portfel otworzył się przypadkowo na karcie kredytowej.

Druga dłoń Helmana była równie szybka. Znajdował się w niej rewolwer.

– Policja. Proszę zejść i zgasić światło. Mamy tu snajpera.

Mężczyzna dostrzegł rewolwer, a portfel zignorował. Podstęp zadziałał.

A potem, nie wiedzieć czemu, młody człowiek odwrócił się, by spojrzeniem odszukać snajpera. Helman krzyknął do niego jeszcze raz i z mroku nocy wyleciał bełt.

Zadziory zaczęły o delikatny mięsień prawego policzka studenta, rozcinając twarz i rozszarpując skórę aż do ucha. Pocisk strzaskał się o cegły na posadzce ganku. Młody człowiek znalazł się na ziemi w ułamku sekundy, drapiąc obłąkańczo otwartą ranę na twarzy. Krew zalewająca mu usta zmieniała jego krzyki w gulgotanie.

Helman strzelił do lampy nad drzwiami i sturlał się z ganku. Zaświszczała nad nim seria bełtów, które iskrzyły o cegły i grzechotały, spadając wokół wijącej się postaci.

Do drzwi podbiegła kobieta i zatrzymała się, zdjeta przerażeniem na widok tego, który leżał na ganku. Schyliła się i pchnięciem otworzyła drzwi, by ranny mężczyzna mógł wczołgać się do środka.

Helman zauważył ruch w zaroślach przy domu naprzeciwko. W oddali znów zabręczało tłuczone szkło. Na ulicy została już tylko jedna latarnia. Wkrótce jedynym światłem w nieprzeniknionym poza tym mroku nocy będzie słaby odbłask miasta na niskich chmurach. Helman sturlał się z trawnika przed domem na alejkę dojazdową, która biegła obok domu, zatrzymawszy się, kiedy tylko dotarł do zakrętu.

Przygotował broń do strzału, mierząc na wysokości głowy i wykonał pięć głębokich, równomiernych oddechów. Następnie szybko wychynął zza rogu, opuszczając rewolwer na wysokość pasa. Mężczyzna z kuszą stał w odległości nieco większej niż pół metra. W rozbłysku z lufy swojego rewolweru Helman dostrzegł jego twarz, młodą i wystraszoną. Mężczyzna natychmiast padł. Jedna noga jeszcze mu drgała przy leżącej u jego boku kuszy, z której nie wystrzelił.

Helman cofnął się za róg. Lada moment musi pojawić się policja. Zapewni mu potrzebne do ucieczki zamieszanie, jeśli okaże się to niezbędne. Odrzucił pomysł natychmiastowego odwrotu i ruszył przez tylne podwórka w kierunku domu doktora.

Dwa domy przed ciągiem miejskich bloków zaczął posuwać się wzdłuż ściany, by móc znów obserwować ulicę. Nie zmieniło się nic w sposób widoczny. Nie widział obserwatorów, którzy musieli gdzieś być, lecz wiedział, że oni dostrzegą go, jeśli odważy się na przebiegnięcie dwudziestu jeden metrów do otwartych drzwi domu. Postanowił zaczekać, aż pozostali, ci tajemniczy ludzie z kuszami, pojawią się sami. Pierwsi popełnią błąd.

Minęło pięć minut i Helman doszedł do wniosku, że policja nie przybędzie. Z kimkolwiek miał do czynienia, ludzie ci mieli wpływ. Potem zdał sobie sprawę, że to Rice mógłby mieć takie wpływy; Rice i King, i Nowy Jork. Czyżby kontrolowali sytuację, by ułatwić Hetmanowi wykonanie zadania? Czyżby mógł po prostu przejść przez trawniki przed domami i zaatakować St.Clair, chroniony potęgą Nowego Jorku? W głowie mąciło mu się od rozmaitych możliwości. Czy rzeczywiście kiedykolwiek groziło mu niebezpieczeństwo? A może po prostu znajdował się zbyt blisko ataków na innych, jak stało się w przypadku mężczyzny na ganku?

Helman zastanowił się. Istniały dwa ugrupowania: jedni z kuszami i drudzy z bronią palną. Którzy byli ochroną? W laboratorium kobieta powstrzymała się od natarcia na

dźwięk strzelaniny na korytarzu. Uciekła jednak, gdy w ścianie pojawiła się strzała. Zagrożenie czy sygnał? Rozwiązaniem musiały być kusze. Anachronizm. Podobnie jak ściąganie głowy. Stanowiły część jakiegoś obrzędowego sposobu zabijania. Rice poszedł na całość.

Helman nie był jedynym wynajętym mordercą. W cieniu kryli się inni zabójcy z Nowego Jorku. Helman zabił jednego z nich. Ludzie z bronią palną muszą być jej ochroną. Lecz ryzyko nadal było zbyt wielkie. Helman nie odsuwał się od ściany. Jeden z pozostałych zabójców może spróbować przebiec do drzwi posiadłości. Helman zaczeka.

Na tyłach sąsiedniego domu coś się poruszyło. Helman pod ścianą był wystawiony zarówno na strzał z pistoletu, jak i z kuszy. Trzymał broń w pogotowiu. Spróbuje nawiązać sojusz z kusznikami. Spróbuje strzelać celniej od tych, którzy mieli broń palną.

– King – szepnęła do niewidzialnej osoby na podwórku. – Z Nowego Jorku.

Ruch ustał. Nastąpiła długa cisza. Celował czy zastanawiał się? Potem odpowiedział mu szept.

– Nevada.

Czy miało to oznaczać, że istnieją inne zgromadzenia? Inne miejsca? Helman powstrzymał się od strzału. Odszepnął:

– Nevada.

Znów poruszenie. Z głębokiego cienia wychynęła postać. Trzymała pistolet wymierzony wprost w Helmana.

Helman powoli wysunął się z własnego cienia, który go osłaniał. Rozjarzone chmury rzucały mglistą poświatę na alejkę pomiędzy dwoma domami. Dla oczu przyzwyczajonych do ciemności była wystarczająca. Osobnik uśmiechnął się.

– Szukaliśmy cię, Feniksie. – Nie spuszczał Helmana z celownika. Helman milczał. Nie miał pojęcia, kim jest Feniks, ale jeśli pomyłka uzbrojonego w pistolet mężczyzny utrzymuje go przy życiu, nie chciał uczynić niczego, co wyprowadziłoby go z tego błędu.

Mężczyzna znów się odezwał, poruszywszy głową, lecz ostrożnie, tak by cel nie zsunął się z muszki morderczej broni.

– Słuchaj, Feniksie, możemy darować sobie napięcie i pozabijać się na miejscu, albo możemy posiedzieć jeszcze minutkę tak jak teraz i poczekać, aż jezuici załatwią

wszystko za nas. Albo możemy też zawrócić i spotkać się z Markerem Jeden. – Wskazał głową na czarne jak smoła podwórze.

Helman usłyszał nazwy, lecz nic mu one nie mówiły. Feniks. Jezuci. Marker Jeden. Pseudonimy, jak przypuszczał. Nic sobie nie kojarzył.

Mężczyzna tracił cierpliwość. Rzucił nerwowe spojrzenia w kierunku ulicy.

– Chodź już, Feniksie. Wszystko o tobie wiemy. Marker Jeden chce się z tobą widzieć. Ma kilka pytań do ciebie. Zapłacimy ci równie dobrze jak Królewska Konna, Langley czy kto inny. A potem pomożemy ci wydostać się stąd.

Nazwa „Langley” mówiła mu coś. Ktoś wziął go za agenta CIA. Helman pomyślał, że oto pierwszy błąd. Postanowił go wykorzystać.

– Powiedz Markerowi Jeden, żeby przekazał pytania przez Langley. Nie ma prawa wtrącać się do moich spraw.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

– Nie ma czasu na Langley. Jezu, Feniksie, wyjaśnimy ci wszystko. Wszystko, czego tylko sobie życzysz. Wszystko, czego tylko zażyczy sobie Langley. Nie powinniśmy byli wysłać wczoraj za tobą naszego człowieka. Było to nieszczęśliwe posunięcie, ale rozumiałe. Langley nie uprzedziło nas. Nie będziemy już więcej próbować czegoś podobnego. Pracujesz dla Langley, jesteś cacy. Okay? A teraz, jeśli nie ruszymy się stąd, któraś ze straż jezuitów naprawdę wtrąci się do twoich spraw.

Po drugiej stronie ulicy poruszyły się jakieś cienie. Nerwowy mężczyzna dostrzegł je. Helman wysiłkiem woli opanował się, by nie pójść wzrokiem za spojrzeniem mężczyzny. Nie czas teraz na nabieranie się na sztuczki z filmów. Musiał zdawać sobie sprawę, dokąd prowadzi go ta gra.

Mężczyzna nie był zdecydowany czy ma celować w Helmana, czy w stronę ulicy.

– Nadchodzą, Feniksie. Jezu, chodźmy... – Odskoczył na bok. Z jego płaszcza zwiisała luźno strzała. Mężczyzna strzelił na oślep w stronę ulicy.

Helman spojrział w głąb alejki dojazdowej. Trzy, teraz już cztery, pięć cieni z kuszami zbliżało się do niego. Kolejne belty trafiły człowieka, który go wypytywał. Niektóre zwiisały z jego ubrania. Inne odbijały się od niego i spadały na ziemię. Odgłosy

wystrzałów były przytłumione i ponad stukotem zbliżających się kuszników słychać było tylko stłumiony szum powietrza. Pistolet stukiem dał znać o pustym magazynku. Mężczyzna zwrócił się do Helmana z rozpaczą w głosie.

– Na miłość boską, pomóż...

Strzała utkwiła mu w gardle, co spowodowało szarpnięcie głowy jak u powieszzonego. Mężczyzna osunął się po przeciwległej ścianie. Wystrzały nieżyjącego powaliły dwie postaci. Trzy wciąż się zbliżały.

Helman trzymał się blisko ściany i celował uważnie. Pocisk trafił w cegły nad jego głową, aż posypały się iskry. Helman strzelił. Broń z tłumikiem kaszlnęła chrapliwie w wąskiej przestrzeni między dwoma domami. Zobaczył, że najbliższy napastnik potyka się. Wycelował w następnego. Następne trafienie. Trzeci również padł. Jednakże pierwszy wstał i szedł trzymając kuszę wymierzoną w Helmana

Helman wystrzelił jeszcze dwa razy. Pierwszy napastnik upadł na twarz i wreszcie znieruchomiał. Dwaj pozostali, również trafieni, nadal zbliżali się. Helman nacisnął spust. Nie poczuł odrzutu. Rewolwer był pusty. Kusznicy zbliżali się, trzymając się za rany, które Helman bez wątplenia im zadał. Śmiertelnie ranni, nie chcieli się zatrzymać, póki nie osiągną celu.

Helman sięgnął pod płaszcz po magnum. Lecz było już za późno. Bliższy z napastników przykleknął sześć metrów od Helmana i unosił już broń.

Wtem kusznik wyleciał w powietrze odrzucony oślepiającą strugą bieli w chwili, gdy następujące po sobie wybuchy strzaskały ściany z cegieł. Helman poczuł jakby ułknięcie echa przez ubranie i buty. Unosił się silny zapach kordytu, a cienkie smużki niebieskiego dymu oświetlały rozbłyśki automatycznych karabinów, z których strzelali dwaj ludzie na końcu alejki podjazdowej.

Odleglejszy napastnik upadał w chwili, gdy trafiła go pierwsza seria. Odrzuciła go do tyłu, sprawiając, iż miotał się niczym szalony tancerz po całej alejce, aż wreszcie przewrócił się bezwładnie i znieruchomiał.

Potem zapadła cisza. Jeden z dwu mężczyzn z karabinami podszedł do ciała mężczyzny, który rozmawiał z Helmanem. Drugi podszedł do Helmana.

– Jesteś ranny?

Helman potrząsnął głową. Nie słyszał, co powiedział mężczyzna, lecz rozpoznał jego słowa po ruchach warg. Echa strzelaniny wciąż dzwoniły mu w uszach.

Mężczyzna wyciągnął rękę do Helmana.

– Chodźmy do Markera Jeden. Sądzę, że to był ostatni z nich.

Helman wstał o własnych siłach. Widział, jak belty odbijały się od tego mężczyzny. Tamci z kuszami szli prosto w ogień z broni palnej i nie zatrzymywali się. Czuł, że zagraża mu fala rozpacz. Nie działała żadna z zasad. Zwalczył to uczucie i poszedł przed mężczyzną, który zaproponował mu pomoc, prowadzony na muszce broni.

Kiedy mijał ciało drugiego kusznika, okrwawiona ręka wyciągnęła się i chwyciła go. Helman osłupiał. Człowiek ten w połowie był rozszarpany, a jednak ruszał się i mówił. Przynajmniej poruszał ustami. Helman usłyszał głos, lecz był on odległy, zagłuszony wybuchami. Nie przypominał angielskiego.

Mężczyzna z karabinem zobaczył, co się stało. Powiedział coś do Helmana. Helman potrząsnął głową i wskazał na ucho. Mężczyzna krzyknął głośniej:

– Spowiedź. On chce się wyspowiadać przed śmiercią. Ostatnie namaszczenie.

Wtedy Helman skojarzył sobie, co to za język. Poszarpane zwłoki, które trzymały go w żelaznym uścisku, przemawiały po łacinie. Połowa jego wnętrzości wałała się po zamarzniętej alejce, a on nie chciał umrzeć, póki nie wyspowiada się. Helman już wiedział, jakiego typu ludźmi są ci z kuszami. To fanatycy. Ten zapał był przerażający.

Mężczyzna z karabinem przykląkł przed konającym kusznikiem, który ścisnął Helmana za nogę. Szepnął coś mężczyźnie do okrwawionego ucha. Helman nie był pewien, lecz brzmiało to również jak łacina. Konający mówił urywanymi zdaniami. W kącikach ust miał różową pianę. Helman przykląkł, starając się usłyszeć cokolwiek, co mogłoby mu pomóc. Nachylił się nisko nad mężczyzną. Niektóre słowa docierały do niego. Wszystkie były bezsensowne.

Wtedy umierający otworzył oczy. Przez chwilę odzyskał jasność myśli. Spojrzał w twarz człowieka, którego wziął za spowiednika i łzy stanęły mu w oczach, gdy uświadomił sobie, iż padł ofiarą oszustwa. Potem jego spojrzenie padło na Helmana i wyraz twarzy zmienił się natychmiast. Zwyciężyła nienawiść i okrwawiona ręka znad

stopy Helmana i kikuty oberwanych kulami palców drugiej ręki uniosły się niczym węże i zacisnęły na szyi Helmana

Oczy wyszły mu na wierzch. To było niewiarygodne. Ta siła, nienawiść, były oszałamiające. Konający zwyciężał. I wtedy Helman ujrzał, jak jego twarz rozpada się, gdyż mężczyzna z karabinem strzelił mu w bok głowy. Przez moment wściekle oczy plonęły oświetlone wybuchami pocisków. Potem twarz po prostu zniknęła. Obraz tych oczu plonął w pamięci Helmana, a sztywne palce powoli zsuwały się z jego szyi.

Helman klęczał jeszcze przez chwilę. Masował sobie kark. Łapał oddech. Próbował wyobrazić sobie, co mogło wywołać obłąkańczy fanatyzm niezbędny dla takiego zdecydowania. Wtedy zobaczył to. Przypominało lśniący, czysty staw w ciemnoczerwonej krwi gęstniejącej wokół szyi martwego człowieka. On nosi koloratkę duchownego. Helman wstał z trudem. Mężczyźni z karabinami zrobili mu miejsce. Odwrócił ciało następnego martwego napastnika. On również miał koloratkę.

W mroźnym powietrzu nocy znad pięciu poszarpanych ciał unosiła się para. Obejrzał je wszystkie. Wszyscy byli odziani w czerń z białymi paskami pod szyją. Otaczał go obłęd.

Słyszał już wyraźniej. Zbliżył się do jednego z ludzi z karabinami.

– Dlaczego oni wszyscy są przebrani za księży? – Nawet już nie myślał o tym, żeby udawać związanego z Langley. Chciał tylko usłyszeć odpowiedź. – Dlaczego?

Mężczyzna spojrział na niego z zatroskaniem.

– Mylisz się, Feniksie. Oni nie są p r z e b r a n i za księży.

To są jezuici. To są księża.

ROZDZIAŁ XV

Żółta policyjna furgonetka Wydziału Spraw Specjalnych jechała powoli środkiem ciemnej ulicy. Włączone były jedynie światła parkowania. Kierowcy polecono widzieć jak najmniej.

Jeden z ludzi eskortujących Helmana do ciężarówki telewizji odwrócił się ku policyjnej furgonetce. Furgonetka zatrzymała się. Kierowca, w cywilnym garniturze, nie

w mundurze, wysiadł i ruszył środkiem drogi. Choć mężczyzna z karabinem nic nie powiedział, kierowca szedł z na wpeł podniesionymi rękoma. Na końcu ulicy zaczął biec.

Helman przyglądał się uciekającemu mężczyźnie z lękiem. Kim są ci ludzie, że rozkazują policji? Czekał przy tylnych drzwiach furgonetki telewizyjnej. Z mroku wyłoniły się następne postaci z karabinami. Trzech obserwowało go, trzymając broń w pogotowiu. Pozostali zaczęli ciągnąć ciała, również z wnętrza domu, w stronę policyjnej furgonetki. W nocnej ciszy przedstawiali koszmarnie widowisko, niczym ghule plądrujące cmentarz i powracające ze swym trupim łupem. Zimowy wieczór był mroźny. Helman zadygotał. Słowo „jezuici” nie było pseudonimem. To rzeczywiście były zwłoki księży. Księża, którzy walczyli kuszami przeciwko broni palnej. Księża, którzy weszli do restauracji w Miami i drucianą garotą odcięli głowę Maxowi Telfordowi.

Drzwi do furgonu telewizyjnego otworzyły się. Wewnątrz czterech mężczyzn siedziało na ławce przed konsolą pełną ekranów telewizyjnych i sprzętu radiowego. Helman nie mylił się co do obserwacyjnej roli furgonetki. Nie mylił się również i pod innym względem.

Mężczyzna ze znaczkiem pracownika spółki telefonicznej przypiętym do rozpiętej kurtki puchowej siedział przed konsolą dokładnie związany. Jeden rękaw jego koszuli był oderwany, odsłaniając nagie ramię. Ramię było obwiązane nad łokciem gumową rurką uciskową. Siedzący obok niego mężczyzna trzymał strzykawkę. Ludzie z furgonetki telefonicznej byli po stronie przegranych.

Z tyłu samochodu odezwał się czyjś głos. Helman dostrzegł ledwo widoczny zarys twarzy słabo oświetlonej zielonkawym poblaskiem rzucanym przez konsolę.

– Teraz daj im zezwolenie na przysłanie pierwszego wozu policyjnego. Potem każ im przysłać karetkę pogotowia.

Uwięziony mężczyzna wypowiedział ciąg hasel do mikrofonu. Kimkolwiek byli ci z wozu telefonicznego, to oni wydawali polecenia policji. Teraz jednak ludzie z półciężarówki telewizji kablowej wydawali polecenia mężczyźnie, który znał hasła. Władza jest bardzo kruchą rzeczą, jeśli znajdzie się w rękach ludzi bez twarzy, szepczących słowa, które niosą zbyt wiele znaczeń. Dowódcy mogą zmienić się w jednej chwili,

a ludzie pod nimi mogą nawet tego nie zauważyć. Helman wiedział, że nie raz już tak było. I znów tak się stało.

Z rozmów docierających przez trzaski z radia Helman zorientował się, że całe okolicę domu Leunga otaczał kordon policyjny. W tym rejonie wszystko mogło się zdarzyć. Dopiero po usunięciu dowodów lokalnym władzom wolno będzie poskładać z fragmentów oczyszczoną wersję prawdy. Wszystko mogło się zdarzyć. Helman zaczął planować ucieczkę.

Oświetlony na zielono mężczyzna znów odezwał się:

– Powiedz im, że mogą wejść po odjeździe karetki i tej furgonetki. Operacja zakończona.

Jeniec wykonał polecenie. Człowiek ze strzykawką poczekał, aż skończy, a z głośników dobiegnie odpowiedź potwierdzająca. Następnie wbił stalowy czubek igły w kark jeńca. Mężczyzna wzdrygnął się raz. Po zeszlonych już od narkotyków oczach nie można było poznać, iż uchodzi z niego życie. Potem zważył się w przód.

Mężczyzna ze strzykawką pochwycił go i pchnął w stronę strażnika czekającego obok Helmana.

– Wsadź go do wozu policyjnego. Zaczekaj z cywilem na karetkę.

Związane, martwe ciało pociągnięto ulicą do żółtej furgonetki. Wyglądało na to, że wypełniona jest zwłokami. Przeprowadzono intensywną czystkę. Bitwa była zacięta. Helman poczuł się uwięziony w innym stuleciu. Rozważył wszelkie ewentualności ucieczki. Żadna nie dawała szans przeciwko tylu ludziom z karabinami.

– Czy to jest Feniks? – powiedział oświetlony zielonkawo mężczyzna, wskazując na Helmana. Jego strażnik skinął głową. – Marker Jeden jest w piwnicy. Zatrzymaj Feniksa dopóki nie wyjdzie. Wtedy będziemy już mieli policyjną eskortę na lotnisko.

Drzwi furgonetki zatrzasnęły się. Większość uzbrojonych ludzi zgromadziła się wokół samochodu policyjnego. Ulicą cicho toczyła się karetka pogotowia z włączonymi tylko światłami parkowania. Ludzie obok Helmana na chwilę przestali uważać i Helman wykorzystał ten fakt natychmiast.

Wyprostowaną dłoń wbił najbliższemu z mężczyzn odłamki nosa w przodomózgowie. Drugiego uderzył piętą nad rzepeką kolanową, czemu towarzyszył głuchy trzask. Mężczyzna gwałtownie nachylił się, a wtedy Helman wbił mu łokieć w szyję

nie chronionej niczym czaszki. Trzeci mężczyzna miał czas zdać sobie sprawę z tego, co się dzieje i cofnął się, zamachnąwszy się kolbą karabinu w morderczym ciosie. Helman zadał cios dłonią wzdłuż świszczącej w powietrzu kolby i odepchnął ją od swego podbródka. Ręce mężczyzny znalazły się w górze, przez co Helman mógł zadać miażdżący cios poniżej mostka. Karabin poleciał na bok, a mężczyzna zachwiał się i znów cofnął. Stracił oddech w jednym gwałtownym westchnieniu. Helman uderzył go stopą w szczękę. Mężczyzna uderzył w ścianę furgonetki i osunął się na ziemię. Z tyłu rozległy się kroki. Helman chwycił karabin i wybiegł przed furgonetkę. Puścił serię na osłep zza osłony maski samochodu, a następnie zygzakiem pobiegł do najbliższego domu. Nie usłyszał strzałów za sobą. Kroki ucichły. Był wolny.

Znów będąc w mroku zaciemnionych domów otaczających posiadłość doktora Helman odłożył karabin i wyciągnął magnum z przekrzywionej kabury pod pachą.

Pobiegł na skróty przez podwórza. Wydawało się, że nikt go nie śledzi. Może domyśl, że jest z CIA, powstrzymał pościg. Może sądzili, że nie zdoła wymknąć się przez policyjne barykady. Jeśli tak, to byli w błędzie.

Policja to policja. Nie miał trudności z wymknięciem się im. Policjanci skupili uwagę na drewnianych zaporach i korkach samochodowych, które utworzyły się przy odciętych ulicach. Wszędzie były tłumy wścibskich sąsiadów i przechodniów. Wielu zgromadziło się wokół ekipy filmowej z miejscowej stacji telewizyjnej. Helman wszedł pomiędzy nich, przeszedł przez tłum i znikł.

Mężczyzna na alejce dojazdowej, ten od którego bełty najpierw odbijały się, a potem zabiły go, powiedział, że wiedzą wszystko o Helmanie, sądząc, iż jest kimś nazywanym Feniks. Jeśli wiedzieli o nim, lecz nie próbowali odszukać go w pokoju hotelowym, w takim razie nie wiedzieli wszystkiego. Istniało jedno miejsce w mieście, gdzie będzie bezpieczny. Ruszył w kierunku hotelu. Nie zastanawiał się nad tym, co się wydarzyło. Nie mógł w to uwierzyć.

Stojąc na korytarzu hotelowym i zaglądając przez drzwi do ciemnego pomieszczenia, Helman zorientował się, że w jego pokoju coś się zmieniło. Może to robota sprzątaczek.

Może włamanie. Nie podniósł ręki, by zapalić światło. Wślizgnął się szybko, trzymając magnum na wierzchu i zatrzasnął za sobą drzwi, żeby nie stać na progu jako oświetlony od tyłu cel.

W pokoju nic się nie poruszyło.

Zrobił dwa kroki w głąb krótkiego korytarzyka i pchnięciem lufy rewolweru otworzył drzwi do łazienki. Była pusta.

Jeszcze dwa kroki i znalazł się za progiem. Zastłony w oknie balkonowym były w pół odsłonięte i wpuszczały dość światła z zewnątrz, by Helman mógł stwierdzić, że w pokoju nie ma nikogo. Ostrożnie wyszedł na środek pomieszczenia, zaglądając pomiędzy łóżka i za długą, niską komódkę. W pokoju było bezpiecznie.

Schował magnum do kabury i zdjął płaszcz, rzucając go na środek jednego z łóżek. Powoli zaczął przypominać sobie wydarzenia dzisiejszego wieczoru. W drodze do hotelu nie dopuszczał ich do siebie, skupiając się na unikaniu ewentualnego pościgu. Wiedział, co się stanie, jeśli zatrzyma się, by pomyśleć o zamieszczeniu i szaleństwie wybuchu w laboratorium i strzelaninie na uliczce osiedlowej. Teraz, kiedy był już bezpieczny w pokoju hotelowym, który stanowił dla niego schronienie przed brutalnością owego wieczoru, przypomniał sobie o wszystkim. Siadł na krawędzi łóżka i wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w podłogę, czując zamęt w głowie. Nie przychodziło mu na myśl nic, żaden scenariusz, który mógłby wytłumaczyć konflikt, w jakim brał udział. To coś więcej niż tylko wynajęcie go przez nowojorską organizację do popełnienia morderstwa; dużo więcej niż kobieta z tropikalną chorobą. Z jakiegoś powodu ktoś wierzył, że Helman jest agentem CIA i nie dziwił się, że ktoś z CIA powinien brać w tym udział. I jeszcze jezuici. Uzbrojeni w kusze księża, którzy zabijali. W żaden sposób nie można było tego wyjaśnić. Rozpaczliwie potrzebował odpowiedzi, rozpaczliwie potrzebował choćby ziarna rozsądku w tym nieprawdopodobnym świecie. Zadzwonił do siostry. Usłyszy jej głos. Przeniesie się do świata wiejskiego gospodarstwa w Nowej Anglii, z dala od obłądu rzeczy, które nie sprawiały wrażenia rzeczywistych.

Rozpaczliwie pragnąc spokoju, rozpaczliwie pragnąc odpowiedzi, Helman sięgnął po telefon stojący na nocnym stoliku między łózkami. Na balkonie coś się poruszyło. Odpowiedź nadeszła.

Z ręką na telefonie podniósł gwałtownie głowę w chwili, gdy na posadzkę padł cień, i ujrzał wtedy ją, Adrienne St.Clair. Nie mógł nie dostrzec jej nienawistnego spojrzenia. Poczucie siły widoczne w jej oczach zmroziło go.

Na tę długą, pełną milczenia chwilę jej sylwetka w czarnym ubraniu przywarła mocno do szyby okna balkonowego. Twarz zdeformowana płaską powierzchnią, dłonie rozplaszczony na szkle jak ciasto. Oczy zdawały się rosnąć, zbliżać się do niego, zbliżać się po niego. A potem ciszę przerwał pierwszy krystaliczny odłamek szkła w chwili, gdy delikatna pajęczyna rozprzestrzeniła się najpierw od jednej dłoni, a potem od drugiej, z trzaskiem strzelając przez całą powierzchnię drzwi balkonowych niczym strumienie wody. Potem drzwi eksplodowały deszczem szklanych odłamków, kobieta znalazła się wewnątrz i zbliżała się do niego. Wydała wysoki, gniewny skowyt. Szykowała się do ataku.

Brzęk szkła wyrwał Helmana z paraliżu. Górę wziął instynkt. Zeskoczył z łóżka do tyłu i stanął z wyciągniętym magnum. Wycelował w nią.

– Ani kroku dalej, bo strzelam. – Jego głos był niemal niedostrzeczalny. Przerazenie ściszało mu gardło.

Adrienne St.Clair wciąż zbliżała się. Skowyt ucichł, zastąpiony przez głębokie, chrapliwe sapanie. Warczała na niego.

Helman wystrzelił. Magnum szarpnęło gwałtownie i bezgłośnie w jego dłoń. Zobaczył na tle jej skóry strzępy czarnej tkaniny rozerwanej wystrzałem. Zobaczył, jak zasłony za nią wydymają się, szarpnięte falą uderzeniową pocisku. Zobaczył, że jej biała skóra jest nietknięta.

Adrienne St.Clair wciąż szła naprzód. Strzelał raz za razem, aż stuknął pusto spust, a jej czarne ubranie wisiało w strzępach. Wciąż zbliżała się.

Cofnął się pod ścianę. Kobieta wyciągnęła rękę i chwyciła go za gardło. W chwili wrażliwości podwyższonej spowalniającej upływ czasu paniką dostrzegł, jak mała jest i delikatna. To tylko dziewczyna, pomyślał. Jakąż krzywdę może uczynić?

Kobieta, która właśnie została sześciokrotnie trafiona z bardzo bliska pociskami zaprojektowanymi tak, by zadawały śmiertelne rany przy każdym trafieniu, zacisnęła na szyi Helmana małą i delikatną dłoń i powoli uniosła go do góry. Wisiał przyciśnięty do ściany, dyndając stopami kilkanaście centymetrów nad dywanem.

Na obrzeżach jego pola widzenia wybuchły czarne gwiazdy. Miał uczucie, że szyja pęknie mu pod uszami. Płuca paliły go z braku powietrza, lecz szarpiąc się nie był w stanie ani trochę rozluźnić uścisku szczupłej ręki na swojej szyi. Jego ruchy spowolniały, a pokój wypełniła czerwona mgła. Kobieta przemówiła:

– Tylko raz ci to zaproponuję. Zgodzisz się powiedzieć mi wszystko o tym, co cię sprowadziło do mnie, albo będę nadal trzymać cię przy ścianie, aż wreszcie udusisz się. To może potrwać jakieś dwadzieścia minut. Zadbam, by było bardzo nieprzyjemnie. Zgadzasz się?

Helman rozpaczliwie usiłował zasygnalizować swą odpowiedź. Z jego gardła nie wydobywał się żaden dźwięk. Głowę miał unieruchomioną w jej uścisku.

– Zgadzasz się? – syknęła do niego, rozluźniając uścisk na chwilę.

Helman pochylił głowę, walcząc z naciskiem własnego wiszącego ciała. Wychrypiął potwierdzenie najlepiej, jak zdołał. Kobieta wypuściła go. Osunął się na podłogę, nie będąc w stanie bronić się.

Dotknął swego gardła, łagodnie rozcierając je i próbując ocenić krzywdę, jaką mu wyrządziła. Wbił w nią wzrok, który powoli nabierał ostrości. W jej oczach wciąż żarzyła się nienawiść.

– Dostaniesz chwilę na przyjście do siebie, a potem powiesz mi wszystko, czego będę chciała się dowiedzieć.

Helman skinął głową. Jego wzrok padł na leżące na ziemi magnum. Instynktownie obliczał odległość.

Nie spoglądając nawet, kobieta odrzuciła je kopnięciem pod łóżko.

– Nawet nie myśl o tym – powiedziała. – Już wiesz, że to bezcelowe. Nie jesteś w stanie wyrządzić mi krzywdy. Ja już nie żyję. Rozumiesz to? Jestem *yberem*. Tym, kogo ludzie nazywają wampirem.

Odpowiedź nadeszła.

CZEŚĆ DRUGA

CEL

ROZDZIAŁ I

Wampir. Słowo to tłukło się w głowie Helmana, aż stało się nie połączonymi ze sobą, bezsensownymi sylabami. Tym, które je zastąpiło, którego chciałby użyć, było słowo „niemożliwe”. Nie był jednak pewny, czy chciałby określić nim fakt, iż Adrienne St.Clair jest tym, za co się podaje, czy też fakt, że została sześć razy trafiona kulami przeznaczonymi do wrywania dwudziestopięciocentymetrowych dziur w ludziach i nic jej się nie stało. Widział zmasakrowane ciało doktora w laboratorium. Widział Adrienne St.Clair nietkniętą. Helman nie wiedział już, czy istnieją jeszcze rzeczy niemożliwe.

Przyjrzał jej się uważnie wstając z podłogi. Delikatne odbłaski światła miasta padały na jej twarz, a zasłony unosiły się w przeciągu od rozbitych szklanych drzwi. Miała bladą i zapadniętą twarz. To, co wziął za puciołowatość na zdjęciu, które pokazał mu King, okazało się gładką wypukłością wydatnych kości policzkowych. Wyglądała, jakby miała te trzydzieści lat, które dawał jej King, lecz struktura jej twarzy była z tych, które nie zmieniają się z upływem lat. Mogła być w dowolnym wieku.

Wygląd jej ciała również nie dawał wskazówek. Była chuda, lecz nie sprawiała wrażenia kruchej. Przez czarny sweter, który miała na sobie, ten rozdarty kulami, widać było jedną, małą pierś. Nie wywoływało to w nim erotycznych skojarzeń. Adrienne St.Clair potrafiła zabić go w jednej chwili.

Helman żył jeszcze tylko dlatego, że potrzebowała informacji. Gdyby tylko wiedział, jakie to informacje.

Odezwała się do niego, gdy usiadł na krawędzi łóżka, które było bardziej oddalone od drzwi balkonowych.

– Jesteś gotowy? – Przeciągnęła te słowa. Zabrzmiały jak wyszeptany syk, jak ten głos z telefonu. Jak głosy grupy z Nowego Jorku. Helman skojarzył sobie wreszcie

i rozsypane kawałki układanki zaczęły pasować do siebie.

– Czy są inni, tacy jak ty? – zapytał. Wiedział, jaka padnie odpowiedź, lecz musiał to usłyszeć z jej ust.

Zmrużyła oczy, spoglądając na niego. Nadal stała na środku pokoju, nie drgnąwszy nawet. Widział, iż walczyła z potężnym pragnieniem natychmiastowego zabicia go. Potrzebne jej były jednak informacje i dlatego postanowiła współpracować. Na razie.

– Tacy jak ja? Nie. Wydaje mi się, że znalazłeś się tu właśnie z tego powodu. Lecz z całą pewnością istnieją inni *yberowie*. Być może tysiące.

– *Yberowie?* – spytał. Już wcześniej użyła tego słowa.

– To nasze słowo. Stare słowo. Jesteśmy narodem, a to jego nazwa. Wśród swoich brzmi ona *yber*. Istoty ludzkie zmieniły ją. Dziś w ich języku brzmi ona wampir.

– Czy King, Rice i grupa w Nowym Jorku są również *yberami*!

– Nie znam tych nazwisk. Właśnie o nich chciałabym się czegoś dowiedzieć. Co to za grupa z Nowego Jorku?

Helman opowiedział jej o spotkaniu w Nowym Jorku; o tym, jak nieprzytomnego zawieziono go limuzyną do bogatego pokoju bez okien, i o jedenastu ludziach, którzy mieli głosy jak ona, a twarze kryli za płóciennymi maskami.

W trakcie opisywania ich kiwała głową.

– Czy to byli *yberowie*! – zapytał. Wtedy zdał sobie sprawę, że nosili maski nie po to, by zasłonić twarze, lecz by ukryć usta. Spojrzał na usta St.Clair. Jej zęby były płaskie, białe i doskonałe.

– Nie masz kłów. – Kiedy tylko to powiedział, poczuł się jak dureń. Rozwiązanie, jakie mu podsuwała, było bezsensowne. Dlaczego tego słuchał? Pomyślał o kulach.

– Nie, człowieku, nie mam kłów. Rzucam cień. Mam odbicie. A święcona woda nie pali mnie. Ale ci z Nowego Jorku mają kły. I rozszarpią ci nimi gardło, kiedy dowiedzą się, że ich zawiodłeś. Powiedz mi coś więcej. Czego zażądałeś jako zapłaty?

– Niczego. Szantażowali mnie.

– Jak? Za jakie przestępstwa?

– Za inną zbrodnię. Morderstwo. – Nazwał sprzątnięcie Delvecchio odpowiednim słowem. – Mieli dowody, które mogli przekazać władzom. Nie miałem wyboru.

St.Clair przyglądała się Helmanowi przez chwilę.

– Byłeś winny zbrodni, której mieli dowody?

– Tak.

Wciąż stojąc w pozycji, jaką zajęła oddalwszy się od Helmana, kobieta nakazała:

– Powiedz mi wszystko, co od nich usłyszałeś. Każde słowo, jakie zapamiętałeś.

Helman posłusznie wyrecytował rozmowę, jaką odbył z grupą zamaskowanych. Potem dotarł do miejsca, gdy King, prawdopodobnie przejęczywszy się, niemal zwrócił się do jednego z zamaskowanych ludzi „mój panie”.

St.Clair natychmiast wtrąciła się.

– Jesteś pewien? „Mój panie”?

– Tak to zabrzmiało. Lecz poprawił się szybko. Co to oznacza?

St.Clair odwróciła się w stronę balkonu i spojrzała w mrok nocy. Niebo wciąż jarzyło się mrocznym blaskiem niskich chmur.

– Posłuchaj uważnie tego, co zamierzam ci powiedzieć – rzekła. – Kiedy skończę, będziesz musiał podjąć decyzję, która może oznaczać dla ciebie śmierć. Jakkolwiek wybierzesz.

Helman skinął głową. Adrienne St.Clair zaczęła.

Helman nie był jedynym w podobnej sytuacji. Innych ludzi zmuszano do wypełniania pewnych ról tak samo, jak Helmana. Najpierw nawiązywano kontakt i obserwowano odpowiednie osoby, które mogły się kiedyś przydać *yberom*. Zazwyczaj dzięki takim obserwacjom zdobywano informacje, które miały posłużyć do innych akcji.

Pod koniec lat czterdziestych XX wieku, w Sussex w Anglii pewien *yber* zerwał z Drogą i stał się maniakiem. Porzucił wypracowane przez lata dyskretne metody zabijania i pożywania się, a ciała istot ludzkich, z których wyssano krew, zaczęto odkrywać w straszającym tempie. Wzmogły się śledztwa. Całej sieci *yberów* działających w Anglii groziło wykrycie. Zebrali się więc i unicestwili przestępcę. Nazywano to Ostateczną Śmiercią. Jednak śledztwo nie zostało zakończone. Trzeba było kogoś poświęcić, i tak też uczyniono.

Całkiem przeciętny człowiek w Sussex, jeden z tych, których zauważono wiele lat temu, ponieważ spełniał pewne wymagania, zaczął mieć w nocy wizyty. Przemawiały do niego głosy. *Yberowie* przychodzili do jego sypialni i kusili go, mając go urokiem „życia

krwi”. Mężczyzna ten nazywał się John George Haigh. Z pomocą *yberów* popełnił dwa morderstwa, wypijając krew swych ofiar, choć sam nie był *yberem* i nie mógł czerpać z niej pokarmu. Wtedy oddano go w ręce policji. Wszystkie dowody wskazywały na niego. Podczas rozprawy mówił o głosach, które go nawiedzały, lecz nie było wątpliwości, iż człowiek ten jest wariatem i nikt nie zwracał na to uwagi. Popełniono makabryczne, wampiryczne morderstwa. Dostarczono mordercę, a stan jego umysłu wyjaśniał charakter zbrodni. Śledztwo zostało zamknięte i *yberowie* nie zostali ujawnieni.

– Widoczny, niewidoczny – stwierdził Herman. – Kiedy trzeba popełnić zbrodnię w celu ukończenia operacji, dostarcza się podejrzanego rzucającego się w oczy, by odciągnąć uwagę od prawdziwych sprawców. Politycy, którzy nie zgadzają się z kilkoma dużymi lobby w Waszyngtonie, zazwyczaj kończą pobici przez „bandytów”. Nazywa się to „akcja z parawanem”.

– My nazywamy to przetrwaniem – odparła St.Clair. – Od lat tak to nazywamy.

To samo wydarzyło się w Hanowerze w połowie lat dwudziestych. Podsunęto Fritza Haarmana. Jego stracono. *Yberowie* przetrwali.

Na Montparnassie w 1849 armia francuska posunęła się nawet do ukrywania strażników na cmentarzach i stawiania uzbrojonych ludzi przy wejściach. Pełni pogardy *yberowie* użyli wszystkich swych mocy i specjalnej wiedzy, by prześlizgnąć się obok nich i złupić groby niedawno zmarłych. Wybuchł skandal. Z całego świata zjeżdżali detektywi, by odkryć prawdę. Niektórzy rzeczywiście widzieli *yberów* w akcji. Zaczęło im grozić wykrycie. I wtedy do sierżanta Victera Bertrand zaczęły przemawiać głosy. Odwiedzały go kobiety, które wślizgiwały się przez okno do koszar i dawały mu rozkosz. Niestety nikt inny ich nie widział.

Sierżanta Vieterà Bertrand postrzelono pewnej nocy na cmentarzu. Na rozprawie powiedział to samo, co mówili w następnym stuleciu Haigh i Haarman. Nie pomogło. Nigdy nie pomagało. Śledztwo zakończono, a *yberowie* po raz kolejny byli bezpieczni.

– I ja miałem być kimś takim, jak ci ludzie? Ofiarą? Parawanem dla morderstw, które ty popełniasz?

– Jakich morderstw? – spytała St.Clair. – Ja nie morduję. To ty miałeś zabić mnie: zadać Ostateczną Śmierć tej, która już jest martwa. Prawdopodobnie miało się to

zakończyć śmiercią bliskich mi istot ludzkich. I tak się stało. Bez wątpienia potem został-
byś również zabity. Dowody wskazywałyby na ciebie. Mieliby ciebie i nikt nie szukałby
dalej. Tak samo jak zawsze. *Yberowie* byliby chronieni.

Helman odsunął się znad krawędzi łóżka, rozcierając kark. Ból był tępy i pulsujący.

– A więc wpadłem w pułapkę planu ułożonego ponad sto lat temu i kontynuowa-
nego przez tę samą organizację.

– Nie przez tę samą organizację, człowieku. Te same osoby.

– Jak to te same osoby? Ci, którzy wrobili francuskiego sierżanta, są tymi samymi,
którzy wrabiają mnie sto trzydzieści lat później?

Kobieta zaczęła krzyczeć do niego:

– Nie słuchasz. Nic do ciebie nie dociera. Jesteśmy *yberami*. Jesteśmy wampirami.
Pijemy krew, by żyć. A dopóki pijemy krew, żyjemy. Wszystko, co o nas wiesz, wszyst-
kie wasze przesady, tylko w szczegółach są nieprawdziwe. Wywodzą się jednak z praw-
dy. Jeśli chcesz żyć, człowieku, musisz się z tym pogodzić.

Kobieta miała rację. Helman nie pogodził się z tym. Zaczął już przekonywać siebie, że
kule w ogóle jej nie trafiły, a w czasie eksplozji ochroniła ją lodówka. Jak mógł pogodzić
się z tym, że istoty z koszmarów, stwory mieszkające tylko w piwnicach i kredensach
baśniowych domów, mogą być rzeczywistością? To świat promów kosmicznych, prze-
szczepów serca i telewizji. W obliczu nieznanego, nieodpartej wiedzy o czymś, co nie
miało miejsca w jego wyobrażeniu o świecie, Helman postanowił zignorować je. Cóż
innego ktokolwiek mógłby uczynić?

– Jak mogę pogodzić się z tym, co mi opowiadasz? To bajki o duchach, stare filmy.
Takie rzeczy nie mogą być chyba prawdą?

– W takim razie powiedz mi, dlaczego nie zabiły mnie odłamki w czasie wybuchu,
który spowodowałeś w laboratorium Chrisa. Powiedz mi, jak wydostałam się przez to
okno na trzecim piętrze, jak znalazłam cię tutaj i jak postrzeliłeś mnie sześć razy – wska-
zała swój postrzępiony od kul sweter. – A potem podniosłam cię i przycisnęłam do ściany.
Wytlumacz mi, jak inaczej byłoby to możliwe.

Helman odezwał się bardzo powoli, bardzo cicho:

– Nie ma innego wytłumaczenia.

– Z wyjątkiem mojego. Posłuchaj mnie, człowieku. Jesteś w wielkim niebezpieczeństwie. Ja również. *Yberowie*, z którymi zetknąłeś się w Nowym Jorku, posiadają wielką moc, wielkie wpływy. Jeden z nich, ten, do którego King zwrócił się „mój panie”, należy do Konklawe.

Helman przypomniał sobie o jezuitach i ich kuszach leżących obok parujących ciał. Zlekceważył jej stwierdzenie.

– To ma coś wspólnego z papieżem w Rzymie.

– To nie ma nic wspólnego z Rzymem, a jednocześnie ma bardzo wiele wspólnego z Rzymem. To obelga. Nazwę Konklawe nosi rada władców *yberów*. Zapewniali nam organizację i stabilność przez ponad dwieście pięćdziesiąt lat. Zrozum mnie, człowieku, Europa cywilizowała się. Pojawiły się gazety, lepsze wykształcenie. Nauka wypierała przesady. *Yberowie* również musieli ucywilizować się, bo inaczej zostaliby wykryci, zaszczuci i wytopieni jak tubylcy krajów, które najechali Europejczycy. Powstało Konklawe i *yberowie* zorganizowali się. Metody polowania, pożywania się niepostrzeżenie i pełnego posługiwania się naszymi stale rosnącymi mocami zawsze były przekazywane przez pokolenia mentorów i ofiar. Konklawe zebrało tę wiedzę. Przekazało ją wszystkim. Droga *yberów* umożliwiła nam przetrwanie we współczesnym świecie. Bez niej *yberowie* staliby się nie tylko przesadą, ale i wspomnieniem. Zniknęliby jak pył w blasku słońca. Jednakże trzeba zapłacić za to odpowiednią cenę. – I Adrienne St.Clair opowiedziała Helmanowi o Konklawe i o owej cenie.

Najdawniejszą historię *yberów* stanowiła stała walka z jedynym źródłem ich pożywienia, ludźmi. *Yberowie* przychodzili w nocy, by wypijać krew swych ofiar. Czasami ofiary zarażały się tą przerażającą przypadłością i stawały się same *yberami*. Wszyscy ludzie wiedzieli, że to prawda. Wszyscy ludzie bali się nocy, kłów i odsłoniętego gardła. Opowieści trafiły do mitologii wszystkich kultur.

W miarę rozrastania się miast i cywilizacji *yberowie*, którzy towarzyszyli nowej populacji, byli niezmiennie wykrywani i ginęli Śmiercią Ostateczną. *Yberowie*, którzy zostali w bardziej niedostępnych, wiejskich okolicach, przeżyli. Wiedza o nich zmieniła się ze znanych wszystkim, pewnych faktów, w opowiadki głoszone przez zacofanych wieśniaków w małych chłopskich społecznościach. *Yberowie*, chronieni przez ludzkie

zabobony, byli bezpieczni. Wreszcie sami pogodzili się z tymi zabobonami i włączyli je do Drogi.

Droga mówiła, że *yberowie* są szatańskim nasieniem, sługami diabła. Ich wrogiem jest Bóg i królestwo jasności. Wszystko inne wypływało z tego; wszyscy *yberowie* tym kierowali się w swym postępowaniu.

System organizacyjny *yberów* prawie w całości przejęto z Kościoła, by sztyt z niego. Konklawe, które rządzi *yberami*, wzięło nazwę od zgromadzenia kardynałów wybierających papieża i w ten sposób władających Kościołem.

Konklawe zapewnia tożsamość *yberom*, którzy muszą poruszać się wśród ludzi. Stąd nazwisko Adrienne, St.Clair. Sztytano z Kościoła wszędzie, gdzie było to możliwe. Nawet stworzenie nowego *ybera* nazywano komunią.

Utoczenie krwi przez *ybera* nie czyni automatycznie ofiary następnym wampirem. Gdyby tak było, pojedynczy *yber*, który potrzebuje co noc jednej ofiary, stworzyłby więcej *yberów* w ciągu pięciu tygodni, niż istnieje ludzi na świecie, ponieważ każdy nowy *yber* z kolei potrzebowałby własnej ofiary. Zamiast tego, *yber* może upijać niewielką ilość krwi wielu ofiarom, które w ten sposób przeżywają bez szkody dla siebie. Nowy *yber* może zostać stworzony tylko w akcie komunii.

Yber-mentor najpierw wysysa niemal całą krew z ofiary. Musi nastąpić wstrząs wywołany utratą krwi. Dopóki ofiara jest w tym stanie, musi zostać zmuszona do wypicia białej krwi mentora. Tylko wtedy przypadłość przenosi się. Tylko wtedy może powstać nowy *yber*.

Konklawe dopilnowało, by *yberowie* mieli zawsze gotowe źródło pokarmu, tworząc specjalną kategorię ludzi podporządkowanych sprawie *yberów* – chowańców.

Chowańcami byli ludzie, których *yberowie* specjalnie wybrali, by w przyszłości stali się także *yberami*. Najpierw jednak musieli przejść okres służby. Jeden *yber* mógł mieć pięciu do dziesięciu chowańców. Niektórzy wyżej postawieni *yberowie*, tacy jak dostojnicy z Konklawe, mogli mieć ich tuziny. Chowańcy strzegli sanktuarium *ybera* przed słońcem, zajmowali się interesami i transakcjami finansowymi, które musiały być przeprowadzane w blasku słońca i oddawali mentorom swą krew w niewielkich i regularnych

dawkach. Po odpowiednim okresie takiej służby chowańcy mogli zostać przedstawieni mniejszemu zgromadzeniu *yberów* i wziąć udział w komunii, sami stając się *yberami*.

Grupa z Nowego Jorku jest jednym z tych mniejszych zgromadzeń. Radą *yberów*, zobowiązaną jako jednostka geograficzna do połączenia swoich finansowych zasobów, koordynowania akcji i zapewniania wzajemnej ochrony. St.Clair była pewna, że w skład nowojorskiej grupy wchodziłi wysoko postawieni *yberowie* z powodu masek z materiału, które zasłaniały im usta.

Spośród wielu przemian, jakim ulegała istota ludzka, stając się *yberem*, jedną z najbardziej rzucających się w oczy i najszybszych było wyrastanie ostrych zębów. Ludzkie kły wypadały w ciągu kilku godzin po transformacji. W czasie następnych dwóch nocy następne kły przebijały dziąsła i rosły szybko, stając się długimi na dwa i pół centymetra, ostrymi jak szpilki zębami. Te kły wystawały na dolną wargę i były niemożliwe do ukrycia.

Yberowie chronieni i obsługiwani przez chowańców nie musieli niczego robić ze swoimi kłami. Stanowiły one symbol ich władzy i szczególnej natury. Jednakże niektórzy *yberowie* musieli przebywać wśród ludzi. Wtedy opiólowali kły i nakładali na nie koronki. Co kilka miesięcy stale rosnące kły trzeba było piłować, lecz przez jakiś czas nie było widać niczego, co odróżniałoby *ybera* od istoty ludzkiej.

Helman wspominał Kinga w Nowym Jorku i Rice'a w Toronto. Oni mieli idealne zęby, tak samo St.Clair. Zapytał o tych dwóch.

– Czasami człowiekowi trudno jest odróżnić *yberów* od ich chowańców, ponieważ chowańcy szybko przejmują maniery i wygląd swego mentora. Ponieważ nigdy nie widziałeś tego Rice'a ani Kinga w świetle dnia, a ich napaści na ciebie były tak gwałtowne, należy przypuszczać, iż są *yberami*.

Zapadła długa cisza, podczas której Helman spoglądał za falujące na wietrze zasłony. Temperatura spadła poniżej zera, toteż nałożył płaszcz. St.Clair stała wciąż tak samo jak przedtem, ubrana tylko w porwany sweter i czarne spodnie. Nie wyglądało na to, by było jej choć trochę zimno czy niewygodnie.

Helman gwałtownie potrząsnął głową.

– Nie, nie. To śmieszne. Jak ja mam w to wierzyć?

Twarz St.Clair ponownie wykrzywiła zwierzęca wściekłość, jak wtedy, gdy przebijała się przez szklane drzwi. Jej głos zniżył się do przejmującego chłodem, syczącego szeptu.

– Jak możesz nie wierzyć? – parsknęła.

Nastąpiła chwila kruchej ciszy, gotowej w każdej chwili eksplodować. Helman prze-rwał ją ostrożnie.

– Jaką decyzję chciałabyś, żebym podjął?

St.Clair poruszyła się wreszcie. Podeszła i stanęła przed nim, spoglądając mu w oczy. Kiedy ujrzał jej twarz z bliska po raz pierwszy, uderzył go w niej całkowity brak koloru. Na myśl nasunęło mu się oblicze Rice'a: on był ucharakteryzowany. Nawet jej wargom brak było ciemniejszego zabarwienia, miały ten sam kolor, co jej skóra. Sutek odsłoniętej piersi miał to samo bladobiałe zabarwienie, co skóra reszty piersi.

– Czy wiesz, kogo zabiłeś dzisiajszego wieczoru w laboratorium? – spytała.

Helman zmusił się, by spojrzeć jej w oczy i powiedział:

– Christophera Leunga. Doktora, u którego mieszkałaś.

St.Clair pokiwała głową nieomal smutno.

– Był dobrym człowiekiem. Dobrym mężczyzną. Był również moim chowańcem. Moim jedynym chowańcem w Ameryce Północnej. Ostatnim chowańcem, jakiego miałam na świecie.

Konklawe zabiło wszystkich innych na lotnisku Heathrow, kiedy uciekałam z Anglii. Moi chowańcy udawali, że jestem transportowana w trumnie, podczas gdy w rzeczywistości ukryli mnie w innym pojemniku. Zginęli, próbując ochronić tę pustą trumnę, aby Konklawe uwierzyło w podstęp. Wszyscy nie żyją. – Przerwała, zezwalając, by wniosek z tego, co powiedziała, powoli sam zaświtał Helmanowi. – *Yber* nie może przeżyć na świecie bez pomocy. Chris zapewniał mi tę pomoc, a ty mi go odebrałaś. Proszę, byś go zastąpił.

Zostań moim chowańcem.

Helman poczuł skurcz żołądka. Co innego zdobyć się na uwierzenie, że to, co powiedziała St.Clair jest prawdą. Co innego jednak samemu brać w tym udział. Przypomniawszy sobie, co powiedziała, gdy zaczęła z nim rozmawiać. „Może to oznaczać twoją śmierć. Co-kolwiek wybierzesz”. Wiedział, co się stanie, natychmiast i boleśnie, jeśli jej odmówi. I znów następne drzwi zamykały się za nim i zostawała tylko jedna droga. Od czasu

otrzymania paczki w New Hampshire jest niczym więcej, jak pionkiem. Najpierw Konklawe, a teraz jej. Gniew i frustrację wywoływała w nim każda decyzja, do podjęcia której był przymuszany. Cóż innego jednak mógł uczynić? Ponad wszystko wiedział, że musi przeżyć. Musi nadejść moment, w którym będzie miał możliwość dokonania własnego wyboru i podjęcia własnej decyzji, atakując potęgi, które nim zawładnęły. Ale jeszcze nie teraz.

– Czy oznacza to, że będziesz piła moją krew? – To obłąd.

Koszmar, który stał się rzeczywistością. Co się z nim stało? Jak takie pytania mogą w ogóle istnieć?

Adrienne St.Clair potrząsnęła głową.

– Powiedziałaś ci już, człowieku, ja nie zabijam. I nie odżywiam się żywą krwią istot ludzkich.

Spojrzała w nocne niebo. Nie było jeszcze zmiany. Czas odejścia jeszcze nie nadszedł. Odwróciła się ponownie do Helmana.

– Istnieją lepsze sposoby przeżycia dla *ybera*. I dlatego właśnie Konklawe chce mnie zabić.

ROZDZIAŁ II

Adrienne St.Clair przerwała, jakby zastanawiając się, co teraz uczynić, a następnie usiadła na łóżku naprzeciw Helmana.

– Wiesz, człowieku... – zaczęła, a potem przerwała. Po raz pierwszy Helman dostrzegł łagodniejszy wyraz na jej twarzy. Twarda jak gład zaciętość jej gniewnej miny przygasła na chwilę. Być może kobieta bliska była uśmiechu. – Przepraszam – rzekła wreszcie. – Czasami zapominam o wszystkim z mego pierwszego życia. Jak ci na imię?

Helman podał jej swe imię; prawdziwe imię. Nie chciał mieć do czynienia z konsekwencjami, gdyby dowiedziała się, że podał fałszywe.

– Wiesz, Granger, zostałeś wmieszany w to zupełnie nieświadomie. Konklawe wybrało cię, tak jak przedtem pozostałych, z powodu twojej przeszłości. Niezależnie od tego, co jeszcze jest w tej przeszłości, jest w niej nieświadomość. Liczyli na to. Dzięki temu

łatwiej tobą manipulować. Kłamstwa o chorobie tropikalnej miały wyjaśniać moją awersję do światła słonecznego i kontakty z Chrisem. Kłamstwa o mojej znajomości wschodnich sztuk walki miały nie dopuścić do tego, byś zetknął się ze mną. Kłamstwa o potrzebie uczynienia z mojej śmierci przykładu miały pomóc usprawiedliwić ich żądanie ścięcia mi głowy. Prawdę mówiąc, jest to jeden z nielicznych sposobów zadania mi Ostatecznej Śmierci. Polecenie wbicia mi tradycyjnego kołka w serce mogło okazać się zbyt oczywistą wskazówką.

– Nie musieli niczego usprawiedliwiać przede mną. Życie mojej siostry i jej dzieci spoczywa w ich rękach. Nie byłem w stanie odrzucić żadnego z ich żądań.

– Ty jesteś sprytny, Granger. Większość z nich miała wieki, by przestudiować, w jaki sposób pracuje umysł ludzki. Bez tych usprawiedliwień, które ci podsunęli, nawet gdybyś miał nie więcej, jak jedną czy dwie podświadome sugestie, wykonałbyś wszystko, czego od ciebie żądano, lecz twoja głowa buntowałaby się przez cały czas. Natomiast z wszystkimi tymi historiami w podświadomości byłoby ci łatwiej. Twoja skłonność do buntu zostałaby zmniejszona. Byłbyś skłonny po prostu po to zakończyć akcję, żeby mieć ją za sobą.

Helman zdał sobie sprawę, że ona ma rację. Nie tylko manipulowano nim jawnie poprzez grożenie jego siostrze i jej dzieciom, lecz także w sposób ukryty, przez podanie mu fałszywych szczegółów. Jej sposób rozumowania wywarł na nim wrażenie.

– Ile czasu ty miałeś na studiowanie funkcjonowania ludzkiego umysłu? – spytał. Bał się trochę odpowiedzi, jakiej mogłaby udzielić.

– Nie tak wiele, Granger. Mam tylko sześćdziesiąt siedem lat. To ledwo jedno życie.

Przyjrzał się jej. Sześćdziesiąt siedem lat. Nie wyglądała na więcej niż trzydzieści. Zdawała się znów uśmiechać na widok jego zaskoczony miny.

– Powtarzaj sobie, że to prawda. – Jej głos stracił nieco początkową szorstkość. Brzmiał nieomal pocieszająco. – Po komunii nie starzejemy się tak jak istoty ludzkie. Niedoleżność starczego wieku nigdy nas nie dotyka. I rzeczywiście żyjemy wiecznie. A przynajmniej, o ile nam wiadomo, możemy, jeśli pragniemy tego.

Miała sześćdziesiąt siedem lat! Mogła mieć sto sześćdziesiąt siedem. Tysiąc sześćdziesiąt siedem? Nieśmiertelność. Słowo to zakradło się do głowy Helmana i unosiło się tam swobodnie, płonąc własnym blaskiem. To niewiarygodne. Lecz jeśli wszystko inne, o czym mu opowiedziała, jest prawdą, dlaczego również nie to?

– Jak długo trwa to wasze „wiecznie”? – W jego głosie pobrzmiwał lęk zmieszany z podziwem.

– Legendy mówią o pewnych jaskiniach w Grecji, gdzie od zarania naszego narodu wciąż żyje starszyzna. Nasze dzieje liczą tysiące lat, Granger, tysiące. Lecz oni są już tylko legendą, nawet dla nas. Nikt z nas nie wie na pewno. Wiem natomiast, że moi przyjaciele z pierwszego życia, tego przed komunią, są teraz słabowici i wątli, jeśli już nie umarli. A ja wciąż jestem taka, jak teraz; jaka byłam w chwili mej pierwszej śmierci. I zawsze taka będę.

W zimnym pokoju hotelowym słychać było tylko łopot zasłon. Helmanowi nie przychodziło na myśl nic, co mógłby powiedzieć. To, co usłyszał od niej, wypełniło jego umysł chłodem.

– Ja również zostałam w to wmieszana przez przypadek, Granger. Konklawe przetrwało jako organizacja nadzwyczaj stabilna, ponieważ zawsze potrafiło dobierać sobie członków z najwyższą starannością, obserwować ich zachowanie przez lata służby jako chowańców i dopiero wtedy zezwalało na prawdziwe członkostwo. Pierwotni przywódcy nie umierają, by mogli zastąpić ich nowi, młodszy, ze świeżymi pomysłami. Nieśmiertelność prowadzi do stabilnego rządu. Lecz ja jestem wyjątkiem. Wydaje mi się, że dawno temu chcieli zadać mi Ostateczną Śmierć, ponieważ nie byłam wybrana. Dali się jednak ubłagać. A teraz przypuszczam, że żałują swej pierwotnej decyzji.

– Jeśli nie wybrano cię, jak to się stało? Jak mogło się to stać bez innego wampira – *ybera!*

– Był tam inny *yber*. Były to jednak czasy wojny i nawet zorganizowana struktura Konklawe nie mogła oprzeć jej się całkowicie.

I Adrienne St.Clair opowiedziała Helmanowi swoją historię. Pokój w hotelu zdawał się rozpyływać wokół niego i Helman miał wrażenie, że znalazł się tam, że jest świadkiem wypadku, który sprowadził ją do koszmarnego świata *yberów*.

Rok 1944, prąd zwycięstwa płynął przez Europę, spychając nazistów na obu frontach. Adrienne St.Clair znalazła się na zachodzie, we Francji, jako część zmasowanej armii, która rosła w siłę z każdym dniem od daty inwazji, posuwała się w stronę Berlina.

Adrienne była pielęgniarką w brytyjskim szpitalu polowym. Podążała za frontem, opatrując rannych i myjąc zabitych, aby przygotować ich do ostatniej podróży. Jej oddział szedł w ślad za bitwami.

W zaciętych kontratakach, gdy pozycje pełzały w przód i w tył, niczym brzeg ameby, nie raz znajdowała się niespodziewanie na linii frontu. A pewnego dnia, ostatniego dnia jej pierwszego życia, brutalne bombardowanie i zaciekle natarcie przełamało front i wymusiło odwrót. W ciężarówce Czerwonego Krzyża, w której byli zabici i tylko kilku żywych, została za wrogim natarciem, odcięta od reszty wycofującego się oddziału. Być żołnierzem i dostać się do niewoli jest czymś wystarczająco złym. Być kobietą i dostać się do niewoli było czymś, czego nie miała odwagi wyobrazić sobie. Zaczęło ogarniać ją przerażenie. Zdała sobie sprawę, że rozklekotana zielona ciężarówka z wymalowanym z boku wielkim znakiem Czerwonego Krzyża nie ochroni jej przed siłami, które były przyczyną nieszczęścia, z jakim usiłowała walczyć w minionych tygodniach. Wtedy ciężarówka przepadła, wjechałszy w lej po bombie na uszkodzonej drodze. Przewróciła się na bok i wylądowała w rowie. Adrienne została wyrzucona z ciężarówki na pobocze. Kiedy ocknęła się z omdlenia, nieliczne jęki żywych pasażerów dawno już ucichły, zastąpione przez odległy, dudniący pomruk moździerzy i głuchy stuk wystrzałów.

Adrienne pokuśtykała do plątaniny pociętego metalu i płótna z tyłu ciężarówki. Ciało było beznadziejnie poskręcane, kończyny powyginane w sposób, na jaki nie pozwala natura. Ku swemu przerażeniu stwierdziła, że zadowolona jest z tego, że jej podopieczni nie żyją. Zadowolona, że obowiązek nie zmusi jej do zostania przy nich, dopóki nie nadejdzie wróg i nie weźmie jej do niewoli. Wraz ze śmiercią żołnierzy zyskała wolność i możliwość uratowania się. Płakała, biegnąc w stronę drzew przy drodze, a huk moździerzy rósł jej w uszach. Cieszyła się, że nie żyli i wstydziła się swojej chęci przeżycia.

Krwawe słońce, rozdęte i falujące zachodziło na horyzoncie za chałupą, która stała na skrawku opustoszałego pola.

Słyszała żołnierzy nawołujących się w lesie. Czyżby szli śladem, który w lesie wydeptała, a może po prostu byli na zwiadzie, mając nadzieję na zdobycz taką, jak ona?

Pobiegła do chaty. Prosto przez pole. Nigdy nie przykładała się do nauki jak nie wystawiać się na cel. Chata była czymś tak odległym od wojny. Oznaczała schronienie. Tylko o tym pomyślała. Jeśli ktoś ją obserwował z lasu, to nie strzelił. Być może po prostu zauważyli ją i planowali zostawić ją sobie na później, kiedy oficerowie uznają teren za bezpieczny i pójdą dalej. Być może wtedy zabiorą się do Angielki, która schowała się w większym domu. Jednakże w tym momencie, w ostrym, czerwonym świetle słońca zachodzącego nad polem bitwy, Adrienne St.Clair wpadła do chałupy przez drzwi, które otworzyły się bez trudu i poczuła się bezpieczna przed żołnierzami. Nie myliła się. Istota czająca się w piwniczce na ziemniaki miała tego dopilnować.

Chałupa miała różnych mieszkańców od czasu, gdy chłop i jego rodzina wyprowadzili się. W odległym kącie walała się sterta pustych puszek po wojskowych konserwach, angielskich i niemieckich. Pod oknami leżały jak zwierzęce odchody łuski od nabojów. Z wyjątkiem dużego, topornego drewnianego stołu, który leżał odwrócony do góry nogami, oraz potrzaskanych resztek dwóch krzeseł i ramy z łóżka, chałupa była pusta.

Zadyszana, myślą znajdując się na cienkiej linii pomiędzy rzeczywistością a bezrozumnym, zwierzęcym przerażeniem, Adrienne kręciła się po chacie, bezmyślnie szukając czegoś, co zapewniłoby jej większą ochronę. Pomyślała o schowaniu się w kamiennym kominku. Ciało skryłaby w kominie, a nogi zasłoniła kawałkami desek. Był to głupi pomysł, lecz zrezygnowała zeń dopiero, gdy gramoląc się do komina stwierdziła, że jest dla niej za mały.

Dłonie miała czarne od sadzy. Trochę sadzy zostawiło jej również smugę na twarzy, gdy przyglądała włosy. Szorstki, zielony materiał jej mundurowych spodni i kurtki był pokryty błotem i grubymi kępkami rzepów. Tupiała po podłodze chałupy w rozpaczliwej próbie znalezienia czegoś przy gasnącym szybko świetle słońca.

Wreszcie dotarło do niej. Podłoga była drewniana, a ciężkie kroki jej stóp obutych w wojskowe buty dudniły po niej głucho. Pod podłogą jest piwniczka! Ciemna, dająca schronienie piwniczka, gdzie będzie bezpieczna przed żołnierzami.

Dyszząc rozpaczliwie, czołgała się po podłodze, i starała się wymacać klapę, która musiała gdzieś tam być. Nie mogła jej znaleźć! Podeszła do przewróconego do góry nogami stołu i pchnęła go. Zazgrzytał o podłogę. Napierała nań, aż uderzył w jedną z kamiennych ścian chaty, lecz chrobot, jaki wydawał w czasie przesuwania się po deskach podłogowych, nie zakończył się chyba po zatrzymaniu. Przysłuchiwała się przez chwilę, wstrzymując oddech. Odgłos mózdzierzy zbliżał się coraz bardziej.

Zaczęła drapać podłogę. Spróchniałe drzazgi wbijały jej się w palce i pod paznokcie. Dłonie miała zziębnięte i zgrabiące. Wyczuła linię wgłębienia w rzędzie desek podłogowych. Słońce już niemal całkiem zaszło. Znalazła wejście do piwnicy.

Do otworu w klapie przywiązany był zasupłany sznur. Pociągnęła za niego i część podłogi podniosła się, po czym spadła z głuchym i dzwoniącym łoskotem. Jeśli są gdzieś tam na polu, usłyszeli ten huk, pomyślała, i serce zaczęło jej walić jeszcze mocniej.

Spojrzała w mrok piwniczki. Nie docierało tam żadne światło. Jak głęboko może tam być? Przynurła głowę bliżej do krawędzi otworu, wytężając wzrok, lecz i tak nic nie zobaczyła.

Położyła się na podłodze, wysuwając głowę i ramię nad pustą ciemność dziury prowadzącej do piwnicy. Zaczęła rozpaczliwie wymachiwać ręką w pustce, szukając jakiejś drabiny. Nieomal czuła gęsty, mokry zapach wilgotnej ziemi i zgnilizny buchający z ciemności. Woń była ciepła i przesycona wilgocią, jakby nachylała się nad jamą jakiegoś olbrzymiego zwierzęcia, w której wszystko nasiąkło jego cuchnącym oddechem, ogrzewającym, a później rozpuszczającym. Na myśl o tym po jej ręce przeszedł dreszcz, kiedy wyobraziła sobie, że wymachuje nią kilka centymetrów nad wyciągniętymi szponami jakiegoś stwora w piwnicy. Mózdzierze wciąż się jednak zbliżały i były dla niej złem, które potrafiła sobie wyobrazić.

Wtem natrafiła dłonią na coś z boku otworu. Było drewniane i chropowate. Jeszcze bliżej przysunęła głowę, by ustalić położenie tego czegoś. Coś cienkiego i ostrego owinęło się wokół jej nadgarstka. Odruchowo szarpnęła rękę wstecz. Przez chwilę, w której serce przestało jej bić, coś ją przytrzymało, niczym w sidłach. Wrzasnęła bezgłośnie przez zaciśnięte zęby i szarpnęła ponownie. Rozległ się trzask. Jej ręka wyskoczyła zza klapy piwnicy z czymś, co zwisało z niej, połyskując niczym rybie łuski w świetle księżycy. Adrienne

stała skamieniała z przerażenia. W niemal absolutnej ciemności widziała wyraźnie obrazy węży. Przedmiot jednakże kołysał się coraz wolniej, a wtedy wyciągnęła do niego drugą rękę.

Był chłodny i metalowy. Dłonią rozpoznała kształt. Trzymała krucyfiks. Ktoś z jakiejś przyczyny zawiesił go na najwyższym szczeblu drabiny prowadzącej do piwnicy, jakby stamtąd miał czuwać i ochraniać. Potrząsnęła ręką i zerwany łańcuszek zsunął się. Cisnęła krucyfiks w odległy kąt i znów wyciągnęła rękę w mrok ku drabinie.

Zeszła po ośmiu stopniach, nim jej stopa nie zagłębiła się w grząskim mule piwnicy. Kiedy pociągnęła za klapę, zatraskując ją za sobą, na twarz posypały się jej ostre grudki ziemi. Stanąwszy obiema nogami na oślizgłej podłodze, parsknęła, splunęła i tarła twarz dłońmi tak długo, aż poczuła, że może znów otworzyć oczy. Kiedy to uczyniła, nie zobaczyła nic. Nawet drabiny tuż pod nosem.

Przesunęła dłońmi po zewnętrznej kieszeni spodni. Podobnie jak większość innych pielęgniarek zawsze nosiła przy sobie zapalki, by przypalać papierosy żołnierzom, którzy mogli palić. Gdzie są jej własne? Znalazła zapalki w kieszeni kurtki. Zostało przynajmniej pół pudełka. Poczuła, że powoli opuszczają przerażenie.

Przy świetle pierwszej zapalki udało jej się ocenić rozmiary piwnicy. Była niewielka, zajmowała może połowę powierzchni chaty. Belki podłogowe nad jej głową były osrebrzone pajęczynami. Ściany piwnicy były po prostu zrobione z ziemi z kilkoma podtrzymującymi belkami rozstawionymi w regularnych odstępach. Ściana najbardziej oddalona od podstawy drabiny wyglądała, jakby padła ofiarą wieloletnich zimowych roztopów. Zawaliła się, odchylając od pierwotnego położenia. Wymyta ziemia zebrała się pod ścianą, pokrywając również podłogę. W kącie z dala od kupy ziemi Adrienne zobaczyła pudło. Rzuciła zapalkę na wilgotną ziemię. Zapalka syczała przez chwilę, a potem zgasła. Adrienne ostrożnie zbliżyła się do pudła, które było nie dalej niż jakiś metr od niej. Słyszała plaśnięcia za każdym razem, gdy wyciągała buty z blocka na podłodze. Postukała czubkiem buta o krawędź pudła. Czas już zapalić kolejną zapalkę i otworzyć je. Pomyślała, że może być w nim jedzenie.

Wiek przeraźliwie zaskrzypiało przy podnoszeniu. Wątle, skaczące światełko zapalki zdawało się ledwo przenikać mrok we wnętrzu skrzyni. Wtem zamarła. Światło padło na

małą postać przypominającą dziecko leżące na plecach w pudełku. Figurka oczy miała otwarte, lecz mętne. Adrienne, drżąc, przysunęła bliżej zapałkę. Postać okazała się starą lalką o porcelanowej, oblażącej z farby twarzy, leżącą na komplecie złożonej w kostkę, poplamionej pleśnią pościeli. Szmaciane ciało odpadło, gdy podniosła lalkę. Głowa spadła do pudełka i znikła, gdy płomyk drugiej zapałki zbliżył się do palców Adrienne. Upuściła zapałkę w błoto.

Pudełko było suchym miejscem do siedzenia. Usiadła na nim, pochylając się i wspierając o kolana, by nie dotykać plecami mokrej ściany.

Wilgotna ziemia wokół niej skutecznie tłumiła dźwięki i zdała sobie wtedy sprawę, że w żaden sposób nie usłyszy, czy Niemcy są tuż nad nią, czy też minęli ją. Postanowiła, że pomartwi się o to później, kiedy zegarek pokaże jej, że jest rano. Na razie odpocznie i nie będzie się przejmować wilgocią, mrokiem, ani też tym, co może w nim się czaić. Pomyślała o tym, kto dawno temu tak starannie ułożył lalkę i o tym, kto umieścił krucyfiks na drabinie.

Wtedy usłyszała pierwsze plaśnięcie grudy ziemi na mokrą podłogę. Szczury, pomyślała. Zapałki ocalał ją. Zapaliła kolejną. W migotliwym, pomarańczowym blasku zapałki nie dostrzegła błyszczących szcurzych ślepiów przyglądających się jej. Zapałka upadła w błoto. Odgłos szurania nadal dochodził z ciemności. Kolejna zapałka i znów nic. A może ta sterta ziemi wyglądała jakoś inaczej? Zapałka syczała na podłodze. Rozległo się długie, płynne plaśnięcie, jakby coś wstawało z lepkiego mułu.

Kolejna zapałka. Cisza. Rzuciła zapałkę na podłogę i zapaliła natychmiast następną. Sterta ziemi rzeczywiście zmieniała się; pulsowała, jak jakaś ogromna, zwijająca się dżdżownica. Następną zapałkę i następną. Jak światło stroboskopowe, jeden płomyk po drugim ujawniał skokami nagłe zmiany obrazu. Adrienne stała, słysząc tylko szum krwi w uszach i przyglądała się, jak coś próbuje wykopać się spod ziemi.

I wtedy wyłoniła się pierwsza jego część. Coś białego, robaczywego gramoliło się z ziemi o własnych siłach. Poniżej leżała jego reszta i pulsującymi ruchami wysuwała się na powierzchnię.

Zapałka sparzyła palce Adrienne. Jęknęła i rozsypała dookoła zawartość otwartego pudełka. Została tylko jedna zapałka. Niezgrabnie wzięta ją do ręki. Zapaliła się. To coś w ziemi było stopą!

Rozstawione szeroko palce u stóp rozgrzebywały lepką glebę i rozgarniały ją na boki.

Obok niej pojawiła się druga stopa i widać już było zarys nóg, które przebijały się przez ziemię. Potem dwie ręce. I tułów. I wreszcie ożyła odrażająca, ubłocona głowa przypominająca golema.

Plomyk zapałki migocząc zbliżał się do palców Adrienne. Głowa powoli odwróciła się w jej stronę. W jakiś sposób oczy funkcjonowały pod warstwą oblepiającego głowę mułu. Wtedy błoto odpadło i Adrienne spojrzała w trupioblada twarz mężczyzny z oczami jak czarne, nie opatrywane przez wiele dni rany i ziejącymi, otwartymi do wysysania ustami, w których były kły...

Zapałka wypaliła się. Zgasła pomiędzy poparzonym kciukiem i palcem wskazującym.

Adrienne wrzasnęła i rzuciła się na oślep w stronę, gdzie spodziewała się znaleźć drabinę. W ciemności nie trafiła i upadła w lekki muł. Jej wrzaski zmieniły się w bulgotanie. Rozpaczliwie wymachiwała rękoma przed sobą. Uderzyła w coś twardego. Była to drabina.

Natychmiast zaczęła się po niej wspinać. Mundur nasiąkł błotem i obciążał ją, sprawiając, iż każdy ruch był dziesięciokrotnie wolniejszy, niczym w złym śnie, w którym nie można poruszać się wystarczająco szybko. Uderzyła głową w solidną klapę wejściową. Palce jej się ześlizgnęły i omal nie zsunęła się z powrotem na dół. Podniosła rękę i chwyciła za koniec zasupłanej liny. Trzymając się jej odzyskała równowagę. Naparła przedramieniem na klapę. Klapa skrzypiąc otworzyła się powoli. Zbyt powoli.

Adrienne pchnęła ją ostatni raz i klapa otworzyła się zupełnie, opadając z hukiem na podłogę. Wysunęła głowę powyżej poziomu podłogi. Potem talię. Ręka chwyciła ją za kostkę i pociągnęła.

Przestawszy myśleć, Adrienne wrzasnęła z całej siły. Szarpnęła nogą, wściekle kopnęła, trafiła w coś i wyrwała się.

Wydostała się wreszcie, obtłukując obie golenie o twardą krawędź otworu i poturlała się po podłodze, szlochając histerycznie.

Była noc. Blask księżyca rzucał delikatne cienie przez otwarte okiennice. Wnętrze chaty lekko połyskiwało. Ponad poziom podłogi wysunęła się głowa. Dostrzegła Adrienne i uśmiechnęła się. W świetle księżyca błysnęły kły.

Stwór wznosił się powoli, płynnie, jakby jego ciało w ogóle nie dotykało drabiny.

Szedł w górę, trzymając ręce przy bokach, aż postawił stopę na podłodze i ruszył w jej stronę. Jego kroki na drewnianej podłodze nie powodowały głuchego echa.

Kiedy ją unióś, poczuła się nieważka w jego ramionach. Nie mogła wydobyć z siebie głosu od chwili, gdy spojrział na nią w blasku księżyca. Ciało nie chciało poruszyć się, by się bronić.

Umysł Adrienne przypominał osobę uwięzioną na mostku tonącego statku. Wszystko było jasne. Wynik był nieuchronny. I nic nie można było uczynić.

W głębi duszy wrzasnęła, długo i głośno. Krzyk ten jednak nie zagłuszył dźwięku rozrywania, jaki wydały jego zęby wpijając się w jej szyję.

Poczuła, jak ssie z jej rozdartej arterii. Czowała natarczywość warg otaczających ranę, powoli zasysających ciało wokół niej, a potem rozluźniających i wypuszczających skórę jej miękkiej, białej szyi. Czowała gładkość jego języka, który zataczał kręgi wokół otworu, jaki uczynił, pobudzając krew do wypływania rytmicznymi tryśnięciami. Ból ukąszenia stopniowo ustawał. Ciepło powoli odpływało z jej nóg i rąk, skupiając się w ciepłe wzmagającym się w szyi. Wyczuwała silne skurcze jego gardła w trakcie wypijania jej krwi. Miała uczucie, iż wiruje, coraz szybciej i szybciej. Jedynym punktem zaczepienia była szyja, do której się przyssał. Topiła się, spływała w niego. Szybciej. Coraz szybciej. Przełykanie było silniejsze, skurcze gardła intensywniejsze. Przed oczami miała już tylko tunele migotliwych iskier. W tych wirach tylko jeden czerwony punkt nie poruszał się. Rozrastał się. Pulsował, przesłaniając wszystko inne. Pragnęła, by zbliżył się i pochłoniął ją całkowicie. Zbliżył się i...

Wirowanie było prawdą. Stwór rzucił ją tak, że wylądowała bezwładnie w pobliżu klapy w podłodze. Jak przez mgłę dojrzała otwierające się gwałtownie drzwi chaty. Mężczyźni w szarych mundurach, z bronią, której lufy połyskiwały w świetle księżyca, rozmawiali po niemiecku. Ich głosy były spowolniałe i dochodziły z daleka.

Jeden z nich oświecił latarką wewnątrz chałupy. Adrienne zobaczyła, że nagle zatrzymał snop światła, a twarz wykrzywił mu grymas przerażenia. Pozostali trzej mężczyźni unieśli broń i w chacie rozbłysł ogień wśród dymu. Adrienne przesunęła się, by spojrzeć w drugi kąt domu. Stwór, który pożywił się jej krwią, stał przyciśnięty do kamiennego muru.

Odłamki kamienia i kłęby kurzu wzbijały się ze ściany za nim. Jego wybłocone, już zniszczone ubranie furkotało na nim od uderzeń kul. Lecz gdy rozległ się trzask pustych magazynków, ruszył do ataku.

Jego ciało, poznaczone małymi, ciemnymi wgłębieniami, gdzie weszły i wyszły kule, połyskiwało białą, lśniącą cieczą, która zdawała się pokrywać jego skórę niczym galaretowata wydzielina ślimaków. Podkreśliła ona falowanie jego zwartych mięśni, gdy przeskoczył pięć metrów dzielących go od żołnierzy.

Adrienne widziała masakrę jakby w zwolnionym tempie. Z jej własną krwią ciekącą mu z wyjącej paszczy stwór rozszarpał żołnierzy z taką łatwością, jak zetnęła lalkę z piwnicznego kufra. Poleciały ręce i głowy. Trzech zostało rozdartych niemal natychmiast. Czwarty, ten który został z tyłu z latarką, wybiegł z chaty z wrzaskiem.

Stwór nie gonił go. Pozbierał za to ociekające i oślizgłe strzępy pierwszych trzech żołnierzy i zaniósł je do otworu w podłodze. Adrienne ledwo uświadamiała sobie odgłos i vibracje zbliżających się czołgów. Zastanawiała się, czy stwór wie, czym są czołgi. Wtedy podniósł ją, znów bez najmniejszego wysiłku i rzucił do piwnicy. Adrienne miała wrażenie, że unosi się w wilgotnym, piwnicznym powietrzu. Nie odczuła upadku. Ciała półciartowanych żołnierzy złagodziły uderzenie.

Leżała na plecach wpatrując się we wnętrze chaty widoczne przez otwór w podłodze. Stwór stanął na krawędzi. Spojrzał w dół na nią. Poruszał ustami jak ryba. Ziajał i mla-skał. Adrienne chciała, by przyszedł i skończył z nią. Stwór odwrócił wzrok. Dudnienie czołgów wzmogło się, a potem znikło w strasznym huku, który rozległ się w chacie, zmieniając zalane księżycowym światłem wnętrze w jasny dzień.

Pocisk musiał wpaść przez drzwi bądź okno i eksplodować na przeciwległej ścianie. W powietrzu zaświstały ostre kamienie. Przebiły stwora na wylot, a on, pchnięty falą uderzeniową wybuchu, wpadł do otworu w podłodze. Adrienne patrzyła, jak spada na nią. W tej połowie sekundy życia, jaka jej została, ujrzała jego ciało rozdarte i rozszarpane kamiennymi odłamkami. Rozpaczliwie usiłowała unieść do niego ręce, by powitać go w swych objęciach, lecz jego już nie było. Rozpadł się. Jak kurz w słonecznym świetle. Kamienie lekko spadały wokół niej. Ich pęd wyhamowało zderzenie z ciałem stwora. Adrienne pokryła gęsta kaskada tego, co po nim zostało. Białej krwi życia. Krwi *ybera*.

Rozlała się jej po twarzy i pociekła do ust, a wtedy ożyła. Jej bezwładnym rękom wróciła zdolność poruszania. Smak gęstej cieczy był nie do opisanego i wywołał potworny głód. Zadygotała, poczuwszy jej dotyk na języku. Starła ją do ust z twarzy, a następnie także z dłoni, rąk i całego ciała. Ze szczebli drabiny. A potem zaprowadziła ją do czegoś jeszcze cudowniejszego, bardziej sycącego, przez miejsce, w którym ściekła z niej do tego, co rozlało się poniżej.

Zaprowadziła ją do ciała żołnierzy. I ich krwi.

To była komunia Adrienne St.Clair.

ROZDZIAŁ III

Helman milczał. Istota siedząca naprzeciwko niego – żywomór, nosferatu, jakkolwiek nie nazywałyby jej opowieści, które pamiętał – drżała, poruszona opowiadaniem swej historii. Spoglądała na podłogę pokoju hotelowego. Ścisnęła drżące dłonie na kolanach. Helman wyciągnął do niej rękę, jakby chciał dotknąć ją i pocieszyć. Zawahał się jednak, a ona uniosła głowę i moment minął.

– To się wydarzyło ponad trzydzieści lat temu. Czasami, kiedy budzę się, wydaje mi się, że to wydarzyło się zaledwie zeszłej nocy, i kiedy otworzę oczy, ujrzę tylko ciemność i poczuję ciała żołnierzy pod sobą. – Odwróciła od niego oczy, patrząc w mrok tej piwnicy sprzed lat.

– Co się stało z tym stworem, tym *yberem*, który cię napadł?

Kobieta westchnęła głęboko.

– Kamienne odłamki eksplodującej ściany zadziały jak kulek wbitych w pierś. Jeden z nich musiał utkwić mi w sercu. Dla niego była to Ostateczna Śmierć. Dla mnie Pierwsza Śmierć. Jego ciało rozsypało się. Tak, jak na filmach, Granger. W następstwie Ostatecznej Śmierci ciało *ybera* ulega niewiarygodnie szybkiemu rozkładowi. Im dłużej jesteśmy *yberami*, tym szybszy jest rozpad. Gdyby następnej nocy po tamtej zadano mi Ostateczną Śmierć, moje ciało wyglądałoby jak ciało każdego innego człowieka. Gdyby

stało się to dziś, w ciągu kilku sekund byłoby po mnie. – Wzruszyła ramionami. To, co było tak bardzo osobiste w jej opowiadaniu, znów znikło gdzieś w głębiach. Teraz była to dyskusja o technicznych detalach. Helman żałował, że nie wziął jej za rękę, kiedy moment wydawał się odpowiedni.

– A co zdarzyło się następnej nocy? – Być może przez powrót do opowieści nakłoni ją znów do ujawnienia bardziej osobistych uczuć. Byłby to klucz do zrozumienia jej.

– Nie jestem pewna. Wydaje mi się, że zostałam w piwnicy kilka nocy. Byłam bardzo słaba. Ludzka krew nie ma dla nas wartości odżywczych, jeśli jest martwa dłużej niż kilka godzin. Wtedy jednak nie miałam o tym pojęcia.

– Czy wiedziałaś, co się z tobą stało?

– O tak. Z całą jasnością. Byłam wampirem. Znałam te wszystkie historie. Bajki dla dzieci i fantastyczne opowieści, znałam je. Nie było wątpliwości. Moją krew wypił zębaty potwór, którego nie mogły zabić kule. Byłam wampirem. Lub oszalałam.

– Teraz nie czujesz się obłąkana?

– Już niedługo, Granger. – Wreszcie uśmiechnęła się do niego. – Takie jest moje życie. – Helman nie potrafił zrozumieć, co zabawnego widziała w tym stwierdzeniu.

– Jak zetknęłaś się z Konklawę? Mówiłaś, że chcą cię zlikwidować.

– Długo po tym, jak opuściłam piwnicę. Na początku strzegą nas przed własną ignorancją nowe, silne popędy i żądze. Stajemy się ospali w miarę zbliżania się świtu. Nasze umysły przepełniają myśli o mroku i ucieczce przed światłem. Nasza samoobrona jest jak nowy zestaw instynktów. Jesteśmy im ślepo posłuszni. Później, w miarę dojrzewania, instynkty słabną. Wtedy jednak kontrolę przejmuje już intelekt. W każdym razie, snułam się po linii frontu w poszukiwaniu ciał świeżo zabitych. Wiele razy pochorowałam się od picia zepsutej krwi, lecz nie mogłam zdobyć się na wysysanie pokarmu z żyjących.

Próbowałam również krwi zwierzęcej. Przez jakiś czas skutkowało. Jednakże skład substancji odżywczych jest odmienny. Mniej więcej po miesiącu niezbędna jest ludzka krew, lub nastąpią objawy zagłodzenia.

W czasie jednej z wypraw, wiele miesięcy później, spotkałam innego *ybera*. Był doświadczony w sprawach Drogi i wiedział, że ktoś poluje na jego terytorium. Powiedział

mi później, że gotów był zabić mnie za to. Śledził mnie jednak przez kilka nocy i doszedł do wniosku, że wkroczyłam na jego teren z nieświadomości, a nie celowo. Został moim mentorem, jak powinien zostać nim ten *yber* z chaty.

– Mentor. *Yber*, który wprowadził cię w nauki Drogi?

– Właśnie. Pomógł mi wykształcić nowe zmysły i nowe moce. Nauczył mnie, jak być niewidzialną dla istot ludzkich i rozpoznawać *yberów* na wielką odległość.

Pod koniec wojny zabrał mnie do Genewy. Tam właśnie mieściła się siedziba Konklawe do czasu odbudowy. Byli zaniepokojeni faktem pojawienia się tak wielu podobnych do mnie. Nazywano ich Niepożądanymi. W czasie wojny powstało wielu *yberów* bez zezwolenia grupy rządzącej czy Zgromadzenia. Wielu zadano Ostateczną Śmierć. Ja byłam chroniona, ponieważ miałam mentora. Ocalił mnie niejeden raz. – W jej głosie zabrzmiał smutek wpleciony w miłe wspomnienia.

– Kochałaś go? – Helman doszedł do punktu, w którym nie wydawało mu się dziwne pytać istotę, której nie mogły zabić kule, o to, czy zdolna jest do miłości.

– Tak, kochałam go. Potrafię kochać, Granger. To właśnie cały problem. Konklawe twierdzi, że jesteśmy dziećmi demonów. Potomstwem diabła. Rządzi *yberami* przy pomocy starych przesądów o potępieniu i walce z Bogiem, i Kościołem. I myli się! Jestem *yberem*, to prawda. Jestem jednak również człowiekiem. Nie ma we mnie niczego złego. Nie jestem przeklęta przez niebiosy. – Nachyliła się, wbijając wzrok w oczy Helmana. – Granger, jedyne, co mnie odróżnia, to choroba.

Wszystko natychmiast wydało się Helmanowi możliwe do przyjęcia. To, czego był świadkiem, opisywano mu terminami dotyczącymi zjawisk nadprzyrodzonych. Wampiry. Istoty nocy. Rzeczy, których jego racjonalny umysł nie mógł zaakceptować, choć dowody ujrzał na własne oczy. Jednakże choroba to już coś racjonalnego. Nieważne, że dowody były te same. Choroba kojarzy się z medycyną, nauką. Z chorobą mógł się pogodzić. Nauka była jego współczesnym przesądem, a kiedy zabrzmiały właściwe słowa, Granger Helman mógł uwierzyć.

– Rzadka choroba – ciągnęła Adrienne – przenoszona tylko przez spożycie żywej krwi zakażonej osoby i tylko wtedy, gdy organizm znajduje się w stanie rozległego wstrząsu. Choroba, która zmienia potrzeby pokarmowe organizmu, niewiarygodnie przyspiesza metabolizm i likwiduje uboczne skutki procesu starzenia. Studiowałam to przez lata. Chris Leung miał mi pomóc. Już pomógł mi w listach i badaniach, jakie prowadził na własną rękę. Wampiryzm jest chorobą. Można go kontrolować.

– I dlatego Konklawe pragnie twojej śmierci. Ponieważ jeśli to jest choroba, ich oparta na zabobonach władza nad *yberami* okaże się bezpodstawna. Stracą całą potęgę.

– Właśnie, Granger, właśnie. Wiedzieli, że myślałam o tym już dawno temu. Ponieważ nie wybrano mnie tak, jak innych? Ponieważ w pierwszym życiu miałam wykształcenie medyczne? Kto wie? Ostrzegano mnie jednak, bym nie dyskutowała o tym. Mówili, że jestem heretyczką. Gdybym posuwała się dalej, groziła mi Ostateczna Śmierć.

– A jednak posuwasz się dalej.

– Muszę. – Odwróciła wzrok. – Dla Jeffery'ego. A także dla siebie samej.

Helman spojrzał pytająco na wzmiankę o Jefferym.

– On był moim mentorem, Granger. Mężczyzną, którego kochałam.

– Co się z nim stało?

Dostrzegł odpowiedź w jej oczach, zanim jeszcze odezwała się.

– Sześć miesięcy temu przyszli po mnie. Wysłannicy Konklawe. Jeffery osłaniał mnie. Tak samo pomagał mi w badaniach. – Słowa z trudem przeciskały jej się przez gardło. – Żeby dać nauzkę mnie, zabrali jego. Przykuli go łańcuchami do skały w pobliżu willi, która była naszym schronieniem – szeptała ledwo słyszalnym głosem. Helman dostrzegł łzy. – Odwrócili go twarzą do wschodu. Ku wschodzącemu słońcu...

Helman wyciągnął do niej rękę i tym razem nie zawahał się. Wziął jej dłonie w swoje i próbował ją pocieszyć. Były jak lód, jak śmierć. Lecz mroźne powietrze wpadające przez stłuczone szklane drzwi wyziębilo jego palce, więc nie poczuł tego.

Adrienne odetchnęła głęboko i wyprostowała się. Ścisnęła przez chwilę dłonie Helmana, jakby chcąc mu podziękować, a potem odsunęła się od niego.

– Tamtej nocy poszłam do skały. Łańcuchy wokół głazów wisiały luźno. Wiatr rozrzucił ubranie tak samo jak prochy Jeffery 'ego.

Pierścień, który mu podarowałam, leżał przykryty łańcuchami. Czy potrafisz sobie uzmysłwić, jakie to uczucie, Granger? Ludzie którzy się pokochają, mają przed sobą co najwyżej kilka dziesięcioleci. Śmierć odbiera ci zaledwie kilka lat. Lecz *yberom* Ostateczna Śmierć odbiera wieki, całą wieczność. I nawet nie było ciała, które mogłabym ucałować na pożegnanie...

Helmanowi przyszły na myśl wspomnienia o utraconej miłości, skradzionych dziesięcioleciach. Czy wszystko sprowadza się do tego? – pomyślał. Roselynn Delvecchio nie żyła już od chwili, gdy spotkała Helmana na parkingu, tak dawno temu. W ostatnich jej chwilach dał jej nowe życie. Powiedział, że została popełniona pomyłka. I życie ponownie spłynęło w nią na kilka sekund, zanim Helman odebrał je jej na zawsze. To ostatnie sprzątnięcie wiele go kosztowało. A teraz znów miał do czynienia z tą samą sytuacją. Kobieta siedząca przed nim była już martwa, była wampirem, *yberem*, lecz Helman znów mógł działać i dać jej nowe życie. Mógł zapewnić jej ochronę. Być może byłby to sposób zadośćuczynienia za przeszłość? Nie można jednak zadośćuczynić za przeszłość. Ona już minęła. Jego racjonalny umysł nie uznawał żadnych przesądów co do boskiej kary za grzechy przeszłości. Miał tylko przesady naukowe i jeszcze potężniejszy przesąd dotyczący sumienia. Kiedy po raz pierwszy zaproponowała mu, żeby został jej chowańcem, wiedział, że zgodzi się, choćby tylko po to, by uniknąć natychmiastowej śmierci. Ocali siebie, by móc jeszcze ocalić Miriam i jej dzieci. Teraz jednak wiedział, że przyjmie propozycję Adrienne z innego, ważniejszego powodu. Wreszcie zacznie działać. Przyjmie jej propozycję, ponieważ chce tego. Dla Helmana była to ogromna różnica.

- Adrienne, pomogę ci, będę twoim chowańcem, kimkolwiek chcesz. Zrobię to.
- Konklawe uczyni wszystko, co w ich mocy, by nas powstrzymać.
- I tak to zrobią.

Adrienne ponownie spojrzała na niebo przez łopocące firany. Robiło się coraz jaśniej. Jakże ma jej przysłużyć się znajomość Drogi, jeśli będzie mówiła w taki sposób? O rzeczach, które lepiej jest trzymać w ukryciu, z dala od serca.

– Co powinniśmy zrobić najpierw? – spytał Helman. To ona miała doświadczenie. Powierzy jej początkowe posunięcia.

– Najpierw muszę wrócić do swego schronienia. Niemal już świta. Słońce jest dla mnie zabójcze. – Helman pokiwał głową, myśląc o Jefferym.

– Nie możesz jednak wrócić do domu, twoi ludzie nie obronili go przed księżmi, tam nie jest...

Twarz Adrienne zastygła.

– Co masz na myśli, mówiąc „moi ludzie”? Moich ostatnich chowańców wymordowało Konklawe na Heathrow. Nie mam żadnych „ludzi”. I co mają znaczyć ci „księża”?

– Jezuci z kuszami. Twoi ludzie z karabinami. To były jatki. Walki zaczęły się w laboratorium po wybuchu, a do czasu, gdy dotarłem do twego domu, rozciągnęły się na całą ulicę. Przywódca ludzi walczących z księżmi nazywał się „Marker Jeden”.

– Jezuci Siódmego Wtajemniczenia. – Otworzyła szeroko oczy. – Myślałam, że wymknęłam im się na długo przed przybyciem do Anglii. Mają lepsze dojścia, niż się spodziewałam.

– Dlaczego cię prześladują?

– Prześladują wszystkich *yberów*. Są tak samo uwikłani w przesady, jak Konklawe. Kto wie, dlaczego mnie ścigają.

– Ale ludzie, którzy walczyli z jezuitami... – Helman nagle uświadomił sobie, co powiedział. – Jezuci? Jak jezuci mogą robić coś podobnego? Zabijać? To śmieszne.

– To są jezuci Siódmego Wtajemniczenia, Granger. Nie mam teraz czasu na wyjaśnianie. Niebo rozjaśnia się. Nie wiem, kim mogli być ci, którzy z nimi walczyli. Konklawe od czasu do czasu prowadzi z nimi utarczki, lecz nie widzę powodu, dlaczego mieliby osłaniać mnie przed jezuitami. Dowiedz się tego dla mnie przed dzisiejszym wieczorem. – Adrienne wstała i podeszła do drzwi balkonowych.

– A jeśli Konklawe skontaktuje się ze mną? Co z moją siostrą i jej dziećmi? Co ja mam im powiedzieć? – Helman wyciągnął rękę, by dotknąć jej ramienia. Odsunęła się.

– Powiedz im, że to, co spotkało mojego pierwszego mentora w piwnicy, spotkało także mnie. Na jakiś czas przyjmą to za dobrą monetę. Dopóki będą w to wierzyć, twoja rodzina jest bezpieczna. Muszę już iść, Granger. Wrócę wieczorem. Bądź gotów do podróży.

Wyszła na balkon. Poszedł za nią.

– Dokąd pójdziesz? Czy nie byłabyś bezpieczniejsza w szafie albo gdzieś tu?

Wiatr rozwiewał ich włosy. Helman zauważył, że kiedy on mówił, z ust wznosiły mu się kłęby pary oddechu. Z ust Adrienne nie wydobywała się para.

– Mam inne schronienia, o których nic nie wiesz. W którymś z nich będę bezpieczniejsza niż tu. Wejść teraz do środka. Nabierz sił na dzisiejszy wieczór.

Odwróciła się i ześlizgnęła przez poręcz balkonową głową w dół.

Helman wykrzyknął jej imię i podbiegł, by ją złapać. Pochwyił tylko puste powietrze. Wychylił się i niczego nie dojrzał. W chłodnym powietrzu rozległ się jej głos.

– Wejść do środka. Odpocznij.

Spojrzał w kierunku, z którego dobiegał głos. Być może przy basenie poruszał się jakiś cień. Być może to wiatr szarpał płachtą. Po Adrienne nie było śladu.

Helman wszedł z powrotem do pokoju. Posprzątał ślady po samotaniu z Adrienne, a następnie zadzwonił do recepcji, by powiedzieć, że kawał lodu, albo coś w tym rodzaju, właśnie rozbił mu okno balkonowe. W jego pokoju jest mnóstwo szkła i życzy sobie, by je uprzątnięto.

Kiedy znalazł się w nowym pokoju, podobnym do poprzedniego, lecz bez balkonu i rozsuwanych drzwi, padł na łóżko. Prześpi cały poranek. Tym razem z wyboru, a nie przez przypadek, jak tego dnia, gdy jezuici zabili Maxa. O Boże, czyżby zabili Maxa z powodu jego powiązań z Helmanem? W takim razie jezuici musieli wiedzieć o jego zleceniu na zabicie Adrienne wiele dni temu. A kto powiedział: „Nie ma o co się martwić po tej stronie”? Czyżby chowańcom Konklawe w przebraniu księży polecono zabić Maxa? A potem pozbyć się świadków? Żeby upewnić się, że Helman będzie dla nich pracował?

Nie, jezuita na podjeździe pod domem rozpoznał Helmana. Dlatego konający ksiądz usiłował zadusić go. Ale dlaczego? Dlatego, że pracował dla Konklawe i próbował zabić tę kobietę?

Kręgi wirowały jeden wewnątrz drugiego, a żaden nie chciał przeciąć się z drugim. Helman nie posiadał dość informacji, by dłużej iść tym tropem. Musi się przespać. Musi być wypoczęty na czas pierwszej części umowy z Adrienne.

Kim byli ludzie, którzy próbowali obronić ją przed jezuitami? I kim jest Marker Jenden?

Tego poranka Helman spał bez snów. Piwnica z pewnością nie była opustoszała, lecz za to dobrze oświetlona.

ROZDZIAŁ IV

To było coś okropnego.

Lekarz miał już do czynienia z ciałami osób, które zginęły w pożarze i w brutalnych wypadkach samochodowych. Wykonywał sekcje topielców, których wydobyto wiele dni po śmierci, opuchniętych od gazów rozkładu, o ciele nabrzmiałym i odciągniętym od kości, nie przytrzymywanych chrząstkami i ścięgnami. Rozcinał te zwłoki, badając nierozpoznawalne, ciemne masy rozkładających się narządów, czuł, jak ciecze nie będące krwią ciekną mu po rękach w miarę zagłębiania skalpela, lecz nie był tym tak wstrząśnięty, jak teraz. Zwłoki leżące przed nim nie osiągnęły tego stanu przez przypadek i nieuchronny, naturalny rozkład. Ktoś dokonał tego celowo, czyjaś wola i świadoma myśl kryła się za ich zniszczeniem. Skalpel zadrażał mu w dłoniach, gdy pomyślał o takiej woli i istocie, która realizowała ją w taki sposób.

Nowy Jork, 18 stycznia

Za drzwiami gabinetu lekarza ojciec Klemens siedział w mroku pogrążony w ponurych rozmyślaniach. Gniew, który w nim wrzał poprzednio, już przycichł. Kiedyś tam, dawno temu w czasach ucisku, oficerowie Towarzystwa wpadli w podobny gniew i

uznali, iż w czasie, który nadszedł, modlitwa i nakazy boskie nie wystarczą. Takie czasy wymagają czynów. Owi oficerowie, podstępem doprowadzeni przez wroga do całkowitego niemal unicestwienia swego zakonu, złożyli Piąte Ślubowanie Towarzystwa Jezusowego. I nastąpiły czyny. Papież umarł. Następny wyciągnął z tego wnioski. Przywrócono funkcjonowanie Towarzystwa.

Od tego czasu istniało Piąte Ślubowanie, znane światu tylko z plotek, a tak naprawdę nieznanie nikomu poza wybranymi członkami samego zakonu. Ci, którzy je składali, byli tymi, którzy podejmowali działanie. Działanie, które było konieczne w nadzwyczajnych czasach. Takich jak obecnie. Kiedy królestwo ciemności i moce Ameryki miały połączyć się w przekłete preludium końca świata. Kiedy trzy metry dalej lekarz badał szczątki tego, który był jego bratem w świętej sprawie: ojca Benedykta.

Późnym wieczorem dostali telefon. Szepczący głos nie ukrywał detali. Wiadomość od Helmana można znaleźć w ogrodzie domu świętego ojca. Stowarzyszenie miało zobaczyć, jaką cenę płaci się za wtrącanie do spraw St.Clair.

To było wyzwanie, które nie pozostanie bez odpowiedzi. Ojciec Klemens siedział w mroku i planował akcję.

Kiedy doktor wyszedł z gabinetu do poczekalni, gdzie Klemens snuł swe plany, był błądliwy i nadal wstrząśnięty tym, co ujrział. Jezuici uprzedzali go o podobnych rzeczach, gdy składał przysięgę osobistego posłuszeństwa ojcu Klemensowi, lecz jego racjonalny umysł nie przyjął tego tak naprawdę.

Początkowo istniały sugestie, że wróg, z którym poprzysiągł walczyć dla Towarzystwa Jezusowego, był dosłowną rzeczywistością i istniał na tej ziemi. Potem sugestie stały się opowieściami, które przeszły w szkolenie. Mimo to, nadal nie wierzył. Aż do dzisiejszej nocy, gdy już dawno po godzinach pracy przyniesiono do jego gabinetu ciało ojca Benedykta, ciało, z którego została wytoczona cała krew. Ranę, przez którą wypłynęła krew, uczyniono w lewej arterii szyjnej. Uczyniły ją ludzkie usta. Zgroza wynikająca z tej wiedzy zdecydowanie przewyższała wszelką pociechę wypływającą ze świadomości, iż większość pozostałych okrucieństw została popełniona już po śmierci ofiary. Każda tortura byłaby lepsza od tej pierwszej, ohydnej rany.

Ojciec Klemens cierpliwie czekał, aż doktor opanuje się i złoży meldunek. Nie będzie już więcej takich błędów, jak na Heathrow. Przystąpiono do bitwy, a zwycięstwo odniesie Towarzystwo. Tak mówiło pismo.

Lekarz odezwał się.

– Przyczyną śmierci był wstrząs wywołany gwałtownym krwotokiem. Krew wypłynęła raną na szyi. Obecność uszkodzeń naczyń włosowatych, wgłębień na skórze, oraz... ślady śliny wskazują, że krew wytoczono... w sposób... jaki ojciec sugerował. – Pot spływał doktorowi po czole. Będąc jakby w oddali, zastanawiał się, czy zemdleje.

– Jego krew wysały wampiry, doktorze Biller. – Głos ojca Klemensa był chłodny i beznamiętny. – Nie wolno nam się kryć przed wrogiem. Proszę używać słów, których trzeba użyć.

– W... wampiry. – Dwadzieścia lat medycznej dyscypliny, dwadzieścia lat wiary w naukę znikły w chwili, gdy wypowiedział to słowo. Lęk pochwyił go w swe szpony, niczym lodowato zimna ręka, muskająca jego ramię w pustym, nie oświetlonym pomieszczeniu. Ta odległa część jego osobowości zastanawiała się nad możliwością ataku serca.

Musi kontynuować. Zredukować tę wiedzę do rzeczy znanych, dających się opanować.

– Poza powierzchownymi okaleczeniami twarzy, najwyraźniej dokonany przez... szpony, oraz traumatycznym usunięciem lewego oka, pozostałe okaleczenia nastąpiły po śmierci ofiary... ojca Benedykta.

– Proszę opisać je szczegółowo, doktorze Biller. Niech pozna pan wroga.

Serce mu waliło. Swoją głosem słyszał z oddali, za to wyraźnie słyszał dudnienie krwi w uszach. Jak szybko może bić? Ile jeszcze może wytrzymać?

– Najbardziej widocznym okaleczeniem jest rozległe uszkodzenie klatki piersiowej, spowodowane przez duży, drewniany krucyfiks, który wbito przez mostek, łamiąc dolne żebra po obu stronach i rozrywając serce. Krucyfiks wyszedł przez kręgosłup pomiędzy siedemnastym a dwudziestym kręgiem. Język rozcięto wzdłuż osi środkowej, znów, jak się wydaje, szponami. Ponadto, przegroda nosowa sprawia wrażenie usuniętej

w ten sam sposób. – Pokój zawirował. Lekarz modlił się o utratę przytomności, nim jego serce dotrze do granicy wytrzymałości. Ojciec Klemens słuchał niewzruszenie.

– Proszę mówić dalej, doktorze. Wszystko.

– Rozległe uszkodzenia tkanek uniemożliwiają stwierdzenie, czy jego genitalia zostały odcięte, czy też po prostu rozszarpane w sposób uniemożliwiający rozpoznanie. – Słodki Jezu, zabierz te obrazy z jego myśli. – Okaleczeń dokonano ostrym narzę... zębami i pazurami, o Boże, ojcze... – Umysł doktora załamał się wcześniej, niż jego ciało. Lekarz osunął się na podłogę, szlochając i dygocząc. Z jego ust padały niezrozumiałe, bełkotliwe słowa, głębokie, dźwięczne odgłosy nieznośnej męki.

Ojciec Klemens podszedł do niego i wzięwszy go w objęcia, zaczął kołysać, by podtrzymać go na duchu. Lekarz był jednym ze świeckich braci Towarzystwa, którzy zachowywali swe śluby w tajemnicy przed światem. Tacy wpływowi agenci byli niezbędni w pracy Towarzystwa, gdy wymagany był dyskretny dostęp do świeckich urzędów. Tacy agenci wewnątrz biurokracji waszyngtońskiej zawiadomili Towarzystwo o pierwszych kontaktach Amerykanów z tą kobietą i odkryli związek między zabójcą i handlarzem śmiercią z Miami. Czasami owych braci wybierali ci, którzy złożyli Piąte Ślubowanie – jezuici Siódmego Wtajemniczenia – i wtedy, zobowiązani przysięgą, świeccy bracia przyłączali się do niezbędnych działań. Jednakże w obliczu straszliwej rzeczywistości mroku, kryjącej się za fasadą nowoczesnego świata, reakcja była zawsze ta sama. Ludzie epoki średniowiecza i dzicy dzisiejszego świata nie kwestionowaliby prawdziwości tego, co doprowadziło doktora do ataku hysterii. Ludzkość wyznaczyła sobie za zadanie odizolować się od grozy i odniosła zbyt duży sukces. Nieznana, nie obserwowana, lekceważona prawdziwa groza rozrastała się, aż jej najłżejsze dotknięcie było w stanie siać zniszczenie. Wieki postępu i oświecenia znikwały w tym przerażającym momencie poznania, gdy istoty ludzkie spoglądały w ciemność i dostrzegały, iż ledwo widoczne stwory czające się w niej są prawdziwe.

Ojciec Klemens spędził całe życie w tej ciemności, walcząc z tymi stworami. Niektórzy powiedzieliby, że ciemność ta istnieje tylko w jego wyobraźni. On nazwałby ich opętanymi przez wroga. Czterdzieści lat temu wyszedł naprzód i nieomal wstąpił w szeregi

wroga. Lepiej niż ktokolwiek inny w jego zakonie znalazł pokusę i moc otchłani. Ta wiedza nie dawała mu spoczynku. To, oraz tajna obawa, że ciemność może jeszcze raz wyciągnąć do niego ręce, a on może już nie znaleźć dość sił, by oprzeć się. Ojciec Klemens pocieszał lekarza i modlił się o przebaczenie za pogardę, jaką czuł wobec niego.

Ojciec Klemens wsiadł do szarego plymoutha fury, oczekującego na niego przed budynkiem, w którym mieścił się gabinet doktora. Wokół jaśniał poranek, wzrastał ruch uliczny. Wielkie, pokraczne bestie z rykiem jechały przez zasłony mgły parujących otworów kanalizacyjnych, bucząc bezrozumnie w sytuacjach niemal groźących zderzeniem. Jego kierowca odjechał szybko od krawężnika, wypychając się w potworne stado obok Siedemdziesiątej Dziewiątej, a potem przez park, by uciec z tej piekielnej wyspy.

– Czy wszystko gotowe? – spytał kierowca. Na moment nie spuszczał z oczu manewrujących samochodów, które go otaczały. Był młody. Był scholastykiem, który jeszcze nie ukończył pierwszej dziesiątki lat służby, lecz darzony był zaufaniem nowojorskiego Domu.

– Tak – rzekł ojciec Klemens. – Przygotuje odpowiednie dokumenty, które wykażą, że był świadkiem śmierci. W świadectwie zgonu zostanie odnotowane, że był to atak serca. Ojciec Benedykt był stary. Nikogo to nie zaniepokoi.

Kierowca milczał.

– Były jakieś wieści z Toronto? – ciągnął Klemens. – Czy przyszło coś w czasie, gdy byłem u doktora? – Gdy zadawał to pytanie w jego głosie zabrzmiał szorstki ton.

– Przegraliśmy – odrzekł kierowca.

– Wszystko? – Klemens nie chciał uwierzyć.

– Zbiegło dwóch nowicjuszy. Wszyscy inni zginęli. Nawet Królewska Konna.

– Ale jak to możliwe? Było nas dziesięciu, Królewska Konna, policja...

– Nie mieliśmy do czynienia tylko z Helmanem i tą kobietą. Byli jeszcze Amerykanie uzbrojeni w karabiny. Mieli ubrania ochronne, których nie mogły przebić nasze strzały.

- Amerykanie? Chowańcy Konklawe?
 - Nie. Właśnie jest prowadzone śledztwo. Uważa się, że to agenci rządowi. Ojciec Klemens ukrył twarz w dłoniach. Nie teraz. Nie tak wcześniej.
 - A więc już się przyłączyli. Potęga Amerykanów wsparła zło Konklawe.
 - Ojcie Klemensie – kierowca wyglądał na zalęknionego – rzucił spojrzenie na mężczyznę obok. – Możemy się mylić w tej sprawie.
 - Co chcesz przez to powiedzieć? – W tej wojnie nie mogło być pomyłek.
 - Nowicjusze poszli śladami St.Clair do laboratorium chińskiego doktora. Nastąpił wybuch. Helman znalazł się tam natychmiast...
 - Aby ją chronić – rzekł Klemens.
 - Nowicjusze sądzą, że nie, ojcie. Twierdzą, że miał maczetę. W każdym razie, wybuch spowodowano celowo.
 - Co chcesz powiedzieć? Że Helman próbuje zabić tę kobietę? To niemożliwe. On jest agentem amerykańskim.
 - Ojcie Klemensie, wybacz mi, lecz przeprowadziłem w jego sprawie śledztwo. Prawdą jest, że w przeszłości kilkakrotnie pracował dla Amerykanów. Wczoraj późnym wieczorem pytano o niego w Langley. Świecki brat, którego tam mamy, doniósł, iż pytanie przyszło z przyjaznego źródła, to znaczy amerykańskiej agencji w obcym kraju. Mógł to być zespół z Kanady. Wydaje mi się, że może to oznaczać, że Helmana zatrudnił ktoś inny, nie Amerykanie. W przeciwnym przypadku po co pytaliby o niego?
 - Żeby zbić nas z tropu – powiedział Klemens. Nie był to zbyt mocny argument, lecz istniał tylko jeszcze jeden możliwy wniosek, a on nie był w stanie zrozumieć logiki, jaka za nim się kryła. – Chyba że został zatrudniony przez Konklawe.
 - By zabić Adrienne St.Clair.
 - Ale po co? Ona stanowi ogniwo łączące ich z Amerykanami.
 - Być może Konklawe nie chce połączyć się z nimi.
- Klemens spozjrzał na krajobraz mknący za oknami.
- W takim razie cała operacja była na nic? Czy to chcesz powiedzieć? Kierowca potrząsnął głową.

– Nie wiem, jak brzmi odpowiedź. Pewien jestem tylko tego, że Helman nie pracuje dla Amerykanów, a Amerykanie usiłują skontaktować się z St.Clair i sami dowiedzieć się prawdy o Helmanie. My uwięźliśmy pośrodku.

– Pośrodku czego? Co masz czelność sugerować? – W głosie Klemensa był gniew.

– To tylko sugestia, nic więcej, ojcze. Wiemy, że Amerykanie chcą skontaktować się z tą kobietą. Nie wiemy natomiast na pewno, czy zamierzają wykorzystać ją jako łącznika z resztą Konklawe, czy nie. Wiemy, że Helman związany jest z tą kobietą. Nie wiemy za to, w jaki sposób. Czy jest amerykańskim agentem, któremu wyznaczono zadanie ochraniającej jej? Czy też jest agentem Konklawe, który celowo odniósł niepowodzenie przy próbie zabicia jej, by zbić nas z tropu? A może rzeczywiście miał zadać jej Ostateczną Śmierć? Jeśli zadziałamy przeciwko Helmanowi, możemy przeszkodzić mu w dokonaniu tego, czego pragniemy zarówno my, jak i Konklawe: w zabiciu jej. Jednakże, może okazać się, że idziemy im na rękę, jeśli zgodnie z ich planem skoncentrujemy się na Helmanie, a tymczasem nastąpi połączenie sił amerykańskich i Konklawe, którego nie dostrzeżemy, zaślepieni zapałem napaści na najbardziej prawdopodobny cel.

– To bardzo skomplikowane. Co sugerujesz, byśmy uczynili?

Kierowca głęboko zaczerpnął tchu.

– To muszę pozostawić tobie, ojcze Klemensie. Ja nie wiem.

Jechali przez jakiś czas w milczeniu.

– Wiem jednakże – powiedział wreszcie ojciec Klemens – że ktoś, coś, wyrządziło ojcu Benedyktowi to, co obaj widzieliśmy. To dzieło Konklawe, przypisane Helmanowi. On i oni są naszymi wrogami. Unicestwimy ich. Amerykanie mają kontakty z jedną lub drugą stroną, lub wszystkimi trzema naraz. Zniszczą ich. Ta kobieta, Konklawe, Helman, wszyscy padną przed nami. A jeśli Amerykanie wstawią się, unicestwimy ich również, tak jak tego przekłętego handlarza śmiercią na Florydzie. Złożyliśmy Pięć Ślubowań. Będziemy działać. I zniszczymy ich.

Samochód mknął autostradą. Kurs został wyznaczony. Koniec był nieunikniony.

Zaciskając dłonie na kierownicy, scholastyk modlił się do Boga, by był to ten koniec, na jaki pracowało Towarzystwo, a nie ta druga, przerażająca możliwość.

Piekiło musi zostać tam, gdzie jest. Nie wolno pozwolić, by rozprzestrzeniło się na całą ziemię.

Lecz w Waszyngtonie byli ludzie, którzy wiedzieli, że to już się stało.

ROZDZIAŁ V

Czekali na całej ulicy, za zasłoniętymi oknami, w żywoplotach, na dachach. Widziano, jak Adrienne St.Clair wchodzi do jego pokoju hotelowego. Trzy godziny później, niebezpiecznie blisko pierwszych promieni porannego słońca, ujrano ją wychodzącą stamtąd. Zadano kilka pytań w recepcji. Helman poprosił o zmianę pokoju. Żył.

Feniks wyjdzie na tę ulicę, gdzie już na niego czekano.

Toronto, 18 stycznia

Weston wziął na siebie odpowiedzialność za to, że pozwolił Helmanowi zbiec. Jezuici pierwsi ruszyli do szturmowania domu, lecz atak szybko odparto. Wyszkolono ich na spotkanie z emisariuszami Konklawe, emisariuszami, którzy cofali się przed krucyfikami, dostawali oparzeń od wody święconej i padali martwi od bełtów z kuszy. Jezuici nie mogli mierzyć się z agentami z Projektu Nevada w nieprzeniknionych pancerzach z kevlaru i uzbrojonych w zabójcze pistolety maszynowe uzi. Weston wiedział, że kobieta nie pozwoli, by wybuch w laboratorium uszedł im bezkarnie. Dysponowała metodami tropienia, których ludzie Westona nigdy nie zdołali przeniknąć. Feniksowi może uda się zbiec przed jezuitami. Może uciec Projektowi Nevada. Ale jej się nie wymknie. Weston zaryzykował i wygrał. Ona rozpaczliwie potrzebowała pomocy. Feniks był człowiekiem doświadczonym, nie skrupowanym więzami lojalności wobec żadnej ze stron konfliktu, a zatem odpowiednim kandydatem na jej chowańca. Darowała mu życie. Znaczyło to, że znów się skontaktują. Weston utracił Christophera Leunga. Wkrótce zyska Helmana.

Weston czekał na Helmana w piwnicy domu. Ślady jatki na jezuitach usunięto, choć nie zatarto wszystkich śladów. Schronienie St.Clair naprawiono i ponownie ukryto w fałszywej ścianie pod schodami.

Jej schronienie było kolejnym dowodem na to, że Weston wybrał właściwy cel. Była tak niepodobna do innych. Schronienie to w niczym nie przypominało trumny. Nawet nie było w niej rozsypanej obowiązkowo garści ziemi z ojczystego kraju. Przypominało raczej miękko wyściełane łóżko z lekką pokrywą. Ona nie była ofiarą nonsensownych zabobonów Konklawe. Była ostatnią nadzieją Projektu Nevada.

Wcześniej tego samego dnia zastępcą Westona przesłał mu telefonicznie zaszyfrowaną wiadomość na posterunek w Toronto. „Lancet” przyjął do druku artykuł lekarza zatrudnionego w małej klinice w Omaha, utrzymywanej z funduszy multimilionera Daniela K. Ludwiga. Badania wyraźnie wskazywały na zakażenie drogą powietrzną, przypuszczalnie pochodzenia wirusowego.

Naukowiec nie publikował niczego od lat i nigdy w tej dziedzinie. Mała rybka prześlizgnęła się przez oka sieci. Pozostałe pisma zauważą artykuł i zwrócą baczniejszą uwagę na inne raporty, które dzięki starannym manewrom ludzi Westona w minionych latach przechodziły niezauważone. Jeden po drugim zaczną publikować. W ciągu miesiąca lub dwóch w kręgach profesjonalnych zawrze od przypuszczeń. Przed upływem trzech miesięcy dziennikarze z działów naukowych rozniosą plotki na główne strony pism. W kraju wybuchnie afera, zanim jeszcze skończy się lato. A jutro, pomyślał Weston, skończy się świat.

W piwnicznej ciszy rozległy się niezbyt głośne trzaski. Weston odwrócił się w stronę głośnika.

– Mamy zamiar na Feniksa. Zbliży się ulicą za podwórzem na tyłach. Jest uzbrojony. Wydaje się nie dostrzegać, że jest obserwowany.

Weston sięgnął po mikrofon.

– Nie wychylajcie się. Idzie wprost na nas.

Zakłócenia, a potem cisza.

Weston czekał w milczeniu. Nadchodził Feniks. Ulica, przy której stał dom, była tego dnia cicha. Nie widać było śladów upiornej bitwy z poprzedniej nocy. Zespoły techników

telewizyjnych odjechały. Bez wątpienia reporterzy będą wciąż jeszcze wypytywać zdeorientowanych mieszkańców okolicznych domów, lecz nic im z tego nie przyjdzie. Jezuici użyli swych wpływów w Kanadyjskiej Królewskiej Konnej, Królewska Konna użyła swych wpływów w torontońskiej policji, a ludzie Westona przejęli wpływy po Królewskiej Konnej.

Policja była przekonana, że pomagała Królewskiej Konnej ująć grupę czerwonych terrorystów, którzy usiłowali uczynić z Toronto swą bazę operacyjną. Królewska Konna wsparta rozkazami z najwyższych źródeł rządowych zmusiła policję Toronto do przekazania jej dowodzenia operacją. Policja zareagowała rozgoryczeniem. Krążyły pogłoski o agentach Królewskiej Konnej, którzy grozili bronią policjantom w zamieszeniu zeszłej nocy. Zostanie wszczęte śledztwo, lecz nic nie zostanie ujawnione. Ważne było tylko to, że kiedy władza była potrzebna, znalazła się. Istniały specjalne struktury do pomijania wszelkich hierarchii i systemów służbowych w sytuacjach wyjątkowych. Policja mogła się wściekać, gazety mogły się pieniść, a tajne kanały władzy i tak były zawsze otwarte. Jedyne, co kiedykolwiek zostanie ujawnione, jak wiele razy w przeszłości, to fakt, że Królewska Konna nad wszystkim panowała. Królewska Konna była przekonana, że ich specjalny oddział Służby Bezpieczeństwa wciąż działał w utajeniu z poleceniem nie-meldowania się aż do ukończenia operacji w całości. Weston wiedział, że wszyscy ci ludzie z Królewskiej Konnej nie żyli.

Jakoś nie przeszkadzało mu, gdy w akcji ginął agent grupy wywiadowczej. Oni są jak żołnierze. To część ich pracy. Wszyscy o tym wiedzą. Większość godzi się z tym. Szczególnie zwycięzcy.

Natomiast przeszkadzało Westonowi zabijanie naukowców. Szczególnie teraz, gdy miał się ukazać artykuł w „Lancecie”. Może to wszystko było na nic. Zwalczył chęć kaszlnięcia. Feniks jest tak blisko, nie może pozwolić sobie na dezorientację wywołaną bólem.

Weston postłyszał krótki, zaskoczony pomruk, który dobiegł go zza tylnego okna piwnicy. Zakończył się szybko czymś, co zabrzmiało jak przeciągnięte staccato czkawki. Feniks przybył. Feniks został uwięziony.

Sprowadzono go na dół. Drżały mu ręce i nogi, białka oczu miał wywrócone.

Pręgowana na żółto i niebiesko strzałka baterii utkwiała w jego lewej nodze. Wysyłała przerywane impulsy o napięciu 40 000 woltów prądu stałego do jego centralnego układu nerwowego. Była to pochodna pistoletu typu taser, z wyjątkiem tego, że niepotrzebny był kabel łączący strzałkę z baterią w pistolecie i można było ją wystrzelić na znacznie większą odległość. A w zależności od rozmiaru baterii oraz tego, jak długo strzałka pozostawała w ciele ofiary, mogło się to okazać śmiertelne.

Dwaj mężczyźni, którzy sprowadzili Helmana na dół, posadzili go w fotelu. Fotel obity perkalem nie pasował do nie wykończonej piwnicy o betonowych ścianach. Został przyniesiony z pokoju na górze. Weston czuł się nieprzyjemnie, siedząc naprzeciwko nieosłoniętych okien.

Podszedł do Helmana i wyciągnął strzałkę baterii. Helman wciąż dygotał. Potrwało jeszcze kilka minut. Jeden z mężczyzn nasączył płynem nogę nad raną. Drugi podał Westonowi kolekcję broni Helmana.

Wreszcie najgorsze dygotanie minęło. Helman zwrócił wzrok na Westona, a ten przemówił.

– Cieszę się, że wreszcie pana spotkałem, Feniksie. Imponująca artyleria. – Wskazał na magnum i bulldoga, które trzymał drugi strażnik. Pierwszy trzymał wymierzoną w Helmana strzelbę z baterią.

– Domyślam się, że jest pan Markerem Jeden – powiedział Helman.

– To prawda – przyznał Weston.

– Cóż, ktoś z karabinem wczoraj wieczorem nazwał mnie Feniksem. Mylił się. I pan też się myli. Nie wiem, kim jest Feniks. – Helmanowi trudno było mówić bez dzwonięcia zębami. Było to coś pomiędzy dreszczami z chłodu a jękaniem się.

Weston podniósł rękę do oczu, zamykając je, jakby czytał z akt zapisanych na powiekach.

– Pseudonim: Feniks. Sektor spraw wewnętrznych. Operacje usuwania, etc., etc. Oznaczenie operacyjne: Helman, Robert Granger. Wykorzystany skutecznie w marcu 74, grudniu 75, styczniu i kwietniu 77 i listopadzie 80. I tak dalej, i tak dalej.

Daty były Helmanowi znajome, lecz nie rozumiał kontekstu.

– Nazywam się Granger Helman, zgadza się. Nie znam Feniksa. Nie znam tych dat. – Były to miesiące, w których dokonywał sprzątnięć. Czyżby miał do czynienia z ludźmi z Konklawe?

Weston westchnął i odwrócił się. Drugi ze strażników podał mu broń. Strażnik ze strzelbą elektryczną przesunął się cicho, żeby mieć nie zasłonięte niczym pole do strzału.

Drugi strażnik o twarzy chudej i skupionej, niczym u biegacza długodystansowego, stanął przed Helmanem, trzymając małą, czarną walizeczkę.

– Cóż, Centralna Agencja Wywiadowcza zna te daty. Przestań pieprzyć, Feniks i odpowiedz na kilka pytań, zanim zrobimy ci z mózgu wodę. Byłeś tam zeszłej nocy. Widziałeś, co się stało z tym głupkiem w furgonetcie TV. To był zawodowiec, Helman. Na miłość boską, był twardszy od ciebie, a wydobycie z niego szyfrowych odpowiedzi zajęło nam zaledwie osiem minut. Wiesz, dlaczego zabiliśmy go? Wstrzyknęliśmy mu śmiertelną dawkę barbituratów? – Strażnik krzychał Helmanowi w twarz. Ślina przyskała z jego szybko poruszających się warg, spadając kropelkami na Helmana. Helman nie mógł nic zrobić. Mógł jednak przypomnieć sobie nieprzytomnie patrzącego mężczyznę z odznaką pracownika linii telefonicznych. Tego, którego zabili ukłuciem igły w szyję. – Bo była to jedyna cholerna humanitarna rzecz, jaką mogliśmy dla niego zrobić. Po tych wszystkich innych narkotykach, jakimi go naszprycowaliśmy, byłby pierdoloną roślinką.

Strażnik przykucnął przed Helmanem, otwierając czarną walizeczkę. Wewnątrz znajdowały się ampułki z przejrzystym płynem. I strzykawka.

– Wiesz co, Feniks? Naprawdę zabiliśmy go dlatego, że mieliśmy dla niego szacunek. Szanowaliśmy go wystarczająco, by zapewnić mu czystą śmierć. Ale nie tobie, ty gnoju. Naszprycujemy cię tymi samymi narkotykami, powiesz nam wszystko, co chcemy wiedzieć. A potem zostawimy cię, żebyś tarzał się we własnym gównie, aż sąsiedzi zaczną się skarżyć na smród, ponieważ nie będziesz miał dość rozumu we łbie, żeby wstać i pójść do kibla.

Helman poczerwieniał. Chciał siłą woli podnieść ręce i rzucić się maniakowi do gardła, lecz żaden z jego nerwów nie współdziałał z innym. Nic nie działało. Mógł tylko wpaść w jeszcze większą złość i zapluć się z gniewu.

Strażnik podniósł rękę i strzelił palcami.

– Majorze, proszę pomóc mi przytrzymać go. Jest tylko jeden sposób, żeby zmusić tego gnoja do mówienia.

Weston chwycił Helmana za ramiona, wciskając go głębiej w fotel. Pierwszy strażnik odwrócił dnem do góry fiolkę i przebił igłą gumowy korek. Wyciągnął tłoczek, napełniając strzykawkę. Helman rozpaczliwie starał się wyszarpnąć, lecz poza gwałtownym drgnieniem, jego ciało wciąż nie było mu posłuszne. Odezwał się spiesźnie do Westona, gdy strażnik prysnął narkotykiem przez igłę, wypychając powietrze.

– Nawet nie polecił mi pan jeszcze, żebym mówił. Powiedziałem już, nazywam się Helman. To przyznaję. Proszę pytać mnie o cokolwiek. Ale uprzedzam, że nie wiem nic o Feniksie ani CIA.

Proszę mnie pytać.

Weston spojrział Helmanowi prosto w oczy.

– Czy rozmawiał pan z Adrienne St.Clair zeszłej nocy?

Kim są ci ludzie? pomyślał Helman. Dlaczego wszyscy wiedzą więcej ode mnie?

– Tak – rzekł. Strażnik przetaił miejsce na szyi Helmana.

Helman pomyślał, że przecieranie wacikiem, by nie spowodować zakażenia, jest makabrycznie niepotrzebne.

Weston wyciągnął rękę, by powstrzymać strażnika od wbicia igły.

– Poczekajmy z tym chwilę. Zobaczymy, co nam powie, dopóki ma ochotę współpracować.

Strażnik zaprotestował. Helman widział głód wyczekiwania w jego oczach.

Weston uspokoił go.

– Zawsze zdążymy użyć zastrzyku, synu. Zawsze. Bądź tylko w pogotowiu. Może okazać się, że lepiej będzie nam się współpracowało, póki będzie żył. Albo przynajmniej, póki jego umysł funkcjonuje. – Zwrócił się do Helmana. – Proszę starać się jak najlepiej. Kiedy to paskudztwo znajdzie się już w panu, niewiele będziemy mogli zrobić. Zrozumiał pan?

Helman pokiwał głową. Znów go osaczono. Miał niemiłe uczucie, że właśnie dał się nabrać na klasyczną sztuczkę „dobry gliniarz i zły gliniarz” rozgrywaną pomiędzy Markem Jeden a strażnikiem ze strzykawką. Gdyby mógł, z przyjemnością przycisnąłby

paru ludzi do ściany, trzymając ich za gardło, by popatrzeć, jak powoli się duszą.

– A więc Adrienne St.Clair chce, żeby został pan jej chowańcem? – powiedział Weston.

– Jeśli założył pan podsłuch w pokoju, po co mam odpowiadać na pytania?

– Nie założyliśmy podsłuchu. St.Clair jest w nadzwyczaj niebezpiecznym położeniu. Dwie bardzo potężne organizacje zamierzają ją zlikwidować. Zdaje się, że nazywają to zadaniem Ostatecznej Śmierci. Odebrał jej pan jedyną szansę ucieczki.

Helman zmrużył oczy.

– Czy pan wie, kogo zabił wybuch w laboratorium? – spytał Weston.

– Christophera Leunga. Lekarza. To smutne.

Weston zaniepokoił się.

– Smutne, że musiał go pan zabić? Czy smutne, że zginął?

– Nie musiałem go zabijać. Laboratorium było jedynym miejscem, gdzie mogłem urządzić zamach na tę kobietę.

– Mój Boże, pan próbował ją zabić? Nie Leunga? Dlaczego CIA pragnie jej śmierci? Dlaczego...

Helman wrzasnął do niego.

– Nie pracuję dla CIA. Nic nie wiem o CIA. Pracuję dla Konklawe!

Weston zbladł.

– Czy wie pan, czym jest Konklawe?

– Teraz już wiem. Czy wie pan, kim jest Adrienne St.Clair?

– Oczywiście. Dlatego doktor Leung pracował dla mnie. Dlatego straciliśmy czterech ludzi, broniąc jej schronienia zeszłej nocy, oprócz tego, którego zabił pan dwa dni temu. Adrienne St.Clair jest wampirem. I właśnie dlatego jest nam potrzebna. Teraz musi pan powiedzieć mi wszystko, co wie o Konklawe. Strażnik ma ogromną ochotę użyć zastrzyku, a ja nie zdołam powstrzymać go, jeśli nie usłyszymy, dlaczego jest pan w to zamieszany.

Helman powstrzymał się znów od chęci wrzaśnięcia. Dostrzegł strażnika stojącego w pobliżu ze strzykawką. Na czubku igły połyskiwała drżąca kropla płynu.

Powiedział im wszystko, co mógł.

Weston krążył po pomieszczeniu, by rozruszać zeszywniałe mięśnie nóg. Siedzieli od ponad dwóch godzin, a Helman musiał wrócić do hotelu przed zachodem słońca, by czekać na kontakt z St.Clair i Konklawe.

Helman sprawiał wrażenie wyczerpanego. Wróciła mu zdolność ruchowa, lecz wstrząs wywołany strzałką baterii uczynił swoje. Kawa i kanapki, które przyniósł jeden ze strażników, dały się przełknąć, ale nie przyczyniły się wydatnie do uspokojenia jego wnętrzości.

Weston odezwał się:

– Okay. Jest pan płatnym mordercą. Wycofał się pan. Konklawe dało panu zlecenie na St.Clair. Dlaczego? Nie jesteśmy pewni. St.Clair twierdzi, że jest to zgodne z metodą, jaką wypracowali w ciągu stuleci. Pan miał być ich „parawanem”. Pańska siostra i jej dzieci są ich ubezpieczeniem. Wiemy, że nie mają zbyt wielu „emisariuszy” w Ameryce Północnej. Są tutaj przyczajeni. Prawdopodobnie nie zdążyliby zmontować zespołu wystarczająco szybko. Jest tutaj trudniej niż w Europie zamaskować morderstwo. Więc wybrali pana na miejscowego eksperta. Kogoś, kogo można złapać, gdyby za bardzo spapał robotę i zabić, zanim miałby okazję zacząć mówić. Tak więc zginąłby pan nawet, gdyby powiodło się.

Granger siedział z zamkniętymi oczami. Otworzył je.

– Powiedzieli mi, że odejdę wolno po wykonaniu zlecenia.

Weston skrzywił usta.

– Przypuszczam, że nadal pisze pan listy do świętego Mikołaja. Nie rozumie pan tych istot, tych stworów. Wszyscy, którzy mieli z nimi do czynienia, zazwyczaj przez kontakty w interesach, mają się świetnie, dopóki są potrzebni. Kiedy tylko ich usługi przestają być potrzebne, znikają. Nie jest przypadkiem, że wampiry rozpuły się w mgłę mitów. Ciężko zapracowały na anonimowość. To ich siła. Jak można walczyć z czymś, w co nikt nie wierzy?

Helman raptownie wstał. Mężczyzna ze strzelbą przesunął ją tak, by nadal mieć go na muszce.

– Miriam i chłopcy! Jeśli ja jestem na straty...

Weston dał znak strzelcowi, by opuścił broń.

– Niech pan posłucha – rzekł – jeśli ich życie było argumentem przetargowym Konklawe w rozmowach z panem, może być również naszym. Mogę załatwić panu

ochronę. Mamy specjalną broń, specjalnie przeszkolonych agentów. Pańskiej siostrze i jej dzieciom nic się nie stanie. Musi pan tylko współpracować z nami.

– Jak?

– Robiąc to, co robi pan dla tej kobiety. Zabił pan jej chowańca. Zwróciła się do pana, by go pan zastąpił. Jej chowaniec był również moim agentem. Chcę, żeby zajął pan jego miejsce.

– Dlaczego? Kim jesteście, że potrzebny wam jest wampir? I dlaczego ja mam to zrobić? Możecie sami ją śledzić. Dlaczego sami nie zwróciacie się do niej?

– Zbyt nieufna byłaby wobec tych, których reprezentujemy. Nie zaufa nam. Już poczyniliśmy pierwsze kroki. Miała trzy podstawowe kontakty, z którymi mogła nawiązać łączność po ucieczce z Anglii. Mieliśmy mężczyznę w Chicago, kobietę w Waszyngtonie i doktora Leunga w Toronto. Dopilnowaliśmy, by jej początkowy kontakt z tymi ludźmi nie dawał jej powodów do podejrzeli, że Chicago czy Toronto ma związku z rządem amerykańskim.

Helman otworzył szerzej oczy.

– Jesteście z Waszyngtonu? Rząd się za tym kryje?

– Część rządu wie o nas. Bardzo niewielu wie o *yberach*. A tylko moja grupa wie o Adrienne St.Clair.

– Nic dziwnego, że nie chciała kontaktować się z Waszyngtonem. Skąd jesteście? Z Pentagonu? A może tylko z wojska? Broń biologiczna? Chcecie stworzyć żołnierza, którego nie można zastrzelić i który musi pić krew wroga? – Helman był szkarłatny na twarzy. Co się działo w Waszyngtonie, że ktoś mógł o czymś podobnym pomyśleć?

– Niech pan się uspokoi, Helman. Nie jestem przedstawicielem Pentagonu. Ani żadnej organizacji wojskowej. Dlatego niepokoją mnie pańskie powiązania z CIA.

Helman znów zaprotestował. Weston przerwał mu wpół słowa.

– Nie musimy znów przez to przechodzić. Na razie uwierzę w pańską historię. Nie przypomina pan sobie, żeby kiedykolwiek kontaktował się pan z CIA. Mimo to, wciąż jest pan zapisany w ich aktach jako płatny morderca o pseudonimie „Feniks” i zamierzam dowiedzieć się, dlaczego. Gdybym podejrzewał, że świadomie kontaktował się pan z Langley i działał na ich zlecenie, nie oszczędziłbym panu zastrzyku i paplałby pan teraz jak dwulatek. Zostawmy to tak, jak jest, dopóki nie otrzymam dalszych raportów w tej sprawie.

Helman zacisnął zęby i nie przerywał milczenia.

– Tak lepiej – rzekł Weston i ciągnął: – Drugim powodem, dla którego musimy skontaktować się z nią w sposób pośredni, jest fakt obserwowania jej przez jezuitów. O ile orientujemy się, toczą własną wojenkę z Konklawe od około dwustu lat. Nie wiemy o nich zbyt wiele. Nasi agenci wnikali do Konklawe; nie jest to trudne, bo wciąż szukają nowych chowańców. Ale trzeba służyć trzydzieści siedem lat pod nadzorem, by zostać wprowadzonym do Szóstego Wtajemniczenia Towarzystwa Jezusowego. A stamtąd starannie się dobiera członków Siódmego Wtajemniczenia. Nigdy nie udało nam się nawet zbliżyć do nich.

– Opowiedziała mi o jezuitach. Myślała, że udało jej się wymknąć im w Europie. Nie wiedziała, jak ją tutaj wytropili. Była zaskoczona. Prawdę mówiąc, wstrząśnięta. Ja w to nie wierzę. Jak jezuita mogą robić to, co zrobili ci księża zeszłej nocy. To była masakra. A większość z nich wyglądała młodo. Niemal dzieci.

– To byli nowicjusze i scholastycy – uczniowie, którzy zostaną jezuitami. Starzy, którzy rządzą wszystkim, rekrutują ich do zadań specjalnych. Dzieciaki godzą się na to. Dawno temu, kiedy dowiedzieliśmy się o udziale jezuitów w tym wszystkim, byliśmy też zaszokowani. Przypuszczaliśmy, że to jakaś obłąkana sekta. Nawet istniały pewne dowody łączące ich z małym, osobliwym kultem w Kalifornii. Potem nasi agenci udający chowańców donieśli nam, od jak dawna trwa ich konflikt. To prawda, Helman. A jeśli ktoś zdolny jest uczynić to, co wydarzyło się zeszłej nocy w imię Boże, to tylko oni i ci młodzi fanatycy, których werbują do udziału w świętej wojnie. Kiedy powstał zakon jezuitów ponad czterysta lat temu, hiszpańska i portugalska Inkwizycja wniosła protest do Rzymu. Potrafi pan to sobie wyobrazić? Hiszpańska Inkwizycja uważała, że Towarzystwo Jezusowe – jezuita – stanie się zbyt potężne, zbyt fanatyczne. Kościół katolicki istniał dla chwały Bożej. Mottem jezuitów było poświęcenie się dla większej chwały Bożej. Nikt w Kościele nie czuł się miło w towarzystwie jezuitów, lecz w ciągu kilku lat stali się zbyt potężni, by na nich napaść.

Postanowili zająć się bogatymi i wykształconymi, nakłonić śmietankę Europy do przyjęcia zasad Kościoła. Aby tego dokonać, sami stali się bogaci i wykształceni. Założyli kilka najlepszych szkół, jakie widział ten świat. Poświęcili się szerzeniu wiedzy wśród

świeckich. A było to coś, czego Kościół nigdy nie pochwalał. Poskutkowało. Wkrótce zaczęli utrzymywać stosunki z najbogatszymi i najbardziej wpływowymi ludźmi na świecie. Zajęli się polityką. Tworzyli pokój. Tworzyli również wojny. Poprzez kłamstwa, manipulacje i zabójstwa.

– Kościół katolicki uwikłał się w coś podobnego? Świadomie?

– Nie Kościół, Helman. Jezuiści. Wystarczy tylko jeden. Członkowie innych zakonów składają przysięgę na wieczne posłuszeństwo Bogu. Jezuiści składają taką samą przysięgę, lecz mówi ona o wierności innym jezuitom. Jeśli przełożony jezuita rozkaże mu wykonać czyn, który ten uważa za grzeszny, jezuita może skonsultować się z innym jezuitą. Jeśli ten drugi zgodzi się, to znaczy, jeśli dwaj przełożeni wydadzą ten sam rozkaz, jezuita nie ma wyboru i musi być posłuszny rozkazowi. Dlatego właśnie nowicjusze i scholastycy zabijają z takim zapałem. Nie tylko muszą wykonywać rozkazy przełożonych, lecz muszą sami przekonać się do zrozumienia, nie tylko uwierzenia, że ich czyny nie są grzeszne. Muszą być posłuszni rozkazom.

Za Trzeciej Rzeszy Goering szczególnie zainteresował się jezuitami. Przyjrzał im się bardzo uważnie, po czym wykopał ich z Niemiec. A następnie spożytkował ich plany organizacyjne i zasady jako model, na podstawie którego utworzył SS! Nie mamy do czynienia z grupką mnichów. Tą są fanatycy najgorszego rodzaju: błyskotliwi i zdolni usprawiedliwić wszelkie środki, jakimi dążą do celu.

Helman czuł się otępiaty. Jak większość ludzi podejrzewał, że w każdej organizacji kryją się hipokryci, lecz zawsze sądził, iż hipokryzja ma granice, poza które te organizacje nie wykraczają. Zdumiewało go, że coś takiego może mieć miejsce w odgałęzieniu Kościoła, który staje się w świecie coraz bardziej bezsilny.

– Czy chce pan powiedzieć, że wszystko, czym się jezuiści zajmują, jest tylko parawanem dla grupy zabójców wampirów, którzy równie dobrze mogliby nosić swastyki zamiast krzyży?

– Nie, skądże znowu. Nie wszyscy jezuiści uwikłani byli w wydarzenia w przeszłości. Bardzo niewielu zajmuje się tym w chwili obecnej. Mówimy tylko o jezuitach, którzy

poprzysięgli ocalić świat przed *yberami*: o tych, którzy złożyli Piąte Ślubowanie – jezuitach Siódmego Wtajemniczenia.

– Nie rozumiem.

– W miarę, jak jezuita rośli w siłę i stawali się stabilizującą potęgą na świecie, wampiry coraz częściej spotykały się z atakami. Kościół wiedział o nich. Zawsze o tym wiedział. Lecz pod przywództwem jezuitów, w bitwie pomiędzy wampirami a Kościołem szala zwycięstwa zaczęła przechylać się na korzyść Kościoła. Wampiry uczyniły jedyną rzecz, jaką mogły. Również się zorganizowały. Powstało Konklawe. Jego pierwszym zadaniem było zniszczyć grupę, która sprawiała mu tyle kłopotów: jezuitów.

Sprytniejsze wampiry, te, które istniały od dawna, nie dając się zidentyfikować i zabić, zgromadziły olbrzymie fortuny. Mogły pozwolić sobie na poczekanie kilkaset lat, aż inwestycja zacznie się opłacać. Konklawe skonsolidowało to bogactwo i dobrze je wykorzystało.

Dwieście lat temu na Martynice, przełożony jezuitów, ojciec Lavalette, został zgrabnie nakłoniony przez wysoko postawionych chowańców *yberów* do poczynienia kilku skomplikowanych inwestycji. Inwestycje przyniosły straty. Zajęło się tym Konklawe. Kilka francuskich banków i firm handlowych zbankrutowało. Szlachcice popełniali samobójstwa. Był to straszliwy skandal międzynarodowy, a wszyscy zrzucili winę na jezuitów. Odbyla się rozprawa sądowa. Jezuita przegrali. Ostatecznie zabroniono im działalności we Francji. Ponieważ Francja poważyła się na coś niewyobrażalnego i odniosła sukces, inne kraje próbowały tego samego pod różnymi pretekstami, związanymi zawsze ze skandalami finansowymi, bez względu na to, jak mało znaczącymi. Wreszcie narastających protestów nie można było dalej lekceważyć. Papież wydał edykt rozwiązujący zakon jezuitów. To był ich koniec. Z wyjątkiem Rosji. Katarzyna Wielka udzieliła im schronienia. Właśnie tam został utworzony zakon jezuitów Piątego Ślubowania, niepisane ślubowanie. A ci jezuita byli inni. Ci byli prawdziwymi fanatykami. Zapał i poświęcenie istniejące od dwustu lat skierowali na jeden cel: zagładę wampirów. Ich pierwszym posunięciem było przywrócenie jezuitów światu. Papież Klemens XIV odmówił ich prośbie, więc otruli go. Następnym papieżem został Pius VII. Wiedział, co przydarzyło się jego poprzednikowi. Postanowił upewnić się, że nie przytrafi mu się to samo i wydał edykty przywracające

jezuitom ich poprzednie przywileje w kolejnych krajach. Wreszcie, ponad sto sześćdziesiąt lat temu, został wydany ostatni edykt i jezuita powrócili do pełni władzy. Od tej pory żaden papież nie wtrąca się do ich spraw.

– To niewiarygodne.

– To historia. Kiedy naprawdę przejdzie pan na emeryturę, proszę sprawdzić to sobie kiedyś, Granger. Nazwiska i daty. Wszystko tam jest. Nikt nie lubi o tym wspominać. Jezuita mają swych apologetów. Jedynym faktem, o którym nie znajdzie pan wzmianki, jest Konklawe. A to dlatego, że Konklawe jest znacznie potężniejsze niż jezuita byli kiedykolwiek.

– Dlaczego jezuita nie powiadomią o tym świata? Nie wciągną w to wszystkich?

Weston usiadł w fotelu naprzeciwko Helmana. Był on taki jak ten, na którym siedział Helman i również przyniesiony z góry. Weston przetarł twarz i skronie.

– Nie wiemy – rzekł. – Wygląda to tak, jakby Konklawe i jezuita zawarli jakiś tajny pakt, jakby mieli na siebie jakiś haczyk. Ale do tej pory była to sprawa jeden na jednego. Jezuita walczyli po stronie Boga, wampiry diabła. Wszyscy uwikłani w nadprzyrodzony konflikt dobra ze złem.

Helmanowi zaczęło coś świtać.

– Z wyjątkiem Adrienne St.Clair – powiedział. – Ona sądzi, że to choroba.

– Jest dość blisko prawdy – przyznał Weston. – Powiedzmy, że niektóre z jej pomysłów są dość bliskie naszym. Chcielibyśmy, by zbliżyły się jeszcze bardziej. Do tego potrzebny nam jest ktoś z osobistą znajomością wampiryzmu, najlepiej ktoś z pewnym przygotowaniem naukowym, lub przynajmniej nie uwikłany w ten hokus-pokus Konklawe.

– I nie powie mi pan, dlaczego?

– Nie.

– Ale nie ma to związku z badaniami nad bronią ani nawet z wojskiem, mimo iż tak właśnie myśli Adrienne?

– Właśnie.

– Muszę wiedzieć więcej.

– Powiedzmy tylko, że jezuita prawdopodobnie mają rację.

- Pod jakim względem?
- Końca świata. To nie ma nic wspólnego z Bogiem czy diabłem, demonami czy aniołami, lecz koniec świata zbliża się, Helman. A Adrienne St.Clair może okazać się jedyną osobą, która może mu zapobiec. Jeśli Konklawe i jezuita pozwolą jej tego dożyć.

Nagle w piwnicy zrobiło się bardzo zimno i bardzo cicho. Ożywienie i uczucia malujące się na twarzy Westona i w jego oczach, zgasły, zastąpione kamienną powagą.

Helman poczuł skurcz żołądka podobny do tego, jaki czuł zawsze wtedy, gdy przyjmował nowy kontrakt. Zdał sobie sprawę, że wdepnął w coś znacznie większego niż kolejne sprzątnięcie. Groziła niejedna śmierć. Stawką było coś więcej niż życie Miriam i jej dzieci.

Oddechnął głęboko, by rozluźnić ucisk w piersi i zamknął oczy. Z jakiegoś powodu ujrzał obraz piwnicy, być może piwnicę z opowieści Adrienne. Była pusta, kąty były czyste. Lecz w przeciwległej ścianie znajdowały się otwarte drzwi, a za nimi schody wiodące w dół. Nie idź na dół, powiedział jakiś wewnętrzny głos. Otworzył oczy i obraz oraz głos rozwiąły się. Pozostała powaga.

- Jaki ma być w tym mój udział? – zapytał.

Major Weston powiedział mu.

ROZDZIAŁ VI

Helman wędrując korytarzem hotelowym nie rozpoznał chowańców Rice'a. Oni również go nie poznali. Dano im zadanie do wykonania i wykonali je bez wahania, nie znając nawet powodów całej akcji. Rezultaty owej akcji czekały w pokoju Helmana, a Helman wszedł, niczego nie podejrzewając.

Weston zaproponował serię kontaktów w ciągu dnia, głównie przez telefon, w celu informowania go o planach i działaniach St.Clair. Helman miał grać rolę nowego chowańca Adrienne. Poleciała mu przygotować się do podróży, było więc oczywiste, że miała jakiś plan, nieważne jak pośpiesznie ułożony. Weston życzył sobie wiedzieć, jaki to plan.

Tymczasem Weston miał wysłać agentów, by zajęli się bezpieczeństwem Miriam i jej dzieci. Miał również spróbować w jakimś stopniu ustalić zamiary jezuitów. Helman został wyposażony w kuloodporną kamizelkę z kevlaru. Jest to lekki materiał wytwarzany przez zakłady Duponta. Pancerz wykonany z kilku warstw tego materiału jest w stanie zatrzymać kulę z magnum 0,357 z odległości półtora metra, która zostawi zaledwie lekki siniec. Będzie to całkowicie wystarczającym zabezpieczeniem przed stosunkowo wolno lecącymi bęłtami kusz jezuitów, chyba że jak w przypadku tego agenta na podjeździe zeszłej nocy, pocisk trafi w miejsce nie osłaniane pancerzem. Helman wziął również kamizelkę dla St.Clair. Nie potrafił zrozumieć kryjącej się za tym logiki i chciałby, żeby mu wyjaśniła, dlaczego kule przechodziły przez nią na wylot, nie wyrządzając jej krzywdy, podczas gdy potrzebna jej była osłona przed drewnianymi strzałami. Przynajmniej będzie miała tę osłonę. Helman osłoni ją również przed Konklawe. A oboje będą osłaniani przez ludzi Westona. Weston stwierdził, że wysyłanie jego ludzi, by śledzili ich w nocy, gdy krążą agenci Konklawe, jest zbyt ryzykowne. Łatwo jest ukryć się przed chowańcami za dnia, lecz wampiry mają niesamowitą zdolność wyczuwania tego, że są śledzone. Obserwatorzy muszą znajdować się z dala od miejsca wydarzeń, tak jak tej nocy, gdy Adrienne odwiedziła Helmana. Obserwowano ich za pomocą noktowizora Startron z biurowca oddalonego o osiemset metrów.

Helman miał teraz wrażenie, że nieco lepiej panuje nad sytuacją. Nie jest już pionkiem. Ma natomiast do spełnienia pewne zadanie, by pomóc jednemu z potężniejszych graczy w tej osobliwej grze. Ulżyło mu również, gdy dowiedział się, że Weston zajmie się jego siostrą. Martwiło go tylko, i myślał o tym, wsuwając klucz do zamka w drzwiach pokoju hotelowego, jak Konklawe zareaguje na zakończoną niepowodzeniem próbę zabójstwa poprzedniej nocy. Adrienne dała mu wskazówki, co ma powiedzieć, lecz zastanawiał się, czy dadzą mu szansę powiedzenia czegokolwiek. Nawet gdyby tak, to czy mu uwierzą?

Pchnięciem otworzył drzwi. Wywieszka „Proszę nie przeszkadzać” wciąż wisiała na swoim miejscu, a po niezasłanym łóżku poznał, że pokojówki były posłuszne poleceniu. Pokój wyglądał na pusty. Wślizgnął się szybko do środka i zatrzasnął drzwi, zamykając

je na klucz. Położył paczkę z kevlarowa kamizelką na ziemi i sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza po magnum, które Weston mu zwrócił. Trzymając je w pogotowiu, sprawdził, czy nie ma intruzów.

Wszystko było czyste i nietknięte. Rzucił płaszcz na łóżko i poszedł do łazienki. Nalał wody do umywalki i chlusnął nią w twarz. Orzeźwiła go. Pomyślał o pływaniu ze Stevenem i Campbellem latem w Nowej Anglii. Czasami czuł się tak, jakby był ich ojcem. Lubił to uczucie.

Helman spojrzał na swoją twarz w lustrze. Widać było na niej napięcie ostatnich czterech dni. Wyglądał równie niezdrowo, jak tych dwóch nastolatków, których zobaczył na dole, tych o bladych, zapadniętych twarzach i w swetrach z golfami. Musi być ostrożny, być może plany Adrienne obejmowały przekraczanie granicy. Wyglądał, jakby znajdował się pod wpływem narkotyków. Pomyślał o Adrienne, zastanawiając się, gdzie ona teraz śpi. Potem nasunęły mu się inne myśli. W większości skupiały się na wyrazie smutku, jaki malował się na jej twarzy, gdy mówiła o Jefferym. „Tym tylko się różnię, że jestem chora”. Kobieta cierpiąca na pewną przypadłość, pomyślał. Nieznaczną. Taką, która ją zabiła i jednocześnie utrzymała przy życiu. Nie żyła, a Helman znał się na martwych. A jednak dostała nowe życie. Jeszcze jedną szansę. Pomyślał o jeszcze jednej szansie, o tym, co się z nimi stanie, jeśli oboje przeżyją. Pomyślał o tym, co mogłoby się stać, aż wreszcie gniewnie odsunął te myśli na bok. Myślał o niemożliwości. Znów chlusnął sobie wodą w twarz i patrzył, jak rozpryskuje się na lustrze nad umywalką i spływa jak krople deszczu, zostawiając po sobie smugi, tak jak dziś rano. Smugi na szkle. Poczul alarm odzywający się we wnętrzu. Dziś rano mył się w łazience. Na lustrze zostały smugi. Zmięty ręcznik obok umywalki. Używane mydło z zaschniętymi bankami we wgłębieniu umywalki.

Łazienka była teraz nieskazitelnie czysta. A jednak łóżka nie tknięto. Czyżby pokojówki posprzątały tylko połowę pokoju? Jeśliby weszły pomimo wywieszki „Proszę nie przeszkadzać” i zastały pokój pusty, czyż nie posprzątałyby wszędzie? Rozejrzał się pośpiesznie. Zauważył obecność innych anomalii. Ręcznik, którego użył po wzięciu prysznicza dziś rano, nadal wisiał przerzucony przez poręcz wieszaka. Nie zmieniono go. Myjka pod prysznicem również była tam, gdzie ją zostawił. Ale umywalkę wyczyszczono. Przyjrzał się uważniej innym miejscom w łazience. Spojrzał na lustro. Na blat dookoła

umywalki. Czyżby ktoś tu był i coś rozlał? Helman zaniepokoił się, lecz nie widział żadnego groźnego motywu, kryjącego się za tym, że ktoś wszedł do jego pokoju tylko po to, by wyczyścić umywalkę. I również podłogę, skoro już o tym pomyślał. Kafelki wytarto do czysta, matę kąpielową odsunięto na bok. Zaprawa cementowa między kafelkami wyglądała na ciemniejszą, niż zapamiętał, lecz zlekceważył to wrażenie. Nie zwrócił zbytniej uwagi na to rano, więc nie było to ważne spostrzeżenie.

Zakręcił wodę lejącą się do umywalki i podszedł do sedesu. Nachylił się i podniósł klapę. I już wiedział, co poplamilo cement między płytkami. Wiedział, co rozlało się i zostało starannie starte z podłogi w łazience i z blatu.

Krew.

Krew kobiety, której odcięta głowa spoglądała na niego odrażająco z miski klozetowej.

Została tam wciśnięta na siłę i leżała nieco przekrzywiona. Ciemne włosy, nasiąknięte wodą i krwią wiły się po fajansie, jak pęknięcia w delikatnej porcelanie. Jedno oko było zanurzone w ciemnoróżowej wodzie, drugie było wybałuszone i odwrócone na bok, jakby do ostatniej chwili kobieta oczekiwała pomocy gdzieś z boku. Usta były otwarte. Powierzchnia wody w nich była nieruchoma. Odcięta głowa spoglądała w górę, prosto na niego.

Helman krzyknął.

Przez jedną nie kończącą się chwilę, gdy serce dosłownie podskoczyło mu w piersi, a oczy rozszerzyły się i nie chciały widzieć wyraźnie straszliwego widoku, który się przed nim roztaczał, widział twarz swej siostry. Poczuł skurcz żołądka i piekąca żołąd podeszła mu do gardła. Wrzask rozległ się w tej samej chwili, gdy wstrząśnięty poznał, że to obca twarz. Znow wzburzyło mu się w żołądku. Padł, nachylając się nad umywalką na uginających się nogach i zwymiotował, jakby egzorcyzmował demony, których dziełem była ta potworność, którą ujrzał.

Oddychał ciężko i chrapliwie. Wstrząs wprowadził go w odrętwienie, co pozwoliło umysłowi odzyskać panowanie nad sytuacją. Schylił się i zamknął klapę sedesu, stukiem plastiku grzebiąc znajdującą się wewnątrz grozę. Wszedł do swojego pokoju, przytrzymując się framugi.

Podszedł do łóżka i usiadł na nim. Skoncentrował się na opanowaniu i pozbyciu dreszczy, które nim wstrząsały. Stopą uderzył w coś twardego pod kapą łóżka. Coś leżało pod łóżkiem. Złapał za róg kapy i pociągnął.

Ukazała się ręka. Ręka martwej kobiety. Helman ukląkł przy łóżku. Reszta kobiety też tam się znajdowała. Reszta, z wyjątkiem głowy.

Ktoś walił w drzwi.

– Panie Osgood! Czy nic panu nie jest?

Helman nic nie powiedział. Znów walenie do drzwi. Potem posłyszał zgrzyt klucza przekręcanego w zamku. Nie założył łańcucha.

– Kto tam? – krzyknął zarzucając kapę na łóżko tak, by zasłoniła bezgłowe zwłoki.

– Straż hotelowa, proszę pana. Pokojówka powiedziała, że usłyszała krzyki. Nic panu nie jest? – Zgrzyt w zamku ucichł, przynajmniej na razie.

– Nie, nie. Wszystko w porządku. To tylko koszmar. – Była czwarta po południu.

– Chciałbym się upewnić, że nic się panu nie stało. Że nic się nie stłukło, czy coś w tym rodzaju. Wpuści mnie pan?

Helman znów usłyszał klucz w zamku. Strażnik zamierzał wejść bez względu na to, co Helman powie.

– Jasne, oczywiście, może pan wejść. Tylko chwileczkę. – Helman zabrał swoje magnum z drugiego łóżka, poszedł do łazienki, zawiązał je w ręcznik i powiedział: – Już idę. Jeszcze chwileczkę. – Zamknął drzwi do łazienki i przyłożył owinięty w ręcznik rewolwer do głowy, jakby to był kompres.

Otworzył drzwi.

Strażnik był młody. Tak młody, że wyglądał prawie jak dziecko, którego można się przestraszyć, jeśli jest w mundurze policyjnym i posiada broń. Helman zauważył, że ten dzieciak nosił pistolet w kaburze kiepsko ukrytej pod złotą, hotelową kurtką mundurową, której nie uszyto odpowiednio, by ukrywała broń. Ukryta broń była czymś nietypowym w Kanadzie. Helman uświadomił sobie, że pokojówka mogła wcale nie usłyszeć krzyku. To mogło być ukartowane.

Mężczyzna z bronią był młody, lecz nie zdenerwowany. Minął Helmana i wyszedł na środek pokoju. Helman spostrzegł, że jego twarz pasowała do zdjęcia na plakietce

pracownika, przypiętej do kieszeni na piersi. Ciekaw był, czy wampiry mogą utrwać swoje podobizny na zdjęciach. Jednakże słońce wciąż jeszcze świeciło. Nie musiał się martwić o nic ze strony Konklawe aż do zachodu słońca. Czyżby za tą rzeźnią kryli się jezuici?

Mężczyzna rozejrzał się. Plakietka oznajmiała, że nazywa się McIlroy.

– Okna są w porządku, prawda, panie Osgood? – powiedział.

Helman potarł rękami głowę. Być może to nie była ukartowana akcja. Może hotel pilnował dziwnego gościa, który zeszłej nocy wybił, jak się zdaje, okno od zewnątrz.

– Nie miałem już kłopotów z lodem, jeśli to miał pan na myśli, panie, ee Mac-Kilroy?

Strażnik poprawił wymowę swego nazwiska:

– Mackleroy. Czy często miewa pan koszmary o czwartej po południu, panie Osgood? – Zglądał za krawędzie łóżek. Helman potarł rękami nieco niżej.

– To opóźnienie odrzutowcowe – powiedział. – Jeszcze nie nadgoniłem różnicy w czasie. – Próbował się uśmiechnąć, lecz przygotowywał się do zabicia tego chłopca, który nosił pistolet schowany pod złotą kurtką.

McIlroy spojrział prosto na Helmana.

– W recepcji powiedziano mi, że przyjechał pan z Buffalo. To chyba niewielka różnica w czasie, prawda?

Helman wiedział, że młodzieniec miał zbyt mało czasu między wezwaniem pokojówki a przyjściem do jego pokoju, aby sprawdzić, kto w nim mieszka. Rzeczywiście mieli go na oku.

– Spędziłem właśnie miesiąc w Japonii. Złapałem grypę albo coś w tym rodzaju. Szczerze mówiąc, paskudnie się czuję – powiedział, spoglądając McIlroyowi prosto w oczy.

McIlroy szedł w kierunku drzwi.

– Chce pan, żeby służba posprzątała? – zapytał.

Idź już sobie, do cholery, pomyślał Helman.

– Nie, mam zamiar spróbować przespać się jeszcze trochę – powiedział.

– Jak pan sobie życzy. – Był już przy drzwiach do łazienki. Zauważył, że były szczelnie zamknięte. – Czy mógłbym skorzystać z łazienki, panie Osgood? Od jakiegoś czasu nie miałem okazji...

– Wolałbym raczej ... – zaczął Helman, lecz było już za późno. McIlroy położył dłonie na klamce i otwierał drzwi.

– Tylko chwileczkę – powiedział i wszedł, zamykając za sobą drzwi.

Helman gorączkowo zaczął odwijać ręcznik z magnum. Drzwi otworzyły się. Twarz McIlroya wykrzywił osobliwy grymas. Helman podniósł rewolwer za osłoną luźno wiszącego ręcznika.

McIlroy pomachał dłonią przed nosem.

– Fuj, ależ pan jest naprawdę chory. – Wymiociny Helmana były wciąż jeszcze w umywalce. – Na pana miejscu włączyłbym wentylator na długo, zanim pan tam wejdzie ponownie. Śmierdzi niemiłosiernie.

Na ułamek sekundy od nieodwołalnej decyzji Helman zdjął palec ze spustu magnum.

– Może pan zamówić wizytę lekarza dzwoniąc do centrali – powiedział McIlroy. A potem otworzył drzwi i wyszedł na korytarz.

Helman drżącymi palcami zamknął drzwi i założył łańcuch.

Chwiejnym krokiem wyszedł z małego przedpokoju. Tym razem trzymał się z dala od łóżek i padł na wyściełane krzesło w kącie pod oknem, jak najdalej od łóżka, pod które wciśnięto trupa.

Siedział tak jeszcze długo, przyglądając się ceniom przesuwającym się po ścianach wybitych sztuczną matą. Trzymał rewolwer luźno w dłoni. Powoli znikało słońce. Powoli przestawał się trząść. Miał wrażenie, że nie wytrzyma już wielu takich sytuacji. Czuł, że wkrótce może zacząć strzelać. I już nie przestać.

Lecz tymczasem uspokajał się. Siedział bezmyślnie.

Słońce zaszło.

Zadzwoił telefon.

To ich pora, pomyślał.

Odebrał telefon. Poznał głos.

Był głęboki, syczący. Tym razem sugerował wymianę: „głowa za głowę, panie Helman”.

To była ich pora.

ROZDZIAŁ VII

Gdy słońce zniżało się ku horyzontowi, sprowadzając życiodajną noc, Adrienne St.Clair powoli budziła się w swym schronieniu. Instynktownie wyczuwała czas. Jeszcze kilka minut i zabójcze promieniowanie słońca będzie bezpiecznie ukryte za krzywizną ziemi, a wtedy będzie mogła wstać.

Wiele lat temu wraz z Jefferym starała się ustalić, co w słońcu jest tak zabójczego dla ich rodzaju i jak mogą być świadomi jego położenia na nieboskłonie, choć śpią w głębokich piwnicach czy jaskiniach. To były dobre czasy, gdy oboje byli akceptowani przez Konklawe i społeczność *yberów*. Dostojny Diego był ich przyjacielem. Nawet współpracował z nimi.

Jego chowańcy dostarczyli jacht i wszyscy troje wyruszyli w podróż dookoła świata. Były to nieprzytomnie szczęśliwe miesiące. Wraz ze swym ukochanym spacerowała po plażach na odległych wyspach, przyglądając się migotaniu księżyca na spienionych morskich falach. Spacerowali w nocy jaskrawo oświetlonymi ulicami ogromnych miast w wielu krajach, gdzie Diego przeprowadzał interesy z innymi *yberami*. I przez cały czas byli razem. Pewni swej miłości tak, jak nie może być pewien żaden człowiek. Wyspy bowiem kiedyś nieuchronnie zapadną się pod fale, miasta obrócą się w gruzy, zostaną zbudowane od nowa, tak że nic nie będzie przypominało ich początków; słyszała nawet, że księżyc powoli oddali się od ziemi i po upływie tysiącleci będzie niczym więcej jak tylko jasną gwiazdą, lecz ona i Jeffery wciąż będą razem, spacerując po nowych plażach, zwiedzając miasta, o których nikomu się jeszcze nie śniło, i wciąż będą zakochani.

Nie myślała wtedy o grozie swej komunii ani o koszmarze pierwszych miesięcy życia jako nocny padlinożerca. Nowe życie zaczęło się dla niej wraz z Jefferym w Genewie. I aż do nocy, gdy przyszli go jej zabrać, nie żałowała tego, co dało jej życie i pierwsza śmierć.

Podróż na pokładzie jachtu Diega przyniosła zawrotne odkrycia. Początkowo sądzili, że reakcja *yberów* na słońce przypomina rytm dobowy, wewnętrzny zmysł czasu, który umożliwia roślinom reagowanie na dzień otwieraniem się i zamykaniem, a zwierzętom w

zoo orientowanie się, kiedy nadchodzi czas karmienia. Zmiany stref czasowych wywoływały zakłócenia takich cykli, a jednak w czasie podróży wszyscy obecni *yberowie* reagovali zawsze na zachód słońca, bez względu na to, jak bardzo ich zmysł czasu uległ rozregulowaniu z powodu podróży.

Kiedy wreszcie wrócili do Hiszpanii, ziem i posiadłości, jakimi podzielił się z nimi Diego, Adrienne i Jeffery przeprowadzili eksperyment, którego ku ich zdziwieniu nikt nie próbował dokonać wcześniej. Diego powiedział im, dlaczego nie podejmowano się tego wcześniej, a jeśli nawet, czemu rezultaty nie były powszechnie znane. Konklawe twierdziło, że ponieważ *yberowie* należą do szatana, a moc szatańska wzrasta w mroku, tak więc *yberowie* reagują na nastanie nocy dzięki nadprzyrodzonym wpływom piekła. *Yberowie* mieli własne wyjaśnienie i nie potrzebowali innych.

We dwójkę, wraz ze świtą chowańców, udali się do Francji, do sieci głębokich jaskiń. Tam próbowali oderwać się od ograniczeń narzucanych przez wschód i zachód słońca i odnieśli sukces. Początkowo było bardzo trudno, w miarę bowiem zbliżania się ziemi do słońca opadało ich narastające zmęczenie. Mniej więcej godzinę po tym, jak słońce wzniosło się nad horyzont, ogarniał ich przytłaczający bezwład i zapadali w sen. Jednakże po tygodniu prób okazało się, że przełamali stare zwyczaje. Mogli nie spać i funkcjonować, choć na zewnątrz jaskiń paliło słońce. Życie *yberów* zyskało dodatkowy wymiar. Nawet Diego był zadowolony, choć upłynęło wiele czasu, nim ostrożnie przekazał innym członkom Konklawe wiadomość o ich odkryciu.

Wkrótce jednak w świecie *yberów* stało się to codzienną praktyką. Wiedziała, że w Zurychu wybudowano całe biura bez okien, a wokół wejść specjalne świetlne śluzy. *Yberowie*, którzy władali fortuną nagromadzoną przez pokolenia inwestujące i gromadzące kapitał, mogli teraz pracować w tych samych godzinach, co bankierzy zajmujący się przesyłaniem ich funduszy. Mniej ludzi trzeba było wtajemniczać w podejrzane warunki prowadzenia interesów tylko w nocy, z bladymi ludźmi, którzy mówili suchym szeptem. Dzięki pracy Adrienne i Jeffery'ego *yberowie* stali się bogatsi i bezpieczniejsi. Konklawe było jednakże zaniepokojone tym, jak daleko się posuną.

Wreszcie Adrienne i Jeffery zajęli się wyłącznie analizą swych szczególnych talentów. Ich posiadłości wypełniły się sprzętem naukowym. Wystąpili o pozwolenie na

pozyskanie lekarzy na chowańców. Konklawe odmówiło bez dyskusji czy podania przyczyny. Diego miał nieprzyjemności z powodu zezwolenia na taką działalność na swym terytorium.

Podjęli wtedy ryzyko, które sprowadziło na nich zgubę. Pomimo zakazu, pozyskali naukowców do współpracy. Nie sposób było tego ukryć przed dostojnikami Konklawe. Diego był rozwścieczony. Kazał zniszczyć ich sprzęt, a nowi chowańcy znikli za dnia. Diego powiedział, że próbował robić wszystko, co w jego mocy, by zapobiec wydaniu wyroku Ostatecznej Śmierci przez Konklawe. Chciał, by opuścili jego ziemie.

Adrienne i Jeffery podjęli decyzję. Byli na skraju cudownego odkrycia. Dowiedzieli się nowych rzeczy o zmianach, które następują w ciele *yberów*; mieli zdjęcia rentgenowskie swych nowych układów wewnętrznych. Byli pewni, że *yberowie* reagowali na wywołane przez słońce zakłócenia w jonosferze, to samo codzienne zjawisko, które zmieniało transmitowanie fal radiowych. A co najważniejsze, odnosili sukcesy w dziedzinie rozpoznania pokarmowych potrzeb *yberów*. Wkrótce mógł nadejść dzień, gdy *yberowie* nie będą już potrzebować krwi żywych ludzi, by przeżyć. Wraz z tym odkryciem nastąpi noc, która zakończy odwieczny konflikt drapieżcy i ofiary. Tej nocy *yberowie* będą mogli po setkach lat wyjść ze swych kryjówek i zająć miejsce u boku ludzi, z których powstał tak dawno temu.

Z tym odkryciem udali się do innych *yberów*. Wieść o herezji rozniosła się szybko. Nim upłynął tydzień, Konklawe zareagowało i pewnej strasznej nocy zabrano od niej Jeffery'ego i przykuto do skały, by skończył w promieniach wschodzącego słońca. Od tej chwili Adrienne była ścigana. Przez wysłanników Konklawe, a także, jak wszyscy *yberowie*, przez jezuitów.

Jej chowańców odnajdywano jednego po drugim i zabijano. Adrienne dowiedziała się, że sam dostojny Diego, którego pozycja została naruszona z powodu udzielenia im początkowo pomocy, osobiście przewodził łowom.

Adrienne wiedziała, że nie jest w stanie długo mu się wymykać. Znajomość Drogi przekazywano podczas specjalnych ceremonii. Większość odbywała się w ciągu pierwszego roku po komunii, lecz inne jeszcze ceremonie pozostawiono do czasu, gdy nowy

yber dojrzał, ceremonie, które miały miejsce raz na pięćdziesiąt lat. Adrienne nie uczestniczyła w żadnym z tych zaawansowanych obrzędów wiedzy. Diego przeżył ich osiem.

Potrafi wytropić ją bez względu na to, gdzie ucieknie. Było to tylko kwestią czasu.

Tak więc Adrienne wyznaczyła sobie cel. Nie zezwoli na to, by Ostateczna Śmierć Jeffery'ego, i nieuchronnie jej własna, poszły na mamę. Musi znaleźć kogoś, komu może przekazać swą wiedzę. Musi znaleźć kogoś, kto jej pomoże w czasie, jaki pozostał, wreszcie udoskonalić substytut ludzkiej krwi. Kiedy zostanie to osiągnięte, zajmie się dostarczeniem wynalazku innym chowańcom i *yberom*. Może nawet jezuitom, którzy nie będą już mogli dłużej nazywać *yberów* krwiopijcami i potworami. Nawet jeśli Diego unicestwi całkowicie ją i jej dzieło, nie zdoła zniszczyć wiedzy, jaką puści w obieg. Rozniesie się ona po całym świecie *yberów*. Mimo wszelkich starań Konklawe, lata jego panowania dobiegną końca. Nawet zginąwszy Ostateczną Śmiercią, zwycięży ich wszystkich. A zwyciężywszy, znów będzie z Jefferym. Znów ich miłość będzie wieczna.

Cała nadzieja spoczywała w rękach Grangera Helmana.

Przejęta tą nie dającą spoczynku nadzieją, wyczuła, iż słońce zaszło i otworzyła wieko swego schronienia.

Granger Helman powinien być jej wrogiem. Zabił jedyne go zaufanego człowieka, który był w stanie jej pomóc. Była w kontakcie z jeszcze jednym w Chicago, lecz nie była go pewna. Sprawiał wrażenie zbyt chętnego do pomocy, zbyt łatwo godzącego się z jej stanem, jakby ktoś go przygotował na spotkanie z nią. I jeszcze ta kobieta w Waszyngtonie. Kobieta, która tak jawnie usiłowała wciągnąć Adrienne do badań naukowych, by oddać ją w ręce amerykańskiego rządu.

Adrienne nie mogła pojechać do Waszyngtonu, lecz nadejdzie taki czas, gdy będą mogli to uczynić inni *yberowie*. Trzeba spłacić dług dziesiątków tysięcy morderstw na przestrzeni tysiącleci. Któregoś dnia *yberowie* będą pracować z ludźmi, była tego pewna. Kiedy tylko istoty ludzkie przestaną być źródłem pokarmu, dwa plemiona będą mogły się połączyć. *Yberowie* mogą pracować w oceanach, nawet w kosmosie. Wszędzie tam, gdzie warunki są zbyt niebezpieczne dla ludzi, *yberowie* zdołają przeżyć. Dług został zaciągnięty i Adrienne dopilnuje, by został spłacony. Najpierw jednak musi zrobić wszystko, żeby

przeżyć, a to oznaczało zaufać temu osobliwemu człowiekowi. Człowiekowi, który próbował ją zabić, a jednak obecnie w jakiś sposób był jej oddany. Nie rozumiała tego w pełni. Może zbyt długo przebywała w towarzystwie ludzi, których wybrano na chowańców. Helman był inny.

Była pewna, że poprzedniej nocy wyciągnął do niej ręce, by ją pocieszyć, gdy, nie planując tego wcześniej, opowiedziała mu o Jefferym. Zaakceptował ją, podobnie jak Jeffery, mimo iż musi mu się wydawać bezduszną istotą. „Zza grobu”, tak określały to książki. Z jakiegoś powodu przestąpił barierę osobliwości jej stanu i związanych z tym okoliczności, i zaakceptował ją, jak kogoś podobnego sobie: jak inną istotę ludzką, pomimo jej choroby, lub jako kobietę.

Przestała o nim myśleć. W tej chwili nie miało znaczenia, co o nim sądzi, lub co on o niej sądzi. Była dla niego jedyną szansą ocalenia jego siostry i siostrzeńców przed Konklawe. Dopóki będą wierzyć w historię, jaką kazała mu opowiedzieć, i będą ją uważać za martwą, ona i Helman mają jakieś szanse na przeżycie. A on był jej jedyną szansą na przetrwanie ostatniej podróży, jakiej musi się podjąć, niewyobrażalnej podróży do ostatecznego schronienia, której tak niewielu *yberów* podjęło się do tej pory, ponieważ cena za wykrycie i klęskę była zbyt wielka. Lecz jeśli przeżyje, nawet Konklawe nie ośmieli się jej tknąć. Istnieją sprawy *yberów* większe nawet od Konklawe. Przynajmniej taką miała nadzieję.

Tego dnia jej schronieniem była zatęchła piwnica kościoła niedaleko od domu Chrisa Leunga. Pierwszego wieczoru, gdy poszła do laboratorium z Chrisem, poświęciła nieco czasu na znalezienie sobie dodatkowych miejsc na spoczynek. W czasie, gdy on przygotowywał serię kultur bakteryjnych, ona wędrowała po ulicach Toronto, szukając tego, co zawsze spodziewała się znaleźć w każdym dużym mieście – kościoła, którego drzwi stały otworem dla chcących pomodlić się.

Adrienne nie była zbyt religijna w pierwszym życiu. Wychowano ją w wierze kościoła anglikańskiego, lecz nie była to surowa wiara, a jej nauki nie wbiły jej się w pamięć tak mocno, jak stało się to w przypadku innych, wychowanych w innej wierze. Skutkiem tego, w odróżnieniu od większości specjalnie dobranych chowańców, którzy później sami stawali się *yberami*, na nią mistyczne nauki Konklawe nie miały wpływu. Mogła dotykać

krzyży i wchodzić do kościołów bez żadnych kłopotów. Widziała skutki wpływu świętych przedmiotów na innych *yberów*: oparzenia, bąble i straszne oszpecenia, które nigdy nie chciały się wygoić. Podejrzuwała, że to psychosomatyczna reakcja na nauki Drogi. Była przekonana, że w chwili zakażenia chorobą *yberów*, w umyśle budziła się pewnego rodzaju parapsychiczna, czy telekinetyczna zdolność. Talent ten, który najczęściej współistniał z niewiarygodnie przyspieszoną przemianą materii, co dawało gojenie ran w ciągu minut, a czasami sekund, odpowiedzialny był również za samookaleczenie wywołane zetknięciem z przedmiotami o znaczeniu religijnym. Bez względu na prawdziwość mechanizmu tego zjawiska, ona w to nie wierzyła i na nią to nie działało. Religia, w którą nie wierzyła w swym pierwszym życiu, stała się w ten sposób dosłownym jej zbawieniem w drugim życiu. Żaden znany jej członek Konklawe nie odważyłby się wejść na poświęconą ziemię.

Stary kufer, w którym leżała schowana przez cały dzień, stał nieomal zakopany wraz z innymi skrzyniami w ciemnym kącie piwnicy. Wypełniła go ponownie przedmiotami, które stamtąd wyjęła, by zrobić dla siebie miejsce: głównie starymi zapiskami i księżeczkami do nabożeństwa, oraz dwiema zetłętymi komzami chórzystów, które wyglądały, jakby wieki temu ktoś wylał na nie wino.

Wyczuwała, że w piwnicy nie było istot ludzkich. Jeffery'emu i jej nie udało się znaleźć źródeł tej umiejętności, chyba żeby traktować ją jako słabą postać telepatii, podobną do tej, jaką wykazywali niektórzy całkiem przeciętni pod innymi względami ludzie.

Weszła na schody wiodące do zakrystii obok głównego wejścia. Urządzono w niej szatnię dla osób zajmujących się parafią, jak również skład kościelnych szat.

Adrienne znalazła damski płaszcz, w którym wyglądała na tyle dobrze, że nie zdradzał natychmiast faktu, iż do niej nie należy. Wyszła głównymi drzwiami, przykrywając płaszczem swe podarte ubranie.

Była w połowie zewnętrznych schodów, gdy poczuła, że ktoś wychodzi z kościoła, szybko zbliżając się do niej. Zaczęła zbiegać po schodach. Wtedy usłyszała kroki. Męski głos zawołał:

– Ruth, poczekaj chwilę.

Odrzuciła się do niego. Mężczyzna zmrużył oczy, zaskoczony jej bladością i nieprzyjaznym wyrazem twarzy.

– Och, tak mi przykro – wyjąkał. – Wziąłem panią za kogoś innego. To pewno przez ten płaszcz, który wydał mi się znajomy. – Uśmiechnął się nerwowo i wrócił do środka. Adrienne szybko wyszła za róg i oddaliła się pośpiesznie. Do czasu, gdy Ruth i jej przyjaciel odkryli, że skradziono płaszcz, Adrienne była już daleko.

Pierwszą i najważniejszą sprawą było teraz zdobycie pieniędzy. Potrzebne jej było nowe ubranie i kosmetyki. Będzie zbytnio zwracać na siebie uwagę, jeśli zostawi twarz w naturalnym, bezbarwnym odcieniu. Tej nocy musi przekroczyć z Helmanem granicę amerykańską. Powinna jak najmniej rzucać się w oczy.

Zdobycie pieniędzy było łatwe. Idąc oblodzonym chodnikiem, zauważyła z prawej strony hotel. Miał nowoczesny wygląd. Na frontowym podjeździe nielegalnie parkowało kilka cadillaców i mercedesów pod czujnym okiem dobrze przepłaconego portiera. Potrzebny jej był drogi hotel i taki właśnie znalazła.

Wyminęła główny westybul i portiera, wchodząc bocznym wejściem, które wiodło wzdłuż szeregu sklepów. Korytarzem dotarła do ruchomych schodów, które prowadziły do głównego westybulu hotelu.

Adrienne zatrzymała się przed podświetloną reklamą przedstawiającą mężczyznę i kobietę siedzących przy stoliku i otoczonych uśmiechniętymi kelnerami, którzy trzymali pełne półmiski. Wyglądało na to, że większość restauracji znajdowała się piętro wyżej nad poziomem westybulu. Wjechała na górę ruchomymi schodami. Zauważyła, że niektórzy ludzie przyglądają się jej, kiedy wydawało im się, że nie patrzy. Niektórzy myśleli, że przed chwilą doznała jakiegoś strasznego szoku. Adrienne nie przejmowała się tym. Miała tylko nadzieję, że żaden z tych obserwatorów nie należy do obsługi hotelowej i nie pomyśli, że potrzeba jej pomocy. Albo że jest osobą, której sobie tu nie życzą. To mogłoby się okazać niebezpieczne.

Na piętrze powyżej pełno było panów w wieczorowych garniturach i par w długich sukniach. Odbywało się jakieś spotkanie, być może kolacja przewidziana w planie jakiegoś kongresu. Adrienne udała się do damskiej toalety. Umywalnia w drogiej restauracji byłaby lepsza, lecz trudno było się tam dostać, nie zwracając uwagi obsługi. Do hoteli dużo łatwiej wejść.

Toaleta nie była pilnowana. Adrienne zakrzętała się przy umywalce. Umyła pięć razy ręce, nim warunki stały się wreszcie sprzyjające.

W toalecie było pusto. Potem weszła samotna kobieta. Płaszcz oddała do szatni wcześniej i ubrana była tylko w sukienkę bez rękawów. Spojrzała na Adrienne, nieco zaniepokojona jej dziwną bladością, lecz potem poszła prosto do najbliższej kabiny.

Wtedy, zanim ktokolwiek zdążyłby wejść, Adrienne rzuciła się na nią. Wyciągnęła rękę ku podstawie czaszki kobiety, kciukiem i palcem wskazującym z całych sił naciskając specjalne miejsca po obu stronach kręgosłupa. Kobieta zesztyniała, odrzucając głowę do tyłu i sapiąc ze zdumienia. Adrienne uderzyła bardzo mocno kostkami palców w bok jej głowy. Kobieta osunęła się bezwładnie.

Adrienne podniosła ją bez trudu i włożyła do kabiny. Podniosła jej torebkę z podłogi. Była to wieczorowa torebka ze srebrnej lamy. Adrienne nie mogła z nią wyjść. Nie pasowała do jej skradzionego płaszcza, a była za duża, by wsunąć ją do kieszeni.

Usłyszała odgłos otwierania zewnętrznych drzwi. Upuściła torebkę na kolana nieprzytomnej kobiety i wycofała się z kabiny, zamykając drzwi. Wewnętrzne drzwi otworzyły się i weszła następna kobieta. Adrienne spuściła głowę i podeszła do umywalki. Nie zamknięte na zasuwkę drzwi kabiny nieprzytomnej kobiety otworzyły się. Druga kobieta podeszła do innej kabiny, świadomie nie zaglądając za otwarte drzwi. Gdy Adrienne posłyszała trzask zasuwki w jej drzwiach, pobiegła do otwartej kabiny, otworzyła torbę i wcisnęła do kieszeni płaszcza portmonetkę oraz zwitek papierów. Wyciągnęła nieco papieru toaletowego z pojemnika, złożyła go w mały kwadracik i przytrzymała przy framudze, zatrzaszkując drzwi. Tym razem zostały zamknięte.

Nim upłynęła minuta, już jej nie było w hotelu. Nikt nie wszczął alarmu.

Adrienne zatrzymała taksówkę i kazała się zawieźć do Eaton Centre, kompleksu handlowego w śródmieściu, gdzie sklepy były otwarte wieczorem. Siedząc z tyłu taksówki, wyjęła portmonetkę i sprawdziła jej zawartość. Gdyby w środku nie było pieniędzy, taksówkarz nie obudziłby się przed jutrzejszym dniem. Jednakże znalazła tam banknot dwudziestodolarowy i kilka mniejszych. Plus etui na karty kredytowe, a w nim cztery

karty i prawo jazdy. Więcej niż potrzeba było do zdobycia niezbędnych rzeczy.

Pierwszym zakupem było pióro. Następnie przesiedziała pół godziny w umywalni, ćwicząc podrabianie podpisów na kartach kredytowych.

Godzinę później miała już nowe ubranie, nowy płaszcz, a jej twarz nie różniła się wyglądem od twarzy innych kobiet. Czas skontaktować się z Helmanem.

Helman siedział pod ścianą w ciemnym kącie baru przy westybulu hotelowym. Próbował nie myśleć o tym, co się stało w jego pokoju. Opowiedział swoją historię Rice'owi, tak jak poleciła mu Adrienne. Głos Rice'a był tak szczególny, że Helman nie był w stanie wywnioskować z jego tonu, czy Rice mu uwierzył, czy nie. Wreszcie Rice nakazał Helmanowi opuścić pokój, żeby można było w nim „posprzątać”. Helman na razie był wolny. Musi być jednak przygotowany na natychmiastowe skontaktowanie się w dowolnej chwili w przyszłości. Helman miał wrażenie, że Rice spróbuje zabić go tego wieczoru, lecz nie miał innego wyboru, jak czekać na wiadomość od Adrienne. Bar był przynajmniej publicznym, powszechnie dostępnym miejscem. Nie powinien mu grozić bezpośredni atak, dopóki będzie się w nim znajdował. A na potem już się zaopatrzył. W sklepie z pamiątkami w rogu westybulu znalazł wybór dewocjonaliów. W obu kieszeniach płaszcza miał teraz krzyżyki, jeden z figurką Jezusa, drugi bez ozdób. Na szyi zawiesił mały krucyfiks. Czyniąc to czuł się jak idiota, a i tak bał się. Kobieta powiedziała mu dużo, nadał nie miał jednak prawdziwego wyobrażenia o potędze Konklawe. Wszystko, co wiedział na ten temat, pochodziło z głębokiego dzieciństwa. Częścią duszy czuł, że przeżywa koszmar na jawie. Jednakże rzeczywistość jego lęku stanowiło to, że za każdym razem, gdy podchodził tego wieczoru do automatu telefonicznego przy barze, telefon jego siostry w New Hampshire dzwonił i nikt go nie odbierał. Miał tylko nadzieję, że Weston dotarł do niej pierwszy. Nie chciał nawet myśleć o innej możliwości. Miał nadzieję, że jego opowieść powstrzymała ich zapędy.

Rice żądał głowy Adrienne St.Clair.

Helman zamknął oczy i powiedział, że jej nie ma.

- Widziałem laboratorium, zabójco. Czyżby St.Clair tam nie było?
- Sądzę, że była. Widziałem, jak wchodzi. Ale kiedy wszedłem do środka, już po wybuchu, nie znalazłem jej, musiała wymknąć się.
- Widziałeś ją? Czy ona widziała ciebie?
- Niczego nie widziałem. Z wyjątkiem jej ubrania. Wydaje mi się, że należało do niej.
- Jej ubrania, zabójco? – Na dźwięk tych słów oddech Rice'a stał się szybszy. Po raz pierwszy od chwili rozpoczęcia rozmowy, Helman miał wrażenie, że może mu się udać.
- Tak, jej ubrania. Nic z tego nie rozumiem. Leżało rozrzucone obok biurka zmiążdżonego wybuchem.
- W jakim było stanie?
- Dziwnym. Przebite było wielkim, stalowym prętem z jednego ze stojaków na sprzęt i było całe polane jakimś olejem czy tłuszczem albo czymś podobnym. Pokryte czymś dziwnym.
- Czy to była krew, zabójco?
- Nie, nie krew. To było białe. Trochę jak galareta. Nie wiem, co się stało. Może to jakaś substancja łatwopalna, którą przechowywali w laboratorium i która ją opryskała wskutek eksplozji. Wybuchło kilka małych pożarów. Może zdjęła ubranie, bo obawiała się, że się zapali. Nie wiem jednak, gdzie mogłaby pójść bez ubrania. Zeszłej nocy było zimno.
- Z pewnością, zabójco. Skoro była taka mroźna noc, czemu nie wróciłeś natychmiast do pokoju hotelowego?
- Byłem ostrożny. Policja czy ktokolwiek to był, zareagowała na wybuch dużo szybciej od straży pożarnej. Zupełnie jakby od samego początku mieli ją pod obserwacją. Może w związku z tym facetem, który napadł na mnie z pistoletem poprzedniego dnia. – Helman teraz już wiedział, że mężczyzna ten nazywał się Cook i pracował dla Westona.
- Całkiem możliwe, zabójco. Całkiem możliwe. Ta kobieta jest bardzo pomysłowa. Mogła mieć plany na wszelki wypadek. Sugeruję, byś wrócił do domu, do New Hampshire. Damy ci znać, kiedy odnajdziemy znów tę kobietę. Bądź przygotowany do natychmiastowego działania, bo inaczej konsekwencje będą poważne. Czy zrozumiałeś, zabójco?

Helman zrozumiał. Był również absolutnie pewny, że rozumiał, o czym myślał Rice. Adrienne St.Clair została przebita lejącym prętem stalowym, który według słów Helmana wystawał z jej ubrania. Jej ciało rozpuściło się, tak jak rozpuściło się ciało tego *ybera* dawno temu, gdy pocisk czołgu roztrzaskał kamienną ścianę, rozrzucając ostre odłamki na wszystkie strony, w stronę jego serca także.

Helman zadrżał lekko, przypominając sobie znów rozmowę. Być może udało mu się. Lecz jeśli Rice i Konklawe uwierzyli, iż wykonał zadanie, co mieli teraz w planach dla niego? Śmierć w Toronto? A może czekali na jego powrót do Stanów, by mogli za jednym zamachem dostać także jego siostrę, Stevena i Campbella? Adrienne będzie wiedziała. Cierpiał katusze, oczekując jej.

O ósmej, godzinie, jaką mu podał Rice, wyszedł z baru i wrócił do pokoju. Przypuszczał, że chowańcy wykonali swe zadanie. Nie mylił się. Pokój był nieskazitelnie czysty. Nic nie czaiło się w łazience, nic nie kryło się pod żadnym meblem. W chwili, gdy wysiadał z windy na swym piętrze, Helman pomyślał, że może wchodzi prosto w pułapkę. Rice mógł zadzwonić na policję i kazać im zacząć się na brutalnego mordercę, który trzymał bezgłowe ciało w swym pokoju hotelowym. Po zastanowieniu zmienił zdanie. To zbyt brudny sposób rozprawienia się z nim. Niezależnie od sposobu, jaki wybierze Konklawe, tylko oni i on będą brali w tym udział. I nie będzie miał okazji, by opowiedzieć swoją wersję wydarzeń.

Helman nie był pewien, co teraz uczynić. Ani w recepcji, ani w centralce telefonicznej nie było dla niego żadnej wiadomości. Czyżby pojмали ją? Już zabili? Dlaczego nie skontaktowała się z nim jeszcze?

Usłyszawszy pukanie w szybę, odwrócił się gwałtownie. Odsunął zaciągnięte zasłony i spojrzał w twarz Adrienne St.Clair za szybą. Jego nowy pokój znajdował się na osiemnastym piętrze. Nie było tam żadnych balkonów ani gzymsów. A mimo to kobieta stała za oknem.

Gestem poleciła mu otworzyć je. Hotel był jednym z tych starszych, w których okna można było jeszcze odsuwać. Kobieta wślizgnęła się przez okno jak wąż. Widok ten wzbudził w nim niepokój.

– Pomyślałam, że tym razem oszczędzę twoje okno – powiedziała. Strzepnęła białe smużki kurzu, które plamiły jej ciemną, pikowaną kurtkę.

– Jak tu się dostałaś? Gdzie byłaś? – Helman chciał zadać jednocześnie zbyt wiele pytań.

Przestała się otrzępywać i podniosła głowę.

– Mięśnie *yberów* są bardzo sprawne. Potrafimy utrzymać się tylko palcami rąk i nóg, jeśli istnieje choćby najmniejsza szpara lub przestrzeń między cegłami. Teraz ty mi powiedz, co tu się działo. Zobaczyłam, że jacyś ludzie wynosili trupa. Wyglądali na chowańców.

Helman powiedział jej o tym, co znalazł w łazience. Powtórzył rozmowę, jaką przeprowadził z Rice'em.

– I jesteś przekonany, że ci uwierzył? – spytała.

– Chyba tak. Trudno powiedzieć. W każdym razie dał mi zezwolenie na opuszczenie Toronto. Uplłyną przynajmniej dwadzieścia cztery godziny, zanim zorientuje się, że nie ma mnie tam, gdzie spodziewał się mnie zastać.

– Masz na myśli farmę swej siostry?

– Tak. A teraz dokąd musimy pojechać? Powiedziałaś, że mam być przygotowany do podróży.

St.Clair wyglądała na zaniepokojoną.

– Czy to znaczy, że nie chcesz zajrzeć do siostry?

Helman spostrzegł pułapkę, jaką na siebie zastawił. Nie mógł powiedzieć, że zostawił siostrę w rękach Westona i jego ludzi. Gdyby wrócił, mógłby zdradzić ich położenie. A poza tym, nie mógł podejmować żadnych działań, które mogłyby zakłócić plany Adrienne. Znajomość jej planów była ceną, jakiej Weston żądał za ochranianie Miriam i chłopców. Wyłgał się najlepiej, jak potrafił.

– Rozmawiałem z nią dziś rano. Nie zauważyła niczego nadzwyczajnego. Chłopcy czują się dobrze. Co Konklawe zyskałoby zabijając ich teraz, gdy Rice uwolnił mnie od zobowiązań kontraktu?

Adrienne pomyślała o dostojnym Diegu. To on zastawia na nią sieci. Bez wątplenia kieruje także akcją wymierzoną w Helmana. Musi starać się, żeby znowu wejść w łaski Konklawe.

– Znam *ybera*, który wydaje polecenia Kingowi, Rice'owi i nowojorskiej grupie. Nazywa się Diego. Jego Wysokość Eduardo Diego y Rey. To sprawa osobistych porachunków, a Diego jest prawdziwym fanatykiem, jeśli chodzi o rozprawianie się z wrogami. Ty teraz jesteś jego wrogiem, Granger. Nie poprzestanie po prostu na zabiciu cię. Zniszczy również wszystko, co jest ci drogie. Zniszczy twoją rodzinę. Granger – tym razem ona wyciągnęła rękę, by go dotknąć – niemal wszyscy jego chowańcy zaczynali jako dzieci. On uwielbia dzieci. Twierdzi, że ich krew jest dużo słodsza od krwi dorosłych.

Wyczuła napięcie przebiegające przez jego ciało niczym hucząca fala. Twarz mu pobladła. Nie mógł jej jednak powiedzieć o Westonie.

– Nie sądzę, by uznał mnie za wroga – rzekł Helman. – Będą musieli sprawdzić, czy naprawdę uciekłaś. Mogłaś zostawić ubranie z metalowym prętem w nim, tak jak opisałem, by próbować nas wszystkich zwieść. Na ich miejscu upewniłbym się co do tego i zatrzymał ludzkiego zabójcę w rezerwie na wypadek, gdybym go jeszcze potrzebował. – W głowie mu huczało. Ich krew jest dużo słodsza. Dobry Boże, zrobiło mu się niedobrze. – Najlepiej przysłużę się swej rodzinie, a może ocalę ich, pomagając tobie. Powiedziałaś, żebym przygotował się do podróży. Mam nadzieję, że oznacza to, iż masz jakiś plan, bo ja nie mam pojęcia, co robić. – Dużo słodsza, pomyślał, dużo słodsza.

Adrienne dostrzegła, że Granger jest bliski łez. Przysunęła się bliżej do niego i spojrzała mu w twarz.

– Nic im nie będzie, Granger. Masz rację. Diego nic nie zrobi, póki nie upewni się czy żyję, czy umarłam. Dopóki będę się ukrywać, nic im się nie stanie.

Objęła go, czując się niezręcznie. Nie była pewna, jak mocno może ścisnąć istotę ludzką. Nie była pewna, czy dobrze robi, próbując go w ten sposób uspokoić. On jednak tyle przeszedł. Tyle rzeczy, nie z tego świata, który znał. Trzymała go w objęciach, lecz wyczuwała, że jest zdezorientowany. Wydawało się, że nie zauważa jej obecności.

– Granger, dowiedziałeś się czegoś o tych ochroniarzach? Tych ludziach, którzy walczyli z jezuitami. Dowiedziałeś się o nich czegoś jeszcze?

Mimo zamętu, jaki czuł w myślach, walczyła w nim wola przeżycia. Musi ją okłamać. Nie wolno mu powiedzieć o Westonie. Musi skłamać.

– Dagoniłem jednego z nich. Przesłuchałem go. Rice potwierdził jego zeznania. Wyglądał na rozbawionego. Konklawe najęła innych morderców, by cię zlikwidować. Nie chciał mi powiedzieć, ilu. Wpadałem na nich bez przerwy, gdziekolwiek byś nie poszła. – Uświadomił sobie, że jest w jej ramionach. Tymczasem przyjął to jak zamknięcie oczu na ostatnie dziesięć sekund przed włączeniem budzika i udawanie, że nigdy nie zadzwoni, wrywając ze snu. Lecz potem rzeczywistość zwyciężyła, a wtedy odsunął się od niej. Puściła go natychmiast, czując zażenowanie. Nie wiedziała, jakie myśli krążą mu po głowie. Ona też miała mętlik w głowie.

Przypomniała sobie Jeffery'ego.

– Dlaczego mieliby walczyć z jezuitami?

Helman dobrze kłamał.

– Ten, którego dzisiaj przesłuchiwałem, powiedział, że obawiał się, iż jezuici pojną cię. Twierdził, że musiał dopilnować, by tak się nie stało, aby sam mógł cię zabić. Ściąć ci głowę.

Coś w jego opowieści, a może w ostatniej odpowiedzi, zabrzmiało jej fałszywie. Chwilowo jednak musiała uznać za prawdę wszystko, co powiedział. Był jedyną osobą, która mogła odprowadzić ją do ostatecznego schronienia. Czuła nacisk, pod jakim się znajdował, napięcie, gdy objęła go. To z pewnością to. Nic więcej.

– Masz jakiś plan, prawda? – zapytał.

W jego głosie zabrzmiała niemal desperacja. Jaki człowiek przedtem musiał stawić czoła Konklawe? I wytrzymał tak długo? Było jej go żal. Uwikłany był w rzeczy, których być może nigdy nie pojmie. Był jednak tak ważny w jej planach i skory do pomocy. Na początku była pewna, że dlatego, iż zagroziła mu śmiercią. Teraz jednak wyczuwała, że coś innego nim kieruje. Nie potrafiła tego wyrazić.

– Tak, Granger, rzeczywiście mam plan. – Desperacki plan, pomyślała. Niewielu innych *yberów* zrealizowało go. – Udamy się po pomoc do Ojca – powiedziała.

– Ojca? – spytał Helman. – Ojca *yberów*! On nam będzie mógł pomóc? Miał już przedtem do czynienia z podobnymi sytuacjami?

Adrienne skinęła głową. Odczuwała wewnętrzne napięcie inaczej niż ludzie, inaczej niż czuła to w swym pierwszym życiu. Mimo to czuła je teraz. Pełzało po niej jak

wściekła bestia, wbijając szpony w każdą część jej ciała. *Yberowie* panowali nad swoimi ciałami. Nie drżeli. Lecz ona w myślach drżała.

– Jest najstarszym żyjącym *yberem*.

Nie wypowiedziane, milczące pytanie zawisło w pustce między nimi.

– Przeżył ponad dziewięćset lat – rzekła. – Ma doświadczenie w każdej dziedzinie.

ROZDZIAŁ VIII

Dziewczynka umierała. Za kilka minut napięcie wywołane wstrząsem utraty krwi przeciąży jej młode serce. Obok niej leżał na swym łóżku dostojny Diego i przyglądał się z zafascynowaniem.

Dziewczynka miała nie więcej jak dwanaście lat, a jej blade, nagie ciało ledwie zdradzało pierwsze oznaki dojrzałości; dojrzałości, która już nie nastąpi. Diego pożarł ją, pochłonął jej dzieciństwo, jej kobiecość i jej krew. Teraz patrzył, jak wreszcie samo życie opuszcza jej ciało.

Nowy Jork, 18 stycznia

W mocy Diega było wrócić jej życie. Spożywając komunię jego krwi mogłaby ponownie narodzić się w świecie *yberów*. On był tym, który odbiera i daje życie, i wykorzystując tę moc bawił się nią.

Delikatnie przeciągnął ostrym jak brzytwa szponem po żyłę na swym nadgarstku. Z rozciętego ciała popłynął biały płyn, krew *yberów*. Zebrał go niczym sok roślinny na wyciągnięty palec. W czasie potrzebnym na posmarowanie palca rana zamknęła się bez śladu.

Diego trzymał palec nad twarzą umierającego dziecka. Zza wpeł przymkniętych powiek prześwitywały niewidzące białka. Usta miała otwarte, wyschnięte z wysiłku oddychania. Diego spuścił do nich kroplę krwi życia. Reakcja dziewczynki była natychmiastowa.

Zacisnęła powieki, gdy tylko poczuła palący wstrząs po pierwszej kropli owej

substancji. Otworzyła szeroko usta, niczym ryba wyjęta z wody, rozpaczliwie pragnąc więcej. Jej ciało w jakiś sposób wiedziało, że jest to dlań jedyna szansa przetrwania. Zaczęła jęczeć. Prężyła ciało jak w namiętności. Diego odsunął rękę od niej, powoli obracając ją w tę i w tamtą, by nie dopuścić do skapnięcia białej cieczy. Zaczekał, aż reakcja zelżeje, a dziecko ponownie znajdzie się na krawędzi zgonu. Wtedy znów zawiesił palec nad jej ustami. Krew *yberów* wstąpiła w nią. Jej ciało wygięło się konwulsyjnie, rozpaczliwie pragnąc żyć.

Ona jest taka silna, pomyślał. Dzieci zawsze wytrzymywały najdłużej. Był pełen podziwu dla tego zjawiska. Kiedyś utrzymywał chłopczyka na granicy zgonu i ponownych narodzin przez cały wieczór. Wreszcie zlitował się i postanowił, że taki głód życia powinien zostać nagrodzony. Obnażył swą szyję przed chłopcem, by udzielić mu komunii. Lecz było już za późno. Dziecko umarło swą pierwszą i jedyną śmiercią. Od tej pory Diego nigdy już nie okazywał litości, a wszystkie dzieci miały tylko jedno przeznaczenie od chwili, gdy wziął je do swego łóża. Odsunął palec od ust dziewczynki i wytarł go do czysta o zakrwawioną pościel. Dziewczynka wzdrygnęła się raz, a potem znieruchomiła. Osiągnęła swoje przeznaczenie.

Diego zepchnął bezużyteczne ciało z łóżka. Leżało na posadzce niczym popsuta lalka. Za dnia usuną je jego chowańcy. Człowiek, który dostarczył ją dla honorowego gościa Wschodniego Zgromadzenia, bez wątpienia zażąda za nią większej zapłaty. Dziewczynka nie zostanie zwrócona w stanie nadającym się do ponownego wykorzystania. Konklawe miało jednakże więcej niż dość pieniędzy, by temu człowiekowi wynagrodzić stratę miliard razy, gdyby zechciało. Być może tak blisko zaowocowania Planu Ostatecznego będzie mogło po prostu pozbyć się również i jego. Wkrótce porządek zostanie zmieniony i Diego będzie miał kogo zechce, kiedy tylko tego sobie zażyczy. Myśl o tym sprawiła mu przyjemność. Niemal taką, jak uczucie wypełnienia krwią dziecka tego, co teraz służyło mu za żołądek.

Podobało mu się to uczucie. Swoje pierwsze dwieście lat życia *ybera* spędził śpiąc w rozsypanych się trumnach i mauzoleach. Każdego dnia o świcie zapadał w pozbawiony snów letarg, bojąc się kołka i siekiery. Tyle razy wracał do swego schronienia, by zastać tam przeklętych księży i palący czosnek, który zagradzał mu drogę. Lecz jednak przeżył.

Dwieście lat życia jak zwierzę, lecz mimo to przeżył.

Następne dwieście lat było dużo lepsze. Spotkał innych. Nie tylko innych należących do tej samej rasy, lecz innych takich jak on. *Yberów*, którzy nie postradali zmysłów podczas nocnych polowali, w których byli myśliwymi i ofiarami. *Yberów*, którzy nie całkiem zmienili się w demony z piekła rodem, o czym większość była przekonana. Niektórzy *yberowie* zachowali intelekt. Wraz z nimi utworzył Konklawe i zaatakował doprowadzające ich do wściekłości Towarzystwo Jezusowe.

Wkrótce znalazł się majątek i posiadłości. Suche, bezpieczne schronienia, gdzie można było bez obaw spędzać długie dni. Podróże i zebrania w nocy. I chowańcy. Zawsze byli chowańcy. *Yberowie* nie musieli już polować, by przeżyć. Zawsze było pod dostatkiem istot ludzkich, które oddawały się dobrowolnie – za szansę dostąpienia komunii i nieśmiertelności, jaką obiecywała. A jeśli noce były zbyt łatwe, ludzie zawsze prowadzili wojny. Kraje ojczyste, Korea, Wietnam. Dziś zarówno Afryka, jak i Ameryka Południowa dostarczały okazji do polowania i picia przesyconej strachem krwi. Nikogo tam nie dziwiły zmasakrowane ciała, pozbawione jej. *Yberowie* krążyli swobodnie. A wkrótce zaznają jeszcze większej swobody. Plan Ostateczny był niemal ukończony. Tylko Adrienne St.Clair miała moc zmienić jego nieuchronne skutki. Ona jednak długo nie wytrzyma w starciu z nim.

Diego przeciągnął się na łożu jak kot. Jego metabolizm przetwarzał krew dziewczynki przywracając mu siły. Czuł spokój.

W pewnym sensie powinien być wdzięczny tej kobiecie. Spodobała mu się, gdy przedstawiono mu ją w Genewie pod koniec ostatniej wojny w ojczyźnie. Wtedy była z Jefferym, więc Diego zachował swe uczucia dla siebie. Przeżył czterysta lat i wiedział, że nic nie pozostaje bez zmian. Diego wiedział, że pomimo miłości, jaką się darzyli, po upływie co najwyżej stulecia Jeffery i Adrienne rozstaną się. A wtedy, myślał Diego, będzie ją miał. Nieśmiertelność zazwyczaj czyniła *yberów* bardzo cierpliwymi.

Aby zatrzymać ją przy sobie, wstawił się za nią w czasie zabijania Niepożądanych. Zaproponował jej i jej mentorowi korzystanie ze swej hiszpańskiej willi. Popierał ich początkowe badania nad naturą *yberów*. Te badania umożliwiły powstanie Planu Ostatecznego, z którym obecnie wystąpiło Konklawe. Te same badania zagroziły istnieniu Konklawe.

Przed sobą tylko Diego przyznawał, iż Adrienne miała rację. Jakikolwiek było wytłumaczenie istoty *yberów*, leżało ono w dającej się zaobserwować i zrozumieć naturze, nie w siarce i ogniu piekielnym Otchłani. Konklawe jednak rządziło siarką i ogniem piekielnym. *Yberowie* byli zadowoleni ze swego miejsca w nadprzyrodzonym królestwie, jakie stworzyło im Konklawe. Jediną wadą były stosunki z jezuitami, którzy również rządzili poprzez znajomość piekła. Pewnych rzeczy z ludzkiego świata będzie Diegowi brak, kiedy zmieni się porządek. Nie będzie mu jednak brak jezuitów. Postara się już o to, by byli pierwszymi, którzy zostaną pożarci. Podobało mu się również uczucie, jakie dała mu ta myśl. Leżał wyciągnięty na swoim łożu przez dłuższą chwilę, rozmyślając o nadchodzącej zagładzie ludzkości. Stulecia zmagania wkrótce wydadzą owoce. Obok niego na podłodze leżało nieruchome ciało dziewczynki.

Wreszcie Diego wyczuł obecność innego *ybera* za drzwiami sypialni. Nie zapukano. Nie było takiej potrzeby.

– Wejść – powiedział głośno.

Wszedł pan King, wciąż ucharakteryzowany i ubrany jak człowiek. Czułe zmysły *ybera* powiedziały mu natychmiast, że dziecko na podłodze było martwe. Kompletnie nie zważał na nie. Ten aspekt uprzywilejowanej pozycji Diega nie wzbudzał w nim uczucia zazdrości. On wołał starszą zdobycz.

– Otrzymaliśmy wiadomość z Toronto – powiedział.

– Czy ona nie żyje? – spytał Diego.

– Na to wygląda, lecz Rice twierdzi, że okoliczności są tego rodzaju, iż nie możemy być pewni.

Diego usiadł na łóżku. Miał zaschniętą krew w kącikach ust.

– Proszę wyjaśnić – polecił.

King powtórzył historię, którą Helman opowiedział Rice'owi.

– Tak więc – zakończył – albo została przebita odłamkiem w czasie wybuchu i jej ciało rozsypało się, albo po prostu zostawiła tę stertę ubrań starając się nas zwieść.

– A jakie są pańskie wnioski, panie King?

– Nie sądzę, by w zamieszaniu wywołanym wybuchem miała dość czasu, żeby stworzyć tak skomplikowany podstęp, tym bardziej ze szczegółami, aż do zostawienia

gęstej, białej ciecicy wymieszanej z resztkami jej ubrania. Sądzę, że rozsypała się. Zagrozenie zostało usunięte. Człowieka można zabić.

Diego potarł palcami okolice ust, usuwając resztki zakrzepłej krwi.

– Zgadzam się z panem, King. Nie miałyby dość czasu, by przygotować ubranie w taki sposób. Ale jest jeszcze trzecia możliwość.

– Mianowicie?

– Ona i ten człowiek mogą współpracować.

– Niemożliwe!

– Niech pan nie będzie taki szybki, panie King. Czy wie pan, w jaki sposób kobieta ta otrzymała komunię?

– Była jedną z Niepożądanych w czasie drugiej większej wojny w krajach ojczy-
stych.

– Czy wie pan, co się stało z jej pierwotnym mentorem?

– Nie znam szczegółów tej historii.

– Rozsypał się, przesyty odłamkiem w czasie wybuchu dokładnie w momencie przejścia z pierwszego do drugiego życia. Najwyraźniej kobieta ta dosłownie została zala-
na krwią życia. Wystarczyło jej to do przeżycia komunii.

King zrozumiał natychmiast.

– Rozpadł się, przesyty odłamkiem w czasie wybuchu – powtórzył.

– Dokładnie, panie King. Zbyt podobne zdarzenie. Nie miała czasu, by przygoto-
wać ubranie, lecz miała czas, by opowiedzieć człowiekowi historię, którą miał nam po-
wtórzyć.

– Ale dlaczego miałyby współpracować z człowiekiem, który chciał ją zabić?

– Wygląda na to, że to pomysłowy mężczyzna. Ona nie ma już chowańców, żad-
nych kontaktów w Ameryce Północnej. Sądzę, że podjęła mądrą decyzję.

– Jeśli twój wniosek jest prawdą, mój panie, co mamy zrobić?

– Mamy zwyciężyć, panie King. Mamy zwyciężyć.

King milczał. Wiedział, że lepiej nie zadawać pytań dostojnikowi Konklawe.

– Najważniejsze jest – kontynuował Diego – by nie dopuścić do kontaktu tej kobie-
ty z Waszyngtonem...

– Wierzysz w to, co twierdzą jezuici?
– Że ta kobieta i Waszyngton w pewien sposób spiskują, by zawrzeć jakieś przy-
mierze, tak. W Armageddon i wszystkie te inne bzdury, które uwielbiają pleść jezuici, nie.
Naszym następnym celem jest oczywiście zabicie jej. Kogo mamy w Kalifornii?

– Mathiesona, mój panie. Ale czemu Kalifornia?
– Ta kobieta jest młoda, panie King. Wciąż można jeszcze przewidzieć jej kroki.
Nie ma już wyjścia. Wie, że pomimo pomocy, jaką okazuje jej ludzki morderca, zwycię-
stwo Konklawe jest tylko kwestią czasu. Jej Śmierć Ostateczna nie może być daleko. Co
pan by zrobił w takiej sytuacji?

King milczał przez chwilę. Nic mu nie przychodziło do głowy.

– Udawałbym skruchę – bąknął niepewnie. – Oddałbym się w ręce jezuitów w za-
mian za obietnicę przebaczenia i schronienie.

– Nawet jezuici nie są tacy głupi, panie King. Gdzie na świecie jest miejsce zabez-
pieczone przed wpływem Konklawe?

King nie miał na to odpowiedzi.

– Słyszał pan o miejscu narodzin, nieprawdaż?

– Nacimiento?

Diego uśmiechnął się, odsłaniając lśniąco białe, przerażająco ostre kły.

– Nacimiento – potwierdził. – Forteca Ojca. Jako jedyny spośród *yberów* jest wol-
ny od wpływów Konklawe.

King był wstrząśnięty. Nigdy na myśl mu nie przyszło, żeby Ojca traktować jako oso-
bę mogącą udzielić schronienia tej kobiecie, ponieważ było to nie do pomyślenia. Nie
przeżyłaby jednej nocy, gdyby ośmieliła się wkroczyć nie proszona na terytorium Ojca.
Podobnie jak Konklawe nie przeżyłoby sporu, gdyby Diego doradził *yberom* zaatakować
je. On jest Ojcem, mentorem setek, którzy żyli wciąż jako *yberowie*. To było niemożliwe.

– Ależ panie, musisz...

Diego wyszczał do Kinga:

– Uważaj, co mówisz, bo inaczej możesz obejrzeć następny wschód słońca.

King powstrzymał się od komentarzy. Nie będzie ryzykował. Diego mówił dalej nor-
malnym już głosem *yberów*.

– Czy Rice umieścił obserwatorów we wszystkich punktach wylotowych z Toron-
to?

– Tak, mój panie.
– Każe mu pan zabrać ich.
– Czy nie powinniśmy nadal obserwować człowieka?
– Dlaczego? Jeśli wróci do siostry, wpadnie w nasze ręce. Jeśli pojedzie z kobietą do Nacimiento, znów wpadnie w nasze ręce. Jego podróż może mieć tylko dwa cele. Będziemy u kresu każdego z nich, prawda?

– Tak, mój panie.
– Skontaktuje się pan z Mathiesonem w Kalifornii. W końcu ta kobieta przybędzie tam. Rice'owi nie wolno uczynić nic, by temu zapobiec. Nie możemy pozwolić sobie na kolejną nieudaną operację. Podróż zajmie jej przynajmniej dwie noce. Tym razem będziemy przygotowani na jej przybycie. I, tym razem, będę tam sam, żeby się z nią rozprawić.

– Tak, mój panie.
– Kiedy już skontaktuje się pan z Mathiesonem, proszę przełączyć rozmowę do pokoju zgromadzeń. Potem pojedzie pan do New Hampshire. Zdaje się, że nazwał pan tę miejscowość West Heparton.

Ludzki zabójca zostanie ukarany, pomyślał King.

– Siostra, mój panie?

Diego pokiwał głową.

– I dzieci, panie King. Kiedy już zabije pan siostrę, proszę przywieźć dzieci mnie. Chciałbym, żeby ten człowiek zobaczył, co się dzieje z tymi, którzy sprzeciwiają się Konklawe.

– Tak, mój panie.

– A wychodząc, proszę zabrać to stąd. – Diego machnął szponami w kierunku bezwładnego ciała dziewczynki obok łóżka.

King schylił się, by ją podnieść. Jej lekkie ciało luźno zwisało w jego ramionach. Zaniesie je do pieca, tak jak inne.

Diego beznamiętnie przyglądał się oddalającemu się Kingowi. Myślni był już przy mających nadejść nocach. Jak doskonale układały się wydarzenia. Kobieta i jej człowiek udadzą się prosto do jedyne go, jak jej się wydawało, dostępnego schronienia. A to będzie pułapka Diega. Co więcej, w tej pułapce Ojciec też spotka Śmierć Ostateczną. Nie z zemsty czy złości, lecz jako znak dla pozostałych *yberów*, że oto nadszedł koniec

starych czasów. Porządek zostanie odwrócony. A kiedy tak się stanie, Konklawe zmieni się. W świecie, gdzie istoty ludzkie będą całkowicie pod panowaniem *yberów*, w świecie, gdzie utrwali się już Plan Ostateczny, dużo więcej będzie można zyskać występując przeciwko starym zwyczajom Konklawe. Diego zamierzał zdobyć wszystko.

Lecz wprawdzie nastąpi ostatnia bitwa w miejscu narodzenia. Kobieta zginie, ostatnia nadzieja ludzkości umrze, no i oczywiście zginie człowiek, który spowodował te wszystkie kłopoty. Po tym, jak ujrzy ukochane dzieci swej siostry zabrane do łóżka Diega i pożarte.

Wyszedł z sypialni i nagi udał się do sali zebrań. Musi omówić warunki z Mathiesonem. I musi wysłać kolejną wiadomość jezuitom. *Yberowie* mogą nie tylko pozbyć się tam wielu księży, lecz zrzucić także na nich winę za śmierć Ojca. Tak, wszystko samo układa się doskonale, pomyślał. Zwycięstwo będzie słodkie.

Słodkie jak krew dzieci.

CZEŚĆ TRZECIA

SPRZĄTNIĘCIE

ROZDZIAŁ I

Pozostałym osobom siedzącym w poczekalni lotniska Helman wydawał się niepozorny i w jakiś sposób nieobecny duchem. Może był pograżony w marzeniach, choć była już niemal północ, a może po prostu był jedną z tych osób, które mają lęk przed lataniem. Wewnętrznie jednak Helman kipiał.

Pasażerowie udający się do Vancouveru mieli lada moment wchodzić na pokład. Wciąż nie było śladu Adrienne.

Międzynarodowy Port Lotniczy Pearsona, 18 stycznia

Rozdzielili się po wyjściu z małego kościoła we wschodniej dzielnicy Toronto, gdzie znajdowało się jedno ze schronień Adrienne. W nim schowała dwie torby lotnicze i małą walizeczkę o twardych ściankach. Powiedziała, że zawiera jej notatki i rezultaty niektórych badań, jakie rozpoczął doktor Leung. Helman odprawił walizkę na całonocny lot do Vancouveru pod swoim nazwiskiem. Obie torby lotnicze niósł ze sobą. Ważne było, by nie miała żadnego bagażu, lecz nie chciała mu powiedzieć, dlaczego. Powiedziała mu natomiast, że bez względu na to, czy Rice uwierzył w historyjkę Helmana o znalezieniu jej przebitego ubrania, postawi *ybera* przy każdym wyjściu z miasta. Tak więc, Helman poszedł pierwszy, kupił bilety – jej bilet zostawił do odebrania przy biurku obsługi pasażerów – i zajął się bagażem. Powiedziała, że wejdzie na pokład w ostatnim momencie. Im mniej czasu spędzi w jednym miejscu na lotnisku, tym mniejsza szansa, że jakiś *yber* wyczuje ją i zdoła zatrzymać. Najwyraźniej nie troszczyła się o to, czy wyczują ją i odkryją, którym samolotem poleci. Martwiła się tylko, że mogą zrobić coś, by uniemożliwić jej wejście na pokład.

Stewardesa zaczęła wyczytywać numery rzędów. Rozpoczęła procedurę wsiadania do samolotu. Ludzie zaczęli się tłoczyć przy wyjściu z poczekalni, które prowadziło do tunelu wejściowego. Wciąż ani śladu Adrienne.

Wyczytano sektor Helmana. Nie wstał z miejsca, próbując opanować niepokój, jaki czuł. Jeśli złapali Adrienne, jego siostra będzie następna. I dzieci. Zastanawiał się, czy Weston zdążył postać do nich agentów na czas. Zastanawiał się, czy na coś się zdadzą, nawet jeśli przybyli na czas. Adrienne musi się udać.

Ostatni pasażerowie opuszczali poczekalnię. Stewardesa podeszła do niego.

– Przepraszam pana, czy czeka pan...

Korytarzem ktoś biegł. Helman odwrócił się raptownie w krzesło. To była zbliżająca się pośpiesznie Adrienne. Spojrzał na nią. Bezużytecznie uniósł dłoń do miejsca pod pachą, gdzie zwykle nosił kaburę rewolweru. W żaden sposób nie mógł przenieść broni przez wykrywacze metalu i rentgena w punkcie kontrolnym przy odprawie. Adrienne biegła, a on jest bezbronny.

Zatrzymała się przed biurkiem, trzymając przed sobą bilet. Helman przyglądał się uważnie ludziom na korytarzu za nią. Wydawało się, że nikt jej nie śledzi.

– Przepraszam pana – zaczęła znów stewardesa. – Jeśli leci pan do Vancouveru, musi pan ze wszystkimi wejść już na pokład. – Zobaczyła, że Helman przygląda się odprawie celnej kobiety, która przybiegła w ostatniej chwili. – Och, przepraszam – powiedziała. – Pan czekał na tę panią?

Helman potrząsnął głową.

– Nie. Nie znam jej. Zdaje mi się, że musiałem zasnąć. – Ziewnął przekonywająco, wstał i wyszedł z poczekalni. Słyszał za sobą idącą Adrienne. Zwolnił kroku, by dogoniła go w tunelu. Przez kilka chwil byli w nim sami, stewardesy sprawdzały papiery w poczekalni.

– Odkryli cię? – zapytał natarczywym szeptem.

– Nie – odrzekła. Po całym tym biegu nie była zdyszana. Wyglądała jednak na zaniepokojoną. – Ja ich również nie odkryłam. Zupełnie jakby nikt nie pilnował lotniska.

– Gdyby mi uwierzyli, czy nie odwołano by obserwatorów?

Skręcili za róg korytarza. Dwie stewardesy czekały na nich w drzwiach samolotu.

- Nie sądzę, żeby to było prawdopodobne – powiedziała miło, lekkim tonem.
- Czemu nie? – spytał równie swobodnie.

Posłała mu szybkie spojrzenie i uśmiechnęła się do stewardes, pokazując im kartę wejścia.

Szli jednym z wąskich przejść między fotelami w samolocie. Fotel Helmana był o kilka rzędów za jej miejscem. Powiedziała, że jest sprawą ogromnej wagi, by w oczach innych nic ich nie łączyło. Znów odmówiła wyjaśnień dlaczego. Helman zatrzymał się za pasażerem, który otworzył pojemnik nad fotelem i umieszczał w nim torby lotnicze i płaszcze.

Adrienne zbliżyła się do Helmana. Usłyszał z tyłu jej szept.

– Jedynym powodem, dla którego nie szukaliby mnie, nas, na lotnisku, jest to, że wiedzą już, dokąd się udajemy.

- Czy to możliwe? – odszepnął.
- Nie ma wielu wyjść – rzekła.

Pasażer usiadł. Inni ludzie czekali za Helmanem. Podeszedł do swojego fotela, zakłopotany i zaniepokojony. Co będzie na nich czekać w Vancouverze?

ROZDZIAŁ II

Dzieci spały.

New Hampshire, West Heparion, 18 stycznia

Miriam wyrwała się ze snu i usiadła na łóżku w swej sypialni. Na nocnym stoliku leżała otwarta książka, którą przeczytała w połowie. Obok niej na łóżku spoczywał remington Granger. Przez ostatnie dwa dni widziała kogoś przyglądającego jej się w lesie za farmą i po drugiej stronie drogi. Nie pozwoliła Stevenowi i Campbellowi pójść do szkoły. Granger już wkrótce wróci do domu i wszystko wróci do normy.

Dobrze, że dom jest tak rozklekotany, pomyślała sobie, i nikt nie może chodzić po nim tak, by deski podłogowe i schody nie skrzypiały przeraźliwie.

W domu panowała cisza.

Z przerażeniem przyglądała się, jak drzwi jej sypialni otwierają się bez pisku protestu. To musi być sen, pomyślała. A potem rzucili się na nią tak szybko, że nawet nie miała szansy krzyknąć.

Dzieci nie spały od dawna.

ROZDZIAŁ III

Helman był świadkiem tego niewytłumaczalnego zdarzenia, lecz zaprzeczył temu, gdy policjanci z Kanadyjskiej Królewskiej Konnej przestuchiwali pasażerów samolotu. Policja po prostu pełniła obowiązki służby bezpieczeństwa na międzynarodowym lotnisku w Vancouverze. Nie wiedzieli, co się niedawno przydarzyło ich wyżej postawionym kolegom w Toronto. Nie mieli powodów, by wątpić w opowieść Helmana. W godzinę po wylądowaniu samolotu mógł odejść wolno wraz z innymi pasażerami. Z okien korytarza przyglądał się, jak światła reflektorów omiatają płytę lotniska w poszukiwaniu zwłok. Nikt nie uwierzył jednemu pasażerowi, który zobaczył uciekającą kobietę. Helmanowi samemu trudno było w to uwierzyć. Wiedział jednak, że to musi być prawda.

Vancouver, 19 stycznia

Samolot podchodził do lądowania. Zapięto pasy i wszyscy pasażerowie, przestraszeni czy nie, ściskali poręcze foteli nieco mocniej niż zwykle, w oczekiwaniu na zderzenie opon z nawierzchnią lotniska. Wszyscy pasażerowie, z wyjątkiem jednego.

Adrienne St.Clair wstała ze swego miejsca na moment przed lądowaniem. Trzymała się jednocześnie za głowę i łożądek, jakby było jej niedobrze i nie wiedziała, co ma robić, a potem ruszyła chwiejnym krokiem w głąb przejścia. Helman posłyszał, jak stewardesy wołają, by wróciła na swoje miejsce. Adrienne szła dalej.

Helman odpiął pasy i uniósł się w fotelu na tyle, by odwrócić głowę i zobaczyć, co się dzieje. Przełożona stewardes odpięła pasy i ruszyła za Adrienne. Lecz Adrienne znajdowała się już wtedy tam, gdzie chciała. Samolot zetknął się z nawierzchnią pasa ze wstrząsem. Adrienne zamachnęła się i trafiła chwiejącą się stewardesę w poprzek talii. Stewardesa poleciała w tył do zaplecza kuchennego. Adrienne odwróciła się szybko do wyjścia awaryjnego i pociągnęła za wielką, żółtą dźwignię na drzwiach, przekręcając ją jednocześnie. Pozostałe stewardesy krzyknęły.

Wtedy drzwi otworzyły się i Adrienne wyskoczyła, zderzając się z nawierzchnią lotniska z szybkością dwustu dwudziestu czterech kilometrów na godzinę.

Była bezpieczna.

Helman był wstrząśnięty. Cokolwiek czekało na nich w Vancouverze, Adrienne się właśnie temu wymknęła. Nie wyglądało na to, by ktoś interesował się nim. Być może obserwatorzy *yberów*, jeśli byli tacy, usłyszawszy o wariatce lecącej z Toronto, która popełniła samobójstwo, uświadomili sobie, co się stało i teraz przeczesywali okolicę za pasami startowymi.

Helman nie wiedział, co się teraz stanie. Postępował nadal zgodnie z tym, co zaplanowali. Adrienne uprzednio odnalazła go w hotelu w Toronto. Nie wątpił, że teraz też go znajdzie.

Zamówiony w Toronto ford LTD czekał już na niego. Wsiadł i odjechał w mokrą noc Vancouveru. Jakies trzy kilometry za lotniskiem Adrienne zatrzymała go machnięciem ręki. Zanim ruszyli w dalszą drogę, poleciła mu wyjąć walizkę z bagażnika, żeby mogła się przebrać. Siła zderzenia niemal całkiem zerwała z niej ubranie, które miała na sobie w czasie skoku z samolotu. Gdy przebierała się w samochodzie, Helman dostrzegł kilka ciemnych smug na jej bladym ciele. Zapytał o nie.

– To skutek procesu zdrowienia – wyjaśniła. – Małe rany zamykają się w ciągu sekund. Gdybyś przyglądał się uważnie, może dostrzegłbyś cienką, ciemną kreskę, jakby włos położony na skórze. Zaleczenie większych ran zajmuje kilka minut dłużej. W przypadku niektórych może to potrwać kilka godzin, w zależności od rozmiaru obrażeń. Ciemny kolor jest wynikiem reakcji antyciała, której nie udało nam się do tej pory zanalizować.

Helman zastanowił się nad tym, co powiedziała Adrienne. Może będzie znała odpowiedź na jego pytanie.

– Jak *yberowie* mogą być tak niewrażliwi na kule, a jednocześnie tak śmiertelnie niebezpieczeństwo stanowią dla nich strzały i drewniane kołki?

Adrienne uśmiechnęła się.

– Jeffery i ja poświęciliśmy sporo czasu temu zagadnieniu, Granger. Ogólnie rzecz biorąc, pomimo faktu, iż istnieje tak niewiele zewnętrznych oznak przemiany człowieka w *ybera*, wewnętrzne zmiany są znacznie rozleglejsze. Sprowadza się to do tego, że mniej więcej w sześć miesięcy po komunii u *yberów* następuje połączenie wewnętrznych organów. Zamiast tuzinów wyspecjalizowanych narządów, jakie mają ludzie, z których każdy podatny jest na własne zaburzenia, a wiele jest w stanie zniszczyć cały organizm z powodu własnych niedomagań, *yberowie* posiadają jeden uogólniony narząd. Wydaje mi się, że doprawdy tylko tak potrafię to opisać.

– Jeden organ wykonujący funkcje wszystkich pozostałych?

– W sumie tak. To tak, jak w przypadku mózgu. Pewne obszary mózgu, mimo iż nie posiadają dających się zaobserwować różnic strukturalnych, służą za ośrodki kontroli funkcji wyspecjalizowanych. Istnieje ośrodek mowy, wzroku, reakcji na dotyk, a wszystkie mają mniej lub więcej określony punkt kontrolny w mózgu. Lecz jeśli jeden z tych ośrodków zostanie uszkodzony lub zniszczony, organizm nie zginie, pod warunkiem, że nie jest to żaden z tych ważnych ośrodków, które odpowiadają za bicie serca czy oddychanie. Niemal każda część mózgu jest w stanie przejąć władzę od każdej innej części. Wypalmy ośrodek wzroku u szympansa. Zostawmy strukturę nerwu ocznego nienaruszoną, by sygnały mogły nadal docierać do mózgu, a po kilku miesiącach będziemy mieli znów widzącego szympansa. W ten sam sposób ofiary wylewu mogą powracać do zdrowia. Tkanka mózgowa nie może się odbudować, lecz dopóki sygnały docierają do jakiejś części mózgu, istnieje spora szansa na powrót do zdrowia w pewnym stopniu, w miarę jak nowe obszary będą przejmować funkcje starych.

– Więc jeśli kula przejdzie przez tę część uogólnionego organu, która jest ośrodkiem, powiedzmy, trzustki, jakaś inna część tego narządu zacznie produkować insulinę?

Adrienne pokiwała głową.

– O to właśnie chodzi, pominiawszy, że *yberowie* nie wytwarzają i nie potrzebują insuliny. Poza tym, w odróżnieniu od mózgu ofiary wylewu, nasz uogólniony narząd, który wypełnia klatkę piersiową i jamę brzuszną, może się regenerować. Niewiarygodnie szybko. Jak to. – Wyciągnęła rękę i podciągnęła rękaw swetra. Ciemne smugi, które zauważył Helman podczas gdy przebierała się, teraz były zaledwie lekkimi przebarwieniami.

– Więc jeśli ten układ czyni cię odporną na kule, czemu to nie skutkuje w przypadku strzał i kołków?

Adrienne spuściła rękaw.

– Wszystko sprowadza się do rozmiarów. Ciała *yberów* mają rzadszą strukturę od ludzkich. Siła napięcia ich skóry jest mniejsza. Kule, nawet te, które rozrywają się przy trafieniu, nie napotykają na duży opór, kiedy przechodzą przez nas. To tak, jakbyś wrzucił kamień do wody. Strzała czy kołek nie przechodzi przez ciało tak lekko i zamiast spowodować wyrwę wielkości dwóch i pół centymetra sześciennego, jak w przypadku kuli, tworzy stały, nie dający się natychmiast zaleczyć tunel w ciele *ybera*. Serce jest jedyną częścią ciała *ybera*, której nie wchłonął uogólniony narząd. Jedyną. Jeśli jakiś pręt przebije je i zatrzyma jego pracę, krew przestaje krążyć, a nasza szybka przemiana materii niemal natychmiast ograbia mięśnie z siły. Umieramy. To samo stałoby się, gdyby wystarczająco potężny wybuch uderzył nas w pierś, lub gdyby ogromna seria kul rozerwała nam serce szybciej, niż ciało zdołałoby się uleczyć. Poza tym oraz rozległym uszkodzeniem mózgu *yberowie* są niemal niezniszczalni.

– Jest to przydatne, kiedy musisz w pośpiechu opuścić samolot – stwierdził.

Jechali na południe autostradą 99. Z powodu zmian strefy czasowej mieli przed sobą jeszcze kilka godzin nocy. Planowali znaleźć się na obrzeżach Seattle przed wschodem słońca. W najgorszym przypadku, gdyby nie udało się znaleźć żadnego schronienia, Adrienne mogłyby się schować do bagażnika samochodu, który skradną, by przedostać się przez granicę. Helman mógłby jechać za dnia. Gdyby znalazło się schronienie, Helman mógłby załatwić dla nich bilety na lot z Seattle do San Luis Obispo w Kalifornii na następną noc. Posiadłość Ojca byłaby w zasięgu godziny jazdy samochodem.

Helman miał dużo więcej pytań, lecz na razie musiał skupić się na ułożeniu planu, by jak najszybciej mogli dostać się do Stanów. Nie uśmiechało mu się siedzenie w pokoiku przesłuchali amerykańskich celników w chwili, gdy wszędzie słońce.

Ruszył w stronę granicy.

Para w White Rock, wychodząca z restauracji na parking, idealnie spełniała ich wymagania. Byli to ludzie w średnim wieku, najwyraźniej małżeństwo, idące w sposób, który wskazywał na to, że troszeczkę za dużo wypili. Byli kompletnie ośupiali, gdy Adrienne stanęła przed nimi i powiedziała, że mężczyzna za ich plecami ma broń. Jeśli spróbują uciekać albo krzyczeć, zginą.

Helman zbliżył się do nich. Zaciśnął pięść w pustej kieszeni płaszcza. Wziął kobietę pod rękę. Adrienne wzięła mężczyznę.

Helman uśmiechnął się, idąc.

– Patrzcie tylko przed siebie i idźcie do tego niebieskiego LTD. Nic złego się nie stanie. Nie zrobimy wam krzywdy. Nie zabierzemy biżuterii ani gotówki. Potrzebujemy tylko waszego samochodu. Po prostu idźcie.

Mężczyzna ćwiczył setki razy, co uczyni, gdy jemu i jego żonie zagrożą w taki sposób, lecz wszystkie możliwe warianty zachowań wyparowały w jednej chwili. Wstrząśnięty faktem, że rzeczywiście znalazł się w takiej sytuacji, nie był w stanie zrobić niczego, poza podporządkowaniem się rozsądnym poleceniom wydawanym budzącym zaufanie głosem mężczyzny z bronią. Może nie będzie tak źle, powtarzał wciąż sobie.

Helman wiedział, o czym myśli ten mężczyzna. Nie powiedział mu, ilu ludzi spokojnie poszło na śmierć, myśląc właśnie tak samo. Cieszył się tylko, że mężczyzna nie próbował robić sceny. Mogłaby skończyć się nieprzyjemnie dla wszystkich.

Helman wszedł na tylne siedzenie LTD z żoną, Adrienne siadła z przodu z mężem. Gdyby mąż spróbował czegoś teraz, Adrienne potrafiłaby go natychmiast załatwić. Helman jednakże był pewien, że nie zrobi niczego nierozsądnego, ponieważ jego żonie w sposób oczywisty groziło niebezpieczeństwo. Przemoc rzadko była konieczna wobec ludzi nie przyzwyczajonych do niej. Zasugerowana groźba użycia przemocy, zazwyczaj straszniejsza w wyobraźni ludzi niż w rzeczywistości, najczęściej całkowicie wystarczała,

by utrzymać ich w ryzach. Helman nienawdził mieć do czynienia z ludźmi, którym wydawało się, że rozumieją przemoc. Przez to, że wydawało im się, iż ja, rozumieją, jakoś nie mogli uwierzyć, że mogą zostać jej ofiarami. Takie wyobrażenie zachęciło kilku ludzi do zaatakowania Helmana w podobnych okolicznościach. Helman był ekspertem. Udzielił kilku bolesnych lekcji.

Ta para jednak nie sprawiała trudności. Helman i Adrienne czuli ulgę.

Stale zapewniani o bezpieczeństwie oddali im dokumenty, prawo jazdy, formularze ubezpieczeniowe, kluczyki od samochodu, a nawet chcieli im dać swoje pieniądze. Helman nie przyjął ich. Zostało mu jeszcze ponad 3000 dolarów z gotówki, jaką mu wręczył Rice w Toronto. Z łatwością mogą je wymienić na amerykańskie dolary w Seattle. Poza tym wciąż miał jeszcze karty kredytowe na swoje poprzednie nazwisko Osgood.

LTD stał zaparkowany z dala od latarni na parking, niewidoczny z okien restauracji. Helman wysunął się z tylnego siedzenia i otworzył bagażnik samochodu. Kazał mężczyźnie iść ze sobą. Pomógł mu wejść do bagażnika. Potem Adrienne przyprowadziła kobietę.

– Trzymajcie się blisko siebie, bo jest zimno – powiedział Helman. – I nie trudźcie się wołaniem, bo parking jest niemal opustoszały i nikt was nie usłyszy. Kiedy dotrzemy do Vancouveru – skłamał – zadzwonimy na policję, żeby po was przyjechała. Będziemy się troszczyć o wasz samochód i zostawimy go na parking, gdzie go z pewnością znajdą. W porządku?

Mężczyzna skinął głową. W jego oczach malował się strach, a Helman wiedział, co musi czuć, wciśnięty do bagażnika razem z żoną, kompletnie bezradny. Helman sięgnął do krawędzi bagażnika i wyszarpnął dwa druty prowadzące do lampki oświetlającej bagażnik. Skręcił razem obnażone końcówki.

– Światło nie zgaśnie, kiedy zamknę bagażnik. – Spojrzał mężczyźnie w oczy. – Proszę pana, ja mam broń i gotowy byłem jej użyć. Postąpił pan dokładnie tak, jak ja bym postąpił. Gdyby zrobił pan cokolwiekinnego, oboje zginęlibyście. Nie ma się czego wstydzić. Czy pan rozumie?

Mężczyzna pokiwał głową. Helman opuścił klapę bagażnika.

– Trzymajcie się blisko siebie. Policja przyjedzie przed upływem godziny.

Trzasnął zamek bagażnika. Adrienne i Helman poszli szybko do samochodu, który im wskazał mężczyzna jako swój. Był to biały buick riviera z czasów, zanim zaczęli je zmniejszać. Zapalił za drugą próbą i po dwudziestu minutach znaleźli się na granicy amerykańskiej. Przed upływem trzydziestu minut dzwonili z amerykańskiej stacji benzynowej do policji w White Rock, powiadamiając o parze zamkniętej w bagażniku samochodu. Helman wiedział, że zanim policja wydobędzie z nich zeznania, a policja w Vancouverze dojdzie do wniosku, że nie ma u nich riviery i być może należałoby powiadomić policję stanu Waszyngton, upłyną dwa dni biurokracji, a samochód będzie już dawno porzucony.

Do czasu, gdy wstało słońce, zameldowali się już w małym hotelu na północ od Seattle, gdzie Adrienne była dobrze chroniona przed słońcem w szczelnej, pozbawionej okien łazience.

Kładąc się na materacu, który wciągnęli dla niej do łazienki, zmierzyla go nieco zdziwionym spojrzeniem.

– Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale byłeś bardzo troskliwy w stosunku do tej pary na parkingu – powiedziała.

– Oni nie mają z tym nic wspólnego. Znaleźli się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Prawdopodobnie byli śmiertelnie przerażeni. Ten biedny facet będzie czuł się jak szmata, że nie próbował walczyć o swoją żonę. Nie musiałem pogarszać jeszcze ich stanu.

– Nie takiego zachowania spodziewałam się po zawodowym mordercy. – Spostrzegła, że na twarzy Helmana pojawił się i natychmiast znikł wyraz ogromnego smutku. – Przepraszam, Granger. Chciałam tylko...

– W porządku. – Wzruszył ramionami. – Ty też nie jesteś tym, czego spodziewałam się po wampirze. Zobaczmy się wieczorem. – Zamknął drzwi. Jednak pomimo tego, co powiedziała, miał ochotę być tam z nią.

Z jednej z toreb lotniczych Adrienne wyjął dużą rolkę czarnego plastra i zaczął uszczelniać krawędzie drzwi do łazienki. Drugą torbę Adrienne zabrała ze sobą. Były w niej resztki płynu odżywczego – substytutu krwi – który opracowała wraz z Leungiem. Powiedziała mu, że nie był jeszcze wystarczająco przebadany, lecz utrzyma ją przy życiu

przynajmniej jeszcze kilka nocy. Nie chciała dyskutować o tym, co będzie dalej, jakby sam temat odżywiania się był dla niej wstrętny. Helman nie naciskał. Mimo to czuł się jednocześnie zaniepokojony i w pewien sposób podniecony tym, co może się zdarzyć, kiedy zabraknie sztucznego pokarmu.

Kiedy skończył uszczelniać drzwi, przylepił do framugi narzutę z podwójnego łóżka. Złożył koc wzdłuż i zarzucił go na górę karnisza, żeby światło nie odbijało się na suficie. Ściśle wypełnił polecenia, jakie mu dała. Miło było być jej opiekunem, lecz nie pozwolił sobie na delectowanie się tym uczuciem. Skłoniło go to do pomyślenia o siostrze. I Westonie, Konklawe i jezuitach. I śmierci.

Kiedy słońce wreszcie wzeszło i minął czas *yberów*, Helman zszedł do automatu telefonicznego w westybulu i wykręcił pierwszy z numerów kontaktowych, jakie otrzymał od Westona. To była długa noc, lecz on i Adrienne przeżyli ją. Lękał się usłyszeć, że innym to się nie udało.

ROZDZIAŁ IV

Klatka piersiowa Westona płonęła z bólu wywołanego atakiem kaszlu. Był wstrząśnięty jego gwałtownością. Jego czas nie mógł tak szybko upływać. Nie mógł. Cofnął się w myślach do dzieciństwa. To niesprawiedliwe, pomyślał. Niesprawiedliwe. Z trudem opamnowywał atak. Sprawiedliwość nie ma z tym nic wspólnego, kłócił się sam ze sobą. Rak zżera mi płuca. To nie jest ani dobre, ani złe, sprawiedliwe ani niesprawiedliwe. Taki już jest rak.

– Rób, co do ciebie należy – powiedział do siebie na głos. Miał słaby głos, lecz nie zaczął kaszleć ponownie. Małe zwycięstwo na drodze do totalnej klęski.

Toronto, 19 stycznia

Zadzwoił brzęczyk przy łóżku. Weston wyciągnął rękę, by dotknąć przycisku wewnętrznego radia. Wraz ze swymi ludźmi mieszkał w bezpiecznym domu utrzymywanym

przez rząd amerykański w Toronto. Składał się on z trzech mieszkań w drogim kompleksie bloków nad brzegiem jeziora Ontario na zachód od miasta. Większość zwykłych mieszkańców tego kompleksu spędzała połowę czasu w podróży, więc niewiele było znajomych twarzy, i nie miał kogo niepokoić stały napływ poważnie wyglądających panów, którzy przybywali, by wysłuchać powracających przyjaznych agentów, bądź przesłuchać schwytych obcych agentów, zazwyczaj traktowanych wyjątkowo nieprzychylnie.

Chwilowo panował spokój, więc Weston i jego ludzie mogli nacieszyć się paroma godzinami odpoczynku w oczekiwaniu na pierwszy telefon Helmana. Głos na linii wewnętrznej powiedział, że właśnie dzwoni.

– Skąd? – spytał Weston.

– Seattle. Holiday Inn na północ od miasta. St.Clair jest z nim. Nic nie wskazuje, że są obserwowani – oświadczył głos.

– Dobrze – powiedział Weston. – Dowiedz się szczegółów i powiedz mu, że przyjadę dziś wieczorem.

– On chce z panem rozmawiać. Chce się dowiedzieć, co z jego siostrą.

Głos Westona stał się szorstki.

– Powiedziałeś mu?

– Nie.

Napięcie znów ustąpiło. Przez chwilę Weston bał się, że stracił Helmana.

– Powiedz mu, że wszystko idzie zgodnie z planem. Przyjadę do niego wieczorem.

– Jest uparty – rzekł głos.

– Ja też. – Weston zabrał dłoń z przycisku interkomu. Powróciła cisza. Walczył z bólem w piersi przez następne kilka minut, nim był w stanie polecieć swemu sekretarzowi, by zajął się lotem czarterowym na międzynarodowe lotnisko Seattle-Tacoma.

Jeszcze raz pomyślał o tym, w jakim stanie jego agenci znaleźli wczesnym rankiem ciało Miriam Helman. Wzdrygnął się. Kiedyś wreszcie będzie musiał powiedzieć Helmanowi, że spóźnili się. Wciąż istniała możliwość, że może wszystko przegrać. Tak czy inaczej.

Znów zaczął kaszleć i musiał wziąć środki uspokajające na czas lotu.

Jego agenci nie wiedzieli, czy mają czuć się zażenowani z jego powodu, czy bać się o siebie.

W większości przypadków bali się.

ROZDZIAŁ V

Napęczniałe śniegiem chmury, widoczne przez ostatnie kilka dni, wreszcie rozwiały się i na czystym, błękitnym, zimowym niebie jaskrawo świeciło słońce. Wszyscy *yberowie* na Wschodnim Wybrzeżu bezpiecznie zaszyli się w swych schronieniach. Nie stało się tak jedynie w skromnej posiadłości Scarsdale, należącej do Wschodniego Zgromadzenia. Bezpieczny w sali zebrzań w trzeciej piwnicy, gdzie za pierwszym razem przyprowadzono Helmana, i dzięki wyszkoleniu zdolny oprzeć się dziennemu bezwładowi, dostojny Diego promieniał z zadowolenia. Ślina niecierpliwości pociekła mu na kły na myśl o oczekującym go właśnie przysmaku ze wzgórz New Hampshire.

Nowy Jork, 19 stycznia

– Wspaniale, wspaniale – rzekł do telefonu. – Z Seattle do San Francisco. Przesiadka na następny samolot przybywający do San Luis Obispo o 11.27. Pochwalę twą pracowitość przed twoim mentorem.

Po drugiej stronie kontynentu zapalczywy, młody chowaniec zadrżał, obdarzony komplementem dostojnika Konklawe. Pracował dla American Airlines i jedyne, co zrobił, to wykonując polecenie swego mentora poszukał w komputerach listy nazwisk i lotnisk, którą mu przekazano. Szczęśliwym trafem, jedna kombinacja znalazła się. A teraz sam czcigodny Diego zauważył jego pracę. Chowaniec nie mógł doczekać się zmierzchu, by jego mentor mógł usłyszeć, jak go wychwalano. Nie wiedział, że już w chwili, gdy Diego rozmawiał z nim, chowańcy dostojnika ruszyli w drogę, by zadać mu pierwszą śmierć bez możliwości otrzymania komunii. W ten sposób informacja o kobiecie i pracującym dla niej ludzkim zabójcy zostanie bezpieczna w rękach Diega. I w rękach tych, z którymi uważał za stosowne podzielić się nią.

Diego chciał, by kiedy dojdzie do ostatecznego starcia w Nacimiento, nie istniały żadne wątpliwości, iż wraz ze swymi emisariuszami i chowańcami przyłączył się dopiero po pierwszej napaści jezuitów. Ciężar winy za napaść musi spoczywać na jezuitach, dopóki Plan Ostateczny nie wejdzie w zaawansowaną fazę. A potem nie będzie ważne, kto zna prawdę, ponieważ Konklawe będzie rządzić światem ludzi, a Diego będzie rządzić Konklawe.

Przerwał rozmowę z nieszczęsnym chowańcem na zachodnim wybrzeżu. Nacisnął guzik na konsolcie znajdującej się na bogato rzeźbionym stole, przy którym pracował. W drzwiach sali zebrań stanął chowaniec.

– Słucham, panie.

– Prześlij wiadomość ojcu Klemensowi. Przygotuj moich chowańców na spotkanie. Odbędzie się dziś w nocy.

– Tak, panie.

Chowaniec zamknął drzwi za sobą. Diego nie zwrócił na to uwagi. Ten chowaniec już dołączył do rosnącej listy tych, których trzeba będzie zabić, by zachować tajemnicę. Dwieście lat temu Diego myślałby z żalem o zamordowaniu tak dobrze wyszkolonego chowańca. Wieki jednak zmieniły go. Teraz wcale o tym nie myślał.

Myślał wyłącznie o własnej przyjemności.

I zawezwał ją.

Jeden z jego własnych chowańców pojawił się w drzwiach sali zebrań. Nie był sam.

Z oczami zmąconymi narkotykami, którymi uciszono je na czas podróży, dwoje dzieci stanęło nieruchomo w progu.

Diego wstał zza stołu rozłożywszy ramiona. Uśmiechnął się szeroko.

– Pozwólcie dziatkom przyjść do mnie – rzekł.

Łagodnie pchnięci przez chowańca, Campbell i Steven powoli ruszyli wprost w szpony i kły dostojnego Diega.

Narkotyki i odrętwiający umysł obraz tego, co uczyniono z ich matką, litościwie odebrały im świadomość tego, co się zdarzy później.

Diego czuł się nieco zawiedziony, że tak ich oszołomiono narkotykami. Popsuło mu to nieco przyjemność.

Lecz wdzięczny był za to, że nie całą.

ROZDZIAŁ VI

Helman był wściekły. Spędził dzień w pokoju hotelowym w Seattle nie mogąc odpocząć. Wysiętek ostatnich dni osiągnął poziom zakłócający techniki relaksacyjne, których używał, by wywołać sen. Trzy razy budziły go uparte sprzątaczkę, które pukały do drzwi pomimo wywieszki „Nie przeszkadzać”. Za każdym razem wydawało mu się, że dzwoni telefon. Powinien dostać wiadomość od Westona, a w westybulu Holiday Inn, gdzie obecnie znajdował się, właśnie go informowano, że z Westonem nie można się skontaktować.

Seattle, 19 stycznia

– Dlaczego nie chciał ze mną rozmawiać, kiedy zadzwoniłem dziś rano? – Helman mówił nierozsądnie głośno w niewielkim westybulu. Agent Projektu Nevada, całkiem nie rzucający się w oczy, poza tym, że nosił ciężkie, czarne, skórzane rękawice, ostrzegawczo wznosił rękę ku Helmanowi.

Helman dostrzegł zmarszczone linie szwów na palcach rękawicy. To była ręka Malthera. Helman natychmiast przyciszył głos. Agent z pewnością ma na sobie kamizelkę zawierającą płaskie baterie połączone z sobą w podnoszący napięcie transformator. Kable prowadzą do jego rękawicy. Czarna skóra jest w rzeczywistości izolacyjnym materiałem gumowym, który ma chronić agenta po chwyceniu ofiary ręką Malthera i zamknięciu obwodu. Lśniaca gładkość rękawicy jest w rzeczywistości warstwą kremu przewodzącego, który ma zadanie polepszyć przepływ prądu. Urządzenia te produkowano w Niemczech, oficjalnie dla ochrony policji tylko w sytuacjach wymagających zapanowania nad tłumem. Transformator można nastawić na dowolną siłę wstrząsu, od lekkiego do śmiertelnego. Ręk Malthera powszechnie używano w Ameryce Środkowej podczas przesłuchań. Helman nie miał ochoty sprawdzać, na jaki poziom nastawiony był transformator agenta.

– Wejdzimy do baru? – powiedział agent i opuścił rękę.
Helman potrząsnął głową.

– Do zachodu słońca jest mniej niż pół godziny. Ona wkrótce się zbudzi. Nie mogę ryzykować, muszę tam być. Jakie wiadomości od Westona?

– Powiedziałem panu. Żadnych nowin. Pogoda zmusiła jego samolot do lądowania w Chicago. Dlatego nie ma go tu jeszcze. Chce wiedzieć, czy ma pan jakieś wyobrażenie o tym, dokąd kieruje się ta kobieta. Mógłby pojechać naprzód i spotkać się z panem jutro.

– Agent bez przerwy przeczesywał spojrzeniem westybul, szukając obserwatora, którego wzrok zatrzymałby się nieco dłużej na Helmanie rozmawiającym z nim w kącie. Jak do tej pory byli bezpieczni.

– A co z moją siostrą i jej dziećmi?

– Wszystko przebiega tak, jak przewidywaliśmy. Tylko tyle wiem. A teraz, dokąd jedzie ta kobieta? Z Westonem może pan porozmawiać jutro.

Na ulicy paliły się już latarnie. Adrienne wkrótce zbudzi się. Helman potrzebował ochrony ze strony Projektu Nevada. Musiał iść na współpracę.

– Nacimiento – rzekł. – Małe miasteczko na wybrzeżu Kalifornii. Mniej więcej w połowie drogi między San Francisco...

– I Los Angeles – powiedział agent.

– Zna je pan? – spytał Helman.

– Trochę. Kiedy po raz pierwszy dowiedzieliśmy się o jezuitach, lecz zanim dowiedzieliśmy się, że są jezuitami, sądziliśmy, że mogą mieć związek z osobliwą sektą chrześcijańską, którego ośrodkiem jest Nacimiento. Nie zdołaliśmy się do niej zbliżyć. Kiedy dowiedzieliśmy się prawdy o jezuitach, porzuciliśmy śledztwo. Czy ta kobieta ma coś wspólnego z tą sektą?

Najwyraźniej ci z Projektu Nevada nie wiedzieli wszystkiego.

– Nie – odrzekł Helman. – Z Ojcem.

– Ojcem czego?

– Proszę powiedzieć Westonowi, że mam dla niego pewne informacje, kiedy zdecyduje się skontaktować ze mną. – Helman był górami. Odwrócił się w stronę wind.

– Proszę to powiedzieć mnie – powiedział agent i chwycił Helmana za ramię. Nic mu nie groziło ze strony ręki Malthera, dopóki nie dotykała gołej skóry.

Helman odwrócił się powoli i szepnął:

– No i kto tu robi scenę. Niech pan to włączy, jeśli chce – rzekł, wskazując na rękę – lecz jeśli nie będzie mnie na górze, kiedy ona się zbudzi, to już ją straciliście. A sądząc z tego, jak zachowuje się ostatnio Weston, niezbyt miło będzie znaleźć się w takiej sytuacji. Proszę mu powiedzieć, że porozmawiam z nim, kiedy tylko on będzie miał ochotę porozmawiać ze mną.

Agent wypuścił ramię Helmana. Helman wszedł na górę odpięczętować schronienie Adrienne. Agent poszedł do samochodu, gdzie czekał Weston.

– Miał pan rację – powiedział agent, wsiadając do samochodu i odłączając kable prowadzące do rękawicy. – Ona jedzie do Ojca.

Weston dał kierowcy znak do odjazdu.

– Ja zrobiłbym to samo – rzekł. – Jak Helman?

– Sprawia wrażenie spiętego. Niepokoi się o siostrę. Powiedziałem mu trochę o sekcje, którą odkryliśmy w Nacimiento, więc powinien być nieco przygotowany na to, co tam znajdzie. Pozwoliłem mu jednak myśleć, że nie wiemy o Ojcu. Sądzę, że poczuł się lepiej, myśląc, że ma pan teraz powód, by się z nim skontaktować. Uwierzył w historyjkę o Chicago, ale nie był tym uszczęśliwiony.

Kierowca skręcił z piątej autostrady na czterysta piątą. O tej porze dnia szybciej można było tędy dojechać na lotnisko niż próbując przejechać przez Seattle.

Weston spoglądał na mijane miasto przez dłuższą chwilę, zanim znów się odezwał.

– Proszę kazać zamknąć Waszyngton i spotkać się z nami w Nacimiento.

Agent był wstrząśnięty. Mimo to jednocześnie dziwnie mu ulżyło. Po raz pierwszy linie frontu zostały wyraźnie zarysowane.

– Wreszcie doszło do tego? – spytał. – Jest pan pewny?

– Do kogo innego mamy pójść? Wszyscy będą niezbędni w Nacimiento. Jak pan sądzi, jak długo nasze biura będą zabezpieczone, jeśli nikt z nas nie wróci? Jak panu się wydaje, jak długo wytrzymają nasze akta? Będzie to najgorętszy materiał w Waszyngtonie od czasu nie zafałszowanego raportu na temat sekcji zwłok Williama Caseya. Trzeba będzie udzielić zbyt wielu wyjaśnień, a nie zostanie nikt, kto mógłby ich udzielić. Do czasu, gdy zakończy się pierwszy okres wylęgu i zaczną się zgony, rząd już będzie

sparaliżowany. Trzeba koniecznie zniszczyć wszystko, co znajduje się w biurze. Wszystko.

– A więc jednak wszystko poszło na marne?

– Sam Projekt Nevada tak. – Westonowi z trudem przeszło to przez gardło, lecz taka była prawda. – Mamy jednak kilka innych wyjść. Od następnego tygodnia, chyba że niektórzy z nas przeżyją, by zmienić polecenia, wybranym pisarzom za granicą zostaną przekazane pakiety informacji. Na rynku pokaże się dość książek o spisku, by ludzie zorientowali się, że coś się szykuje. Rząd nie zdoła zabronić publikowania artykułów poza granicami kraju.

– Dlaczego nie wysłać ich bezpośrednio do AMA? Do „The New York Timesa”?

– Tak wielką aferę sprawdzą przez agencje rządowe. I nikt więcej o tym nie usłyszy. Trzeba to zrobić poza zasięgiem wpływów Waszyngtonu. Proszę pamiętać, że nie mieliśmy ukrywać prawdy, ale ją gromadzić. Złożyć ją w jedną całość, by oszczędzić światu półprawd i paniki wywołanej ignorancją. Po prostu nam nie wyszło. Jakież by to było dobre epitafium. Tu spoczywa świat. Po prostu nam nie wyszło.

Agent uśmiechnął się, nie dzieląc dobrego nastroju Westona. Wszyscy przecież wiedzieli, że Weston umiera. Wolno mu było mówić takie rzeczy.

– Czy mam odwołać raport o kawie do artykułu w „Lancecie”? – zapytał agent.

Weston natychmiast spoważniał.

– Nie. Niech zostanie opublikowany. Wie pan, w końcu istnieje jeszcze jakaś szansa, że wyjdziemy z tego żywi. Artykuł dla „Lanceta” mówi o zakażeniu drogą powietrzną, ponieważ to jedyny sposób, by wiele osób mogło zostać zarażonych jednocześnie. Tyle tylko, że ponieważ wszyscy w Stanach Zjednoczonych codziennie piją kawę, jest dość miejsca na inne wyjaśnienie znalezisk. Raport na temat kawy jest doskonałym przykładem fałszerstwa w badaniach naukowych. Założę się, że „Lancet” nawet nie opublikuje pracy na temat zakażenia drogą powietrzną, kiedy ujrzy kopię tego.

– Przynajmniej niektóre rzeczy robimy dobrze – stwierdził agent.

– Jest jeszcze Nacimiento – rzekł Weston. – To oznacza „miejsce narodzin” –
Lecz czego?

Samochód mknął w stronę lotniska.

ROZDZIAŁ VII

Ojciec Klemens ścisnął krucyfiks pod płaszczem i modlił się o siłę. Miał spotkać się z jednym z nich, a wspomnienia sprzed czterdziestu lat w Hiszpanii sprawiały, że na samą myśl o tym robiło mu się niedobrze. A jeśli to znów się stanie? Wiał zimny wiatr, a płatki śniegu tworzyły aureole wokół niskich lamp, które paliły się wzdłuż ścieżki. Klemens wyczuwał ich tam. Chowali się niczym upiory w cieniu drzew i krzaków. Zastanawiał się, czy tej nocy w Central Parku zginie więcej ludzi niż zwykle.

Nowy Jork, 19 stycznia

Odgłosy miasta tworzyły tło: dochodzący zewsząd, stłumiony ryk. Przez lekki śnieg okna mieszkań otaczających park migotały niczym eksplodujące gwiazdy: przeblysł nieba w środku piekła.

Klemens siedział na ławce na szczycie małego pagórka. W dół prowadziły dwie ścieżki. Za jego plecami paliła się latarnia. Czterech scholastyków uzbrojonych w ukryte kusze stało w sporej odległości. Niewidzialni w cieniu, strzegli go przed zdradą nieumarłych. Ścieżką prowadzącą z głębi parku nadchodziła jakaś postać. Nawet bandyci nie zapuszczali się w nocy w głąb parku. Klemens ścisnął jeszcze mocniej swój krucyfiks. Postać zbliżała się.

Była zgarbiona i wyglądała jak owinięta wielkim płaszczem, który plątał jej się wokół nóg. Gdy zbliżała się do migoczącego kręgu światła rzucanego przez kołysaną wiatrem latarnię, Klemens zobaczył, że była zgięta w pół i szła dziwnie powłócząc nogami. Światło zabłysło na czymś srebrzystym wiszącym na jej szyi. Był to krucyfiks. Blask uwydatnił następne szczegóły. Postać była odziana w mnisi habit. Ciężki kaptur rzucał cień na jej twarz.

Mnich zatrzymał się przed Klemensem. Klemens zajrzał w głąb kaptura, lecz nic nie zobaczył.

Rozległ się głos starca:

– Dobry wieczór, ojcze. Nieczęsto widzi się kogoś takiego jak ty o tak późnej porze w tym miejscu.

– Kim jesteś? – spytał gniewnie Klemens. Para oddechu unosiła się z jego ust. Nie dostrzegł, że z wnętrza kaptura nie wznosił się podobny obłok.

– Podróżnym na ścieżce Pana – rzekła postać. Podniosła dłonie w rękawiczkach do kaptura i zsunęła go. Wyłoniła się z niego twarz starego mężczyzny, miękko obramowana gęstą, siwo-czarną brodą. – Mogę trochę posiedzieć przy tobie, ojcze? – zapytał stary mnich, wskazując na ławkę.

– Nie, nie. Odejdź. Przeszkadzasz. – Klemens był zdenerwowany i zakłopotany. Co robi mnich w Central Parku?

Starzec potrząsnął głową.

– Nie nazwałbym tego chrześcijańskim miłosierdziem, ojcze Klemensie. A może czekasz na ministranta, żeby odprawił specjalne modły na twoich kolanach?

Klemens wstał w gniewie.

– Jak śmiesz... – I wtedy zdał sobie sprawę, że starzec zwrócił się do niego po imieniu. I wtedy uświadomił sobie...

Starzec uśmiechnął się szeroko. Broda rozstała się i drapieżne kły błysnęły w świetle latarni. Dostojny Diego stanął się na spotkanie.

Czas przestał płynąć, gdy Klemens spojrzał na kły i znajome oczy, rozpoznając twarz sprzed czterdziestu lat. Otchłań znów wyciągała po niego ręce, wołała go. Musi się oprzeć. Klemens wyszarpnął krucyfiks spod płaszcza i przysunął go groźnie ku twarzy Diega.

– Precz w imię Boże.

Diego ponownie uśmiechnął się i spojrzał na krucyfiks.

– Jaki elegancki przedmiot, ojcze Klemensie – rzekł. – Obawiam się jednak, że nie tak elegancki jak mój. – Podniósł krzyż wiszący na jego szyi i przysunął do twarzy Klemensa. – Przyjrzyj się robocie – ciągnął. – Mistrzowskiemu rzemiosłu. Dostałem go w podarunku, kiedy służyłem ojcu Lavalette na Martynice ponad dwieście lat temu. Z pewnością pamiętasz go, ojcze Klemensie? Byłem jego doradcą finansowym.

Ojciec Lavalette był jezuitą, którego nieudane inwestycje spowodowały ruinę Towarzystwa. Klemensowi zakreśliło się w głowie od tego, co mu ujawnił Diego.

– *Sacrilege* – wymamrotał Klemens, nie mogąc oderwać wzroku od przekłętego potwora trzymającego wizerunek Boga. A mimo to ta bestia była cała! To niemożliwe. Klemens sam widział wampiry poparzone straszliwie dotykiem poświęconego przedmiotu i święconą wodą. Diego płatał mu jakąś diabelską sztuczkę.

– *Sacrilege!* – wykrzyknął znów i przycisnął krucyfiks do twarzy Diega.

Diego nie poruszył się. Krzyż uderzył go w twarz, zdzierając część sztucznej brody, która zasłaniała jego kły. Diego podniósł rękę i zacisnął ją na nadgarstku Klemensa. Ścisnął. Kości zazgrzytały boleśnie w przedramieniu jezuity.

– Czy pewien jesteś, że trzymasz go dość blisko, księżę? Czemu nie bliżej? – Diego podniósł dłoń Klemensa, jakby bawił się z dzieckiem. Zmusił księdza do przyłożenia krzyża pośrodku swojego czoła. Ręka Klemensa poruszała się w uścisku wampira, jakby należała do kukielki. Łzy bólu spowodowanego zmiążdżeniem kości ciekły mu po twarzy, zamarzając na lodowatym wietrze.

– Co to, księżę? – rzekł Diego z udawanym zdumieniem. – Ten najświętszy z przedmiotów nie zostawił śladu na moim ciele? Poruszył znów ręką Klemensa. Na jego czole nie było najmniejszego śladu. – A może tutaj? Albo tu?

Diego ciągnął rękę Klemensa z jednego miejsca na drugie, szarpiąc nim niczym szmacianą lalką. Przycisnął krucyfiks do jednego policzka, potem do drugiego i do szyi. Wreszcie, wykręciwszy wściekle Klemensowi rękę, aż chrupnęło w barku, zmusił księdza do przyłożenia krucyfiks do swego krocza. Klemens czuł wzwód Diega dotykający wizerunku Jezusa. Jezuita wyszarpnął rękę i rzucił zbezczeszczony krucyfiks na ścieżkę. Diego zaśmiał się i wypuścił go.

– Wygląda na to, że twój Bóg nie chce uczynić mi krzywdy, ojcze Klemensie. Cóż za dziwny bieg wydarzeń. Wydaje mi się, że chcę mu za to podziękować.

Klemens przyciskał palący nadgarstek do piersi. Czemu Bóg opuścił go w takiej chwili? Jak ten szatański pomiot może dotykać w taki sposób świętego przedmiotu?

Diego nachylił się i podniósł krzyż.

– Prawdę mówiąc – rzekł – chciałbym go ucałować.

Diego uniósł wizerunek Jezusa do warg i zaczął go ssać. Językiem oblizywał krawędzie drobnej figurki.

– Przestań! – Klemens wrzasnął co sił w płucach. – Przestań w imię Boże! – Łzy, które teraz płynęły mu po twarzy, były łzami wściekłości, a nie zapomnianego już bólu.

Diego nagle przestał. Podał krucyfiks Klemensowi. Ślina ściekała nieprzyzwoicie z małej, srebrnej figurki zamarłej w męce na krzyżu.

– Chcesz go z powrotem, ojczy Klemensie?

Ojciec Klemens zamachnął się i wytrącił krucyfiks z ręki Diego. Krzyżyk spadł na ciemną, przyprószoną śniegiem trawę obok ławki.

– Ach – rzekł Diego. – To pierwsza mądra rzecz, jaką zrobiłeś od lat. Gratulacje. Odrzuciłeś ten głupi przesąd.

– Zbaczycieś go – powiedział Klemens.

– Pomyśl o wszystkich tych razach, gdy te przedmioty bezczęściły biednych *yberów*, którzy o niczym nie mieli pojęcia. Ale ja mam, ojczy Klemensie. Nie godzę się z zabobonnymi naukami twego Kościoła, więc te zabobony straciły zdolność wyrządzenia mi krzywdy. Wiem, że ty też w nie nie wierzysz.

Klemens wbił płonący wzrok w Diego.

– Kłamstwa – splunął.

– Ach, Clemencito. – Diego wyciągnął rękę i pogłaskał Klemensa po policzku. Ksiądz odskoczył jak oparzony. – Postarzałeś się strasznie, lecz duch, którego tak podziwiałem, nie zagaśł w tobie. Cieszę się. Tęskniłem za tobą jako mym chowańcem.

Klemens gwałtownie odwrócił się ku głębokim ceniom w oddali, gdzie kryli się scholastycy.

– On kłamie! – wrzasnął. – Zabijcie go! Zabijcie go natychmiast!

Głos Klemensa zagłuszył wiatr i ryk Nowego Jorku.

– Twoich scholastyków tam nie ma, Clemencito. Jeśli zakończymy spotkanie w duchu przyjaźni, wypuścimy ich całych. Jeśli nie, spotka ich to samo, co twego przyjaciela Benedykta.

– Powiedziałeś, że wolno nam będzie przyprowadzić innych. Powiedziałeś, że nie będziecie się wtrącać. – Klemens był naprawdę wstrząśnięty złamaniem rozejmu, który Diego ogłosił na czas spotkania.

– Obawiam się, że skłamałem, księżo. Nie martwię się jednak, że pójdę do piekła.

Ty natomiast, powinieneś martwić się swym odejściem w nicość. Pamiętam, że bardzo cię to niepokoiło, kiedy po raz pierwszy przyszedłeś do mnie, tyle lat temu. Bezsensowność śmierci budziła w tobie lęk, niewiarygodny lęk. A ja zaproponowałem ci wyjście. Zaproponowałem ci prawdziwe życie wieczne. A jednak tej nocy, gdy miałeś przyłączyć się do mnie, odszedłeś. Wstąpiłeś do wojska czarnego papieża, poszukując tam wymyślanego życia po śmierci. Spójrz teraz na siebie. Jesteś stary. Zgarbiony. Nawet gdybym teraz wziął cię, spędziłbyś wieczność jako starzec. Ojciec Tironos. Czy wiesz, czego się wyrzekłeś?

Klemens spojrział w nocne niebo. Próbował zapomnieć o tych wczesnych dniach swych poszukiwań, o czasach, gdy duszę ranił mu ból pozostających bez odpowiedzi pytań, z którymi każdy kiedyś musi się zmierzyć. Nie wiedział wtedy, co ma ze sobą począć. Był lekkomyślny. Usłyszał o dziwnym filozofie w pobliżu ruin Madrytu, który podobno udzielał odpowiedzi. Klemensa zdumiały owe odpowiedzi. Doprowadził się nieomalże do zaakceptowania ich samemu. A w końcu Eduardo Diego y Rey rzeczywiście pomógł Klemensowi odnaleźć spokój. Diego bowiem pokazał mu, że szatan istnieje. A tam, gdzie istnieje szatan, Bóg również musi istnieć. Klemens uciekł tej samej nocy, której miał być wprowadzony do posiadłości Diega jako chowaniec. Od tej pory toczył bój z Diegiem i wszystkim, co sobą reprezentował. Nie spodziewał się go znów ujrzeć. Wspomnienia wytrąciły go z równowagi. Noc była zimna, a Bóg, któremu ufał, zdawał się tracić swą władzę nad złem.

Diego czekał cierpliwie. Po czterystu latach wiedział, o czym myślą ludzie. Wiedział, co dręczy Klemensa: a jeśli mylił się?

– Dziewczyna, Klemensie – zaczął Diego. – Ta dziewczyna również nie wierzy. Dlatego chce przyłączyć się do Amerykanów. Sądzi, że nauka potrafi pokonać jej stan. Ona jest obłąkana. Jest dla was zagrożeniem.

Klemens nie był aż tak zbity z tropu.

– Ona jest również zagrożeniem dla ciebie, wampirze.
– Połączmy więc na razie siły, by unicestwić wspólne zagrożenie.
– Czemu Towarzystwo miałoby pomagać swemu zaciekłemu wrogowi?
– Ponieważ sami nie zdołacie zwyciężyć. Bez względu na to, jakich środków użyjecie. Heathrow okazało się katastrofą, księżę. Zginęli cywile. Żołnierze z kuszami.

Niewiarygodne. Pułkownik odpowiedzialny za te jatki został znaleziony w swym gabinecie następnego dnia. Zabił się sam. Przypomina mi to robotę kogoś znajomego.

– Żadnych sztuczek, wampirze. Obaj wiemy, dlaczego walczymy.

– Tę kobietę trzeba koniecznie zlikwidować.

– Tak.

– Nasi ludzie wzajemnie sobie przeszkadzają. Na Heathrow wasi żołnierze zmusili moich wysłanników do wycofania się po klęsce. W Toronto nasz zabójca pomógł jej uciec. Musimy współpracować.

– Jak?

– Konklawe wie, gdzie pojechała się ukryć. Nie możemy tam jej osiągnąć. Wy możecie.

– Gdzie ona jest?

– Zabijecie ją?

– Zabijemy was wszystkich. Gdzie?

– Duch młodości – uśmiechnął się Diego.

– Gdzie?

– Nacimiento.

– Diabelski Ojciec udzielił jej schronienia? – Klemens był wstrząśnięty. – A ty ośmielasz się sprzeciwić temu, co on rozkaże?

– Clemencito, twój Bóg, moje Konklawe, to wszystko przesady. Ojciec nie jest diabłem. Krucyfiks nie jest wcieleniem Boga. Kiedy modlisz się, jesteś jedyną istotą, która słucha. Wiem, że kiedyś tak myślałeś. Rusz znów głową i uwolnij się od więzów dawnych przekonań.

Klemens cofnął się.

– Szatan mówi przez ciebie – powiedział głosem brzmiącym głucho w ośnieżonej nocy. – A nawet jeśli nie, i tak jesteś piekielnym pomiotem z powodu tego, co zrobiłeś ojcu Benedyktowi. Wystarczająco złe było to, że uczyniono to w służbie piekła. Po dwakroć jednakże jest przeklęte, jeśli uczyniono to w imię nicości. Bezsensu. Zgładzimy tę kobietę. A ponieważ Konklawe tchórzliwie kryje się pod skrzydłami ojca demonów, zniszczymy Nacimiento. A potem, wampirze, ja osobiście zgładzę ciebie. Możesz zbezcześcić tyle krucyfiksów, ile zapragniesz. To nie ma znaczenia. Niosę mego Boga w

sobie, gdzie nie zdołasz go osiągnąć. Ujrzę cię straconego do otchłani. Wampir! Potwór! Demon!

Klemens splunął na ziemię przed Diegiem i zbiegł ścieżką wiodącą do wyjścia z parku.

Diego stał przez chwilę nieruchomo, pogrążony w zamyśleniu.

Po minucie ściągnął sztuczną brodę. Jego kły były szokująco widoczne na tle dolnej wargi. Zsunął rękawiczki, i na czubkach jego długich, kościstych palców zabłysnęły szpony. Nowy Jork był jedynym miastem na świecie, gdzie nikt nie ośmieliłby się mieć pretensji o jego wygląd, jeśli w ogóle zostałby on zauważony.

Wybrał najlepiej oświetloną trasę do miejsca, gdzie czekała na niego limuzyna. Pewien spóźniony biegacz nieomal przewrócił się na widok twarzy Diega widocznej w blasku latarni. Diego czuł pokusę, lecz pozwolił biegaczowi ujść z życiem. Spotkanie potoczyło się dokładnie tak, jak zaplanował. Zaszokował na początku Klemensa w najgorszy z możliwych sposobów, w jaki można go było zaszokować. W tym stanie, oszołomiony mącącymi mu w głowie wspomnieniami przeszłości, jezuita rzucił się na propozycję, jaką mu złożył Diego. Przyjął ją bez żadnych zastrzeżeń. Diego mógł być pewny, że Klemens zabierze się do wypełniania swych grózb z niszczycielskim zapalem fanatyka i fanatycznym brakiem zastanowienia.

Wszystko to takie łatwe do przewidzenia. Wtedy, tak dawno temu, Diego również wiedział, że młody Klemens oprze się pokusie wstąpienia w szeregi *yberów* i ucieknie do Kościoła. Zabójca Adrienne był pierwszym człowiekiem, który od wielu dziesiątków lat stanowił jakieś wyzwanie dla Diega. Szkoda że wyglądało na to, iż połączył swój los z losem tej dziewczyny. Jej postępowanie też można było przewidzieć. Diego z przyjemnością rozprawiłby się z samym Helmanem.

Z całą pewnością przyjemność sprawiło mu rozprawienie się z siostrzeńcami Helmana. Tak dużą, że nawet uczynił wyjątek w swej starej regule dotyczącej komunii dla dzieci. Cieszył się, że jeszcze zostało na świecie parę rzeczy, których mógł oczekiwać z przyjemnością. Ciekaw był, czy będzie miał okazję porozmawiać z Ojcem. Zobaczyć, jak on tego dokonał. Jak można żyć dziewięćset lat i nie zabić się? Diego był *yberem* od nieco więcej niż czterystu lat, a już czasami nuda podsuwała mu pokusę wyjścia wprost na

wschód słońca. Miał rozpaczliwą nadzieję, że sytuacja się zmieni, kiedy Plan Ostateczny zostanie wypełniony.

Zbliżając się do limuzyny postanowił, że poleci wypatroszyć czterech pojmanych scholastyków i odesłać ich do jezuitów w pudełkach. Każę ich wypatroszyć żywcem, ponieważ wiedział, że lekarze jezuitów potrafią ustalić to na podstawie sekcji zwłok.

To utrzyma Klemensa w odpowiednim nastroju.

ROZDZIAŁ VIII

Kiedy „naród” wprowadził się do Nacimiento pod koniec lat sześćdziesiątych, mieszkańcy miasteczka poważnie się zaniepokoiłi. Bezpostaciowy strach narastający w sercach i umysłach konserwatywnych ludzi w średnim wieku na widok kontrkultury, która rozpełzała się po całej Ameryce niczym grzyb po ścianie, wreszcie miał na czym się skupić. W Los Angeles miały miejsce morderstwa. Żonglowano słowami „sektą” i „Manson”, tak jak przez pięć lat marihuany i wolnej miłości powtarzano: „a nie mówiłem”. „Naród”, który wykupił posiadłość Randa, był wystarczająco dziwaczny, by miejscowi nazwali ich hipisami. Spodziewali się najgorszego. Lecz lata mijały i nie wydarzyło się nic wielkiego. „Naród”, odziany w białe szaty, chodził swymi drogami, lecz płacił podatki, a miasteczko szło swoją drogą. Żadna ze stron nie miała powodów obawiać się drugiej. Prawdę mówiąc, jedyne, czego Ojciec obawiał się, spoglądając na oświetlone blaskiem księżyca wzgórze z wieży obserwacyjnej głównego budynku, to to że wszystkie potrzebne siły nie zostaną zgromadzone odpowiednio na czas.

Nawiedziły go kolejne sny.

Nacimiento, 20 stycznia

Posiadłość Randa wybudował pod koniec lat trzydziestych Charles Foster Rand. Był jednym z głównych doradców Williama Randolpha Hearsta i kustoszem jego olbrzymich

kolekcji. Niejeden rezultat jego znajomości historii sztuki oraz błyskotliwości w prowadzeniu interesów znalazł się w należącym do Hearsta monumentalnym hymnie pochwalnym na cześć obsesji: San Simeon, znajdującym się kilka mil stąd na wybrzeżu.

Rand poświęcił wiele lat wiecznie trwającej i nigdy nie ukończonej budowie zamku Hearsta. Mury, sufity i posadzki ze starych europejskich budowli pieczołowicie rozebrano i wysłano na wybrzeże Kalifornii. Tam Rand wraz z masą architektów wybudował betonowe, odporne na trzęsienia ziemi pudło, w którym miały się pomieścić zrekonstruowane pokoje. Zamek rósł jak nowotwór, ciągle rozpełzając się w nieprzewidzianych kierunkach. W komnatach z dziesiątego wieku znajdowały się pomieszane zbiory XVI-wiecznych antyków, współczesnych reprodukcji i glinianych naczyń z czasów przed powstaniem Rzymu. Po sześciu latach pracy w tak frustrujących warunkach, Rand w rozpaczy zaczął budowę własnej posiadłości w Nacimiento. Była to jego odpowiedź na zamek Hearsta. Nie miał pieniędzy Hearsta, by ją wybudować, lecz miał coś, czego brakowało Hearstowi: gust.

Początkowo majątek rozciągał się na łagodnych wzgórzach z widokiem na Pacyfik, na przestrzeni ponad tysiąca akrów. Z powodu sprzedaży, dokonanych przez późniejszych właścicieli, był obecnie zredukowany do niecałych pięćdziesięciu akrów. Jednakże elegancki główny budynek zachował się.

Ogólny zarys domu Rand oparł na planie przestrzennych, wczesnogreckich willi znanych z wykopalisk. Główny budynek miał kształt litery U odwróconej na zachód, tak że trzy jego strony wychodziły na przepiękny basen i fontannę na głównym dziedzińcu, oraz olśniewające zachody słońca nad Pacyfikiem. Na dole owego U główny budynek wznosił się klasycznymi proporcjami do wysokości czterech pięter. Od strony wschodu szklana ściana, imponujące osiągnięcie w tamtych czasach, wychodziła na ogród w stylu francuskim i rozległą przestrzeń. Wszystko zbudowano według nowoczesnych projektów, najnowocześniejszych, jakie można było sobie wyobrazić w latach trzydziestych. Posiadłość była doskonałą świątynią stylu znanego pod nazwą art deco, w swych czystych, idealnie rozmieszczonych liniach i solidnie określonych przestrzeniach.

Zdjęcia posiadłości, po raz pierwszy wykonane w latach pięćdziesiątych, pojawiły się w każdej niemal książce na temat zachodniej architektury. Od ponad dwunastu lat nie sfotografowano wnętrza posiadłości Randa. Od czasu, gdy wprowadził się tam „naród”: chowańcy i wysłannicy Ojca.

Rand zmarł w 1959. Beznadziejnie zakochał się w chłopcu, który był związany kontraktem z wytwórnią filmową znaną z filmów dziecięcych. Chłopiec odwzajemniał uczucia Randa z młodzieńczą namiętnością. Wytwórnia dowiedziała się. Kontrakt chłopca został zerwany. Jego rodzice zabrali go z Kalifornii i odesłali do domu w Idaho.

Wybuchł straszny skandal. Rand rzucił się na marmurowy dziedziniec z wieży obserwacyjnej głównego budynku.

Następny właściciel usiłując zarobić na popularności zamku Hearsta w San Simeon, próbował organizować wycieczki po posiadłości Randa. Nie była wystarczająco kiczowata. Właściciel sprzedał ją przed upływem roku. Nacimiento powróciło do roli osiedla obsługującego autostradę numer jeden. Tylko raz dwa motele były pełne – kiedy zajęto wszystkie miejsca w motelach w San Simeon i Cambria.

Było to miasteczko idealne dla kogoś, kto miał ponad dziewięćset lat i pragnął spokoju, zarówno ze strony ludzi, jak i *yberów*. Nie było jednakże przygotowane na najazd straszliwych sił, które nadciągały.

Doskonale czarne, nie mrugające oczy Ojca dostrzegły zbliżanie się pierwszych z nich, daleko na drodze od strony południa. Dwa reflektory wkrótce omiotą szosę nad brzegiem morza. Przesuną się małym skrótem do jego domu. Zszedł z wieży obserwacyjnej, by się przygotować.

To, co mu się przyśniło, zaczęło się wiele dni temu.

Skończy się już niedługo.

ROZDZIAŁ IX

Wynajęty mustang mrucał, mijały kolejne kilometry. Stawką w tym wyścigu było ich życie, życie tych, których Helman kochał, a także w pewien niejasny sposób wszystkich

ludzi na świecie. Helman sądził, że jeśli będzie mógł powiedzieć Adrienne o swoich kontaktach z Westonem i Projektem Nevada, jeśli uda się jej wytłumaczyć, dlaczego to zrobił, wtedy oboje znajdą jakiś sens w tej pajęczynie niezrozumienia, w jaką oboje byli uwikłani. Ryzyko było jednak zbyt wielkie. Jeśli jest tak przeciwna kontaktom z rządem, jak twierdził Weston, wtedy Projekt Nevada straciłby ją. Helman też by ją utracił. Nie chciał, żeby tak się stało. Nie wiedział dokładnie, czego chce, lecz wiedział, że musi spędzić z nią trochę więcej czasu. Coś ich do siebie ciągnęło. Był pewien, że ona też to czuje. Obojgu jednak był potrzebny spokój i koniec uciekania, żeby się z tym pogodzić. A potem, być może, pomyślał Helman, będą mieli dla siebie tyle czasu, ile tylko zapragną. Wieczność.

– Zjazd będzie za jakieś kilka kilometrów – powiedziała Adrienne, przerywając tok jego myśli.

– A jaki będzie przy nim napis: „Tędy do wampirów”?

Adrienne uśmiechnęła się. Nigdy przedtem nie czuła się tak odprężona w towarzystwie człowieka. Helman zaakceptował ją jako osobę, za którą się podawała, taką jak wszyscy, tylko chorą. Jeśli Ojciec udzieli im schronienia, wtedy wraz z Helmanem będą mieli czas, którego im było potrzeba. Nie będzie już wtedy *yberem*. Będzie istotą ludzką.

– Napis brzmi „Zbiornik Nacimiento”. Miasteczko nie ma nawet znaku granicy.

Helman wpatrywał się w przestrzeń za snopami świateł reflektorów samochodu. Na nadbrzeżnej szosie nie było ruchu, lecz rozglądał się, czy nie ma gdzieś na poboczu zaciemnionych pojazdów, które mogłyby zniemacka ruszyć za nimi w pościg.

– Wiele mogło się zmienić od czasu, gdy ostatni raz tu byłeś – powiedział.

– Ostatnia wizyta ze świtą Diega odbyła się zaledwie pięć lat temu. Małe miasteczka nie zmieniają się tak szybko. Kiedy chowańcy Ojca powiedzieli Diegowi, że Ojciec znów nie życzy sobie go widzieć, ten zastanawiał się nad spaleniem całego miasta. Powiedział jednak, że upłynie dziesięć lat, nim ktokolwiek zauważy jego brak.

– Diego sprawia wrażenie czarującej osoby.

Adrienne śmiertelnie spoważniała.

– Nie wolno ci lekceważyć go, Granger. To on zajął się zgromadzeniem dowodów w sprawie Delvecchio... – urwała, przez moment niepewna. Potem użyła słowa,

którego on już użył: – ...dowodów zamordowania Delvecchio, które miały być użyte przeciwko tobie. Zarówno King, jak i Rice są z nim w stałym kontakcie. Diego był odpowiedzialny za straszną śmierć Jeffery'ego i jestem pewna, że jego stanowisko w Konklawe jest uzależnione od pozbycia się również mnie. Pamiętaj, że to właśnie on zachęcał mnie do pracy na początku. Jeśli któreś z nas spotka go twarzą w twarz, nie przeżyje tego.

Znak zjazdu pojawił się niespodziewanie i Helman zahamował w ciemności.

– Dlaczego sądzisz, że Ojciec udzieli nam schronienia, skoro odmawiał utrzymywania jakichkolwiek kontaktów z wszystkimi *yberami* przez ostatnie dwieście lat?

– Kiedy powstało Konklawe i Droga stała się naszą świętą nauką, Ojciec odmówił wzięcia w tym udziału. Już wtedy był zbyt potężny i darzony zbyt wielkim szacunkiem, by Konklawe go zgładziło. Jest mentorem setek *yberów* na całym świecie. Od tamtych czasów słynie z tego, że przygarnia *yberów*, którzy zerwali z naukami Drogi. Większość z tych, którzy przychodzą, by służyć jako jego wysłannicy, jest odręczana. Przyjmuje bardzo niewielu. Nikt nie wie, czym się wtedy kieruje. Ale ty i ja przynajmniej będziemy mieli szansę.

– Przedstawisz mnie jako swego chowańca?

– Nie jesteś moim chowańcem, Granger. Nie okłamię Ojca. Przedstawię cię jako mego przyjaciela, który pomaga mi w pracy.

Helman coś sobie przypomniał, jadąc powoli wąską, krętą drogą przez nadbrzeżne wzgórza.

– Wtedy w Toronto – rzekł – kiedy Rice udzielał mi informacji o tobie, zapytałem go, czy ty i Chris Leung jesteście kochankami.

Adrienne nawet nie drgnęła. Wydawało się, że wie, dokąd może prowadzić to pytanie.

– Co ci powiedział Rice? – spytała.

– Powiedział, że to niemożliwe. Sprawiał wrażenie zde gustowanego.

– Dla Rice'a taki związek pomiędzy *yberem* a istotą ludzką, jeśli nie jest to część komunii, przypomina spółkowanie ze zwierzęciem. Z punktu widzenia *yberów* istoty ludzkie znajdują się dużo niżej niż oni.

- A więc nie jest to niemożliwe?
- Nie, Granger, nie jest niemożliwe.

Nie zadawał więcej pytań o przeszłość. Raz po raz Adrienne udzielała wskazówek, jak jechać, a poza tym milczeli. Myśleli o czasie, którego nikt i nic nie przerwie.

Chowańcy Ojca powiedzieli im, że są oczekiwani. Adrienne i Helman siedzieli w olbrzymim salonie tuż przy widowiskowym, wysokim na cztery piętra korytarzu wejściowym. Helman był pewien, że Ojciec spodziewał się ich przybycia, ponieważ w jakiś sposób był powiązany z Konklawe. Miał uczucie, że czeka wraz z Adrienne na zatrzaśnięcie się pułapki.

Helman zapytał chowańca, skąd Ojciec wiedział, że należy się ich spodziewać. Odparł, że Ojciec miał sen. Mówił o tym z tak nabożnym szacunkiem, jakby było to rzadkie i dziwne wydarzenie. Adrienne poinformowała Helmana, że rzeczywiście tak jest.

– *Yberowie* nie śnią, Granger.

– Nigdy?

– Żaden nigdy nie zapamiętał snu. Jeffery i ja byliśmy podłączeni do elektroencefalografów przez miesiące i nie znaleźliśmy nawet śladu snu pośród zapisów naszych fal mózgowych w czasie snu.

– Jaka może być tego przyczyna?

– Wydajność, jak sądzę. Tak jak nasze ciała zaczynają funkcjonować niewiarygodnie wydajnie, tak samo dzieje się z naszym umysłem. Nasze wspomnienia nie napotykają właściwie na żadne przeszkody. Nasze zmysły wyczulają się. Doszliśmy do wniosku, że *yberowie* nie śnią, ponieważ nie ma takiej potrzeby. Nasz umysł natychmiast przetwarza wszystkie informacje napływające w ciągu nocy. Nie ma potrzeby przekładania danych z miejsca na miejsce i umieszczania we właściwych przegródkach, które musi trwać, podczas gdy my znajdujemy się w stanie nieświadomości. Takie jest powszechne wytłumaczenie przyczyny, dla której ludzie śnią.

– Więc dlaczego Ojciec zaczął nagle śnić po dziewięciuset latach?

Adrienne wzruszyła ramionami.

– Pierwsze symptomy zmian z człowieka w *ybera* następują w ciągu dwudziestu czterech godzin. Stare siekacze wypadają i wyrastają nowe kły. W ciągu sześciu miesięcy

zlewają się narządy wewnętrzne. Po upływie roku *yberowie* są w stanie wyczuć nawzajem swoją obecność przy pomocy zmysłu, którego nie udało nam się zidentyfikować, a jest on prawdopodobnie natury telepatycznej. Nasze ciała ciągle zmieniają się z upływem wieków, a nasza siła i zdolności wzrastają. Ciało Diega dość mocno różni się od ciała kogoś, kto jest *yberem* od kilku zaledwie lat. Ojciec musiał jeszcze bardziej się zmienić. Być może po upływie tysiąclecia odzyskujemy zdolność marzenia we śnie. Może nawet jesteśmy zdolni zaglądać w przyszłość.

Helman miał wrażenie, że to zaczyna wykraczać poza granice nauki.

– Albo może nawet zmieniać się w nietoperze lub chmury kurzu? – zapytał sarkastycznie. Przyjął istnienie *yberów* za zjawisko naturalne, ale na pogodzenie się z rzeczami bardziej fantastycznymi nie miał już siły

Lecz Adrienne nadal była poważna.

– Choć żadnego z nich nie znałam osobiście, legendy o zmiennokształtnych do dziś są żywe w naukach Drogi. Kto wie, jakie jeszcze dalsze moce mogą być przed nami?

Helman wziął Adrienne za rękę.

– Mnie wydajesz się bardzo ludzka – powiedział. Ścisnęła jego dłoń w odpowiedzi.

– Czuję się bardzo ludzka przy tobie.

Drzwi od strony wejścia otworzyły się na oścież. Chowaniec, starsza kobieta w wieku około pięćdziesięciu lat, ubrana w prostą, białą szatę z wysokim, obcisłym kołnierzem, uśmiechnęła się do nich. Za nią stało dwóch innych chowańców, podobnie odzianych. Za ich plecami znajdowała się wysoka, biała postać, której Helman nie mógł wyraźnie dostrzec.

– Ojciec przyjmie was teraz – powiedziała kobieta.

„Ojciec musiał jeszcze bardziej się zmienić”, powiedziała wtedy Adrienne. I nie myliła się. Oboje zaskoczył jego widok, gdy wszedł do pomieszczenia. Adrienne pierwsza przyzwyczaiła się do niego. Helmanowi zajęło to więcej czasu.

Wygląd Ojca był groteskowy. Nie chodziło o to, że był zniekształcony czy wykrzywiony w niesamowity i niewyobrażalny sposób, lecz było w nim tyle drobnych odstępstw od normy, że sprawiało to wrażenie, jakby postać ta była oglądana w ciemnym, cichym

pokoju. Widziana kątem oka była do przyjęcia, lecz jeśli odważyłeś się przyjrzeć wszystkim szczegółom, zaczynała się groza.

Miał dużo ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Ubrany był w prosty, biały burnus przypominający szaty, jakie nosili jego chowańcy. Ci troje, którzy znajdowali się w pokoju, spoglądali na niego z czcią.

Obnażone stopy i kostki wystawały spod obrzeża szaty, podobnie jak dłonie i ramiona z luźnych rękawów. Wydawało się, że jego ciało pozbawione jest muskulatury. Kości obciążone były cienką, matową, białą skórą, niczym próżniowo pakowaną folią plastikową. Każdy staw i sztywne ścięgno było uwidocznione. W niezbyt silnym świetle Ojciec sprawiał wrażenie półprzejrzystego czy też stopionego.

Jego twarz była taka sama.

Wydawało się, że żadne mięśnie nie wypełniały głębokich dołów w miejscach, gdzie skóra przywarła ciasno do czaszki. Nie miał warg. Zęby, z których wszystkie były niesamowicie białymi, ostrymi kłami, wyłaniały się niespodziewanie ze ślimaczobiałych dziąseł widocznych tuż poniżej jednego nozdrza. Nos Ojca dawno został wchłonięty i tylko pojedynczy, głęboki otwór ział pośrodku twarzy, przypominającej trupią czaszkę. W ustach migało coś równie czarnego.

Uszy były zaledwie niewielkimi wypukłościami, które częściowo przesłaniały płątanię ścięgien, żył i nerwów widocznych przy stawie szczękowym.

Był zupełnie bezwłosy. Zupełnie wyschnięty. A oczy czyniły go zupełnie niehumanicznym.

Były matowoczarne. Żadnej źrenicy, żadnej tęczówki, żadnej wilgoci. Tylko czerń suchych, martwych kamieni. Potrafiły spoglądać bezpośrednio na Helmana, Adrienne i wszystkich pozostałych w pokoju bez poruszania się. Widziały wszystko naraz. Widziały wiele rzeczy, których nikt inny nie był w stanie dostrzec.

Helman beznadziejnie pogrążył się w nich, przejęty niezmiernym wstrętem do niekompletnego potwora, który stał przed nim.

Ojciec nie spuszczał go z oczu, bez wysiłku podchodząc do krzesła stojącego pośrodku pokoju naprzeciw dwójki gości. Helman miał wrażenie, że siła ciężkości nie miała władzy nad tym dziewięćsetletnim stworem. Mógłby przejść przez stertę kruchych

jesiennych liści i nie zgnieść żadnego z nich.

Ojciec uśmiechnął się do Helmana, podnosząc dwa maleńkie skrawki ciała na krawędziach ust. Wysunął język spomiędzy zębów, poruszając nim jak jaszczurka. Jego język był wyschnięty, rurkowaty i zakończony jakby stożkowatym strupem, który przypominał żądło pszczoły.

– Nie przywykłeś do takich, jak my – rzekł.

Dopiero po chwili Helman zdał sobie sprawę, że Ojciec przemówił. Nie było warg, które mogłyby się poruszyć. Głos miał suche, szeleszczące brzmienie, jak cichy wiatr na pustyni. Głos, który szepcze twe imię w nocy, gdy wiesz, że w pobliżu nikogo nie ma.

Helman nie mógł odpowiedzieć.

Ojciec zwrócił się do Adrienne. Przy tym ruchu rozchylił się kaftan na jego piersi. Helman spojrział, wstrząśnięty. Ojciec nosił różaniec zakończony srebrnym krucyfiksem.

– Pragniesz się tu schronić – szepnął do Adrienne.

– Przed Konklawe – odpowiedziała. – Chciałabym mieć szansę wyjaśnienia, dlaczego.

Ojciec potrząsnął głową jeden raz. Powoli i majestatycznie, jakby nagły ruch mógł oderwać ją, a wtedy odfrunęłaby lekko.

– Nie ma potrzeby – zabrzmiał delikatny szepc nie potrzebujący oddechu. – Otrzymasz schronienie.

Adrienne nie potrafiła ukryć wyrazu zdumienia, które odmalowało się na jej twarzy.

– Wiedziałem, że przyjedziesz – wyjaśnił łagodnie. – Dostałem znak. Od Boga.

– Od Boga? – powtórzyła z powątpiewaniem Adrienne. Podejrzewała, że Diego niezupełnie wierzył w kult szatana zawarty w Drodze, lecz nigdy nie słyszała, by jakiś *yber* zwrócił się ku religii królestwa jasności.

Ojciec wzniosł głowę ku górze. Helman dostrzegł, że nie miał powiek. Nigdy nie mrugał.

– Nasz słodki Pan i Zbawiciel, Jezus Chrystus, przyszedł do mnie we snach i pokazał mi, że kres mej kary jest już bliski. Chwała niech będzie Bogu.

– Jakaż to kara, Ojcze? – Adrienne czuła, jak narasta w niej nikły dreszcz paniki. Czyżby jezuita dotarli do Ojca i nawrócili go?

– Przez siedem wieków krążyłem po ziemi, niosąc zagładę. – Chowańcy zamknęły oczy i pokiwały głowami, jakby przysłuchiwali się kazaniu, które słyszeli już niezliczone razy przedtem. – Tysiące niewinnych padły ofiarą mojej żądzy krwi. Miliony cierpiały przeze mnie. Byłem sługą demonów z otchłani. Lecz przyszedł do mnie Pan i pokazał mi drogę, i odwróciłem się od zła tych, których zgromadziłem wokół siebie. Oni utworzyli swe piekielne Konklawe. Ja postanowiłem żyć jak pielgrzym, by odpokutować swe postętki, choć wiedziałem, że nigdy nie spotkam mego Pana.

Jezuici może już w tej chwili są w korytarzach. Naciągają kusze. Jakaż to niezgłębiona demencja starcza padła na niegdyś największego z *yberów!*

– Dlaczego, Ojcze? – spytała Adrienne. Obliczała ruchy potrzebne do usunięcia z drogi trzech chowańców, którzy byli z nimi w pomieszczeniu. W myślach mierzyła odległość dzielącą ich od samochodu. Bez wątpienia będą ich ścigać. Szybciej będzie, jeśli zanieś Helmana. Zmieniała nieco pozycję, przygotowując się do ucieczki.

– My wszyscy – szepnął Ojciec, zataczając krąg po pokoju szponiastą dłonią jakby wyrzeźbioną z kości słoniowej – wszyscy musimy służyć Bogu tak, jak potrafimy. Wtedy po śmierci przemienimy się i wzniesiemy do nieba. Lecz nasz rodzaj, Adrienne St.Clair, nigdy nie umiera. Gdybyśmy stanęli przed wschodzącym słońcem, lub odmówili przyjmowania żywej krwi, zabilibyśmy się własnymi rękoma i ponownie stoczyli do otchłani. To kara za nasze przekleństwo.

Adrienne nachyliła się, jednym okiem spoglądając na drzwi prowadzące do korytarza wejściowego. Kto wie, ilu scholastyków tam czeka?

– Czy tak ci powiedzieli jezuici? – zapytała. Jego odpowiedź zaważy na jej działaniach. Widziała, że Helman był spięty. On również domyślił się.

– Kościół jest w rękach samego szatana – rzekł Ojciec. – Proszę, usiądź spokojnie. Jesteś tu bezpieczna. Wystarczy mi, że każde z was przyjdzie do Pana w swym własnym czasie. Najważniejsze jest, że wyrzekłaś się Drogi. Szukasz lepszych dróg dla naszego rodzaju.

– Powiedziały ci to twe sny? – Uspokojona, Adrienne usiadła ponownie. Być może mimo wszystko będą tu bezpieczni.

– Nie, Adrienne St.Clair. Byłaś tu już kiedyś w towarzystwie dostojnika Konklawe. Chowańcy rozmawiają. Ja słucham. Wiem o wielu rzeczach, nie musząc dowiadywać się o nich we śnie. Teraz jednak powinnaś koniecznie przekazać mi wszystko, czego dowiedziałas się w trakcie swej pracy. A twój ludzki towarzysz musi odejść stąd.

Adrienne zareagowała natychmiast.

– On nie może odejść. Grozi mu takie samo niebezpieczeństwo, jak mnie. On również musi dostać azyl.

Ojciec wstał, kończąc dyskusję.

– On nie jest *yberem*. Nie jest chowańcem. Tu nie jest miejsce dla niego. Musi koniecznie odejść.

– Ale tyle ryzykował, przywożąc mnie tutaj.

– Niczego nie ryzykował. Od samego początku wiedziałem, że on przybędzie. Teraz koniecznie musi odejść. Jedyne ryzyko istnieje wtedy, gdy wynik jest niepewny. Wynik tego, z czym mamy do czynienia, już został ustalony. – Ojciec zwrócił się do Helmana. – Zostaw nas samych, człowieku. Wiesz, do kogo musisz pójść. Nie ma niepewności. Żadnego ryzyka.

Helman wstał. Nie rozumiał, o czym mówił Ojciec.

– Nie mam do kogo pójść – powiedział.

– W takim razie oni przyjdą do ciebie. Możesz wrócić, kiedy zapadnie noc, jeśli to chciałeś usłyszeć. A teraz odejdz.

Dwaj muskularni chowańcy w luźnych szatach chwycili Helmana mocno za ramiona i wyprowadzili z pokoju. Mógł tylko z Adrienne wymienić pełne niepokoju spojrzenia, zanim go nie usunęto. Chowańcy nie rozluźniali uścisku, póki nie znalazł się w samochodzie za bramą.

Do świtu była mniej niż godzina. Helman pojechał do centrum Nacimiento, by zadzwonić do Westona. On musiał być tu gdzieś w okolicy. W ciągu dnia Helman będzie bezpieczny z ekipą Projektu Nevada. Dowie się też, co z jego siostrą. Wciąż czuł złość na myśl o dwuznacznej informacji Westona, że wszystko przebiega tak, jak przewidywali.

Do tego czasu Konklawe z pewnością zorientowało się, że nie wrócił do West Hepar-ton. Nie byłby zaskoczony, gdyby Konklawe udało się tropem jego i Adrienne dotrzeć do Nacimiento w przeciągu kilku dni. Lub raczej nocy, według ich rachuby. Będzie musiał

zmusić Westona do zdecydowanego wypowiedzenia się na temat tego, czego Nevada chce od Adrienne.

Zza krzaków za Helmanem wyjechał samochód. Nagły błysk reflektorów w lusterku wystraszył go. Za wzgórzami na wschodzie niebo zaczynało się już rozjaśniać. Reflektory mrugnęły, dając mu znak.

Helman zjechał na pobocze wąskiej drogi. Wreszcie Weston przyszedł do niego.

Drugi samochód zatrzymał się obok. Mechanicznie odsuwana szyba zjechała na dół z szumem. Postać wewnątrz pogrążona była w mroku.

– Najwyższy czas – powiedział Helman. – Dostała azyl, co mamy...

Postać wychynęła z cienia. Miała kły.

– Zdradziłeś nas – wycedził wampir.

Helman odskoczył do tyłu.

– Takiś nerwowy, człowieku? Nie zrobiłbyś wrażenia na swoich siostrzeńcach, gdyby zobaczyli, jak teraz wyglądasz. Ale pewny jestem, że ich wygląd wywrze wrażenie na tobie. – Potwór zaśmiał się ohydnie. Helman był jak ośupiały od bezsilnego gniewu.

– Czcigodny Diego przyjdzie na spotkanie z wami wszystkimi dziś w nocy, człowieku. Po raz ostatni.

Samochód odjechał z piskiem opon, spod których trysnął żwir. W uszach Helmana wciąż rozbrzmiewał mrozący krew w żyłach śmiech.

Zdał sobie sprawę z tego, że Konklawe musiało przez cały czas wiedzieć, dokąd udaje się z Adrienne. Ten ostatni wampir śledził go tylko po to, by upewnić się, że Adrienne nie opuściła domu Ojca wraz z nim. Wiedzieli, gdzie ona jest. Wiedzieli, gdzie on jest. I wydawało się, że dla jego siostry i jej dzieci jest już za późno.

Wstawało słońce. Jego blask był jedyną rzeczą, jaka powstrzymywała ich od zabicia go tu na drodze. Będzie go jeszcze chronić zaledwie przez następne dwanaście godzin. W oczach stanęły mu łzy bezsilnej złości.

Wykrzyczał imię Westona ku pustym wzgórzom.

Weston wyjaśni mu, co tu się dzieje, albo nie dożyje ostatniego dla Helmana zachodu słońca.

Te dwanaście godzin nie pójdzie na marne.

ROZDZIAŁ X

Dwóch mężczyzn towarzyszących Westonowi popełniło błąd, biorąc Helmana za sprzymierzeńca. Obaj byli teraz nieprzytomni. Helman nacisnął przedramieniem krtani Westona. Jakaś część jego istoty miała nadzieję, że Weston nic nie powie, a on będzie miał pretekst zmiażdżyć mu gardło i zostawić, by się udusił. Weston jednakże miał informacje. Weston miał władzę. Helman potrzebował jednego i drugiego. Nie dbał o to, że nie uda mu się przekroczyć drzwi motelu w Santa Barbara bez Westona. I tak czekała go pewna śmierć o zachodzie słońca. Nie dopuści do tego, by strata kilku godzin przeszkodziła mu w dokonaniu choćby tej małej zemsty.

Santa Barbara, 20 stycznia

Weston zaczął się dusić i dławić. Helman zakrył mu usta wolną dłonią.

– Konklawe wie, gdzie ona jest. Oni wiedzą, gdzie ja jestem. Wcale im nie wymyśliśmy się. Wszyscy wiedzieliście, że trafimy w końcu do Ojca. Chcę dowiedzieć się prawdy. I mam już dość tych bzdur i historyjek o końcu świata. Chcę tylko wyjść stąd z życiem. Z St.Clair. I z Miriam, i dziećmi. Niech pan kiwnie raz głową, jeśli mnie rozumie.

Weston pokiwał głową. Pierś falowała mu w rozpaczliwych próbach zaczerpnięcia tchu.

– Kiedy cofnę dłoń, może pan wołać o pomoc, jeśli pan chce, lecz zanim otworzą te drzwi do połowy, zmiażdżę panu obie skronie i przerwę rdzeń kręgowy. Proszę bardzo.

Helman cofnął dłoń i przedramię, uwalniając Westona. Weston przycisnął obie dłonie do ust i westchnął chrapliwie. Wskazał walizeczkę stojącą przy drzwiach pokoju. Wyręził słowo „tlen”.

Helman popatrzył podejrzliwie na Westona, a potem na walizkę.

– Bo zacznę kaszleć – wychrypiał Weston. Mocno zacisnął obie dłonie na ustach i nosie. Jego ciało drgnęło konwulsyjnie, a na twarz wystąpił pot.

Helman zaryzykował. Za prawdziwe, żeby mogło być udawane. Wziął walizkę i wyjął z niej małą butlę tlenową oraz miękką, plastikową maskę podłączoną do niej. Weston

przyłożył ją sobie do twarzy jak człowiek tonący. Kaszlnął do maski raz czy dwa, lecz wydawało się, że cokolwiek to było, zostało już opanowane. Helman przyglądał się temu beznamiętnie.

– Niech się pan pośpieszy i zacznie mówić – powiedział.

Weston gestem polecił Helmanowi, żeby pomógł mu wstać z podłogi, na którą Helman przewrócił go w napadzie wściekłości. Jeden zaskoczony agent został kopnięty w głowę, podczas gdy drugi dostał łokciem w twarz. Z nosa agenta leżącego bezwładnie na łóżku sączyła się krew. Zaden nie miał szansy, by wyciągnąć broń.

Helman pchnął Westona na stojący za sekretarzykiem podrabiany fotel w stylu kolonialnym. Weston wydawał się oddychać z mniejszym wysiłkiem. Gdyby nie dostał tlenu i zaczął się jego atak kaszlu, agenci czekający na zewnątrz wpadliby do środka i po Helmanie zostałyby mokre strzępy na wszystkich czterech ścianach pokoju. Nie mógł dopuścić do tego, by wszystko skończyło się w tandetnym motelu w Santa Barbara.

Zdjął maskę z twarzy. Helman wiązał i knebłował dwóch nieprzytomnych agentów ich własnymi paskami oraz porwanymi prześcieradłami.

– Skąd pan wiedział? – zapytał Weston.

– Że Konklawe wie, gdzie jesteśmy?

– Tak.

– Kiedy opuściłem posiadłość Ojca, zaczął jechać za mną samochód. Myślałem, że to pan. Albo przynajmniej pańscy ludzie. W rzeczywistości był to członek Konklawe. Wampir. Powiedział coś o moich siostrzeńcach, a potem dodał, że Diego spotka się z nami wszystkimi dzisiaj nocy.

– Co dokładnie powiedział o pańskich siostrzeńcach?

Helman poczuł lodowaty chłód. Wiadomość od Westona była jednak kłamstwem.

– Powiedział, że nie spodobałby mi się ich wygląd. Co się z nimi stało? Dlaczego nie wysłał pan swoich ludzi?

Helman trząsł się z wściekłości. Przerażająca obawa, z którą walczył do tej pory, stała się rzeczywistością, pomimo wszystkiego, co robił, by temu zapobiec.

– Wysłałem. Przybyli za późno. Przykro mi.

– Co się z nimi stało?

- Pańska siostra nie żyje. Pańscy siostrzeńcy znikli.
- Miriam – załkał Helman.
- Jak? Nie wypili...

Weston potrząsnął głową.

– Nie, Granger. Nic w tym rodzaju. To stało się szybko. Wyglądało na to, że spała w tym czasie. Nic nie wiedziała. Nic nie poczuła. – Kłamstwa przychodziły Westonowi łatwo. Widział na zdjęciach, co zrobiono Miriam Helman. Nie mógł zdobyć się na użycie słów, którymi mógłby to opisać Helmanowi. Została spętana jak zwierzę, wypatroszona i wykrwawiona. Na posadzce nie było jednak plam krwi. Krew zabrano wraz z jej dziećmi. Musiał jednak czegoś oszczędzić Helmanowi.

Helman dygotał. Odebrano mu jedyne, co było mu drogie w życiu. Nie miał już rodziny. A tak bardzo się starał, przeszedł takie piekło, by ich ocalić.

– Wciąż szukamy chłopców, Granger. Nie znaleźliśmy śladów wskazujących na to, że stała im się krzywda.

Helman był na pograniczu hysterii.

– Oczywiście, że nie stała im się krzywda. Nie uczynią im krzywdy. Oddadzą ich Diegowi, bo ich krew jest tak słodka...

– Przykro mi. – Tylko tyle mógł powiedzieć Weston. Było to bezcelowe. Głupie. Ale prawdziwe.

Helman mówił, jakby nikogo poza nim nie było w pokoju.

– Nic mi już nie zostało. Wszystko robiłem dla niej. Nawet zabiłem dla niej. Kiedy byliśmy jeszcze szczeniakami. Opiekowała się mną. – Weston wstał powoli i zbliżył się do Helmana. – A potem ten łajdak, dla którego pracowała, zgwałcił ją. Powiedziała mi o tym. Nie chciała mi powiedzieć, ale zmusiłem ją. A potem poszedłem do niego i zabiłem go.

– Wszystko już dobrze, Granger – powiedział Weston. Wyciągnął rękę, żeby położyć ją na ramieniu Helmana. – Wszystko już dobrze.

– Nie chciałem go zabić. Tylko sprawić mu ból. Ale on przestraszył się i nie chciał siedzieć cicho. A potem dowiedziałem się, że wszystkich traktuje jak drań i że pan Dorsey chce, by go uśmiercić. Pan Dorsey opiekował się wszystkimi z ulicy. Zajmował się numerami, ochroną i dziewczynami. Dowiedział się, że ja to zrobiłem podziękował mi, zapłacił i powiedział, że gdybym chciał jeszcze zarobić, mam mu powiedzieć, a on da następną

robotę. I tak zrobiłem. Wtedy dla siebie. A kiedy umarł jej mąż, również dla Miriam.

Weston położył dłoń na ramieniu Helmana, wciąż mówiąc do niego cicho. Nie mógł pozwolić sobie na to, by go teraz utracić. Powoli obrócił Helmana plecami do drzwi. Weston zamierzał rzucić butlę tlenową w drzwi, żeby przyciągnąć uwagę swoich ludzi siedzących w samochodzie zaparkowanym przed drzwiami motelu. Powoli podniósł rękę, by nią cisnąć.

Poczuł bolesny ucisk palców Helmana poniżej swych uszu. – Niech pan tylko rzuci, a złamię panu kark – szepnął Helman. Jego głos miał odległe i puste brzmienie. Był zmieniony.

Weston delikatnie opuścił butlę na podłogę.

– Czy możemy dostać się tam, zabrać ją i wydostać się przed zachodem słońca? – zapytał Helman. Zmrużył chłodne oczy. – Nie obchodzi mnie, czy Konklawe ujawni posiadane dowody wszystkich morderstw, jakie popełniłem. Potrafię dobrze się schować przed rządem. – Rozluźnił ucisk na szyję Westona.

– Nie ma się pan czego obawiać ze strony rządu, Granger.

– Już pan to załatwił, prawda? – Helman gwałtownie tarł twarz, wycierając łzy i przywracając w niej czucie.

– Zawsze było załatwione. Jest pan Feniksem, pamięta pan?

– Nic o tym nie wiem. – Głos Helmana był beznamiętny. Nie było gniewu w tym zaprzeczeniu.

– O to właśnie chodziło, Granger. Nie musiał pan się obawiać, że dowody Konklawe dotrą do rządu. Rząd już miał więcej informacji na pański temat, niż potrzeba byłoby każdemu sędziemu czy ławie przysięgłych, by pana skazać. Widziałem pańskie akta. Akta Feniksa. CIA. FBI. NSA. Oni wszyscy pana znają.

– O czym pan mówi?

– Polował pan tylko na zbrodniarzy, Granger. Departament Sprawiedliwości nie mógł im nic zrobić. Uważał, że czyni mu pan przysługę. Dopóki trzymał się pan z daleka od polityków i businessmanów, rząd zamierzał troszczyć się o pana. Opiekuje się tuzinem takich, jak pan, dopóki ich zlecenia są na rękę rządowi. Dlatego właśnie po pańskim „maklerze” posprzątała FBI. Mieli agenta na miejscu działalności Telforda. Kiedy dowiedzieli się, że Telford został zamordowany przez jezuitów, wiedzieli, że jego ubezpieczenie wyjdzie na światło dzienne. Pańskie nazwisko zostałyby w nim wymienione, a każde

śledztwo wykazałoby związki pana z rządem. Jak pan myśli, dlaczego FBI nie miało przygotowanego pojazdu pościgowego tego dnia, gdy zmusił pan Roselynnę Delvecchio do wyjścia z domu i spotkania z panem na parkingu? Wysłano wiadomość: „Nie ścigać”. Rząd był zawsze za kulisami i pomagał panu wykonać to, czego sam nie mógł. Jeden z ich ludzi powiedział przecież panu o tym. „Pan Helman? Nie ma się o co martwić po tej stronie.”

Helman rozejrzał się po pokoju niewidzącym wzrokiem.

– To wszystko było kłamstwem? To nie moje umiejętności? Nie inteligencja? Pilnowano mnie od pierwszego dnia ?

– Od samego początku – potwierdził Weston.

– Więc nie miałem o co się martwić, gdy na farmę przyszła paczka? Mogłem temu potworowi przy telefonie powiedzieć, żeby się wypchał, oni wysłaliby dowody do władz, a FBI albo ktoś inny pogrzebałby je?

– Był pan osłaniany.

– To wszystko nie musiało się wcale wydarzyć? – Dwa wstrząsy, jakich doznał Helman, zaczynały wywierać wpływ. Weston dostrzegwał w Helmanie objawy narastającej histerii.

– To się już wydarzyło, Granger. I wciąż jest jeszcze nadzieja, że ich pokonamy. Pokonamy.

– Dlaczego miałbym pomagać?

– Z powodu Adrienne. – Helman powiedział przed chwilą, że chce ją zabrać z siedziby Ojca przed przybyciem Konklawe. Weston wyczuł, że coś się rodzi między nimi. Grał na tym. Jednakże Helman myślnymi był gdzieś indziej.

– Ona jest wampirem. Nigdy jej nie spotkałem. Nic z tego się nie wydarzyło.

– Proszę pomyśleć o pańskich siostrzeńcach. Może jeszcze uda się ich ocalić.

– To się nie wydarzyło. Oni są w West Heparton.

– A co by pan powiedział na ocalenie życia milionom, a może miliardom innych ludzi?

– Bzdury.

– Ostatnim razem, gdy się widzieliśmy, chciał się pan dowiedzieć wszystkiego o Projekcie Nevada. Nadal pan chce?

Helman uśmiechnął się. Był to szyderczy uśmiech.

– Jasne, panie majorze. Przecież to się nigdy nie wydarzy. Niech mi pan opowie o końcu świata.

Zaczęło się od kotów.

W 1961 na podwórku pewnego gospodarstwa odkryto nową rasę kota. Miał oklapnięte, skierowane ku przodowi uszy. Pojedynczego kociaka zauważył interesujący się kotami człowiek, który docenił jego wyjątkowość. Potomstwo tego kota dziedziczyło jego cechy. Człowiek ów zdobył jedno kociątko i taki był początek rasy nazwanej *Scottish fold*.

W 1962 odmiana tej rasy pojawiła się na obrzeżach Indianapolis. Badania, podjęte natychmiast po docenieniu ważności odkrycia, wykazały, że mutację *Scottish fold*, odpowiedzialną za tę nową rasę, znaleziono w ponad szesnastu różnych miejscach na świecie. Tylko w jednym przypadku dwie miejscowości były wystarczająco blisko siebie, by istniała możliwość, że mutacja wystąpiła u dwóch miotów splodzonych przez tego samego kocura. W pozostałych czternastu przypadkach mutacja bezsprzecznie zaistniała samoistnie i mioty nie były ze sobą spokrewnione w żaden sposób. Późniejsze badania wykazały z całą pewnością, że mutacje pojawiły się również w innych miejscach. Ponieważ jednak zaledwie niewielki procent populacji kotów podlega starannej obserwacji wykwalifikowanych hodowców i miłośników, nie zauważono ich. Wyjątkiem było jedno kociątko w Szkocji, od którego rozpoczęła się rasa, i jedno w Indianapolis, które ujawniło światu przerażającą przyszłość.

Kociaka z Indianapolis zauważył genetyk z uniwersytetu stanu Indiana. W 1965 przeczytał artykuł o nowej rasie kotów *Scottish fold*, pochodzącej ze Szkocji. Przypomniał sobie, że trzy lata wcześniej przyjaciółka jego córki miała kotka również podobnego do rasy tu opisywanej. Dziewczynka wciąż miała tego kota. Genetyk zaczął pracować nad problemem, jaki przedstawiały dwie pozornie identyczne mutacje, które powstały jednocześnie w tak ogromnej odległości od siebie. Początkowo zachowywał wyniki dla siebie. Sądził, że znajduje się na krawędzi dokonania wielkiego przełomu w genetyce. Nie chciał, by z powodu przedwczesnej publikacji jakiś inny, lepiej wyposażony uniwersytet uprzedził go.

Tym, czego szukał, był klucz do mechanizmu ewolucji. Znalazł go. Prawda tak go przeraziła, że pominął swój uniwersytet i zwrócił się bezpośrednio do Ministerstw

Zdrowia, Edukacji i Spraw Społecznych. Trzy miesiące upłynęły, nim załatwił krótkie spotkanie z urzędnikiem, którego uznał za wystarczająco wysoko postawionego, by zajął się tymi odkryciami. Jego badania naukowe i wnioski z nich wypływające były eleganckie i przejrzyste. Urzędnik odniósł się do nich sceptycznie, lecz nie mógł ich zignorować. Potwierdzenie odkryć genetyka zajęło rządowi dziewięć miesięcy. W przeciągu następnego pięciu dni powstał Projekt Nevada.

Ewolucja jest uznanym faktem naukowym. Nie uznawano natomiast wyjaśnień, w jaki sposób rzeczywistość zachodziła. Stworzono wiele różnych teorii. Niektóre opisywały, jak niewielkie, pojedynczo niezauważalne zmiany stopniowo kumulują się w ciągu pokoleń, aż do powolnego pojawienia się wyraźnej zmiany. Inne opisywały szczegółowo, jak katastroficzne mutacje prowadzą do dramatycznego powstania nowych gatunków w ciągu jednego czy dwóch pokoleń. Żadna teoria nie wydawała się prawdziwa. I żadna teoria nie była w stanie wyjaśnić, w jaki sposób zmiana w jednym osobniku może tak drastycznie wpłynąć na przyszłość całego gatunku, jak na to wskazywały skamieliny.

Właśnie to przyciągnęło uwagę genetyka, kiedy dowiedział się o dwóch mutacjach w Szkocji i w Indianapolis. Czyżby istniał sposób przenoszenia mutacji na zewnątrz ciała osobnika, umożliwiający jej wystąpienie u wielu członków konkretnego gatunku w przeciągu zaledwie jednego pokolenia? Odpowiedź brzmiała: tak.

Genetyk odkrył biologiczne zjawisko, które nazwał wirusem mutacyjnym, inaczej m-wirusem. Mutacje występują bez przerwy w komórkach płciowych wszystkich istot na ziemi. Przeważająca większość z nich nie ma znaczenia, ponieważ genetyczna wiadomość jest tak bezsensowna, iż zostaje zignorowana. Spośród mutacji, które posiadają rozpoznawalną wiadomość genetyczną, większość stanowią mutacje śmiertelne. Zaledwie jedna na wiele milionów mutacji rzeczywistość jest korzystna dla gatunku.

Sposobem, w jaki ta jedna, korzystna mutacja w kodzie genetycznym może powstać w organizmie osobnika, a następnie wpłynąć na cały gatunek, jest przemiana w m-wirusa.

Organizm reaguje na powstanie rozpoznawalnej mutacji, zarówno korzystnej, jak i szkodliwej, wytwarzaniem kopii małych pasm DNA dotkniętych mutacją. Podobnie jak wirusy, kawałki DNA zostają zamknięte w ochronnych kapsułkach białkowych i wydalone z organizmu.

Następnie m-wirusami szybko zaraza się cała populacja danego gatunku.

Kiedy korzystny m-wirus dotrze do odpowiedniego miejsca w organizmie żywiciela, zostaje włączony do kodu genetycznego jego komórek. U tego osobnika mutacja pojawia się i zostanie przekazana następnemu pokoleniu. Dzięki możliwości wystąpienia tej samej mutacji u kilku osobników jednocześnie, znacznie zwiększają się szanse jej przetrwania.

Genetyk był podekscytowany swymi odkryciami. Podobne teorie wysuwano wielokrotnie, lecz nigdy nie zaobserwowano powstania mutacji, która by je potwierdziła lub im zaprzeczyła.

Genetykowi pozostał do rozwiązania tylko jeden problem, zanim będzie mógł podzielić się swymi odkryciami ze światem: dlaczego populacja kotów na świecie nie została nagle zdominowana przez kocięta rasy *Scottish fold*? Kiedy znalazł odpowiedź na to pytanie, natychmiast zwrócił się do rządu.

Kiedy organizm żywiciela odpowiedniego gatunku zarazi się m-wirusem, aby wirus ten mógł przetrwać, musi zagnieździć się w odpowiednim miejscu w ciele. Jeśli wiadomość genetyczna spróbuje dotrzeć do niewłaściwych komórek odbiorczych, występują zakłócenia materiału genetycznego komórki żywiciela. W następstwie uszkodzeń, spowodowanych niewłaściwą i przyspieszoną reprodukcją komórek, nieomal zawsze następowała śmierć.

W ten sposób mechanizm – m-wirus – który wytworzył korzystną mutację, jednocześnie zapewniał przekazywanie mutacji tylko drogą rozmnażania się z osobnikami posiadającymi te same zmienione geny, ponieważ powodował wyginiecie wszystkich nie zmutowanych osobników, które zaraziły się nim.

Genetyk pobrał próbki z wszystkich zakątków świata, by ustalić obecność m-wirusów. Zdobył nawet próbki skamielin w celu znalezienia w nich charakterystycznych śladów beta, które wskazywałyby na istnienie niegdyś m-wirusów w tych dawno wymarłych zwierzętach. Odkrył, że m-wirusowy mechanizm ewolucji występował w takiej czy innej postaci u niemal wszystkich gatunków, jakie istnieją w chwili obecnej bądź istniały na ziemi. Czasami powodował przypadkową, prostą mutację, jak ta, której skutkiem były oklapnięte do przodu uszy u kotów.

Czasami jednak w historii danego gatunku mechanizm przyspieszał, jakby wbudowany zegar biologiczny wymuszał zwiększenie nacisku ewolucyjnego. Niemal każdy osobnik danej populacji wytwarzał m-wirusy w zastraszających ilościach. Występowały liczne mutacje, podobnie jak przypadki zakłócenia kodu genetycznego przez m-wirusy.

W trakcie jednego takiego okresu dinozaury wyginęły w przeciągu jednego pokolenia. Lecz korzystne m-wirusy pozwoliły niektórym gatunkom dinozaurów szybko przekształcić się w ptaki. Inne gatunki, które doświadczyły tego przyspieszenia, nie wytwarzając jednocześnie zdolnych do przetrwania korzystnych m-wirusów, po prostu zniknęły z powierzchni ziemi.

Gatunek ludzki znajdował się właśnie na tym przyspieszonym etapie mutacji.

Naukowcy znali go pod nazwą ewolucji.

Ludzkość znała go pod nazwą rak.

Wniosek z tego był następujący: rak jest zaraźliwy i w ciągu następnego pokolenia w stu procentach śmiertelny.

Nadchodzącą plagę nowotworów przeżyją tylko zarażeni m-wirusem, który zagnieżdżył się we właściwym miejscu i przekazał swe korzystne cechy mutacyjne.

Projekt Nevada zdołał ustalić, że właściwa mutacja już wystąpiła, nieco ponad dwa tysiące lat temu, najprawdopodobniej w Grecji.

Osobniki będące nosicielami zmienionego materiału genetycznego nazywały siebie *yberami*.

Za dwadzieścia lat będą jedynymi istotami człekopodobnymi, jakie zostaną na świecie.

Z wyjątkiem świata wampirów, ludzkość wyginie.

W pokoju zapadła cisza.

Łagodne światło słoneczne wpadało przez ciężkie pomarańczowo-brązowe zasłony, przesłaniające widok na parking. Dwaj związani i zakneblowani agenci, których Helman zaskoczył, wciąż leżeli nieruchomo. Krew przestała ciec z nosa jednemu z nich. Albo

uraz nie był poważny, albo człowiek ten nie żył.

Weston i Helman patrzyli sobie w oczy. Przypominało to pojedynek na siłę woli. Helman nie wytrzymał pierwszy.

– To szaleństwo – powiedział i odwrócił się od Westona. Wstał i zaczął krążyć po pokoju. – Niewiarygodne szaleństwo – ciągnął. – To nie ma sensu. Nie pasuje do niczego. Śmieszne. – Zabrakło mu słów.

– Zgadzam się z panem – rzekł Weston. – Tak należałoby to określić. A jednocześnie to prawda.

– Wszystko wywołuje raka. Słońce. Proszki od bólu głowy. Samochody. Azbest. Co tylko pan chce. Wszystko napisano czarno na białym. Wiadomo o tym od dawna. Jak może pan twierdzić, że to choroba zakaźna?

– To, co pan mówi, jest dowodem na to, że Projekt Nevada dobrze się spisał. To my nakłoniliśmy pana do uwierzenia w to, co pan wie na temat charakteru tej choroby.

– To nie może być prawda.

– To prawda, Granger. Niemal dwadzieścia lat temu pewien przerażony badacz z małego uniwersytetu przyszedł do Ministerstwa Zdrowia, trzęsąc się ze strachu. Opowiedział tę samą historię. Nikt mu nie uwierzył, lecz wyniki jego badań potwierdziły się. We wczesnych latach sześćdziesiątych mutacje wśród kotów rozpleniły się jak chwasty. Koty szorstkowłose. Koty bezwłose. Dodatkowe pazury. Brak pazurów. Do tego koty padały jak muchy na białaczkę. Kocią białaczkę. To największy zabójca kotów. A jest to choroba zakaźna. Powie to panu każdy weterynarz. Jeśli jest to choroba zakaźna wśród kotów, dlaczego nie wśród ludzi? Kiedy rozpoczęły się mutacje, liczba przypadków zakażenia wzrosła czterokrotnie. Właśnie tym zajmował się Projekt Nevada. Tuszowaniem takich przypadków. Gromadzeniem informacji. Zebrano zespół naukowców, którzy mieli dyskretnie kontynuować badania. Opinia publiczna miała się dowiedzieć o wszystkim dopiero w chwili, gdy znajdziemy wyjaśnienie i lekarstwo.

– Czy istnieje lekarstwo?

– To nie jest choroba. To zjawisko biologiczne, z którym do tej pory nie mieliśmy do czynienia. To jedna z przyczyn, dzięki którym udało nam się zamącić obraz rzeczy. Placówki naukowe, które nie znały prawdy, nie patrzyły po prostu we właściwym

kierunku. Wokół nas unosi się dość zanieczyszczeń środowiskowych, które powodują uszkodzenia komórek zbliżone do nowotworów, by lekarze i naukowcy pilnie szukali lekarstwa, gdy tymczasem powinni zdać sobie sprawę, że mają do czynienia z przypadkami zatrucia. Żadne badania przeprowadzane na ludziach nie są w tej chwili cokolwiek warte, ponieważ wszyscy na świecie już zakazili się wirusem, który jest w fazie inkubacji. Albo, jak w moim przypadku, już zaczął przekazywać swą wiadomość. Ale ty go masz, Granger. Wszyscy moi agenci go mają. Każdy go już ma. Podstawowy okres inkubacji zbliża się do końca. Pierwsza fala dotrze do nas w przeciągu roku. Najwyżej dwóch.

– Ale przecież statystyki wykazują podobno spadek zachorowań na raka.

Weston podniósł głos.

– Na miłość boską, człowieku. Jak pan myśli, skąd pochodzą te statystyki? Jak pan myśli, kto je tworzy? Ja. Wszystkie one pochodzą z tych samych systemów rządowych, które wykazują, że będziemy mieli honorowy pokój, zrównoważony budżet i położymy kres inflacji. Nigdy nie udało mi się ustalić, dlaczego tylu ludzi wierzy w te statystyki, jeśli każdy zna kogoś chorego na raka. Wydaje mi się, że jedynym powodem, dzięki któremu Nevadzie udało się tak długo istnieć, jest fakt, iż ludzie chcą w to wierzyć. Nie mają odwagi stawić czoła alternatywie.

– Ale z pewnością inne kraje, inni uczeni...

– Kraje, którym ufamy, popierają nas. Inne, jak Francję i Kanadę, trzymamy w nieświadomości. Jeśli któryś z ich naukowców sprawia wrażenie, że wpadł na jakiś trop, proponujemy mu dobrze opłacaną posadę w placówce, gdzie będzie mógł zajmować się wszystkim, tylko nie nowotworami. Albo przydarza mu się wypadek.

– Zabijacie z tego powodu ludzi?

– Dawno temu stanąłem przed tym problemem, Granger. Proszę mi uwierzyć, lepiej, by jeden czy dwóch ludzi opuściło ten świat nieco wcześniej, niż pozwolić, by cała nasza ekonomiczna i społeczna struktura zaważyła się w ciągu kilku dni. Niech pan tylko pomyśli, co by się stało, gdyby ludzie się o tym dowiedzieli. Wszystko przestałoby funkcjonować. Czy mógłby pan siedzieć w biurze obok ludzi, którzy mogą zakazać pana wirusami raka? Nawet gdyby pan go już miał, nadal ludziłby się nadzieją, że jest pan

wyjątkiem. Czy mógłby pan robić zakupy? Zostać w wojsku? Robić cokolwiek, co wymagałoby wyjścia z domu? Farmy zmieniłyby się w zbrojne obozy w ciągu dwóch miesięcy, jakie upłynęłyby, nim załamałby się łańcuch dostarczania żywności. Nastąpiłaby anarchia. Konflikty wewnętrzne. Zaryzykowałby pan to wszystko dla jednego upartego naukowca?

- Czy w takim razie istnieje rozwiązanie? Czy warto było?
- Zostało tylko jedno miejsce, w którym należy go szukać, Granger. U *yberów*.
- Czy oni wiedzą, co się dzieje?
- Jesteśmy niemal pewni, że Konklawe wie. St.Clair nie.
- Cóż, będą musieli współpracować. Oni odżywiają się ludzką krwią. Co się z nimi stanie, jeśli zabraknie ludzi?

– Oni nie myślą racjonalnie, Granger. Z tego, co wiemy, równie dobrze mogą być przekonani, że szatan wybuduje im restauracje, by mogli uczcić jego zwycięstwo nad Bogiem na ziemi. Próbowaliśmy rozmawiać z nimi już wcześniej. W ciągu ostatnich dziesięciu lat schwytaliśmy dwóch z nich. Pierwszy zginął w spaaranym eksperymencie, podczas którego sprawdzaliśmy ich wrażliwość na światło słoneczne. Drugi uciekł i zdemolował miasteczko w Teksasie. Sprawę wykrył pewien dziennikarz. Nie chciał przyjąć pieniędzy. Jego samochód wybuchł.

- Dlaczego musieliście ich schwytać? Dlaczego nie mogliście z nimi negocjować?
- Adrienne St.Clair jest pierwszym *yberem*, który nie wygląda na czciciela diabła, jak cała reszta. Wszyscy *yberowie*, z którymi mieliśmy do czynienia, są z całą pewnością szaleńcami. Na co nam szczepionka sporządzona z ich krwi, jeśli oprócz powodowania innych zmian, zakłóca normalne funkcjonowanie mózgu?

- Sądzi pan, że można stworzyć szczepionkę przeciwko rakowi?

Weston zaczerpnął głęboko tchu. Czuł, że znów jest bliski przeciągnięcia Helmana na swoją stronę. Musi to nastąpić szybko, jeśli ma być z tego jakiś pożytek. Położenie słońca za zasłonami zmieniło się. Było już po południu. Pozostało mniej niż pół dnia.

- *Yberowie* nie są podatni na zakażenie m-wirusem. M-wirus, który oddziałuje na koty, przenosi się przez kontakt z płynami organicznymi: krwią, śliną i odchodami.

M-wirus typu ludzkiego przenosi się drogą powietrzną. Dlatego jest tak zaraźliwy. Jednakże po prawidłowym zagnieżdzeniu się w ciele nosiciela, następuje jakaś biochemiczna metamorfoza krwi. Dzięki temu nie może on już przyjąć innego m-wirusa drogą oddechową. Natomiast może on zostać przekazany przez krew. Dlatego *yberowie* muszą wytoczyć niemal całą krew ofiary przed daniem jej do wypicia krwi *ybera*. Przy tak niewielkiej ilości krwi w ciele m-wirusy skoncentrowane w krwi *ybera* nie mogą nie zagnieżdżyć się w prawidłowych obszarach recepcyjnych wzdłuż krtani i przewodu pokarmowego.

– Pogubiłem się już – powiedział Helman. Wydawało się, że całkowicie zapomniał o fakcie, że jeszcze godzinę temu był gotów zabić Westona. Nowe wyzwanie wciągnęło go, przynajmniej na jakiś czas. – Chcecie, by Adrienne pomogła wam zarazić swą krwią cały świat? Jeśli będą wampirami, nie dostaną raka?

– Nie, Granger, pan upraszcza sprawę. Mutacja *yberów* jest bardzo złożona. Rządzi zmianami w narządach wewnętrznych, mózgu, mięśniach, skórze, przewodzie pokarmowym, przemianie materii, niemal każdym aspekcie funkcjonowania ciała ludzkiego. W większości przypadków ulepsza je. Zwiększa ich funkcjonalność i odporność na choroby oraz urazy. Prawdę mówiąc, nasze badania wskazują na to, że *yberowie* są bezpłodni, a ponieważ ewolucja zdaje się być nastawiona tylko na jedno – przetrwanie materiału genetycznego – wygląda na to, że testowany jest nowy eksperyment ewolucyjny. Zamiast istot mogących wiecznie przekazywać materiał genetyczny z pokolenia na pokolenie, zostało, jak się wydaje, stworzone ciało, które samo może przez wieczność przechowywać ten materiał genetyczny. Wraz z *yberami* ewolucja stworzyła nieśmiertelność. Chcemy wyodrębnić z krwi Adrienne fragmenty DNA odpowiedzialne za biologiczną zmianę w krwi, która zapobiega przyjęciu m-wirusa wywołującego raka. Dzięki inżynierii genetycznej możemy wielokrotnie skopiować ten fragment, tworząc szczepionkę, która uodporni nas na raka. Potem będziemy mieli czas na wyodrębnienie innych korzystnych cech. Nie będziemy musieli wszyscy zostać wampirami. Powinniśmy jednak móc skorzystać z niektórych ich umiejętności.

– Czy ktokolwiek zadał sobie trud powiedzenia o tym Adrienne?

– Tak naprawdę pan w to nie wierzy. Dlaczego ona miałaby? Chris Leung miał

postarać się, by sama doszła do pewnych wniosków. Byłoby dużo prościej, gdyby z własnej woli wyszła nam naprzeciw. Teraz jednak czas się kończy. Będziemy musieli zaryzykować wzięcie jej siłą.

Helman przez długą chwilę siedział w milczeniu.

– To nie będzie konieczne. Zdołam ją sprowadzić. Ona mi uwierzy.

– Jest pan pewny? – Weston nie miał odwagi mieć zbyt wyczekującej miny. Gdyby Helman powziął choć najmniejsze podejrzenie, że pokierowano nim w podjęciu tej decyzji, w jego naturze leżałoby odmówienie udzielenia jakiegokolwiek pomocy Projektowi Nevada.

– Czy zagwarantuje nam pan ochronę?

– Wszystko, co może zapewnić rząd.

– Czy udzieli mi pan wszelkiej pomocy, jakiej będę potrzebował do wytropienia Diega?

– To niemal niemożliwe, Granger. Wiem z doświadczenia. Jednakże, tak, udzielimy wszelkiej pomocy, jaka będzie możliwa.

– Lepiej, żeby nie było to niemożliwe, panie majorze. Jeden z was zabił moją siostrę i jej dzieci. Jeśli nie dostanę Diega, dobiórę się do was.

– Zrozumiałem. Teraz niech mi pan pomoże rozwiązać tych dwóch i doprowadzić tu wszystko do normalnego stanu. Musimy poczynić masę przygotowań, zanim wydostaniemy Adrienne z posiadłości Ojca, a ja będę musiał długo wyjaśniać, co się tu stało i dlaczego możemy panu zaufać. Jeśli możemy panu zaufać.

Helman skinął głową.

– Na dzisiejszą noc, majorze Weston. A w zależności od tego, jak nam pójdzie, o dalszym ciągu porozmawiamy jeszcze później.

W Waszyngtonie ostatnie akta Nevady znikają w maszynach do niszczenia dokumentów. Poza czterema zwykłymi kopertami z grubego papieru, które spoczywały w biurze adwokata w Londynie, oraz grupą ludzi ze sprzętem, którzy czekali w Santa Barbara na zachód słońca, nie zostało już nic po projekcie, który tak długo kształtował ludzkie wyobrażenie o świecie.

A czy jutro o świecie cokolwiek jeszcze zostanie, było pytaniem, nad którym nikt z nich nie miał odwagi się zastanawiać.

Ostatni ruch miał zostać wykonany lada chwila i bez względu na to, jakie miało to znaczenie, Helman miał wejść do końcówki gry, nadal nieświadomy tego, iż jest pionkiem.

ROZDZIAŁ XI

Siły powietrzne nigdy nie zauważyły zmian, jakie poczyniono w hangarze na opuszczonym lotnisku. Zbudowano je w czasie wojny wietnamskiej, by odciążyć lotnisko w Vandenbergu. Po zakończeniu działań wojennych przestało być potrzebne. Czasami wynajmowano je ekipie filmowej, która przekształcała je w hollywoodzką wersję lotniska z czasów dowolnej wojny światowej i w dowolnym kraju. Tego dnia jednak nikogo nie było na lotnisku, ani też w absolutnie nie przepuszczającym światła głównym hangarze. Z wyjątkiem wampirów.

Twitchell Field, 20 stycznia

Byli to wysłannicy Zachodniego Zgromadzenia *yberów*, zebrani pod władzą dostojnego Diega. Nie przypominali inwestorów i finansistów Wschodniego Zgromadzenia. Byli dzicy i krwiożerczy. Wielu z nich utworzyło grupy w Rosji w czasach pogromów. Dla obłąkanych władz tamtych czasów jeszcze jeden martwy Żyd nie miał najmniejszego znaczenia, nawet jeśli wytoczono z niego całą krew, a gardło miał straszliwie rozszarpane. Dla *yberów* Zachodniego Zgromadzenia ludzie byli czymś więcej niż pokarmem, byli zabawą. A z żalem trzeba było przyznać, że we współczesnym świecie mało było okazji do zabawy.

Diego stał przed dwudziestoma dwoma spośród nich. Ubrany był tak samo jak oni: w obcisły, czarny kombinezon, który nie krępował ich niehumanie sprawnych ruchów. Kostium zaopatrzony był także w czarny kaptur z płócienną maską zasłaniającą kły *yberów*, którzy je mieli. Członków Zachodniego Zgromadzenia przeszedł dreszcz żądzы krwi, kiedy Diego powiedział im, że nie będą musieli nosić masek. Ci, z którymi *yberowie*

spotkają się tej nocy, muszą wiedzieć, kto przyniósł im śmierć.

Yberowie siedzieli na skrzyniach pod ścianą hangaru i czaili się jak niecierpliwe zwierzęta. Wszystkie szpary i szczeliny w ścianach, przez które mogło przesączyć się groźne światło, dawno uszczelniono spienionym tworzywem. *Yberowie* czekali niecierpliwie na zachód słońca i masakrę, która miała nastąpić.

– Przybędziemy czterdzieści minut po zachodzie słońca – powiedział im Diego. – Do tego czasu bramy i główne wejścia będą już wyważone przez jezuitów. Chowańcy Ojca są słabymi mięczakami. Jego wysłannicy wyrzekli się przemocy. Nie będą stawiać oporu. Z tymi, których nie dobiją bełty jezuitów, możecie zrobić, co chcecie.

Yberowie odpowiedzieli niesamowitymi pomrukami pełnymi niecierpliwego oczekiwania.

– Jezuci mają zostać zredukowani do liczby, z którą można dać sobie radę. Kiedy Ojciec poniesie Ostateczną Śmierć, najlepiej z rąk jezuitów, należy zlikwidować resztę. Poza tym, nie wolno dopuścić do tego, by przeżył choć jeden *yber* mający związek z Ojcem. Jeśli choć jeden ucieknie i zanieś wiadomość Konklawe, wszystkich nas czeka ujrzenie świtu.

W mroku hangaru wydawało się, że oddech *yberów* wydostaje się z jaskini pełnej niesamowitych zwierząt.

– Kobiętę zostawcie mnie. Tak samo jej człowieka. On musi przeżyć dość długo, by zobaczyć naszą niespodziankę dla niego. Aby wiedział, co przydarza się tym, którzy odważą się nas zdradzić.

Yberowie wyrazili aprobatę warknięciami. Niespodzianka dla Helmana spała z tyłu jednej z trzech furgonetek zaparkowanych przed głównymi drzwiami do hangaru. Otrzymali komunię zbyt niedawno, by oprzeć się potężnemu przymusowi odpoczywania, gdy na zewnątrz praży słońce.

Lecz gdy słońce zajdzie, obudzą się z pozbawionego marzeń snu i znów będą podeksytowani obietnicą Diega, że wreszcie zobaczą swego wuja.

Yberowie Zachodniego Zgromadzenia niecierpliwie czekali, a kły ociekały im śliną nienasycenia.

ROZDZIAŁ XII

Wszyscy, z wyjątkiem scholastyka prowadzącego po krętej drodze ciężarówkę firmy przewozu mebli „U-Haul-Przeprowadzka Przygodą”, spuścili głowy, modląc się. Mieli stoczyć święty bój i Klemens polecił im nosić symbole zakonu. W odróżnieniu od pewnych bardziej tajnych operacji, w których brali udział starsi jezuici, tym razem kusz nie schowano.

Nacimiento, 20 stycznia

Klemens siedział pośród swych scholastyków i nowicjuszy w pudle ciężarówki. Jego żołnierzy, żołnierzy Kościoła będą dobrze chroniły krucyfiksy i ampułki z wodą święconą. Kołki i młotki, które większość miała przy sobie w walizkach, będą wystarczającą bronią, jeśli uda im się dotrzeć na miejsce przed zachodem słońca. Klemens był jednak wciąż wstrząśnięty tym, iż na Diega święte przedmioty nie miały wpływu. Dla niego przygotował coś bardziej świeckiego i dużo potężniejszego – był bowiem tym, kto nie wierzy w moc Pana. Klemens miał przy sobie granat ręczny, który zdobył dla niego jeden ze świeckich braci. Odda się Diegowi. A gdy wampir zatopi piekielne kły w jego szyi, ksiądz wyciągnie zawleczkę i wyśle ich obu na spotkanie przeznaczenia. Kierowany tą pokrętną logiką, która zawsze pozwala zdesperowanym ludziom usprawiedliwić każdy środek, jaki prowadzi do celu, Klemens wierzył święcie, że jego i dostojnika Konklawe będą czekać całkiem różne przeznaczenia.

Ciężarówka zwolniła. Kierowca uderzył pięścią trzy razy w tylną ścianę kabiny. To był znak. Posiadłość znajdowała się tuż za zakrętem.

Drzwi z tyłu otworzyły się i jezuici wyskoczyli jeden za drugim jak wyszkoleni żołnierze. Dwóch niosło sprzęt, przy pomocy którego wysadzą w powietrze bramy posiadłości. Za nimi szli strzelcy wyborowi, którzy usuną chowańców stojących na straży.

Zachodzące słońce rzucało na wzgórze długie cienie.

Jezuici sunęli bezgłośnie wśród zarośli, zbliżając się do bramy. Strzelcy modlili się do Boga, aby pokierował nimi podczas mordowania chowańców.

Lecz chowańców nie było przy bramie.
A brama była otwarta.
Jezuici wpadli przez nią niczym czarna fala.
Wszystko odbyło się tak, jak przyśniło się Ojcu.

ROZDZIAŁ XIII

Helman spoglądał w niebo, wypatrując zbliżania się zespołu Nevada. Nie było jednakże na nim niczego poza kilkoma zabarwionymi na czerwono chmurami rozrzuconymi po fioletowym niebie. Słońce niemal dotykało oceanu. Nacisnął mocniej pedał gazu samochodu, który zaprotestował wyciem silnika.

W pobliżu ostatniego zakrętu przy bramie posiadłości drogę blokowała duża ciężarówka do przewozu mebli. Z piskiem opon zjechał z szosy, by nie zderzyć się z nią i ugrzązł w miękkiej trawie.

Wyskoczył z samochodu i biegiem pokonał resztę drogi. Brama stała otworem. Dziedziniec był pusty. Jednakże z północnego skrzydła głównego budynku wydobywały się kłęby dymu. Czarne postacie migały za rozbitymi oknami na parterze.

Jezuici wyprzedzili go.

Helman skoczył pod osłonę ozdobnych drzew. Dziedziniec zalewało jaskrawe, czerwone światło stolica, które już niemal do połowy skryło się za horyzontem. Adrienne znajdowała się w tym budynku. Właśnie budzi się. I jest bezradna wobec broni księży.

Ruszył biegiem w stronę głównego wejścia. Broń, którą był obwieszony, podskakiwała przy każdym jego kroku, wytrącając go z równowagi. Była to broń zespołu Nevada, specjalnie zaprojektowana do walki z istotami, które nie mogą umrzeć. Najbardziej nieporęczny był gyrojet, ręczny miotacz miniaturowych pocisków raketowych na paliwo stałe. Były to kule znacznie groźniejsze od każdego pocisku rozrywającego. Wybuchną nawet przy zderzeniu z miękkim, ustępliwym ciałem *ybera*.

Helman wyciągnął gładką, pokrytą metalem broń i trzymał ją w ręku podczas biegu. Było tylko kwestią czasu, kiedy jezuici zauważą go.

Jeden stał przy podwójnych drzwiach. Natychmiast podniósł kuszę i wystrzelił. Helman nie zdążył uchylić się na czas. Bełt trafił go prosto w pierś i odbił się od nieprzenikliwego pancerza z kevlaru, który nosił pod szelkami z bronią. Odbiwszy się rykoszetem, strzała drasnęła go w odsłoniętą twarz, rozdzierając ciało i zostawiając za sobą ślad krwi.

Helman wystrzelił z gyrojeta. Wylotowi gazów odrzutowych pocisku przez boczne otwory w lufie towarzyszył nagły błysk. Niemal natychmiast nastąpił wybuch na marmurowych schodach przed drzwiami, gdzie stał jezuita. Helman spodziewał się szarpnięcia odrzutu pistoletu raketowego, lecz strzał był czysty, a lufa wymierzona nisko. Jezuita został zasypany odłamkami marmuru. Chwycił się za oślepione oczy i wijąc się, padł na podziurawione schody.

Za nim nie było innych. Helman podbiegł i zepchnął ciało na bok od wejścia. Jezuita wrzasnął. Helman uderzył ciężką ręką ręką gyrojeta i wrzask ucichł. Adrienne była w środku. Nic go nie powstrzyma przed dotarciem do niej.

Zerwał czarną szatę z jezuitę i naciągnął ją sobie przez głowę. Takie przebranie może mu dać kilka chwil zaskoczenia.

Słońce zaszło. Czerwony poblask na nisko wiszących chmurach tuż nad horyzontem nadawał dziedzińcowi wygląd, jakby trawił go ogień ogromnego pożaru.

Helman przygotował się do wejścia do budynku. Powietrze dziwnie drgało. Podniósł głowę do góry. Na czerwonym niebie wykwitły trzy helikoptery. Przybył zespół Nevady. Helman jednakże nie mógł teraz czekać na nich, tak samo jak nie mógł tego popołudnia, kiedy Weston wyposażył go. Będzie musiał wejść sam.

W domu Ojca rozlegały się wrzaski. Helman niemal przewrócił się o zwłoki dwóch chowańców, których białe szaty plamiła krew od licznych bełtów, które ich przeszyły.

Głowy obu brutalnie porąbano. Obie łączyły z ciałami tylko cienkie strzępy ciała. Jezuita toczyli bój Armageddonu. Demonom z piekła nie wolno było okazywać litości.

Większość krzyków dochodziła z wielkiej klatki schodowej z boku wysokiej na cztery piętra sali wejściowej. Helman pobiegł w tamtą stronę. Podziemia są najlepiej chronione przed światłem dnia

Wzdłuż trzech ścian sali na drugim piętrze biegł balkon. Kończył się przy wysokiej na cztery piętra szklanej ścianie zasłoniętej olbrzymimi kotarami, które przypominały

kurtynę teatralną. Na balkon można było wejść tylko po jedynych schodach w południowo-zachodnim rogu. Klemens przezornie ustawił tam strzelców wyborowych. Widzieli, że Helman nałożył strój ich brata. Zasypali go bełtami. Utkwiły w tkaninie szaty, nie przebiwszy kevlaru. Najeżony strzałami Helman zanurkował na schody, które wiodły z parteru w dół.

Do piwnicy, pomyślał. To było jak ostrzeżenie.

Helikoptery usiadły na środku dziedzińca z ogłuszającym, pulsującym rykiem. Ostatnia trzydziestka mężczyzn i kobiet z Projektu Nevada poruszała się szybko. Dwa helikoptery zostały na dole w trakcie wylądowywania skrzyli z ekwipunkiem. Trzeci pozbył się swego ludzkiego ładunku i natychmiast ponownie wzbił się w powietrze. Będzie krążył, dopóki nie nadejdzie wiadomość, że można zabrać St.Clair.

Weston rozesłał swych agentów w sposób wcześniej ustalony. Okna budynku od dawna były zasłonięte, by ochronić *yberów* przed światłem stolica. Dwa oddziały po pięciu ludzi zaczęły wybijać okna pociskami raketowymi z gyrojetów. Niektóre okna posypały się natychmiast. Inne, wśród nich te na korytarz wejściowy, były pancerne i opierały się wybuchom.

Reszta zespołu zmontowała trzy ogromne gniazda reflektorów. Włączono generatory. Reflektory zapłonęły upiornym fioletowym blaskiem, a dziedziniec i pokoje za strzaskanymi oknami zostały skąpane ultrafioletem.

Zginął pierwszy *yber*.

Krzycząc pojawił się w wybitym oknie, odziany w białą szatę wysłannika Ojca. Wrzeszczał przeraźliwie, trawiony światłem, które go parzyło do pęcherzy i zwęglalo na oczach zafascynowanych i zdjętych zimnym lękiem ludzi na dziedzińcu.

Istota spadła z okna na drugim piętrze. Tylko biała szata przetrwała upadek na ziemię. Nie było w niej ciała. Został tylko biały śluz krwi życia.

Dwóch ludzi Westona natychmiast pobiegło po resztki *ybera*. Mieli ze sobą metalowy pojemnik, a w nim sterylne próbówki. Szybko zeszkrobali tyle białej cieczy do pojemniczków, ile mogli. Weston wezwał helikopter, by zabrać cenną substancję. Wiedział, że

poza ciałem *ybera* przetrwa ona tylko około godziny. Miał jednak nadzieję, że w ten czy inny sposób operacja zakończy się przed upływem tego czasu.

Reflektory tworzyły nieprzeniknioną barierę dla *yberów*. Oddział Westona będzie bezpieczny na dziedzińcu do czasu otrzymania wiadomości, że Adrienne St.Clair ma zostać wyprowadzona. W czasie tych ostatnich trzydziestu sekund, gdy reflektory będą wyłączone na czas transportowania Adrienne do helikoptera, będą najbardziej narażeni.

Helikopter wzniósł się ponownie. Weston zgromadził pierwszy oddział szturmowy. Poprowadził ich do wnętrza.

Diego wiedział, że jezuici nie są dość sprytni, by na nich spoczywała odpowiedzialność za ten bolesny, błękitny blask, jaki omywał posiadłość Ojca. Do akcji weszli Amerykanie.

Diego rzadko bywał zaskoczony w ciągu minionych czterystu lat. Teraz też nie był zaskoczony.

Powiedział: „kombinezony bojowe” do *yberów* czekających na jego rozkazy, a ci wiedzieli już, co mają robić.

Yberowie Zachodniego Zgromadzenia nałożyli na głowy ochronne hełmy z ciemnego, lustrzanego plastiku. Do rękawów kombinezonów przyczepili grube rękawice zakończone straszными, naciąganyymi sprężynowo stalowymi hakami, które zastąpiły ich ukryte szpony.

Yberowie byli teraz niewrażliwi na zabójcze promieniowanie.

Adrienne St.Clair wzbudziła w Diegu głęboką fascynację techniką i nauką. Żałował, że nigdy nie będzie mógł jej dostatecznie podziękować.

Na dziedzińcu zaczęła się straszliwa rzeź.

Yberowie przypominali koszące maszyny, wymachując metalowymi szponami szybciej, niż mogło dostrzec ludzkie oko. Ludzie z zespołu Nevada, którzy zostali na podwórzu, padali rozplątani, wypatroszeni i rozrzucony niczym trawa pod kosą. Większość nawet nie dostrzegła ciemnych, błyszczących postaci, które wyskoczyły z mroku jak wybuch czarnej lawy. W ciągu kilku sekund było po wszystkim.

Iskry sypały się z zakrwawionych stalowych szponów *yberów*, którzy rozerwali nimi kable generatorów. Nienawistne światło zgasało. Wysoko w górze helikopter usiłował wywołać załogę naziemną przez radio. Nie było odpowiedzi. Wiedząc, że ludzie na dole są na łasce *yberów* dopóki reflektory są wyłączone, pilotka zrobiła jedyne, co mogła. Zeszła na dół, by ratować przyjaciół.

Uświadomiła sobie błąd dopiero, gdy po wylądowaniu otworzyły się drzwi do ładowni helikoptera i do środka wskoczyli *yberowie*, rzucając się na nią.

Tym razem, gdy zgasty mordercze światła, nie potrzebowali stalowych narzędzi, by zastąpić własne szpony.

Ostatnim rozpaczliwym wysiłkiem, zanim dosięgły ją kły i pazury, pilotka pchnęła naprzód dźwignię kontroli wirnika.

Helikopter podskoczył wściekle i poleciał na bok, zderzając się z innymi zaparkowanymi helikopterami. Ognista kula załała dziedziniec czerwonym blaskiem zachodzącego *stolica*.

Wybuch zawałił część południowego skrzydła. Posypały się następne okna.

W miasteczku Nacimientto eksplozja zagrzmiała w uliczkach niczym grom. Niektórzy z mieszkańców nie chcieli nawet podejść do okien, by popatrzeć. Wielu wiedziało, że coś takiego się stanie, kiedy „naród” wprowadził się. Inni próbowali zadzwonić do policji stanowej, straży pożarnej, lub nawet do wojska. Jednakże ostatni rozkaz Nevady już funkcjonował. Nikt z mieszkańców miasteczka nie wiedział, że należało podać hasło, zanim jakkolwiek odłam rządu ruszy do akcji w Nacimientto.

Nerwowi urzędnicy, bojący się postąpić wbrew rozkazom, pośpiesznie starali się dojść, skąd pochodzi rozkazy, które stworzyły takie warunki. Bez wątpienia zostanie wszczęte śledztwo w sprawie tego, co wydarzyło się tej nocy.

Lecz wtedy będzie już o wiele za późno.

Pierwszy poziom podziemi zaprojektowano z myślą o rozrywce. Ściany były wykończone w wyszukany sposób i wyłożone bogatą boazerią. Teraz części drewnianych wykładzin zostały zerwane przez rozwścieczonych jezuitów. Za niektórymi z uszkodzonych części ścian znajdowały się tajne wnęki. Helman domyślał się, co niegdyś w nich było,

teraz bowiem, po przejściu jezuitów, w każdej wnęce znajdował się tylko drewniany kołek wbity w białą szatę splamioną gęstą mieszaniną białego płynu i pyłu *yberów*.

Helman rozpaczliwie biegł po korytarzach. Zatrzymywał się przy każdym zniszczonym schronieniu, by zobaczyć, czy ubranie Adrienne nie leży wśród przerażających pozostałości śmierci *ybera*. Ogarnęła go panika. Gdzie ona jest?

Posłyszał za sobą stuk kroków. Odwrócił się raptownie, zasłaniając kuszą naładowany gyrojet w dłoni.

Scholastyk krzyknął do niego:

– Wszystkich tu na dole już załatwiliśmy. Musimy znaleźć Ojca. Słońce już zaszło!

Helman pokiwał głową i pobiegł z nimi. Jeśli nie odnaleźli jeszcze Ojca, być może Adrienne była z nim. Może jeszcze istnieje szansa.

Wybiegli zza rogu. Następny jezuita z niedowierzaniem popatrzył Helmanowi w twarz.

– To on!

Helman wystrzelił pocisk raketowy w pierś mężczyzny. Głowa i kończyny poleciały na boki, gdy tułów rozerwała eksplozja.

Jeden ze scholastyków strzelił z kuszy. Siła uderzenia bełtu odrzuciła Helmana o krok i utkwiała luźno w jego szacie.

– Mierz mu w twarz! – krzyknął scholastyk do innego, który podniósł kuszę.

Helman podniósł rękę i skoczył na jezuitę. Bełt wbił mu się w podniesione przedramię. Krzyknął z bólu.

Nie zranioną ręką przygniół głowę jezuity do posadzki. Rozległ się ohydny, mokry trzask. Wyciągnął specjalny, ząbkowany bagnet, który nosił przymocowany do nogi i dźgnął następnego atakującego go jezuitę.

Źle jednak ocenił sytuację i zraniona ręka ześlizgnęła się po krwi, która chlusnęła z jezuity trafionego pociskiem raketowym. Helman odturlał się na bok. Usiłował uskoczyć jezuitę, który teraz trzymał bełt do kuszy jak kołek.

Jezuita zaatakował.

Helman trzymał przed sobą bagnet, bezradnie usiłując się nim zasłonić.

Nie wiadomo skąd wyskoczyła czarna postać i jezuita pofrunął na bok. Uderzył w ścianę z chrupnięciem złamanego karku.

Na oczach Helmana postać nabrała wyraźnych kształtów. Jej kły ociekały krwią.

Noga w czarnym ubraniu mignęła niewiarygodnie szybko i bagnet Helmana ze stukotem potoczył się w głąb korytarza.

Yber pochwycił Helmana.

– Diego zaplanował coś specjalnego dla ciebie, człowieku. Wszyscy z przyjemnością popatrzymy – warknął.

Na wzmiankę o Diegu Helmana ogarnęła wściekłość. Kiedy wampir podnosił go z podłogi, Helman złapał krucyfiks jezuitę, którego powalił na ziemię.

Zamachnął się i przycisnął krucyfiks *yberowi* do twarzy.

Rezultat był natychmiastowy.

Rozległo się skwierczenie palonego ciała. *Yber* wrzasnął i wykręcił się, rozluźniając uchwyt. Ręce przycisnął do oparzenia w kształcie krzyża, które płonęło na jego twarzy. Pęczniący pęcherz zamknął mu jedno oko.

– Diego mówił, że nie wierzysz – warknął *yber*, czając się przed krucyfiksem w wyciągniętej ręce Helmana.

– Ale ty tak, prawda? – rzekł Helman, rzucając się na wampira i wbijając dłuższy koniec krucyfiksu w miękkie ciało pod szczęką. Nie napotkał wielkiego oporu. Krzyż szybko zagłębił się w mózgu.

Yber zaczął się wić i drgać na podłodze. Ręce dygotały mu jak w ataku padaczki, gdy rozpaczliwie usiłował odzyskać nad nimi panowanie na tyle, by wyszarpnąć palący krzyż z czaszki.

Helman podniósł bagnet.

Yber wyciągnął krucyfiks z ciała i cisnął go na bok. Warczał z bólu i wściekłości. Skórę poniżej karku miał zwęgloną, a jego dłonie wyglądały jak nabrzmiałe, czerwone kule.

Helman skoczył na niego, przebijając bagnetem klatkę piersiową.

Wrzask ogłuszył go, gdy leżał na wijącym się wampirze. Potem krzyk ucichł, jakby wyłączono głośnik. Helman poczuł, że opada na posadzkę.

Bagnet trafił w cel. *Yber* rozpuścił się.

Helman wstał, drżąc.

Sutanna jezuitę na nim była pokryta białym śluzem, który wyciekł z pustego, czarnego kombinezonu na podłodze. Zerwał ją z siebie i odrzucił.

Podniósł gyrojet, naładował ponownie i pobiegł w kierunku, w którym udali się jezuici w poszukiwaniu Ojca.

Musi znaleźć Adrienne przed Diegiem.

Weston patrzył bezradnie na płonące wraki helikopterów na dziedzińcu. Nawet gdyby odnaleziono St.Clair, nie miał pojęcia, jak teraz mogliby ją stąd zabrać. Chyba żeby jego ludziom udało się zlikwidować wszystkich jezuitów i *yberów*, od których roіło się w posiadłości Ojca.

Z jezuitami pójdzie łatwo. Dopóki będą upierać się przy strzelaniu z kusz ludziom w pierś, kevlar ochroni ich. A jezuici, którzy z jakiejś przyczyny byli przekonani, że Bóg ich chroni, czynili bardzo niewiele wysiłków, by ukryć się, lub inaczej zadbać o ochronę.

Yberowie byli dużo bardziej niebezpieczni. Odziani na biało, ci którzy służyli Ojcu za emisariuszy, nie stanowili problemu. Wyglądało na to, że wszyscy zginęli podczas najazdu jezuitów przed zachodem słońca.

Ubrani na czarno *yberowie* byli za to śmiertelnie groźni. Padali w rozrywających wybuchach gyrojetów, lecz pierwszemu oddziałowi szturmowemu zostały tylko dwa ręczne miotacze. Reszta przepadła, gdy dziedziniec został opanowany przez *yberów* ubranych w pancerze chroniące przed ultrafioletowym światłem reflektorów.

Co najmniej jedna trzecia z nich poniosła Ostateczną Śmierć w ogniu wybuchów helikopterów. Otoczeni płomieniami, *yberowie* nie byli w stanie długo znośić dużej utraty wilgoci. Pozostali jednak weszli do budynku przez inne drzwi. Wszyscy zajęci byli desperackim poszukiwaniem kobiety. Weston nie miał wyboru, jak tylko przyłączyć się. Zebrał ośmiu swoich ludzi, tych, którzy przeżyli, i poprowadził ich w głąb domu Ojca.

Helman znalazł przejście wiodące do podziemi pod piwnicą. U stóp schodów leżało dwóch martwych jezuitów. Mieli rozszarpane gardła. Powoli szedł w mroku. W jednej ręce ścisnął gyrojet. W drugiej krzyż.

Wydawało się, że piwnica biegła wzdłuż całej długości i szerokości budynku nad nią. Oświetlały ją słabo pomarańczowe lampy awaryjne. Wyglądało na to, że ogień w północnym skrzydle uruchomił przestarzały system przeciwpożarowy.

Zagłębiając się w tajemne przestrzenie piwnicy o betonowej posadzce, Helman czuł, że powietrze staje się bardziej duszne i wilgotne. Słyszał kapiącą wodę. Próbował przypomnieć sobie trasę swojego biegu po budynku, by ustalić dokładne położenie. Znajdował się pod dziedzińcem. Pompa, która miała tłoczyć wodę do sadzawki i fontanny, stała po jego lewej stronie. To było źródło wody. I odgłosu stałego kapania, które tłumilo odgłosy czyjejś obecności za jego plecami.

Ogarnęło go przemożne odczucie *déjà vu*. Czuł, że nie jest już sam. Że był już w tej piwnicy dawno temu. Albo przynajmniej w innej, podobnej.

Coś rytmicznie chlupało za jego plecami. Odwrócił się raptownie, zaciskając palec na spuście miotacza. Rytmiczny dźwięk stał się szybszy, zbliżył się. A potem ucichł.

Z ciemności dobiegł suchy, syczący szept.

– Szukasz czegoś, chłopczyku?

Helman przypomniał sobie tamtą piwnicę sprzed bardzo dawna. Drzwi, które zatrzaśkiwały się. Pulsowanie zranionej ręki, w której trzymał krucyfiks, ustało, gdy poczuł, jak włosy jeżą mu się na karku ze strachu starszego niż ludzkość. Dosłownie poczuł mrowienie na skórze, gdy wbił wzrok w ciemność i ujrzał w niej to, czego tak strasznie się bał jako dziecko.

– Szukasz piłki. Chcesz się z nami pobawić?

Helman spuścił głowę. Rytmiczny plusk był odgłosem odbijania piłki. Skąd oni mogli wiedzieć?

Rozległ się szept inny, głębszy, bardziej chrapliwy.

– Wiemy, o czym śnisz, człowieku. Potrafimy zrealizować wszystkie twoje sny. Marzenia i koszmary.

Helman czuł ogarniającą go panikę. Dotknęli czegoś, co było zbyt mocno w nim zakorzenione, by mógł się oprzeć. Jak to możliwe?

Obejrzał się w jedną i drugą stronę. Nie pamiętał drogi powrotnej do schodów. Z mroku dochodziły ciągle odgłosy czyjejś obecności. Był otoczony. Z gardła wydarł mu się bezwiednie cichy jęk. Otaczali go zewsząd.

– Ktoś chce się z nami pobawić? – dwa głosy krzyknęły jednocześnie.

– Chodź poszukać swej piłki, chłopczyku. Chodź pobawić się do piwnicy.

Helman poczuł ucisk w piersi. Ledwo dyszał. Otaczały go zewsząd lepkie dźwięki. Zewsząd.

A potem cztery małe rączki wyciągnęły się ku niemu i łagodnie chwyciły go za ramiona. Spojrzał w dół i zobaczył znajome, śliczne twarzyczki, z tak małymi kłami, świeżo wyrosłymi w ustach, iż niemal gotów był uwierzyć, że nic się nie zmienili.

– Wujku Granger – powiedzieli jednocześnie Steven i Campbell. – Tęskniliśmy za tobą.

Klemens czołgał się powoli w górę głównymi schodami, które prowadziły do balkonu otaczającego z trzech stron wysoką na cztery piętra salę wejściową. Zobaczył Diega. Znałezienie i zabicie tej kobiety może powierzyć swym młodocianym scholastykom, lecz Diego zabije sam. A Diego czekał w pokoju tuż przy końcu balkonu, tuż przy grubych, nie przepuszczających światła zasłonach na szklanej ścianie.

Klemens wyjął ręczny granat z torby na ekwipunek i wsunął go za swą szatę, pod koszulę. Zostawił odpięte guziki, żeby móc łatwo sięgnąć po zawleczkę, kiedy nadejdzie czas.

Wewnątrz pokoju, gdzie czekał Diego, ubrany na czarno *yber* zaczął węszyć i wskazał na otwarte drzwi.

Diego skinął głową.

– Niech wejdzie. Czekałem przez czterdzieści lat, żeby do mnie przyszedł. Niech przyjdzie teraz.

Diego uśmiechnął się. Czuł przyływ pragnienia. Podniecenie wywołane myślą o zaspokojeniu go krwią Klemensa zwilżyło jego kły śliną pożądliwości.

W drzwiach stanął ojciec Klemens.

– Wejdz, Clemencito. Czekałem na ciebie.

Na wpół zrujnowany budynek wciąż rozbrzmiewał odgłosami walki. Weston w przeblysku nadziei uświadomił sobie, że mogło przeżyć więcej jego ludzi, niż tylko tych trzech, którzy zostali przy nim. Niektóre z odgłosów, jakie słyszał, były głuchymi wybuchami gyrojetów. Inne to mrozące krew w żyłach wrzaski konających, zarówno ludzi, jak i *yberów*.

Ta część pałacu, w której się teraz znajdował, sprawiała wrażenie opuszczonej. Odgłosy walki brzmiały tak, jakby skoncentrowała się ona w pobliżu sali wejściowej. Gestem

ręki dał znak swym ludziom, by nie ruszali się i kopniakiem wyważył drzwi do pokoju gościnnego, trzymając gyrojet gotowy do strzału.

Pokój był pusty. Zajrzał do szafy i pod łóżko. W żadnej ze ścian nie było skrytek. Podszedł do okna i pociągnął za kotarę. Karnisze były solidnie umocowane, być może po to, by trzęsienie ziemi nie zerwało ich ze ścian, gdy przebywający z wizytą *yber* znajduje się w pokoju. Szarpnięte jednak wystarczająco mocno zasłony spadły i odsłoniły widok na ciemny, wschodni nieboskłon.

Noc trwa już długo i za niewiele ponad godzinę ponownie wszędzie słońce. Nie zmieni to zresztą niczego, pomyślał.

Wtedy usłyszał za sobą pomruk. W drzwiach stał *yber*, trzymając w szponach oderwaną głowę ostatniego agenta Nevady. Zmasakrowane ciała dwóch pozostałych leżały na korytarzu za nim.

Wampir rzucił się na Westona.

Błysnął gyrojet.

Stwór rozpuścił się w wybuchu niczym śnieżna zamieć. Tyle tylko, że biel była płynna i wisiała w powietrzu jak mgła.

Weston podniósł się z podłogi, na którą rzucił go wybuch. Znow czuł narastający ucisk w piersi i wiedział, że już czas na kolejny zastrzyk. Narkotyk złagodzi ból i ułatwi oddychanie. Wiedział również, że przekroczył granicę, i z powodu napięcia, jakie musiało znosić jego ciało, ten albo kolejny zastrzyk zabije go.

Zastanawiał się, czy Helman jeszcze żyje. Przeklinał siebie, że nie powiedział mu o kieszeni w szelkach na broń, którą mu dał; kieszeni, w której był kawałek papieru. Nawet gdyby Helman uszedł stąd z życiem, prawdopodobnie nie znajdzie tego papieru, a nawet jeśli znajdzie, może nie wiedzieć, co z nim zrobić.

A potem Weston znow przeklął siebie za to, że nie naładował ponownie gyrojetu, bo- wiem następny *yber* skoczył na niego z mroku korytarza, zatapiając szpony w jego karku i przyciskając go do ściany.

W oczach zatańczyły mu czarne plamki z braku krwi, lecz zdołał jeszcze dostrzec, że twarz tego *ybera* była twarzą kobiety. Nie miała kłów.

Weston spoglądał na wykrzywioną wściekłym grymasem twarz Adrienne St.Clair.

W piwnicy pożywili się nim. Wycieńczony, pozbawiony krwi, przeżywszy grozę gorszą niż jakikolwiek dziecinny koszmar, Granger Helman został wyprowadzony z mroku na spotkanie z Diegiem. Jego oczy, oczy potępieńca, miały pusty wyraz. Nie chciały już niczego więcej widzieć. Jego krew plamiła wargi dzieci, które szły obok niego, i barwiła kły kobiet, które zostały w piwnicy. Na jego ciele było wiele ran, nie tylko w miejscu rozerwanych żył na szyi.

Dzieci jego siostry wzięły go łagodnie za ręce i zaprowadziły na spotkanie z ich nowym ojcem, dostojnym Diegiem.

Stanąwszy twarzą w twarz z potworem, który zniszczył mu życie, Helman czuł pustkę. Wszystko, co było mu bliskie, zostało mu odebrane. Wszystko, co mocno skrywał w sobie jako źródło siły i tożsamości, oni znaleźli i zniszczyli. Nie miał już sił nienawidzić Diega. Nie pozostało mu już nic, co miałoby jakieś znaczenie. Nie było już niczego.

A Diego przeżywał uniesienie. Klemens i zdradziecki zabójca w ciągu jednej nocy. Brakowało mu jeszcze tylko dziewczyny, a sądząc po odgłosach walki, pojmanie jej było zaledwie kwestią chwil.

– A więc, dzieci – uśmiechnął się szeroko przez kły – wreszcie przyprowadziłyście swego wuja na ponowne spotkanie ze mną. Wydaje mi się, że tak dawno temu rozmawiałem z nim w Nowym Jorku. Nieprawdaż, człowieku?

Helman stał w milczeniu.

– Mój przyjaciel, ojciec Klemens, wreszcie się opamiętał, człowieku. Znów chce być moim chowańcem, jak przed czterdziestu laty. Chciałbyś też być moim chowańcem, człowieku? Zostać na zawsze ze swymi uroczymi siostrzeńcami?

– Prosimy, Granger. Prosimy, zrób to. Zrób, co on każe – powiedziały dzieci.

Helman popatrzył na nie. Ich twarze były tak znajome. Tak potworne. Nic nie rzekł.

– Spójrz, jakie to proste, człowieku – powiedział Diego i podszedł do ojca Klemensa.

Yber, który trzymał Klemensa od chwili jego przybycia, wypuścił go i odsunął się. W myślach Klemensa nie było niczego poza modlitwą. Czuł chłód granatu ręcznego na brzuchu.

– Ojciec Klemens będzie doskonałym chowańcem. Jego umysł jest taki zdyscyplinowany. Trudny do przeniknięcia. – Diego stał naprzeciwko Klemensa, wpatrując się

w niego jak w owada, którego zamierzał rozgnieść.

– Natomiast ty, człowieku, masz słaby umysł. Było zbyt wiele rzeczy, na których ci zależało. Dlatego twój umysł był otwarty. Niektórzy *yberowie* są wyszkoleni w takich dziedzinach. Jak te kobiety w piwnicy. My znamy wszystkie twe marzenia, człowieku. A ty, Clemencito... o czym ty marzysz?

Diego rozłożył ręce niczym upiorny nietoperz otaczający swą ofiarę. Klemens podniósł ręce do szyi i zaczął zdejmować koloratkę, rozpinać sutannę i koszulę.

Diego przycisnął jezuitę blisko do piersi i spojrzął mu w oczy. Helman przyglądał się temu beznamiętnie. Pozostali *yberowie* byli urzeczeni widokiem jezuitę z własnej woli oddającego się ich władcy.

– O czym marzysz? – zapytał Diego. Musnął wargami twarz Klemensa i schylił głowę ku jego odsłoniętej szyi.

Dłoń ojca Klemensa poruszyła się między nimi.

Diego zeszywniał.

Kocim ruchem wsunął szponiastą dłoń pomiędzy nich, chwytając coś, czego Helman nie dostrzegł.

Klemens zacisnął powieki.

Diego otworzył oczy ze zdumienia.

Jedną ręką podniósł Klemensa za kark, a drugą wyrzucił go przez otwarte drzwi.

Ciało ojca Klemensa znikło w płomieniach w powietrzu.

Huk wybuchu wstrząsnął pomieszczeniem.

Odrzucony siłą eksplozji Helman uderzył w ścianę i osunął się po niej. Jego siostrzeńcy zwinęli się na podłodze. Stojący na straży *yber* cofnął się nieco, lecz nie upadł.

Ciało Klemensa skierowało większą część wybuchu ponownie do wnętrza pomieszczenia. Framuga drzwi przeniosła ją na Diega. Wampir odwrócił się powoli do pozostałych w pokoju. Jego twarz przecinały rozliczne ciemne szramy i strużki gęstego, białego płynu. Czarny kombinezon wisiał na nim w strzępach. Lecz on sam uśmiechał się. Był zachwycony.

– Jakie to niespodziewane – rzekł.

Twarc i górna część klatki piersiowej, którą rozszarpały odłamki granatu, dosłownie pełzały, gdy przyspieszony metabolizm zamykał rany.

Diego zwrócił się do Helmana.

– A jakie sztuczki ty trzymasz dla mnie w zanadrzu, zanim rozszarpie ci gardło? – warknął.

Helman nie podniósł rąk, by się zasłonić. Nawet nie myślał o tym, jakie to będzie uczucie. Wiedział tylko, że nie może być już nic gorszego od tego, co się wydarzyło w piwnicy. Wszystko inne mógł znieść. Diego zbliżył się. Coś poruszyło się za drzwiami.

– Eduardo.

Głos zza drzwi wdarł się do umysłu Helmana jak fala. Spojrzał na Diega. Diego również poznał ten głos i odwrócił się gwałtownie.

W drzwiach stała Adrienne St.Clair. A za nią major Weston.

W rękach trzymała gyrojet zespołu Nevada.

Diego otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć.

Miotacz wystrzelił.

Ze środka tułowia Diega wykwitł wybuch. Wampir poleciał do tyłu, odrzucony podmuchem. Helman poczuł niesamowity żar eksplozji, gdy płonące ciało przemknęło obok niego. Oderwane przez wybuch nogi Diega leżały przed Helmanem. Drgały jeszcze chwilę, jak papier pożerany przez płomień, a potem rozsypały się zupełnie.

Miotacz Westona unicestwił *ybera* stojącego na straży.

– Adrienne – powiedział Helman. Coś jednak do niego dotarło.

Podbiegła do niego. Objęła go.

– Wszystko już jest dobrze – powiedziała. – Wydostaniemy się stąd. W pobliżu jest zbyt wielu *yberów*, by zmyśli lokalizacji działał prawidłowo. Nie są w stanie wykryć mojej obecności. Weston powiedział mi wszystko.

– Wierzysz mu?

– Jeśli ty mu wierzysz, nic więcej nie jest ważne. Widziałam, jak cię tu zabierano. Myślałam, że już nie żyjesz.

Helman poczuł, jak życie wraca do niego. Spojrzał na Westona. Twarz Westona zmroziła groza.

– Diego! – wrzasnął.

Monstrum wbiło pazury w nogę Helmana.

Maniakalnie wykrzywiona twarz Diega szczyrzyła do niego zęby. Jedną ręką przytrzymał go za kostkę. Druga szponiasta dłoń wznosiła się ku szyi. Udało mu się złapać Helmana za szelki od broni i zaczął wpijać się pazurami i rozrywać nawet kevlarowa kamizelkę, szukając serca.

Adrienne cofnęła się. Wybuch nie dosięgnął serca Diega. Niewiele więcej z niego zostało niż tułów z rękoma, lecz wciąż żył. Kobieta wyciągnęła bagnet z pochwy przymocowanej do nogi Westona. Helman rozpaczliwie zmagał się z przepołowionym potworem, który nieubłaganie wpełzał coraz wyżej na niego.

Adrienne zaatakowała. Wbiła bagnet w plecy Diega. Wampir wrzasnął i odsunął się od Helmana. Nie wypuściła noża z ręki i jego ostrze wysunęło się z ciała.

Adrienne zamierzała jeszcze raz go dźgnąć. Weston rozpaczliwie próbował naładować gyrojet trzęsącymi się dłońmi. Helman pobiegł, żeby mu pomóc. Jego siostrzeńcy przyglądali się walce zdezorientowani.

Diego zamachnął się z całych sił na Adrienne, trafiając ją w kolana. Upadła. Wpełził na nią.

Helman nie mógł strzelić z naładowanego miotacza, żeby nie trafić jej przy tym.

Kopnął, trafiając Diega w skroń.

Pozbawiony stabilizującej go normalnej wagi, Diego potoczył się na bok.

Helman wymierzył.

Adrienne wskoczyła przed lufę miotacza Helmana i zaczęła dźgać drgający tułów Diega. Krzyczała histerycznie. Widziała tylko Jeffery'ego, który wił się w blasku wschodzącego słońca, gdy przykuli go łańcuchami emisariusze Diega.

Dźgnęła go jeszcze raz i jeszcze. Ociekał białą krwią jak pęknięty wrzód.

– Wbij mu nóż w serce! – krzyknął do niej Helman. – W serce.

Diego dotarł niemal do drzwi na balkon. Helman nachylił się i złapał Adrienne za ramię, by odepchnąć ją z drogi i móc strzelić do Diega.

Kobieta warknęła do Helmana:

– On jest mój. Za Jeffery'ego.

Odwróciła się ponownie do Diega. Już go nie było.

Wybiegła na balkon. *Yber* odczołgiwał się. Helman wybiegł za Adrienne.

– Spójrz mi w twarz, Eduardo! – wrzasnęła Adrienne.

Diego obrócił się na podłodze.

Bagnet zbliżał się łukiem do jego szyi.

W ostatniej chwili Diego wykręcił swe przepołowione ciało.

Bagnet gładko przeciął mu prawe ramię. Rozpuściło się, nim jeszcze spadło na ziemię.

Diego ryknął. Poturlał się i usiłował podnieść się, podpierając lewą ręką. Adrienne wbiła bagnet w jego plecy z taką gwałtownością, że wampir strzaskał marmurową balustradę balkonu, i obracając się w powietrzu, spadł na twardą, marmurową posadzkę sali wejściowej. Upadkowi towarzyszył donośny łomot. Rozległo się ostatnie, głuche westchnienie. A potem zapadła cisza.

W półmroku nie zostało już nic. Helman podszedł do Adrienne.

– Musimy wrócić w bezpieczne miejsce. Wciąż pełno ich dookoła.

Odwróciła się do niego. W słabym świetle lamp awaryjnych widziała, jak z jej twarzy znika zwierzęcy wyraz nienawiści.

– Już po nim – powiedziała.

– Po nim – potwierdził Helman. – Wracajmy teraz do Westona.

Odwróciła się jeszcze raz, by spojrzeć przez balustradę w ciemność.

– Chodź już – rzekł Helman.

Kobieta zeszywniała.

Z balkonu po przeciwnej stronie sali wejściowej dobiegł ich triumfalny okrzyk.

– Śmierć córce szatana!

Adrienne odskoczyła do tyłu, wpadając na Helmana. Miała oczy szeroko otwarte od wstrząsu. W barku utkwiał jej bełt z kuszy. Otworzyła usta, by zaczerpnąć tchu, i pociekła z nich śliska strużka białej krwi.

Przycisnęła ręce do piersi. Helman zauważył jezuitę na odległym balkonie naciągającego ponownie kuszę. Wycelował z gyrojetu i jezuitę spowila eksplozja.

Helman zaniósł Adrienne do pokoju, gdzie czekał Weston. Campbell i Steven kulili się w kącie, szlochając.

Helman próbował wyrwać belt. Adrienne powstrzymała go.

– Jest zbyt blisko – wykrztusiła. – Dotyka serca. Nie wolno go wyciągać na siłę.

– Co się stało z twoim pancerzem? – zapytał bezradnie Helman.

– Mam go na sobie, Granger. – Starła się uśmiechnąć. – Belt prześlizgnął się po barku.

– Co mogę dla ciebie zrobić?

– Potrzeba mi trochę spokoju. Nie mogę się skupić na leczeniu w takich warunkach. Trzeba zajmować się tym po trochu. Leczyć powoli. – Przeszkodził jej atak charkotliwego kaszlu. Znów pociekła jej z ust biała krew.

– Już niemal świt – powiedział Weston. – Niedługo wszystko musi się skończyć.

– Niech pan na to nie liczy, majorze – rzekł Helman. – Opowiedziała mi o ich biurach, w Zurychu. Dopóki są chronieni przed słońcem, będą działać.

– Zostało mi pięć pocisków do gyro. Może nawet nie ma pięciu – stwierdził Weston i przyczaił się w drzwiach na straży.

– Czy mogę jakoś pomóc? – zapytał Helman Adrienne.

– Po prostu obejmij mnie – powiedziała. – To pomaga mi skupić się.

Objął ją.

W kącie dwoje dzieci, ledwie dwa dni po Komunii, zapadło w dzienny sen pozbawiony sennych marzeń. Na zewnątrz wstawał świt.

Dwie godziny po wschodzie słońca odgłosy walki rozbrzmiewały tylko sporadycznie. Niewiele było wrzasków, a dwa ostatnie wybuchy spowodował Weston. Dwóch ubranych w czarne kombinezony *yberów* w hełmach przeciwko reflektorom promieniowania ultrafioletowego rozpuściło się.

Jedna smuga słońca świeciła jaskrawo przez otwór w olbrzymich zasłonach, które wisiały na szklanej ścianie od strony wschodzącego słońca.

Dużo wcześniej Weston strzelił do nich z gyrojetu. Zasłony nie stawały wystarczająco dużego oporu, by mały pocisk raketowy wybuchł. Rozdarł tylko tkaninę i rozbił szybę za nią. Tylko wąski promień światła wskazywał punkt, gdzie miała miejsce eksplozja.

Drugi wystrzelił w środek masywnego karnisza, na którym wisały zasłony, lecz ten był wzmocniony na wypadek trzęsienia ziemi.

Adrienne, Helman i Weston byli na razie bezpieczni w znajdującym się przy balkonie pokoju, w którym Diego urządził sobie kwaterę główną. Został im tylko jeden ładunek do miotacza. W rozproszonym, słabym blasku słońca widać było, że jezuici wciąż są na balkonie, a *yberowie* na dole. Od czasu do czasu wołali do uwięzionych ludzi na górze. Jezuici odpowiadali gradem beltów, które spadały ze stukiem na posadzkę, nie osiągnąwszy celu. *Yberowie* wyli z radości na ten widok.

– Jak ona się czuje? – zapytał Weston.

– Ona czuje się zupełnie dobrze, majorze – powiedziała Adrienne. – Wyciągnęłam do tej pory około pięciu centymetrów beltu, ale czuję opór. Wydaje mi się, że grot miał zadziory. Jeśli będę dalej ciągnąć, rozerwie mięsień sercowy. Będę musiała zostawić go.

– Czy niczego nie możesz zrobić? – spytał Weston, nie odwracając się do nich i obserwując rozwój wydarzeń w sali wejściowej.

– Jeśli nie musimy się śpieszyć, mogę chodzić. Jeśli uda mi się dotrzeć do lekarza, wystarczy, żeby otworzono mi klatkę piersiową powyżej grotu i wyjęto go od góry. Rana zagoi się w ciągu nocy.

– Sądzi pan, że zdołamy wyjść stąd przed zachodem słońca, majorze? – zapytał Helman.

– Nie wiem. Niech pan tylko na to spojrzy. Ci jezuici coś knują.

Helman podczołgał się do drzwi i położył obok Westona. Głos Westona był słaby i drżący. Helman widział, że major zrobił sobie zastrzyk. Od tej pory jego wygląd szybko się pogarszał. Helman znał się na skutkach działania wielu środków chemicznych. Nawet gdyby udało mu się wyjść z Adrienne tego wieczoru z pałacu, Helman wątpił, czy Weston dożyje tej chwili.

– Ci dwaj tam – powiedział Weston, wskazując lufą gyrojetu.

W mroku Helman dostrzegł trzech jezuitów przyczajonych w drzwiach pokoju balkonowego po drugiej stronie sali, w pozycji takiej, jak on i Weston. Wydawało się, że coś przygotowywali.

Nagle jeden z nich rzucił się biegiem wzdłuż balkonu w stronę szklanej ściany. Pozostałych dwóch przyskoczyło do balustrady balkonu i strzeliło z kusz w mrok.

Trzeci jezuita wskoczył na krawędź barierki i rzucił się na dół, wprost na zasłony.

Co najmniej pięć strzał trafiło go jeszcze w powietrzu. Z wrzaskiem uderzył w kotarę i spadł z wysokości sześciu metrów na posadzkę. Czarne postaci wychynęły z mroku i otoczyły jego ciało. Jezuita przy balustradzie naciągali znów kusze, krzycząc do *yberów* ukrytych w ciemności. Strzelili do stworów, które odciągały ciało ich brata. Wtedy dwa inne wciągnęły się przez barierkę, na której wisiały niczym nietoperze, i zabiły ich.

Bezgłowe trupy jezuitów zrzucano z balkonu. *Yberowie* na dole zawyli zwycięsko.

– To tylko kwestia czasu, kiedy nas dostaną – stwierdził Weston. – Prawdopodobnie pod naszą częścią balkonu znajduje się ich z pół tuzina i nie będziemy mieli czym naładować broni.

– W dodatku używają kusz jezuitów. Nawet nie będą musieli zbliżać się do nas. – Helman myślał o tym, czego usiłowali dokonać jezuita.

– Jest sposób, żeby to zrobić – rzekł Weston.

– Zerwać zasłony?

– Sztuczka polega na tym, by nie dać się zastrzelić, kiedy się biegnie.

– Jak chcesz tego dokonać?

– Kiedy zaczniesz biec, wystrzelę prosto w środek podłogi tam na dole. To powstrzyma ich na dwie sekundy, których ci potrzeba, by zerwać zasłony z karnisza impetem swego ciała.

– Mojego ciała?

– Ja nie mogę biec, Granger. Tu leżę i tu umrę. Wziąłem tyle środków pobudzających i przeciwbólowych, żeby zmusić płuca do pracy, że dłużej już nie pociągnę.

– A co się stanie z Nevadą?

– Pan jest Nevada. Nikogo innego już nie ma. Wkrótce zaczną krążyć jakies pogłoski, kiedy kilka kopert z wynikami naszych odkryć dotrze do pewnych osób poza Stanami. Nie został jednak już nikt, kto mógłby wykonać naszą robotę. Tylko pan. I Adrienne.

– Jak to? Wiem tylko to, co pan mi powiedział wczoraj.

– W pańskich szelkach. W tej kieszeni, przy zapięciu. Wszystkie informacje, jakie są panu potrzebne. Niech pan idzie to zrobić. Niech pan wpuści tu słońce, zanim zdecydują się na atak.

Helman przyczołgał się do Adrienne.

– Mam zamiar odsłonić kotary. Wpuszczę słońce. – Podniósł dywan z podłogi i nakrył ją nim. – Jeszcze wrócę – obiecał.

– Granger... – zaczęła.

Uciszył ją gestem dłoni.

– Wszystko w porządku – powiedział. – Wrócę. Drugim końcem dywanu nakrył śpiących Stevensa i Campbella, a następnie wrócił do Westona czatującego przy drzwiach.

– Nie ma możliwości, żeby wojsko przybyło nam na ratunek? – zapytał.

– Maszyna poszła w ruch – powiedział Weston. – Nikt tu nie zajrzy przez kilka dni. Dobrzy ludzie z Nacimiento już zostali powiadomieni, że tu się kręci film. Gdzieś w Waszyngtonie mówi się, że nastąpił wyciek materiałów broni biologicznej. Sprawa jest zaszyfrowana na tak wysokim szczeblu, że upłyną dni, zanim jakakolwiek agencja zorientuje się, że nikt nic w tej sprawie nie robi. Jesteśmy zdani na własne siły.

Helman klepnął Westona po ramieniu.

– W takim razie szykujemy się do odpalenia pocisku. – Wstał, opierając się o framugę. Droga wzdłuż balkonu wydawała się wolna.

Weston podniósł się z trudem na kolana. Chwiał się wyraźnie i musiał trzymać gyrojet w obu rękach.

– Już! – krzyknął Helman i popędził wzdłuż balkonu.

Yberowie na dole wylili i poszczekiwali jak zwierzęta.

Helman dotarł do końca balkonu. Weston wychylił się raptownie i strzelił prosto w dół. Wybuch rozbłysł w mroku sali. Helman skoczył.

Oślepiiony błyskiem Weston usłyszał bardziej niż zobaczył ciemny kształt, który szybko zbliżał się do niego.

Helman z łatwością wykonał skok. Ani jeden belt nie trafił blisko.

Chwyciwszy kotarę, ześlizgnął się po niej jakieś półtora metra. Fałda materiału, która przesuwiała mu się między palcami, paliła jak lina. Wbił jednak w nią palce i utrzymał się.

Pchnięty impetem, zakołysał się w jedną, a potem w drugą stronę. Karnisz wygiął się odrobine, a kiedy Helman przeleciał w jedną stronę, kotara rozsunęła się na moment i wpuściła morderczy promień słońca.

Lecz potem zakołysał się znów w drugą stronę i snop światła znikł. A karnisz trzymał się mocno.

Wtedy bełty trafiły w cel.

Niektóre utkwiły w zasłonach, na których zawisł. Czuł, że inne zatrzymała kamizelka keklarowa. Zakołysał się gwałtownie na kotarze. Zraniona ręka nie trzymała jego ciężaru. Wisiał tylko na jednej ręce.

Grot pocisku z kuszy przebił mu nogę. Następny utkwił w zranionym ramieniu. *Yberowie* wrzeszczeli do niego. Czuł zawroty głowy. Kolejna strzała wbiła mu się w tył uda. Spadł dotykając stopami nietkniętych zasłon i potoczył się po posadzce.

Był ogłuszony. Nie mógł się ruszać. Zobaczył jednak, że sala wejściowa wciąż była pogrążona w mroku. A z owego mroku wyszli po niego oni.

ROZDZIAŁ XIV

To koniec.

Szpony potworów wpiły się w jego ciało.

Poczuł, że go ciągną po marmurowej posadzce w stronę ciemnego pokoju, w którym się zebrały.

Śmiały się nad nim. Zerwały z głów hełmy, by pokazać mu kły ociekające śliną i krwią.

Ich wycie i wrzaski ogłuszyły go tak, że przestał je już słyszeć. *Yberowie* tańczyli dokoła niego, krzykiem domagając się jego krwi. Lecz umysł bronił Helmana, który widział tylko wąski snop światła wpadający przez niewielki otwór w zasłonach.

Stwory ciągnęły go dalej w głąb ciemności.

Widział cząsteczki kurzu, tańczące lekko w promieniu światła. Wirowały delikatnie. Potem szybciej. Potem opętańczo.

Przyjrzał im się uważniej. Uświadomił sobie, że widzi jarzące się punkciki tam, gdzie nie ma światła. Tańczyły one w fosforyzującym paśmie, które wiło się po podłodze przed kotarą. Wyglądało to, jakby jeden promień rozchodził się i rozplýwał po posadzce, tworząc nieprawdopodobne kształty.

Teraz jarzył się dużo jaśniej. Skupiał się w sobie. Wił się jak dym oświecony od środka.

Wzniósł się nad posadzkę. Kurczył się, lecąc ku górze. A potem osiągnął 198 centymetrów wysokości i przestał się wić. Jarzące się punkciki skupiły się i przed nimi stanął Ojciec w całej swej szkieletowej potworności.

Uniósł ręce i przemówił głosem, od którego zatrzęsły się ściany i podłoga:

– Patrzcie.

Jego ręce, składające się tylko ze stawów, kości i ścięgien, wyciągnęły się nienaturalnie daleko w tył i wpiły w tkaninę zasłon. Bełkot *yberów* ucichł. W sali zapadła cisza. A Ojciec rzekł:

– Jam jest wskrzeszenie i jasność!

I szarpnął zasłony, które sfrunęły niczym liście w podmuchu huraganu.

Słońce wlało się jak fala przyplýwu. Pod jego ciosem Ojciec rozsypał się i rozpadł w proch.

Yberowie wokół Helmana upadli na podłogę, jakby zdmuchnięci wybuchem.

Znów rozległ się wrzask. Tym razem był to przeraźliwy krzyk śmiertelnego bólu.

Przez całą tę wrzawę Helman usłyszał głos wołającej go po imieniu Adrienne.

Nogi miał bezwładne od strzał i upadku. Pełzł do niej.

Wszędzie dookoła niego czarne i czerwone, pokryte pęcherzami istoty bulgotały i wiły się w śmiertelnym uścisku słońca. Rozpaczliwie usiłowały nałożyć hełmy ochronne, lecz szok wywołany czystym blaskiem słońca ogłuszył je. *Yberowie* w cieniu mieli jeszcze mniej szczęścia, słońce bowiem działało na nich wolniej. Ich skóra marszczyła się i schodziła płatami, jakby przytknięto do niej miotacz płomieni. Wreszcie skóra zwęgliła się, a krzyki zmieniły się w bulgotliwy charkot. W końcu nie pozostało po nich nic, oprócz sterty pustych ubrań i szybko wysychającej, gęstniejącej od pyłu kałuży krwi życia.

Helman czołgał się w kierunku, skąd wołała Adrienne.

Powoli, w męce pełzył w górę po schodach. Wokół niego wciąż rozpuszczali się *yberowie*.

Poczołgał się wzdłuż balkonu. Dotarł do drzwi.

Leżał w nich Weston. Nie żył. Miał wbity w serce jezuicki kolek. Na nim leżało czarne, rozpadające się ciało *ybera*. Zastony rozsunęły się zaledwie kilka sekund za późno.

Adrienne leżała przykryta dywanem tylko do połowy. Przez drzwi wpadał snop jaśniejszego światła. Padał na jej odsłonięte nogi. Poniżej kolan miała tylko zwęglone i szerniałe kikuty.

Helman wciągnął do środka ciało Westona i zamknął drzwi na balkon. Światło wciąż wpadało przez szpary wokół drzwi.

Podszedł do Adrienne.

Miała zaczerwienioną skórę. Na części twarzy od strony drzwi utworzyły się bąble.

– Weston ocalił mnie – wyszlochała. – Wstał i wyskoczył przed *ybera*, który atakował. Został przebity kołkiem przyszykowanym dla mnie. A potem rozbłysło światło... – Płakała w jego objęciach, a on ją pocieszał.

Był zmęczony i kręciło mu się w głowie z upływu krwi, lecz tulił ją, jakby nigdy nie zamierzał jej wypuścić.

– Co stało się z czasem, który mieliśmy mieć dla siebie? – zapytał ją.

– Ty możesz go mieć – powiedziała przez łzy. – Cały nasz czas. Tyle, ile ci potrzeba. Możesz go mieć.

Szepnęła mu do ucha. Cicho. Słowa przeznaczone tylko dla niego. Słowa, o których śnił.

Objął ją mocno i szepnął jej to samo.

– Pocałuj mnie, Granger – powiedziała. Pęcherze na jej twarzy czerniały. Ciałem wstrząsnął dreszcz. Bełt utkwiał zbyt głęboko, a słońce było zbyt mordercze. Dotknęła dłonią szyi. Z rany popłynęła krew życia.

– Pocałuj mnie teraz – rzekła.

Smak był nie do opisanego i wzbudził w nim straszliwy głód.

ROZDZIAŁ XV

Chmury, ledwo widoczne na krawędzi horyzontu, były czerwone jak ogień, który strawił dom Ojca.

Helman stał na szczycie wzgórza, z którego roztaczał się widok na posiadłość Randa i przyglądał się, jak pożar, który sam wywołał, pochłania miejsce ostatniego spoczynku kobiety, którą kochał.

Jego siostrzeńcy byli bezpiecznie ukryci na niższym poziomie piwnicy obok pompy. Ogień ich nie znajdzie. Jeśli to, co powiedział Weston, było prawdą, żaden człowiek nie znajdzie ich przynajmniej przez tydzień. Małe zwierzęta w zaroślach i lesie dostarczą im pokarmu na ten czas. Helman żałował, że nie może zabrać ich z sobą, ale pewien był, że wkrótce po nich wróci.

Noc będzie zbyt krótka na wszystko, co zamierzał zrobić. Jeszcze raz spojrzął na rozprzestrzeniający się pożar i odwrócił się.

Coś w wysokiej trawie wysyczało jego imię.

Helman zamarł. Wyczulonymi zmysłami wykrył lekkie ruchy w kępie trawy po prawej stronie. Coś się do niego zbliżało.

Trawa falowała przed nim.

Wyłoniło się z niej coś niewypowiedzianie ohydneho.

Było białe jak robak, pokryte grubymi, wypukłymi szramami. Dwoje ludzkich, ciemnych oczu patrzyło na niego z jednego końca bulwiastej masy zbliznowaciałej tkanki. Machnęło czymś, co w pierwszej chwili wziął za ogon. Była to ręka.

Tym czymś był Eduardo Diego y Rey. Dostojnik Konklawe.

– Helman – zasyczał znowu. Usta zamykała mu opuchlizna od tuzinów głębokich cięć, jakie zadała mu Adrienne na balkonie.

Jego słowa były bełkotliwe i niewyraźne. – Jesteś teraz jednym z nas, Helman. Musisz mi pomóc. Zabierz mnie ze sobą do schronienia. Musisz.

Stwór powoli pulsował w trawie. Musiał ciężko dyszeć, by wcisnąć powietrze do wielokrotnie poprzecinanego gardła.

– Może jestem taki, jak Adrienne. Lecz nigdy nie będę taki, jak członkowie Konklawe. Nigdy – powiedział mu Helman. – Ludzkość przeżyje. Teraz ja mam moc.

Wydawało się, że na zniekształconych bliznami wargach odmalował się uśmiech.

– Oczywiście, że ludzkość przeżyje – wysyczał stwór. – Cóżby się stało z *yberami* bez żywej krwi ludzkich *isstot*? Co stałoby się z tobą, Helman? Jesteśmy daleko w przodzie przed waszymi rządami i naukowcami. Dziewczyna wskazała nam drogę. To wszystko jest częścią Osstatecznego Planu, Helman.

– Jakiego ostatecznego planu? Co ona wam pokazała?

– Pokazała, że nasze zdolności nie są darem mocy piekielnych. To coś jak choroba. Albo mutacja.

– Wiecie o tym?

– Tak, jesteśmy daleko przed wami. Daleko, daleko przed wami. Mamy lekarstwo, Helman. Interferon z krwi życia. Wszyscy nasi chowańcy go biorą. Odporność na plagę raka. Odporność dla wszystkich ludzi, których wybierzemy. Plan Osstateczny to osstateczne lekarstwo. Ludzkość przeżyje jako nasze źródło pokarmu. Tak, jak być powinno. Zgadzasz się? Zabierzesz mnie do sschronienia, a ja powiem ci więcej?

Helman poczuł, że ogarnia go prymitywny gniew, który widział u Adrienne.

– Budzisz we mnie wstręt – warknął do Diega. – Nie zasługujesz nawet na to, by się czołgać.

Helman nachylił się i chwycił Diega za jedyną rękę. Jego mięśnie płonęły nową siłą. Zmasakrowana ręka Diega nie stanowiła dla niego żadnej przeszkody. Helman wsparł stopę o bark Diega, wykręcił mu rękę i szarpnął ją brutalnie.

Wyrwał ją ze stawu.

Wrzask Diega przeszył ciszę nocy.

Ramię rozsypało się Helmanowi w rękach.

Tułów Diega wił się i skręcał w przerażeniu.

– Nie mogę się ruszyć! – krzyczał przeraźliwie Diego. – Nie dotrę do sschronienia. Słońce mnie odnajdzie. Słońce mnie odnajdzie!

Helman obszedł dookoła zgrzytający zębami biały pagórek.

– Wróć! Słońce. Słońce!

Kiedy Helman oddalił się na jakieś półtora kilometra, krzyki stały się ledwie słyszalne. Po trzech kilometrach nie było już nic słychać.

Helman wciąż szedł. Rany od bełtów na rękach i nogach zagoiły się zupełnie i był zaskoczony energią, jaka z niego tryskała. Dokuczały mu tylko dziąsła. Kły wypadły mu w czasie snu za dnia, a nowe sprawiały mu ból, dopiero wyrzynając się.

Wiedział, że to minie. Wiedział też, że wkrótce będą mu potrzebne. Czuł już rosnące pragnienie.

Od autostrady 101 wciąż dzieliło go około ośmiu kilometrów. Z łatwością przebędzie tę odległość w ciągu godziny. Do wschodu słońca dojedzie autostopem do Salinas i znajdzie sobie cichy, bezpieczny kościółek na dzienny sen.

Jutro w nocy będzie w San Francisco i spotka się z lekarzem, którego nazwisko miał zapisane na skrawku papieru, jaki Weston schował mu do kieszeni.

Lekarz ten był epidemiologiem. Niedawno dokonał zdumiewających odkryć dotyczących występowania nowotworów w okolicach o niewielkim zanieczyszczeniu atmosfery lub całkowitym jego braku.

Lekarz ten odrzucił również wszystkie tajne propozycje Projektu Nevada objęcia dużo lepiej płatnych stanowisk w Kanadzie lub Francji, gdzie mógłby prowadzić badania nad wszystkim, z wyjątkiem występowania nowotworów. Okazał się bardzo uparty. Tak bardzo uparty, że Weston obok jego nazwiska napisał „wypadek samochodowy”.

Helman uznał to za dowód tego, że lekarz był bardzo bliski prawdy. Przynajmniej taką miał nadzieję. Oznaczałoby to, że dużo prościej będzie mu wszystko wytłumaczyć.

Apotem, sprawdzając długość swych szybko rosnących paznokci i pocierając nimi na próbę kark, Helman pomyślał, że być może pierwsze wyjaśnienia będą jeszcze prostsze, jeśli zostawi rozmowy na potem i zacznie po prostu od zaproponowania lekarzowi, by się napił.

Miał przeczucie, że dla lekarza będzie to nieopisane przeżycie.

PODZIĘKOWANIA

Mam szczególny dług wdzięczności wobec osób, które jako pierwsze opublikowały *Metamorfozę krwi* – Ellen Aggar, pana Beatty, Susan Bermingham, Marka Billera, pana Churcha, Deana Cooke'a, Petera Doyle'a, Maureen Ford, Warrena Knechtela, Roberta Massouda, Thada McIlroy'a, Roba Mitchella, Gary Murphy, Steva Osborne'a, Susan Perry, Dawna Philipsa, Grace Philips, Keeshy Lorraine Philips, Joela Searsa, Petera Selka, Ruth Shamal, Toma Walmsleya, Waltera Warnera, Roberta Webstera, Mela Wilsona, Grahama Yosta i naszego wiernego posłańca bankowego, pana Goryla – innymi słowami, redakcji „Virgo Press”, 1977–1981.

„...na jedną krótką, jaśniejącą chwilę...”

– GRS

O AUTORZE

Garfield Reeves-Stevens pisze powieści cenione za fascynujące połączenie najlepiej sprzedających się gatunków literackich, w tym powieści szpiegowskiej, sensacyjnej, horroru i fantastyki naukowej. Jego pierwsza powieść, *Metamorfoza krwi*, opublikowana w 1981, miała być sfilmowana w 1988 pod tytułem *Phoenix–The Final Cure*. Inne jego powieści to *Kraina marzeń* (1986), *Children of The Shroud* (1987) i *Są wśród nas* (1988). Do spółki ze swoją żoną Judith napisał także serię podręczników do nauk ścisłych na poziomie podstawowym *The Science Around Me*, cykl interakcyjnych programów do nauki pisania i czytania dla dzieci, a także powieść z serii *Star Trek*, pod tytułem *The Followers*. Garfield Reeves-Stevens mieszka poza Toronto, gdzie pisze kilka nowych powieści, wśród nich *Darktown*, fascynujący ciąg dalszy *Metamorfozy krwi*.